



CZY WIZJE KSIĘDZA SĄ
ZAPOWIEDZIĄ KOLEJNYCH
MORDERSTW?

GLATZ GOLIAT

TOMASZ
DUSZYŃSKI

1923 rok to czas kryzysu, z którego Republika Weimarska wciąż nie potrafi się podnieść po wielkiej wojnie. Inflacje i bezrobocie szczególnie odczuwają najbiedniejsi mieszkańcy Glatzu. Społeczne niepokoje przenoszą się na ulice miast. W Republice do głosu dochodzą ci, którzy mówią o konieczności budowy silnej i zjednoczonej Rzeszy, a w Hrabstwie Kłodzkim - organizacje przestępcze próbujące wykorzystać kryzys dla własnych korzyści. Kraj Pana Boga czeka okres chaosu i rozliczeń z przeszłością.

Książka
zdobywcy nagrody
Wielkiego Kalibru
Czytelników
i Złotego Pocisku
Publiczności

Spis treści

Strony tytułowe

Dedykacja

SPIS ULIC I PLACÓW

MAPA

KŁODZKO, MARZEC 1923 ROKU

KŁODZKO, LIPIEC 1923 ROKU

GORZANÓW, LIPIEC 1923

KŁODZKO, LIPIEC 1923

GORZANÓW, LIPIEC 1923

KŁODZKO, LIPIEC 1923

GORZANÓW, LIPIEC 1923 ROKU

KŁODZKO, LIPIEC 1923 ROKU

KŁODZKO, TRZY DNI PÓŹNIEJ

MONACHIUM, LISTOPAD 1923 ROKU

Strona redakcyjna

Reklama

GLATZ GOLIAT





GLATZ GOLIAT

TOMASZ DUSZYŃSKI

KRAKÓW 2022

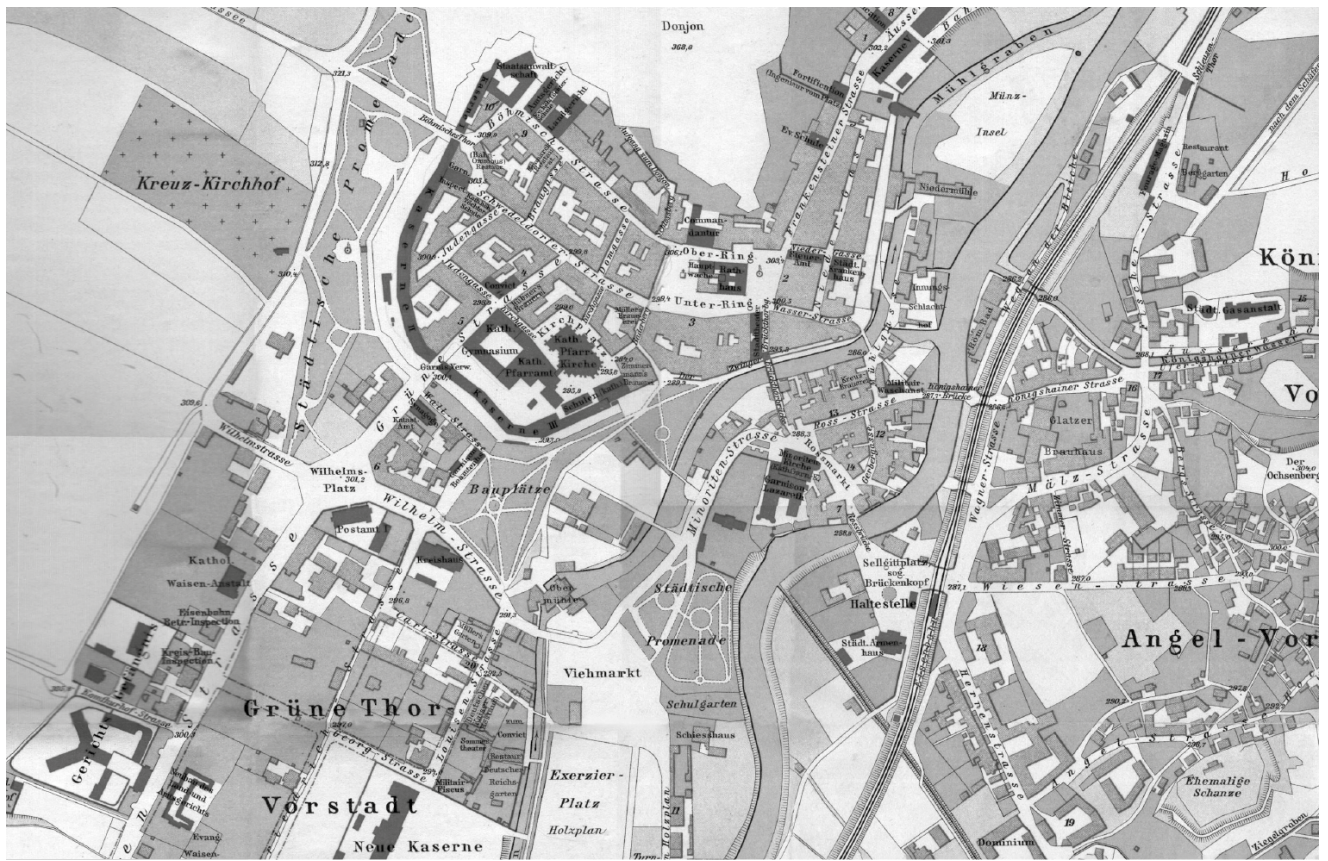


Januszowi Duszyńskiemu

SPIS ULIC I PLACÓW

| Nazwa historyczna | Nazwa współczesna |
|--------------------------|--------------------------|
| GLATZ | KŁODZKO |
| Am Böhmischen Tor | ul. R. Traugutta |
| Am Frankensteiner Tor | ul. Nadrzeczna |
| Bahnhofstrasse | ul. Kolejowa |
| Baderberg | ul. Spadzista |
| Böhmischestrasse | ul. Czeska |
| Brücktorberg | ul. Wita Stwosza |
| Domgasse | ul. Tumska |
| Frankensteinerstrasse | ul. W. Łukasińskiego |
| Gartenstrasse | ul. Bohaterów Getta |
| Gerbergasse | ul. Braci Gierymskich |
| Grünestrasse | ul. Wojska Polskiego |
| Herrenstrasse | ul. Lutycka |
| Kirchplatz | pl. Kościelny |
| Kirchgasse | ul. Kościelna |

| | |
|-----------------------|---------------------|
| Königshainerstrasse | ul. Śląska |
| Mälzstrasse | ul. Połabska |
| Minoritenstrasse | ul. I. Daszyńskiego |
| Niedergasse | ul. Niska |
| Parkstrasse | ul. F. Szarego |
| Promenadenweg | ul. Wiejska |
| Ring | pl. B. Chrobrego |
| Rossmarkt | ul. A. Grottgera |
| Rossstrasse | ul. J. Matejki |
| Sellgittplatz | pl. Jedności |
| Schwedeldorferstrasse | ul. Armii Krajowej |
| Uferstrasse | ul. Śląska |
| Wasserstrasse | ul. Wodna |
| Wilhelmsplatz | pl. W. Jagiełły |
| Wilhelmstrasse | ul. T. Kościuszki |
| Zimmerstrasse | ul. Łużycka |
| Der Zwinger | ul. Nad Kanalem |



KŁODZKO, MARZEC 1923 ROKU

Kościelny Lischke przez dłuższą chwilę walczył z drzwiami kościoła Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Wiatr wyrywał mu je z osłabionych dłoni. Musiał się zaprzeć, żeby je docisnąć i bezpiecznie zamknąć.

Deszcz zacinał paskudnie, wilgoć wciskała się za kołnierz. Silny wiatr potęgował odczucie zimna. Dłonie Lischkego, choć schowane w grubych rękawicach, zdawały mu się kawałkami zamrożonego mięsa.

Kościelny wstał w środku nocy, by otworzyć kościół księdzu Paulowi. Tylko dla niego robił wyjątek. Powtarzało się to kilka razy w miesiącu. Ksiądz Paul Reiser przychodził do niego ze znajomą gorączką w oczach – to wystarczało, by Lischke ubierał się szybko, zakładał kożuch i czapkę i przecinając dziedziniec, szedł w stronę kościoła.

Następnie wpuszczał duchownego do wnętrza świątyni. Obserwował, jak ten kładzie się krzyżem na lodowatej podłodze i wpatrując się w sufitowe malowidła, szepcze słowa modlitwy.

Trwało to od kilku miesięcy, odkąd Reiser powrócił do Kłodzka po wieloletniej nieobecności. Lischke pamiętał młodego księdza. Pamiętał czas, kiedy ten po raz pierwszy przyjechał do miasta tuż po święceniach. Zabawił w parafii zaledwie chwilę, po czym zgłosił się jako kapelan na front. Nie musiał tego robić, Lischke miał jednak pewność, że to nieuniknione. Widział, jak młodzian każdego dnia czyta kłodzki „Kreisblatt”, jak wyczytuje z ambony nazwiska coraz młodszych i coraz liczniejszych poległych. To Reiser rozmawiał z bliskimi tych, którzy oddali życie za ojczyznę: z rodzicami, żonami, braćmi, siostrami i dziećmi. Spowiadał, błogosławił – i zmieniał się coraz bardziej. Jakby z każdym nowym nazwiskiem na liście poległych umierała jakaś część jego duszy.

Kościelny wiedział, że ksiądz Paul opuści w końcu parafię i podąży za powołaniem jeszcze trudniejszym. Naoglądał się w kościele ludzi przez wszystkie lata pracy. Widział tych pobożnych na pokaz, tych głęboko wierzących, grzeszników i prawie świętych. Przeżył niejednego duchownego, był świadkiem niejednej ludzkiej niegodziwości i wielu rzeczy pięknych. Jednak taki ksiądz jak Reiser zdarzał się rzadko.

Przyszedł ten czas latem 1916 roku, gdy ksiądz Paul opuścił Kłodzko z kolejnymi młodymi chłopcami, którzy wyjeżdżali z hrabstwa. Do Lischkego dochodziły różne wieści o Reiserze. Kilkakrotnie ktoś donosił, że stracił życie, lecz żadna z tych plotek się nie potwierdziła. Wracali z frontu zabici i ranni. Wracali też ci, którzy choć zdrowi ciałem, stracili w okopach rozum. Przywozili wieści o Reiserze, o tym, jak pojawiał się w samym środku piekła z krzyżem uniesionym nad głowę, jak na własnych plecach wynosił z ziemi niczyjej rannych i poległych. On sam jednak nie wracał.

Nie wrócił też w 1918 roku i w latach kolejnych. Wszyscy niemal zapomnieli o młodym księdzu, który kilka miesięcy spędził w kłodzkiej parafii. Wszyscy oprócz Lischkego. On modlił się za Reisera codziennie, rano i wieczorem. Wiedział, że jeśli ksiądz doczekał końca wojny, to wciąż tłą się w nim okropieństwa tego piekła, które ludzie zgotowali ludziom. Że minie wiele lat, zanim zbliznią się rany ciała i duszy i kapłan będzie zdolny powrócić do posługi.

Gdy Paul Reiser znów pojawił się w Kłodzku, Lischke ledwie go rozpoznał. Kościelny przygotowywał wtedy ołtarz do mszy. Usłyszał głucho, sprężyste kroki, które dochodziły z daleka, jakby z innego świata. Odwrócił się na ten dźwięk i nie mógł uwierzyć własnym oczom. Oto stał przed nim chłopak przedwcześnie postarzały, z siwym pasmem w ciemnych włosach. Zmarszczki wokół ust i kurze łapki przy dużych oczach głęboko osadzonych w chudej twarzy zmieniły go tak, jak zmienia człowieka kilka dziesięcioleci cierpienia. Aura siły, którą wciąż emanował, kontrastowała z kruchością sylwetki.

Kościelny widział, jak Reiser się uśmiecha, jak kroczy przed ołtarz i staje naprzeciw niego.

– Słyszałem twoje modlitwy, Jakobie. Słyszałem je codziennie.

Lischke nie potrafił wydusić słowa. Objęły go silne ramiona. Uścisk był krótki i mocny, odczuł go tak, jakby przeniknęła go fala energii.

Wtedy po raz pierwszy zobaczył, jak młody ksiądz kładzie się krzyżem na posadzce, ale na plecach, nie na brzuchu. Duchowny szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się w sufit, a jego wzrok przenikał sklepienie, sięgał wyżej i dalej.

Jakob usiadł wtedy w ławie i zadumał się nad słowami Reisera. Czy tylko on się za niego modlił, czy tylko on pamiętał, by polecać go w modlitwie Bogu

przez te wszystkie lata?

Już wtedy, pierwszego dnia po powrocie, duchowny miał wizję – pierwszą z wielu. Kościelny przyjął ją jako coś naturalnego. Od początku wiedział, że ten chłopak potrafi dostrzec coś, co innym nigdy nie będzie dane.

Lischke nie wiedział, dlaczego dziś przyszły do niego te wspomnienia. Wrócił do swojego mieszkania, nie mógł jednak zasnąć. Stał przy oknie, wpatrując się w bryłę kościoła. Czekał na dopełnienie cowieczornego rytuału. Za jakiś kwadrans, może dwa, Reiser wyjdzie przez bramę na dziedziniec, uniesie głowę, by spojrzeć w okno, za którym stał kościelny, uśmiechnie się i wróci do siebie.

Jakob spędzał ten czas na modlitwie. Wciąż modlił się za tego chłopaka. Czuł, że modlitwa jest mu potrzebna teraz jeszcze bardziej niż kiedyś.

Tknięty przecuciem spojrział w stronę dachu i wież kościoła. Wydało mu się, że dostrzegł czyjąś głowę przesuwającą się ponad linią gzymsu. Czyżby Reiser szedł do białej wieży?

Lischke się zaniepokoił. Przysypiające w zakamarkach pod gzymsem ptaki poderwały się do lotu. Wybrzmiał szelest przemarzniętych skrzydeł. Kolejne cienie ruszyły w ślad za księdzem. To mogło być tylko złudzenie, Lischke wmawiał sobie, że ogląda scenę ze snu. Stał jak sparaliżowany, niezdolny do ruchu.

Nie wiedział, jak długo to trwało. W końcu się przemógł, sięgnął do klamki i szarpnął okiennicę, wpuszczając jęczący wiatr do mieszkania. Zasłona gwałtownie owinęła się wokół ramienia Lischkego. Chwilę trwało, nim kościelny uwolnił się z materiału i wychylił przez parapet. Ptaki okrążyły wieżę w ciszy, jakby niepewne, czy mogą wrócić na miejsce drzemki. Czekwały.

Lischke zamrugał. Znów dostrzegł cienie pełzające murami w górę. Czy Reiser przed kimś uciekał?

Jakob się przeżegnał, gdy zobaczył ciemną postać w najwyższym oknie wieży. Widział, jak ta rozstawia ręce na boki, jak chwieje się pod wpływem podmuchów wichury.

– Boże... – Z ust kościelnego wydobył się suchy szelest. Pozostałe słowa uwięzły w gardle. Czas zatrzymał się, a potem nagle przyspieszył wraz z upadkiem ciemnej postaci na kościelny bruk.

Ptaki wciąż krążyły w ciszy, gdy Lischke patrzył w dół, na ciało, wokół którego rozkwitała ciemna róża krwi.

KŁODZKO, LIPIEC 1923 ROKU

Wysoko nad głową Germaina Ulma trzasnęła okiennica. Spłoszone kruki ze skrzekiem poderwały się do lotu. Germain był pewny, że ptasie przekleństwa, odbiwszy się echem od ścian budynku dawnego kolegium jezuitów, powędrują daleko w stronę starego miasta. Spojrzał w górę, na cienie krążące w wąskim wycinku nieba. Zakręciło mu się w głowie.

Mężczyzna przeniósł wzrok na sztalugę i płótno. Odruchowo wytarł dłoni w spodnie i wyczuł pod opuszkami farbę zaschniętą na materiale. Świątynia tonęła w cieniu, jedynie szczyt południowej, białej wieży rozświetlony był refleksem światła.

Germain usłyszał tupot butów za plecami. Ten rytuał powtarzał się od kilku dni. Dotarły do niego szepty i przytłumione chichoty. Postanowił przeczekać, aż te namolne dzieciaki sobie pójdą. Nie miał nic przeciwko nim, przyzwyczał się do nich, tak jak one do niego. Dlaczego nie miałby mieć jednak z tego trochę zabawy? Jeszcze jedno pociągnięcie pędzlem...

– Buuuu!

Odwrócił się, wykrzywiając brodatą twarz. Ostatnio przećwiczył tę minę w lustrze. Uniósł niewielkie mięsiste dłonie, rozczapierzając palce. Odsłonił zęby i wysunął język. Nie musiał się starać, by być przerażającym albo śmiesznym. Odkąd pamiętał, jedno i drugie wychodziło mu całkiem dobrze.

Rozległy się świdrujące piski, dzieciaki pogubiły buty, uciekając w Kirchgasse. Zaraz jednak wystawiły brudne buzie zza rogu. Szykowały się do kolejnego podejścia.

– Buuu! – Germain nie wiedział, co go napadło. Odrzucił pędzel i ruszył za rozkrzyczaną ferajną. Szedł pokracznie, przenosząc ciężar ciała z jednej nogi na drugą. – Bla-bla! Blu-bla!

Germain przystanął. Zignorował spojrzenia kilku przechodniów. Dzieciaki zniknęły w bramie którejś z kamienic, rozplynęły się jak duchy. Czasem zastanawiał się, czy ta ferajna istnieje naprawdę. Może wymyślił sobie to towarzystwo?

Wrócił do sztalugi. Stał przed obrazem, podrapał się z namysłem po brodzie, poprawił niezgrabnym ruchem dłoni wzburzone włosy.

Ta myśl uderzyła go nagle. Nie ukończy obrazu. Nabrał niezachwianej pewności, że pędzel nie muśnie już dziś tego płótna. Na jego pracy czarna wieża kościoła oblepiona była nieruchomymi punktami. Każde z nich miało ludzkie oblicze. Ptasie dzioby rozlewały się w usta i podłużne nosy. Pióra spadały kaskadą na plac Kościelny niczym czarny puch. Łyse placki na skrzydłach pęczniały, zmieniały się w gruzły mięśni poprzecinanych siateczką żył. Dlaczego dopiero teraz uświadomił sobie, jak makabryczna jest to wizja? Zwłaszcza owa niedokończona, niekształtna plama u stóp świątyni.

Mężczyzna przykrył obraz materiałem, schował do walizeczki paletę i pędzle. Załadował wszystko na wózek, który podarował mu dozorca. Wszystkie te czynności wykonywał z pochyloną głową, blisko ziemi, przytłoczony niewidzialnym ciężarem.

Czarne ptaszyska przyglądały mu się w milczeniu, gdy znalazł się na Kirchgasse. Nie płoszyło ich skrzywienie nienaoliwionych kół. Odprowadzały go wzrokiem do chwili, gdy skręcił w prawo, w Grünestrasse. Uczucie, że wciąż jest obserwowany, nie odstępowało go nawet tutaj. Przemógł się i spojrzał w górę. Nieruchome grafitowe ptaszyska obsiadły dachy kamienic. Niemal widział, jak ich powieki unoszą się i opadają, jak milimetr po milimetrze przesuwają główki w ślad za nim, za pokracznym karłem. Germain dusił w sobie krzyk, który rodził się we wnętrzu. Pocił się i drżał. W jego wizji czarna wieża rozpadała się z hukiem, a on wraz z nią...

Mężczyzna wjechał w podwórze, opróżnił wózek i ruszył obładowany w stronę klatki schodowej. Wtoczył się na schody. Pokonywał je jeden po drugim, ignorując ból piszczeli i kolan. Znalazł się przed drzwiami do wynajmowanego mieszkania. Otworzył je i wszedł do środka. Zapach, którym przez kilka miesięcy zdążyła przesiąknąć pracownia, otrzeźwił go.

Światło i przestrzeń. Tu mógł oddychać. Atelier wcześniej należało do kłodzkiego fotografa, który zainwestował w wysokie okna i wyburzył kilka ścian. Utworzył tu spore pomieszczenie, w którym Germain zakochał się od razu. Nie targował się nawet z zarządcą kamienicy. Po pierwsze, rachunki płacił ojciec, po drugie – i tak żądano tu za czynsz ułamek tego, co za poprzednie lokum, które wynajmował we Wrocławiu.

Germain podszedł do okna i otworzył je szeroko. W ciągu dnia poddasze nagrzało się jak w piekarniku. Mężczyzna stanął na palcach i wyjrzał na zewnątrz. Ptaki zniknęły. Na ulicach i budynkach kładły się wieczorne cienie.

Ulm przymknął oczy i wsłuchał się w odgłosy dochodzące z rogu Schwedendorferstrasse i Grünestrasse. Życie Germaina Ulma upływało według jakiegoś wewnętrznego rytmu, który sam sobie narzucił wraz z przyjazdem do Kłodzka. Dziwił się, że tak łatwo przyszła mu zmiana wcześniejszych przyzwyczajzeń. Myśl o powrocie do miasta nad Odrą kusiała go jeszcze przez chwilę, zdziwił się, że tak krótką. Nocne życie metropolii, dawni przyjaciele, z którymi zatracił się w zabawie i zdobywaniu świata, wydawały się teraz odległe. Obrazy minionego życia wyblakły, stały się miałkie i banalne.

W Kłodzku odnalazł swój rytm. Wypracował go niejako naturalnie. Być może była to odpowiedź na potrzeby ciała zniszczonego nałogami i umysłu dręczonego melancholią. Germain balansował na krawędzi, zatracił się w użalaniu nad sobą, rozpamiętywaniu miłosnych porażek. Roztrząsał każde słowo. Dokonywał wiwisekcji i obserwował, jak chroniący go pancerz mięknie, a wewnątrz staje się podatne na zranienie.

Ta przemiana była konsekwencją wcześniejszych doświadczeń. Ojciec miał dosyć jego wybryków. Zamknął go na kilka miesięcy w prywatnej klinice szarytek, gdzie młody człowiek stał się rzeczą. Traktowano go niczym połamany mebel wymagający naprawy. Przestał walczyć, gdy zdał sobie sprawę, że jego upadek już się dokonał. Wtedy, gdy budził się w rynsztoku i nie potrafił odróżnić majaków od rzeczywistości.

Pozwolił innym decydować o swoim losie i kierowała nim czysta ciekawość. Chciał poznać wynik tych zabiegów. W co można uformować przeżartego chorobą karła? Jakie demony uda się rozpoznać, oswoić, wygonić?

Teraz do Germaina powróciło znajome sprzed lat uczucie. Cierpienie karku, mrowienie w dłoniach. Odwrócił się wolno od okna i objął spojrzeniem wnętrze pracowni.

Promienie zachodzącego słońca rozlały się po nielicznych sprzętach: łóżku, szafie sztaludze. Wydłużony prostokąt światła sięgnął przeciwległej ściany i drzwi. Po bokach, w cieniu, stały oparte o drewniane rusztowanie trzy obrazy, czwarty, na sztaludze, wciąż czekał na ukończenie.

Zlecenie, którego Germain podjął się kilka miesięcy temu, pochłaniało go całkowicie. Tworzył obrazy męki Pańskiej, sceny z ostatnich dwunastu godzin życia Jezusa. Był to dla niego znak. Oto ledwie pojawił się w Kłodzku, stanął przed dużym wyzwaniem. Mógł zająć myśli i zatracić się w pracy, która była jego powołaniem. Pierwsze tygodnie poświęcił na przestudiowanie chronologii pasji opisanej w Ewangelii. Tu po raz pierwszy znalazł odstępstwa od biblijnego

opisu. Zleceniodawca przemieszał i połączył wiele scen, zmieniał ich symbolikę, co zakrawało na bluźnierstwo, a przynajmniej ponury żart. Jednak Germain wkrótce zrozumiał, że jest w tym głębszy sens.

Ulm spojrział na płótno. Wiszący na krzyżu Jezus patrzył wprost na niego. Z przebitego brzucha sączyła się krew. Syn Boży zdawał się tego nie zauważać – ostrze włóczni nie przysporzyło mu cierpienia, na Jego twarzy widać było jedynie wyczekiwanie. Na co czekał? Spojrzenie Germaina powędrowało niżej, do podstawy krzyża, który obejmowała Maria Magdalena. To ona przyciągała uwagę. Z wizerunkiem jej twarzy zasypiał i się budził. Tę twarz zapamiętał w najdrobniejszych szczegółach.

Każdy kolejny obraz przysparzał Germainowi coraz większych trudności. Nie mógł przez nie spać ani jeść. Popychały go ku krawędzi, w ramiona znanej już gorączki. Coś nie pozwalało mu unieść pędzla i przytknąć go do płótna. Ta niemoc była od niego silniejsza.

Ulm obrócił się do okna i wychylił na zewnątrz, by zaczerpnąć powietrza. Słońce zaszło nad dachami domów, kładąc cienie na wąskich uliczkach. Zobaczył dziewczynę, gdy jego krótkie nogi utraciły kontakt z podłożem i niemal przeleciał przez parapet. Uchwycił dłońmi okienną ramę w ostatniej chwili. Niepokój ścisnął mu skronie i klatkę piersiową. Germain znieruchomiał. Zupełnie jak czarne ptaszyska na dachach kamienic, jakby był ich pobratymcem, który uległ przemianie w niekształtną ludzką formę.

Nie potrafił oderwać wzroku od dziewczyny. To była ona, Ida, jego Maria Magdalena. Stała przy witrynie z ekspozycją zdjęć z atelier Brunona Grögera. Ulm patrzył na kobietę, wstrzymując oddech, bał się, że rozplynie się w powietrzu niczym duch. Do dzisiaj był pewny, że nigdy już jej nie zobaczy.

Od miesięcy w myślach studiował jej twarz. Czasem łapał się na tym, że do niej mówi. Gdy po raz pierwszy znalazła się w jego pracowni, patrzyła nań bez odrazy czy litości i pod wpływem jej spojrzenia budziło się w nim to, co uspiły proszki i lekarstwa. Musiała widzieć jego stan, chorobliwą fascynację. Podjęła tę grę naturalnie.

Ulm przeżywał już miłości i romanse. We Wrocławiu poznał wiele wyuzdanych dam, dla których uprawianie miłości z karłem było rodzajem eksperymentu. Te jednak nudziły się nim szybko, a i on, zaspokoiwszy swoje potrzeby, odkrywał, że potrzebował czegoś więcej niż cielesnych uciech. Zakochiwał się w kobietach, którym płacił za miłość. Te jednak nie potrafiły zapewnić mu nic więcej poza mechaniką ruchów ciał i wątpliwymi doznaniem akustycznymi podczas udawanych orgazmów.

Germain wreszcie przezwyciężył niemoc, odskoczył od okna i ruszył do drzwi. Zbiegł po schodach, przytrzymując się poręczy.

– Gdzie pędzisz, kark złamiesz, człowieku!

Nie zważał na te ostrzeżenia. Niecierpliwie machnął ręką pani Singer i wypadł z bramy na Schwedeldorferstrasse. Spojrzał na witrynę atelier, gdzie jeszcze przed chwilą widział Idę. Znikła. Zgadł, że przeszła w Grünestrasse, obrał więc ten właśnie kierunek. Mimo późnej pory w stronę starego miasta zmierzała ciżba. Musiał wyciągać szyję, by dostrzec znajomą sylwetkę. W końcu zobaczył ją daleko przed sobą. Przyspieszył. Przemknęło mu przez myśl, żeby zawołać za dziewczyną, ale zrezygnował. Ida szła niespiesznie, Germain liczył, że dogoni ją za konwiktem jezuickim, który służył obecnie za internat katolickiego gimnazjum.

Usłyszał czyjś śmiech za plecami, ale go zignorował. Wiedział, że kilka osób pokazuje go sobie palcami, że komentuje jego kaczy chód. Za nic miał te przytyki. Skupiał się jedynie na ulotnym zapachu Marii Magdaleny z obrazu.

– Ida... To ty?

Zatrzymała się i odwróciła. Popatrzyła ponad nim, lecz po chwili skierowała wzrok niżej, na jego twarz.

– Ja... – Ulm musiał zaczerpnąć tchu. Zaśmiał się niezręcznie, przesunął dłonią po brodzie. – Wróciłaś. Jak to możliwe? Byłem pewny, że już nigdy cię... ja...

– Wszystko dobrze – odparła z uśmiechem. – Naprawdę, Germain.

Ulm uwielbiał tę pionową, ledwie widoczną zmarszczkę, która tworzyła się pomiędzy jej ciemnymi brwiami. Wiele razy chciał jej o tym powiedzieć, ale bał się, że nie odbierze tego jako komplementu. Która kobieta, zwłaszcza tak młoda, ledwie dwudziestoletnia, chciała słuchać o własnych zmarszczkach? Tylko człowiek niespełna rozumu mógł kochać niedoskonałości – albo ktoś, kto sam miał ich bez liku.

– Chodź do mnie... – Germain gorączkowo szukał kolejnych słów. Chciał, by ta rozmowa trwała jak najdłużej, lecz zamiast słów znalazł jedynie krzywy uśmiech. – Musisz mi wszystko opowiedzieć. Gdzie byłaś? Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

– Muszę iść, Germain. Jestem umówiona.

Skłonił głowę zrezygnowany. Znow miała zniknąć z jego życia? Z głębi Grünestrasse od Wilhelmsplatz nadjeżdżał samochód. Kierowca zwolnił i zatrzymał się tuż przy nich. Drzwi się uchyliły. Malarz zauważył męską dłoń o długich palcach. Reszta pasażera pozostawała poza zasięgiem jego wzroku.

Ida nachyliła się i pocałowała Germaina w policzek. Ten, zaskoczony, dotknął skórę. Palila żywym ogniem.

Potem patrzył, jak dziewczyna wsiada do samochodu, jak jej kruczoczarne włosy podrywa podmuch wiatru. Trzasnęły drzwi, silnik wszedł na wyższe

obroty. Pojazd skręcił w Judengasse.

Germain nie poruszył się, wiedział, że będzie patrzył na automobil tak długo, jak ten pozostanie w jego polu widzenia. Samochód się jednak zatrzymał. Drzwi otworzyły się ponownie.

– Jedziesz z nami, Germain?

Z cienia wyłoniła się twarz Idy. Jej skórę oświetliła uliczna latarnia. Ulm doznał niezwykłego wrażenia, jakby dziewczyna rozbłysła wewnętrznym światłem, intensywnym i niewyczerpalnym. Pomyślał, że tego blasku zabrakło Marii Magdalenie z jego obrazu. Wiedział, że jutro naprawi ten błąd.

– Jadę.

Ruszył w stronę Idy, która wycofała się w głąb auta. Blask przygasł, jakby wchłonięty przez inną materię. Germain usadowił się obok dziewczyny, a nieznajomy znów sięgnął klamki. Drzwi zatrzasnęły się po raz kolejny. Germain nie miał śmiałości, by popatrzeć na współpasażera. Zasłaniała mu go Ida. Widział jedynie laseczkę ze srebrną gałką ścisną w dłoni.

– Gdzie jedziemy? – zapytał.

Coś zmieniło się w twarzy dziewczyny, blask jej oczu przygasł, szlachetny podbródek stał się nienaturalnie spiczasty. Czy to naprawdę była ona?

– Zobaczysz. Spodoba ci się, jestem tego pewna – wyszeptła mu do ucha, jakby wyczuła jego wahanie.

Ulma przeszły dreszcze. Nie obchodziło go, jaki jest ich cel podróży. Siedząc obok Idy, czuł, jak ich uda się stykają. Myślał o tym, że znów budzi się w nim coś znajomego. Tym razem się tego nie bał.

*

W życiu wachmistrza Franza Koschelli zmieniło się wiele. Zaliczył upadek z wysokiego stołka. Ktoś inny na jego miejscu pewnie pogruchotałby przy lądowaniu wszystkie kości, Franz jednak nie odniósł znaczących obrażeń. Być może dlatego, że jego dupa nie zwykła przyrastać do wysokich stołków. Po degradacji i utracie szefostwa kłodzkiego Wydziału Kryminalnego obtłukł jedynie kość ogonową, na czym nie ucierpiała nawet jego duma.

Po prawdzie odetchnął. Od kilku miesięcy, budząc się rano, czuł ulgę. W płuca chwytał więcej powietrza, żołądek przestał mu dokuczać, a on sam niewątpliwie odżył.

Jedyną jego bolączką było zmniejszenie pensji – zwłaszcza że zawirowania związane z inflacją, która rozpanoszyła się w całych Niemczech, sprawiały, że z trudnościami finansowymi zmagali się każdy. Tym bardziej więc przydałby mu

się dodatkowy grosz. Franz nauczył się jednak odnajdywać stabilność w życiu rodzinnym, co dawało mu siłę do dalszego działania.

Wachmistrz znalazł się na Herrenstrasse grubo po zmroku. Była to pora, kiedy zmęczeni całotygodniową pracą ojcowie rodzin odwiedzali knajpy i browary, by w towarzystwie przyjaciół wypić kilka piw i poopowiadać sobie sprośne żarty. Owe lokale upodobała sobie również szemrana klientela – tutaj, we wschodniej części miasta, za rzeką, lokalni apasze czuli się jak u siebie. Załatwiali interesy, dobijali targów, grali w karty i często rozstrzygali co bardziej zawile spory. O dziwo, pilnowali też porządku. Nie rozbijano sobie tutaj łbów kuflami. Jeśli nie udawało się załagodzić tego czy innego konfliktu, delikwenci mogli dochodzić swych racji w zaułkach pobliskich podwórzy.

Nad utrzymaniem ładu od lat sprawował pieczę Hermann Brost zwany Łysym. Franz znał go dobrze. Niejeden raz przemawiał Łysemu do rozumu, gdy temu przyszło do głowy, że z prowincjonalnego Kłodzka uczyni drugie Chicago. Brost zarabiał na handlu węglem, alkoholem i papierosami. Próbował szczęścia w stręczycielstwie, miał też na usługach kilku kieszonkowców. Liczną brać gromadził pod swoimi skrzydłami długie lata, udało mu się nawet zawiązać pakt pomiędzy grupami przestępców z innych miast hrabstwa. Skrzydeł nie pozwalał mu rozwinąć swego czasu właśnie Koschella, ale gdy ten stanął na czele Wydziału Kryminalnego, do Franza zaczęły dochodzić informacje, jakoby Łysy zaczął sobie poczynać nieco śmieiej i w dodatku zmienił asortyment. Ludowe porzekadło mówiące, że gdy kota nie ma, myszy harczą, uzewnętrzniło się w pełnej okazałości.

Kot jednak wrócił. Zdegradowany Koschella w ramach kary miał się zająć półświatkiem Kłodzka. Komisarz Richter zapewne odczuwał złośliwą satysfakcję, widząc codzienne raporty wachmistrza na swoim biurku. Franz jednak miał przełożonego w głębokim poważaniu. Po prostu zajął się swoją robotą. Uznał, że przyszedł czas na konfrontację z Łysym i przywrócenie porządku w mieście.

Na trasie wachmistrza znalazły się dwa przybytki. Mógł być pewny, że w jednym z nich znajdzie Brosta. Pierwszy, Pod Złotym Mieczem, wyglądał całkiem porządnie. Właściciel miał duże aspiracje, chciał nawet uczynić z lokalu hotel. Wnętrza urządzone tu schludnie. Drewniane podłogi, boazeria sięgająca połowy ściany i stoliki przykryte czystymi obrusami świadczyły o dobrym guście dekoratora. Nie zabrakło barowego pianina i długiego baru, za którym wyeksponowano półkę pełną trunków.

Koschella, przestępując próg, wciągnął w nozdrza znajomy zapach dymu, piwa i smażonego jedzenia. Była to mieszanka tak zawieszista, że przyprawiała o zawrót głowy. Franz zatrzymał się tuż za drzwiami, próbując ogarnąć

spojrzeniem główną salę. Goście bawili się przednio, gwar zagłuszał dźwięki pianina dochodzące z bocznej sali. Kelnerki zręcznie manewrowały pomiędzy klientami, przynosząc i odnosząc kolejne kufle i talerze. Atmosfera była swobodna. Kilku delikwentów miało już mocno w czubie, rozmawiali podniesionymi głosami.

Coś się zmieniło, coś ledwie uchwytnego, acz Koschella nie potrafił jeszcze tego rozpoznać. Próbował ten aktualny obraz skonfrontować z tym z przeszłości. W gwarze dosłyszał nową nutę, w swobodnej na pozór atmosferze coś na kształt napięcia.

Franz wiedział, że kilka osób dostrzegło jego obecność. Jedne usta niemo wypowiedziały kilka słów, inne przekazały je dalej. Ułożone zgrabnie kostki domina się zachwiały. Jakaś siła pobudziła kilka uspiionych trybów. W harmonię dźwięków wkradł się nieprzewidziany zgrzyt. Jedne rozmowy ucichły, inne sztucznie przybrały na sile. Zupełnie jakby ktoś cisnął kamień do jeziora, wzbudzając przy tym regularne okręgi.

W jednym tylko miejscu doszło do zaburzenia tego przepływu. Franz szybko wyłowił ów punkt, okrągła metalowa kolumna na środku pomieszczenia uniemożliwiła mu jednak dokładniejszą obserwację. Wachmistrz ruszył przed siebie. Wykonał kilka kroków, po czym zatrzymał się na szeroko rozstawionych nogach, patrząc na przyczółek, od którego odbijały się wszystkie fale.

Przy stole przykrytym śnieżnobiałym obrusem siedział młody mężczyzna. Wydawało się, że otoczony jest niewidzialną bańką, filtrującą wszystkie bodźce płynące z sali. Młodzieniec, którego przerzedzone przedwcześnie długie blond włosy kleiły się do czaszki, pochylał się nad notesem i coś w nim zapisywał. Koschella nie tyle dostrzegł, ile wyobraził sobie rzędkie liter i słów.

Musiał przyznać, że zaskoczył go ów widok. Przy wszystkich pozostałych stolikach klientela tłoczyła się jak świnie przy korytach. Kufle i talerze wypełniały przestrzeń blatów, na obrusach wykwitwały mokre i tłuste plamy. Tymczasem przed wyjątkowym klientem stała jedynie filiżanka herbaty.

W sali zrobiło się ciszej, wszyscy patrzyli w stronę Koschelli i młodzieńca. Ten drugi, nie odrywając wzroku od notesu, wskazał krzesło naprzeciw siebie, najwyraźniej dając Koschelli znak, żeby usiadł.

Franz na razie nie skorzystał z zaproszenia, tylko uważnie zlustrował młodzieńca. Prążkowany garnitur wyglądał na nowy i drogi. Z kieszonki kamizelki wystawał złoty łańcuszek, zapewne część zacnej busoli. Wypielęgnowane dłonie i przyszyżona bródka świadczyły o przywiązywaniu dużej dbałości do wyglądu.

Nie doczekawszy się reakcji Koschelli, młodzieniec oderwał wzrok od notesu. Spojrzenia dwóch mężczyzn spotkały się. Teraz to Franz został uważnie

otaksowany. Wynik tej obserwacji musiał być niejednoznaczny, bo młody człowiek się zawahał. Trwało to jednak nie dłużej niż sekundę, bo zaraz znów wskazał krzesło.

Tym razem wachmistrz uchwycił mebel i przesunął go zgrzytliwie po podłodze. Dźwięk ten wybrzmiał donośnie, czyniąc ciszę, która zapadła w sali, bardziej dojmującą. Zamilkło nawet pianino w sąsiednim pomieszczeniu.

Młodzieniec spojrział w lewo, potem w prawo. Po chwili znów zawiesił wzrok na Koschelli. Jeden z kącików jego ust uniósł się wysoko, lecz brązowe oczy pozostały zimne i nieruchome. Ten uśmiech nie spodobał się Franzowi. Przypominał mu jego własny.

– Co pana sprowadza?

Głos młodzieńca był niski i dudniący, a ton rzeczowy. Zapewne powtarzał to pytanie niezliczoną ilość razy. Intonacja i sposób akcentowania słów miały robić wrażenie na petentach, nie pozostawiać złudzeń, kto przychodzi tutaj po prośbie, a kto ma władzę. Koschella wyobrażał sobie, że niejeden, który siedział przy tym stoliku, miękł pod wpływem świdrującego spojrzenia i dukał, w czym rzecz, szukając słów, które nagle wywietrzały z głowy. Teatrzyk, który sobie urządził ów mistrz ceremonii, obiektywnie zasługiwał na uznanie.

Franz usiadł bokiem do stolika. Założył nogę na nogę i oparł łokieć na blacie. Poruszył uniesioną stopą w takt melodii barowego pianina, która pozostała mu w pamięci. Przeciągał tę chwilę, w której jego własny głos miał wybrzmieć w pomieszczeniu. Wiedział, że w głowie mężczyzny odbywa się teraz chłodna analiza. Młodzieniec wyglądał na spostrzegawczego. Na pewno zanotował, że wraz z pojawieniem się petenta atmosfera Pod Złotym Mieczem wyraźnie zgęstniała. Jeśli był przygotowany do swojej roli, musiał już wykoncypować, kogo ma przed sobą.

– Co mnie tu sprowadza?... – Koschella powtórzył słowa mężczyzny z namysłem. Zmarszczył brwi, jakby sam się nad tym zastanawiał. – A jak pan myśli, panie Łysy?

Znów uśmiech na pół gęby, jakby część twarzy młodzieńca była sparaliżowana.

– Wachmistrzu Koschella, czyżby pogorszył się panu wzrok? Myli mnie pan z kimś innym, to niezbyt dobrze świadczy o pracy policji. Pana Łysego nie ma i... nie będzie. Jak jednak widać, życie nie znosi próżni.

Koschella musiał docenić, że siedzący naprzeciw niego delikwent nie dał się wyprowadzić z równowagi. Wiedział, że prędzej czy później odwiedzi go ten, a nie inny wachmistrz i wydawał się przygotowany na nieuniknioną konfrontację. Franz miał jednak zamiar sprawdzić, jak dobrze młodzian odrobił lekcje. Hucpa z udziałem publiczności niejednemu stanęła ością w gardle.

– Na wzrok się nie skarżę – powiedział leniwie. Przeniósł spojrzenie na ulizaną fryzurę młodzieńca. – Dajmy im jeszcze chwilę. Siedzisz pan w tym samym miejscu co poprzednik. On też miał kiedyś włosy. Nerwową robotę sobie wybraliście, a w nerwach włos czaszki się nie trzyma. Ale rozumiem. – Uniósł dłonie w koncyliacyjnym geście. – Nie chcesz pan być porównywany do poprzednika. Piszesz własną historię. Niech zatem tak się stanie. Będę się do ciebie zwracał... – Koschella udawał, że poważnie coś rozważa. – Łysy Junior?

Od stolików dobiegło kilka parsknięć. Przewisko przyłgnie. Rządy Łysego Juniora nie potrwają długo Pod Złotym Mieczem. Franz w przeciwieństwie do większości klienteli nawet się nie uśmiechnął. Wbił nieruchome spojrzenie w siedzącego naprzeciw młodziana. Czekał na jego reakcję.

Próżność – Koschella bezbłędnie postawił na dobrego konia. Młodszej kopii Łysego próżność nie była obca. Czegóż można się było spodziewać po chłopaku, który jeszcze niedawno rozbijał się po szemranych dzielnicach Wrocławia lub Berlina? Zapewne łatwo dorobił się pieniędzy, które wydawał na drogą garniturę, biżuterię i dziewczyny. Nie doszedł jednak do tego statusu ciężką pracą. Działał na zlecenie kogoś znacznie większego.

Jeśli nawet przygotowywano młodziana na konfrontację z Koschellą, to niezbyt się do tego przyłożono. Ktoś zlekceważył Franza, stróża prawa z prowincjonalnego miasteczka. Ten błąd dawał Koschelli przewagę, którą wypadało wykorzystać. Wachmistrz postanowił utwierdzić przeciwników w ich błędnym mniemaniu. Gdyby zachował się niezgodnie z ich oczekiwaniami, odkryłby za dużo kart.

Znów zlustrował salę. Pod wpływem jego spojrzenia wielu odwróciło wzrok. Wachmistrz obstawiał, że Łysy Junior jest jedynie wabikiem. Druga strona nie dążyła do konfrontacji – to Koschella został poddany testowi. Mógł się zadowolić poniżeniem płotki, małym sukcesem po niedawnej degradacji. Domyślał się, jakie instrukcje dostał ten młodzian: miał utwierdzić Koschellę w przekonaniu, że nie stanowi zagrożenia. Ot, jeden spekulant zastąpił drugiego. Właściwie nie wydarzyło się nic, czym trzeba byłoby sobie zawracać głowę.

Koschella zrozumiał, że nie tylko on podjął się równie chłodnej analizy. Chcąc nie chcąc, musiał się trzymać swoich założeń. Wypadało zachować się tak, jak od niego oczekiwano. Przynajmniej dopóki nie rozpozna przeciwnika i nie dowie się, z kim ma do czynienia.

– W czym mogę panu pomóc? – Młodzieniec zdecydował się przerwać ciszę. Dłonie ułożył równolegle na obrusie.

Koschella sięgnął po notes. Junior nie zareagował, pozwolił wachmistrzowi przejąć oprawiony w skórę notatnik.

Franz otworzył go na chybił trafił. Przesunął palcem po nazwiskach i kwotach. Było ich sporo. Przekartkował strony. Niemal identyczny notes widział u poprzednika.

– Pożyczki? Jaki procent?

– Nie wiem, o czym pan mówi, wachmistrzu. To tylko nazwiska kilku przyjaciół.

Franz się zaśmiał. To wszystko wyglądało tak do bólu zwyczajnie. Ot, prywatna inicjatywa wspomagająca potrzebujących w jakże trudnych czasach.

Coś tu jednak śmierdziało, i to mocno. Ten biznes prowadziło się inaczej. Pożyczki nie zawsze były spłacane. Gdy petent siadał do stolika, musiał wiedzieć, że zdecydował się na poważny krok. Poprzednik tej łajzy, Łysy, siedział tu zawsze z obstawą: dwoma olbrzymami, z którymi pożyczkobiorca wiedział, że będzie miał do czynienia, gdy spóźni się ze spłatą. Od samego patrzenia na tamte zakazane gęby człowieka mdliło. Jeden dzień spóźnienia oznaczał jeden wyłamany palec, plus gigantyczne odsetki. Tutaj brakowało całej znajomej otoczki. Sam budzący respekt głos i prezencja udzielającego kredytu nie mogły wystarczyć, a wyglądało na to, że Junior jest tu bez ochrony. Przynajmniej tej jawnej.

Franz uśmiechnął się krzywo. Był pewny, że kilku przyglądających mu się typów widzi po raz pierwszy w życiu.

Przyczółek na nowym terenie, punkt zbytu, może zaplecze do działań w innych miastach. Pożyczki to wierzchołek góry lodowej. Sprawa śliska, zwłaszcza w czasach zabójczej inflacji. Żeby dziś odebrać pensję, trzeba było wziąć ze sobą sporej wielkości neseser, z nadzieją, że pomieści pliki niewiele wartych banknotów. Franz nie widział, żeby młodzian trzymał pod stołem torbę czy kufer. Depozyt musiał być złożony gdzieś blisko, petent podpisywał się w notesie, wychodził pod wskazany adres i tam odbierał gotówkę. Być może w pobliskiej gospodzie Pod Białym Lwem.

– Ma pan sporo przyjaciół w tym mieście. A jest pan w nim przecież od niedawna. – Franz postukał palcem w notes.

– Duża rodzina. Przyjechałem na prowincję podreperować zdrowie.

– To dziwne, bo wygląda pan na okaz zdrowia.

– Dziękuję za komplement.

Junior czekał i szczeakał. Koschelli przeszło przez myśl, żeby łązędze rzucić pod nos miskę z psim żarciem.

Wachmistrz spojrział ponownie na notes. Sporządzono zapewne jego dokładną kopię, zresztą mógł się założyć, że ten młodzieniec ma wszystkie nazwiska i liczby w głowie. Mimo to zamknął notatnik i wsunął go do kieszeni marynarki.

– Pójdiesz ze mną, Junior.

– Z jakiego powodu?

– Z takiego, że nie podoba mi się twoja gęba.

Napięcie w sali wzrosło. Franz wiedział jednak, że żadnego gwałtownego wyładowania nie wywoła.

– Trudno odmówić takiemu zaproszeniu.

Młodzieniec wstał od stołu, poprawił mankiety koszuli wystające z rękawów marynarki i sięgnął po laskę opartą o blat stołu. Przesunął dłonią po srebrnej gałce, jakby chciał się upewnić, że jest wystarczająco lśniąca i gładka.

Łatwo, zbyt łatwo i wyrywnie. Junior nie dograł przedstawienia do końca. Koschella zlustrował otaczające ich twarze. Ruszył do wyjścia za marnym aktorem.

Przed gospodą czekał samochód z dwoma asystentami policyjnymi. Koschella wskazał im Juniora ruchem głowy. Przed młodzieńcem otworzyły się drzwi w geście zaproszenia i po chwili pojazd ruszył w stronę ratusza. Koschella zignorował uśmiezek, który dostrzegł na twarzy zatrzymanego. Obrócił się i ponownie wszedł do budynku.

Dźwięki barowego pianina znów wypełniały salę. Gwar rozmów powrócił do wcześniejszego natężenia. Franz spojrział na stolik, przy którym siedział Junior. Był skłonny przyznać mu rację – życie nie znosiło próżni. Jego miejsce zajął równie elegancko ubrany mężczyzna. Dłonie złożył na śnieżnobiałym obrusie, a pomiędzy nimi leżał notes.

Spojrzenia obu mężczyzn się spotkały. Zastępca Juniora się uśmiechnął. Koschella pomyślał, że obaj mają cechę wspólną: ten też uśmiechał się półgębkiem, w przeciwieństwie jednak do poprzednika miał bujne włosy.

Franz wyszedł ze Złotego Miecza i ruszył w stronę ratusza. Żeby prowincja stała się atrakcyjna dla kogoś z dużego miasta, musiało chodzić o coś innego niż zwykła lichwa. O co? Tego Koschella postanowił się dowiedzieć.

*

– Tym razem ja stawiam, panowie!

– Ale to już ostatnia kolejka – zastrzegł Lothar Schulz, popatrując spode łba na Karla Gurbera.

Asystent policyjny Leon Czosek wiedział, że wachmistrz Schulz wciąż nie przekonał się do nowego policjanta. Gurber dołączył do zespołu Wydziału Kryminalnego trzy miesiące temu z rekomendacji szefa wydziału Thomasa Zendera. Ten znał chłopaka podobno dosyć dobrze i zwrócił na niego uwagę jeszcze we Wrocławiu, gdy Karl był jego asystentem w prezydium policji. Schulz traktował pojawienie się nowego jak podrzucenie do gniazda kukułczego jaja.

W towarzystwie Gurbera milczał i nie dawał się wciągać w dyskusje. Pewnie uważał go za donosiciela.

Czosek ledwie przekonał przełożonego do wyjścia w miasto. Sam, w przeciwieństwie do kolegi, nie miał zastrzeżeń do nowego. Nawet go polubił, może dlatego że byli w podobnym wieku. Poza tym Karl nie wywyższał się i tryskał zaraźliwym humorem. Wydawał się facetem bez kompleksów, nie wyglądał na takiego, który miałby podłożyć komuś świnie. Czosek lubił słuchać jego opowieści o pracy we wrocławskiej policji i o dziewczynach z tamtejszych klubów.

– Ostatnia. – Wyraźnie rozbawiony Gurber mrugnął do Czoska i przyliżał włosy. – Obiecuję!

Skinął na barmana i wskazał na kieliszki.

Karl czuł się w knajpie swobodnie i dobrze się bawił. Podrygiwał, jakby miał zamiar zatańczyć w takt ostatniego szlagieru. W sumie to z jego inicjatywy spotkali się w gospodzie Pod Niebieską Gwiazdą. Gurber stwierdził, że najwyższy czas wkupić się w łaski współpracowników i nawiązać z nimi koleżeńskie stosunki. Chętnie opowiadał o swojej przeszłości: urodził się we Wrocławiu i tam spędził większość życia. Jego dziadek i ojciec służyli w policji, nie przyszło mu nawet do głowy, żeby pójść inną drogą. Nie przypominał jednak w niczym sztywnych funkcjonariuszy, od jakich roіło się w tym zawodzie. Leonowi, gdy patrzył na Gurbera, przyszło do głowy, że ma przed sobą przykład gliniarza z innego, nowego pokolenia.

Czy lepszego? Na pewno pozbawionego kompleksów, a przy tym kija od szczotki wetkniętego w dupę. Karl roztaczał wokół siebie aurę pewności siebie, ale się nie wywyższał, Czosek zauważył też z zazdrością, że nowy kolega przyciąga kobiety jak magnes, bo kilka z nich zerkało co rusz w jego stronę. Gurber różnił się od miejscowych zachowaniem i stylem ubioru, no i potrafił wykorzystać swoje atuty.

Schulz czuł względem niego rosnącą antypatię. Karl wrażenia na nim nie zrobił i nic nie było w stanie zmienić wyrobionej już na jego temat opinii. Żałował, że tym razem nie udało mu się wymigać od spotkania. Teraz myślał jedynie o tym, by jak najszybciej się ulotnić. Gdy nowy próbował nawiązać z nim rozmowę, odpowiadał kilkoma burkliwymi słowami. Aż się dziwił, że młody wachmistrz jeszcze się nie poddał.

– Za Wydział Kryminalny i naszą pracę! – Gurber podsunął kieliszki Czoskowi i Schulzowi. Potem uniósł swój i stuknął o szkła kolegów. Rozlał trochę płynu na palce. Zaśmiał się i wychylił zawartość. – Jeszcze po jednym?

Schulz odłożył swoje szkło na kontuar i sięgnął po kapelusz.

– Na mnie czas – oznajmił.

Gurber nie próbował go zatrzymać.

– Dzięki, że z nami wyszedłeś, wachmistrzu. Doceniam – powiedział, wyciągając dłoń do Schulza.

Ten uściśnął ją pospiesznie i kiwnąwszy głową Czoskowi, wyszedł z gospody.

– Twarda sztuka. – Gurber przysiadł na stoliku. – Mieliśmy kilku takich u siebie.

– Jest dobrym policjantem. – Czosek poczuł się zobowiązany bronić Lothara.

– Nie mówię, że nie. Ale czasy się zmieniają, Leonie, wiesz chyba o tym. Przestępcy są inni i policja nie powinna stać w miejscu. Nasza instytucja nie może skostnieć. Mówię ci, dobrze dla wydziału, że Zendera zrobiono szefem. Wnieście dużo nowego. Gdy zaproponował mi przyjazd do Kłodzka, nawet się nie wahałem.

– Tak dobrze znasz nadwachmistrza?

– Wystarczająco, by cię zapewnić, że z nim nie zginiemy. Dbą o swoich ludzi. Sam się przekonasz. Myślę, że niedługo powalczy i o ciebie, stary.

– Powalczy? – Czosek zmarszczył czoło.

Gurber uśmiechnął się tajemniczo i klepnął Leona w plecy.

– Zender coś przebąkiwał, żeby wysłać cię na szkolenie i rekomendować do stopnia wachmistrza, ale ode mnie tego nie słyszałeś. – Gurber udał, że zamyka usta na kłódkę i wyrzuca kluczyk. Nie przeszkodziło mu to zamówić jeszcze po kolejce. – Wypijmy za to! Taki podkład pod twoją przyszłość.

Czosek przełknął kolejną pięćdziesiątkę. Przeszła gładko, jakby rzeczywiście zwiastowała nadejście dobrych czasów.

Gurber za to się zakrzuszył. Leon poklepał go w plecy. Zaśmiali się, sięgnęli po papierosy.

Młody wachmistrz opowiedział jakąś historyjkę o dziewczynie, którą poznał we Wrocławiu. Czosek słuchał go jednak jednym uchem, śmiejąc się w momentach, w których śmiał się Gurber. Myślał o tym, co Karl powiedział mu o planach Zendera. Zastanawiał się, ile w tym prawdy. Już najwyższy czas zrobić krok naprzód. Nie miał zamiaru spędzić wieczności na stanowisku asystenta policyjnego. Ledwie wystarczało mu na czynsz i jedzenie. Zwłaszcza teraz, w czasach kryzysu.

Gurber zdaje się zauważył, że jego towarzysz odpłynął myślami. Wstał z krzesła i dołączył do grupki tańczących. Czosek uśmiechnął się na ten widok. Karl był naprawdę niezłym tancerzem. Wziął w obroty jedną z panienek, zapatrzoną w niego jak w obrazek. Wywijał z nią na parkiecie, budząc zazdrość publiczności. Długie nogi i ręce wcale mu w tańczeniu nie przeszkadzały, zagarniał dla siebie całą przestrzeń. Wnętrze baru wirowało Czoskowi przed

oczami, klaskał w dłonie i śmiał się z innymi. Sam jednak nie miał zamiaru schodzić ze stołka, był pewny, że nogi nie utrzymają chwiejnego ciała.

Gurber w końcu się zmęczył. Rozpiął koszulę przy szyi i rozsiadł się przy kontuarze, jakby cały bar należał do niego. Czosek pomyślał, że jemu samemu brakuje takiej swobody. Siedział na stołku jak petent w urzędzie. Spięty jak baranie jaja.

– Idziemy, przewietrzymy się – zarządził Gurber.

Czosek zdziwił się, bo był pewny, że Karl lada chwila się z nim pożegna i przygrucha sobie jedną z dziewczyn, które robiły do niego maślane oczy. Posłusznie sięgnął jednak po kapelusz i ruszyli do drzwi.

– Nowe idzie, Leon. Zapamiętaj moje słowa. Czujesz świeży powiew w tym zapyziałym miasteczku?

Czosek nie do końca wiedział, co Gurber ma na myśli. Tym bardziej że zamiast świeżego powiewu poczuł odór szczyń dochodzący zza rogu kamienicy. Zachwiał się na nierównym bruku, a Karl pociągnął go za rękaw, obierając kierunek na wschód, w Rossestrasse.

Przez chwilę Czosek myślał, że podróż będzie krótka i zawitają do kolejnego gościńca, Pod Czerwonym Krabem, ale tę spelunę Gurber ominął szerokim łukiem, jakby już znał jej wątpliwą renomę.

Do uszu Leona doszły złorzeczenia, okrzyki i brzęk tłuczonego szkła. Dobiegał od Gebergasse. Zatoczył się w tamtą stronę, choć Gurber miał najwyraźniej inny plan dalszej wycieczki po kłodzkich knajpach.

Leon stanął u wylotu ulicy i spojrzał w głąb wąskiej alei biegnącej łagodnym łukiem. Na czatach stał wyrostek, który na widok chwiejącego się Czoska w ogóle nie zareagował. Asystent policyjny z miejsca, w którym stał, widział dokładnie sklepy umieszczone na parterach kamienic. W tym ten, z którego przez rozbitą witrynę wchodziło dwóch mężczyzn.

– Będzie zabawa, Leoś! Zjeżdżaj, mały! – Gurber pchnął dzieciaka, który stał na czujce.

Leon sięgnął pod marynarkę i wyciągnął broń z kabury. Zender wywalczył, żeby Wydział Kryminalny mógł nosić ją także po służbie. Teraz mogła się przydać.

– Uwaga!

Chłopaczek miał na tyle odwagi, że ostrzegł włamywaczy.

Czosek zaklął, podbiegł do witryny i stanął przy wybitej szybie, próbując dojrzeć coś w środku. Gurber stanął u jego boku i również zajrzał w ciemność.

– Wyłazić – ryknął. – Policja!

Leon usłyszał szuranie. Runęła jakaś część sklepowego wyposażenia.

– Wyłazić, kurwa! – powtórzył Gurber.

Czosek się rozejrzył. W kilku oknach zapaliły się światła. Z knajpy Pod Złotym Lwem wyszło dwóch pijaczków. Zaczęli im się przyglądać z zaciekawieniem.

– Wchodzimy, bo dadzą nogę przez zaplecze.

Gurber pierwszy postawił podszwę na trzeszczącym szkłe. Do uszu Czoska dotarł trzask łamanej deski. Najwyraźniej złodzieje próbowali wydostać się tą drogą, którą przewidział jego kolega.

Leon poszedł w ślady Gurbera. W nozdrza uderzył go zapach sklepu wędliniarskiego Alfonsa Wolfa. Poczuł, jak uaktywniają się soki w jego żołądku. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że jest tak głodny.

– Ty tam! Na ziemię! Policja!

W ciemniejszych plamach przy drzwiach zaplecza Czosek rozpoznał włamywaczy. Jeden kopał w drzwi i szarpał za klamkę. Drugi uniósł ręce, jakby się poddawał.

– Uwaga! – krzyknął Gurber i pchnął Czoska ramieniem.

Obok ucha Leona świsnęła rzeźnicza siekiera. Wypadła przez okno i z metalicznym odgłosem uderzyła o bruk.

– O ty, kurwa!

Gurber skoczył do przodu i kopnął przeciwnika w podbrzusze, a gdy ten zgiął się wpół, poprawił prawym sierpowym, posyłając go na podłogę. Drugi z włamywaczy stracił ochotę do stawiania oporu, opadł na kolana i uniósł ręce nad głowę. Czosek wreszcie doszedł do siebie. Doskoczył do drugiego mężczyzny i pchnął go na ścianę.

– Wyciągnij ich na zewnątrz, Leon.

– Słyszałeś? – Czosek nachylił się nad przytomnym delikwentem. – Pozbieraj kolegę.

– Panowie, my nic...

– Łap kolegę pod pachy i na zewnątrz! – powtórzył Czosek. Pokazał chudzielcowi broń, żeby nie przyszło mu do głowy nic głupiego.

Mężczyzna stęknął, ale udało mu się unieść towarzysza. Czosek rozejrzył się po pomieszczeniu. Zastanawiał się, na co liczyli ci dwaj. Ledwie na kilku hakach wisiała suszona kiełbasa. Sklep świecił pustkami, a i trudno było się spodziewać, że właściciel zostawił w kasie jakąś gotówkę.

W końcu włamywacze znaleźli się na zewnątrz. Chudy ułożył odzyskującego przytomność kolegę na bruku. Sam wyprostował się i rozejrzył niepewnie.

Ludzi zgromadziło się już sporo. Wielu z okolicznych knajp, ale nie zabrakło też mieszkańców kamienic. Przypatrywali się wszystkiemu w milczeniu, ciasno otaczając sklep. Wrażenie było nieprzyjemne.

– Policja – na wszelki wypadek poinformował zebranych Leon. – Rozejść się.

Nikt się nie poruszył.

W końcu ze sklepu wyszedł i Gurber. Zaśmiał się na widok zbiegowiska.

– Ale przedstawienie! – Mrugnął do Leona i nachylił się nad leżącym. – Wstawaj! – ryknął mu do ucha. – Idziemy do aresztu!

– Trzeba zabezpieczyć witrynę – powiedział Czosek.

– A to niby czemu? – zdziwił się Gurber. – Porządkowa jest od tego. Niech kogoś przyślą. I tak nie ma tam niczego, co można byłoby ukraść.

Czosek widział, jak kilku cwaniaczków próbuje dojrzeć, co wisi na hakach wewnątrz lokalu.

– Droga! Rozejść się! – warknął Karl.

Tłum rozstał się jak Morze Czerwone przed Mojżeszem.

– Co za ludzie, co za czasy, cholera – szepnął Gurber do Czoska. – Widziałeś? Nawet siekierę podpierdolili.

Leon pchnął chudego przed sobą. Karl zajął się drugim, nieco oszołomionym złodziejem. Wyminęli milczący tłum i ruszyli przez Rossmarkt w stronę kamiennego mostu. Czosek słyszał chrzęst szkła pod czyimiś butami, ale nie oglądał się za siebie. Znów skręciło go w żołądku, prześladował go zapach wędlin ze sklepu Wolfa.

– Masz. – Gurber wcisnął mu w rękę kielbasę. Zaśmiał się na widok miny Leona. – Zasłużyliśmy.

Jeden z włamywaczy odwrócił się, ale Karl uderzył go otwartą dłonią w tył głowy.

Leon się zawahał, popatrzył na pęto trzymane w dłoni.

– Spójrz na to tak – Gurber mówił z pełnymi ustami. – Dziś złapaliśmy na gorącym uczynku dwóch włamywaczy. Wiesz, co by było, gdyby im się udało i uniknęli kary? Wiesz, co się dzieje we Wrocławiu? Ludzie są tak zdesperowani, że demonstrują na ulicach. Nie stać ich nawet na chleb, tymi milionami, które dostają w wypłacie, mogą sobie wypchać poduszkę albo się podcierać. Oto my, w małym Kłodzku, pokazaliśmy, że szybko łapiemy tych, którzy chcą się parać rozbijaniem witryn i kradzieżami. Założę się, że szef każe to dzisiaj nagłośnić. No wiesz – Gurber obniżył głos i sztucznie go modulował: – U nas nie będziemy tolerować takich wybryków! Więc jak mówię, że zasłużyliśmy, to zasłużyliśmy.

Czosek uśmiechnął się, skinął głową. Kielbasa była smaczna, ale chyba tylko dlatego, że dawno jej nie jadł.

*

Bolało go całe ciało. Odczuwał nudności, które z trudem zwalczył. Próbował unieść powieki, ale musiały być czymś sklezione. Drżącymi palcami dotknął

twarży. Wyczuł chropowatą warstwę pokrywającą skórę.

Przeszyły go igielki niepokoju. Wreszcie zdołał otworzyć oczy. Czy znalazł się na dnie studni? Plama światła znajdowała się wysoko nad głową, deformowała i tak nieregularny kształt poszarpanej grani. Wszystko było rozmazane i drżące.

Chłód rozlewał się od żołądka do podstawy czaszki, w kręgosłup wbijało się coś twardego.

Germain próbował usiąść. Zakręciło mu się w głowie. Podparł się dłońmi, podsunął do ściany i przylgnął do niej całą powierzchnią pleców. Na siatkówce oka pozostał świetlisty krąg. Mężczyzna zamrugał, poruszył ustami. Również wargi pokrywała chropowata skorupa.

Przeniósł spojrzenie na ubranie, przesunął po nim dłońmi. W mroku niewiele zobaczył, ale był pewny, że spodnie i koszula pokryte są brunatną skorupą.

Nic nie pamiętał... nie, zaraz. Przecież wsiadał do samochodu. Ida... Ciąg kolejnych obrazów wydał się nierzeczywisty niczym projekcja snów. Płatanina ciał... dotyk ciepłej skóry. Wciąż czuł obejmujące go dłonie, zamykające go w sobie uda, rozkosz wypełniającą wszystkie zakamarki ciała. Zadrżał na to wspomnienie, próbował odszukać w nim coś więcej, starał się odnaleźć twarz Idy, ale była odległa. Patrzyła na niego, dzieliła ich jednak niewyobrażalna przestrzeń, kłębowisko mężczyzn i kobiet wijących się z rozkoszy na marmurowej podłodze...

Głowę prześwidrował mu niemożliwy ból. Germain jęknął, uniósł dłonie, lecz zamiast ucisnąć skronie palcami, przypatrzył im się. Był cały oblepiony nieokreśloną mazią.

Nagły impuls kazał mu się podnieść. Udało mu się przytrzymać ściany, odbił się od niej i chwiejnie postąpił kilka kroków.

Podwórce w brzuchu zmurszałych kamienic. Nieme okna, komórki i składziki. Smród dochodzący z wygodki.

Znał to miejsce. Odszukał wzrokiem swój wózek. Był tam, gdzie go zostawił.

Germain z duszą na ramieniu skierował się w stronę podcienia. Nie chciał, by ktokolwiek go zobaczył w tym stanie. Trzasnęła zewnętrzna brama, w kamienicy budziło się życie. Ruszył w stronę klatki schodowej. Wbiegał po schodach, modląc się, żeby się nie potknąć. Na piętrze otworzyły się drzwi. Ulmowi ledwie udało się uciec przed spojrzaniem sąsiadki.

Znalazł się przed drzwiami swojej pracowni. Włożył dłoń do kieszeni, a jego palce natrafiły na kleistą substancję. Nie zważał jednak na to, wyciągnął klucz i wsunął go w zamek. Wślizgnął się do pracowni z ulgą, jak złodziej umykający pogoni.

Rozpiął guziki koszuli, zdjął ją i rzucił w kąt. Podszedł do okna, otworzył je na oścież, a następnie cofnął się w głąb pomieszczenia. Odetchnął głęboko, na

dachach kamienic zagrały promienie wstającego słońca. Próbował w tym widoku odnaleźć równowagę. Serce biło mu jednak niespokojnie, zbyt szybko. Nie pamiętał ubiegłej nocy, pozostało z nim zaledwie wrażenie euforii, wypełniającego go szczęścia. Dotknął szczytów najwyższych gór, teraz schodził w głębiny. Ogarniało go rozedrganie, a słabość wychodziła porami skóry. Trząś się jak w febrze mimo ciepła poranka, a ucisk w klatce piersiowej przyprawiał o mdłości.

Z trudem zapanował nad drżeniem dłoni. Wsunął palce w kieszeń, ostrożnie, jakby pokonywał opór niewidzialnej materii. Wilgoć oblepiła skórę, opuszki natrafiły na coś miękkiego, owalnego. Uchwycił to i wyciągnął. Popatrzył na otwartą dłoń, z jego gardła wydobył się jęk. Odrzucił to od siebie. Z przerażeniem patrzył na ochłap leżący u jego stóp.

Oparł dłonie na kolanach, oddychając spazmatycznie. Omiótł sztalugi nieprzytomnie wzrokiem i podszedł chwiejnie do jednej z nich. Sięgnął w stronę prześcieradła zakrywającego płótno i szarpnął za nie.

Pustka. Zniknął obraz z pojmania Jezusa, zniknął święty Piotr odcinający ucho Malchosowi. Na tamtym obrazie małżowina leżała u stóp świętego, tak jak teraz u stóp Germaina.

Ulm padł na kolana. Przyciągnął do siebie prześcieradło i zapamiętałe zaczął wycierać w nie dłonie. Nie potrafił się pozbyć zaschniętej krwi. Na kolanach doczołgał się do kolejnej sztalugi, szarpnął za okrycie. Pociemniało mu przed oczami. Zniknęły wszystkie cztery obrazy.

GORZANÓW, LIPIEC 1923

Joseph Kulke, kamerdyner hrabiego Herbersteina, miał trudności z wywiązaniem się z przyrzeczenia złożonego pracodawcy. Gość gorzanowskiego zamku chadzał własnymi ścieżkami, rozplątywał się w komnatach niczym duch. Wydawało się, że potrafi przenikać ściany i wtapia się w liczne cienie. Jego oblicze było nieprzeniknione, błędził gdzieś myślami i niewątpliwie był człowiekiem zamkniętym w sobie. Trudno było go upilnować i nie spuszczać z oka dniem i nocą. Ten wysoki mężczyzna przesiadywał najczęściej w komnacie, której użyczył mu hrabia. Czytał książki, słuchał muzyki lub wyglądał przez okno na zamkowy park. Wystarczyło jednak, by Joseph stracił czujność, i gość hrabiego zniknął ze swojego pokoju. Zupełnie jakby znał jakieś tajemne przejścia niedostępne nawet dla domowników. Czasem Kulke słyszał w nocy odległe głuchoe kroki, skrzypnięcie drzwi i gwizd przeciągu. Czasem wydawało mu się, że widzi pośród drzew postać przemykającą ścieżkami. Zaraz jednak tracił z oczu ten miraż, a potem zostawał ze swoimi myślami sam na sam.

– Sprzątałam dziś u niego. Jakaś lafirynda zostawiła fikuśne pantalony... znowu.

– Okład z młodych piersi, moja droga. Najlepsza rzecz na wyzdrowienie.

– To musiał być bardzo chory, bo tych okładów...

Kulke wkroczył do jadalni, przerywając rozmowę. Zmarszczył brwi i spojrzał na służki z przyganą. Dziewczyny zacisnęły usta i pochyliły głowy. Wróciły do czyszczenia sreber. Zawsze uczuwał pracowników, że dyskrecja jest jedną z podstawowych cnót, lecz tym dwóm najwyraźniej jej brakowało. Joseph najchętniej by je zwolnił, ale miał zbyt mało rąk do pracy. Przygotowania do wielkiego wydarzenia były teraz najważniejsze i nie mógł sobie pozwolić na utratę pracowników.

– Srebra mają dość – powiedział. – Zajmijcie się podłogami.

Szybkie skinienia głowami. Dziewczyny odłożyły zastawy na miejsce.

Joseph przeszedł w stronę okna i wyjrzał na zewnątrz. Nie mógł udawać, że nie dostrzegał zamiłowania gościa do płci przeciwnej. Po groźnym wypadku, którego doznał kilka miesięcy temu, niewielu dawało mu szansę przeżycia. Gdy wreszcie odzyskał przytomność, hrabia Herberstein zarządził przetransportowanie chorego z Jurandowa do zamku. Tutaj mężczyzna doszedł do siebie zadziwiająco szybko. Być może rzeczywiście przysłużyły mu się okłady z piersi odwiedzających go towarzyszek. Hrabia nie sprzeciwiał się tego typu metodom leczenia, dlaczego więc Kulke miałby wnosić jakieś obiekcje? Kamerdyner żywił jedynie nadzieję, że do ponownych odwiedzin tych „przyjaciółek” rekonwalescenta nie dojdzie w tak ważnym dla Gorzanowa dniu, jakim było wielkie przedstawienie pasji w zamkowym parku.

Kulke dostrzegł, że stojący na parkowej polanie Alois Heinze do niego macha. Otworzył okno i wychylił się w stronę projektanta sceny.

– Panie Kulke, zejdź pan do mnie. Kilka spraw musimy omówić. Rzecz jest pilna.

– Już idę, skoro pilna, panie Heinze.

Kamerdyner obrócił się na pięcie i ruszył w stronę schodów. Przechodząc korytarzem, zlustrował niemal każdy mijany zakamarek. Zanotował kilka uwag w myślach. Musiał być pewny, że w dniu przyjazdu gości wszystko będzie zapięte na ostatni guzik.

W końcu stanął naprzeciw Heinzego. Mężczyzna przywitał się z nim uściśnięciem dłoni. Od sceny dobiegały uderzenia młotkiem i odgłosy piłowania.

– To już pan chyba kończy, panie Heinze?

– Niech pan nie żartuje, prace idą dobrze, ale zejdzie nam do nocy. Na szczęście pogoda raczej nie pokrzyżuje nam planów.

Obaj popatrzyli odruchowo na bezchmurne niebo.

– To czego pan ode mnie potrzebuje?

– Panie Kulke, nie mogę odnaleźć kilku elementów zeszłorocznej sceny. Chcę je wykorzystać przy dobudowanym zapleczu. Lada chwila przywiozą też kurtyne i potrzebuję miejsca na jej złożenie. Dużo miejsca, żeby się nie pogniotła.

– Wydam takie dyspozycje Markusowi.

– Świetnie. – Heinze się uśmiechnął. – Cieszę się, że park już przygotowany na cacy.

– Trawa niemal cała skoszona, został jeszcze tylko ten kawałeczek. – Kulke wskazał skarpe pod zamkiem.

– Najważniejszy – zauważył Heinze. – W zeszłym roku stało tam mnóstwo ludzi. Mieli świetny widok.

– To prawda – przyznał Joseph.

Na ostatnią gorzanowską pasję przyjechało grubo ponad dwa tysiące gości, byli dziennikarze z londyńskiego „Timesa”, a także z Berlina i Wrocławia. Recenzje i relacje okazały się pełne zachwytu. Stu pięćdziesięciu aktorów, orszak, bogate stroje i scenografie, a przede wszystkim miejsce wydarzenia były czymś niezwykłym, nie tylko dla niewielkiej wsi.

Kulke wyczuwał podenerwowanie Heinze’go i wcale mu się nie dziwił. Po ubiegłorocznym sukcesie oczekiwania urosły do niebotycznych rozmiarów. Zarówno Heinze, dbający o scenografię, jak i kierownik artystyczny, dyrektor Franz Heilburg z Monachium, mieli sporo roboty, by sprostać oczekiwaniom.

– Wszystko przebiega zgodnie z planem – powiedział Alois. – Może pan przekazać hrabiemu, że wszystko będzie gotowe na czas.

– A jak nowi aktorzy? – dopytał Kulke.

– Problem jak zwykle był z obsadzeniem roli Marii Magdaleny, żadna się do niej nie pali. Dyrektor w zeszłym roku był Chrystusem, teraz, jak pan wie, postanowił się poświęcić reżyserii. Zastąpi go starosta.

– Fiu, fiu...

– To się rozegrało poza mną. Starosta nie cieszy się uwielbieniem.

– To delikatnie powiedziane. Nie wiem, czy ludzie dobrze to przyjmą. Mówiliście hrabiemu? – Kulke wyraźnie się strapił.

– Hrabia wie i, jak by to powiedzieć, chyba nie przyjął tego najlepiej. Postanowił się jednak nie mieszać w decyzje reżysera.

Kulke pokiwał głową. Wybór aktora w roli Jezusa będzie długo komentowany. Do starosty przylgnęła łątka tyrańca i bezdusznego przemysłowca. Wyrzucił na bruk setki ludzi, a swój urząd wykorzystywał do prywatnych celów. Zależało mu jedynie na tym, by w czasach kryzysu utrzymać się na powierzchni. Nie miał skrupułów, by nasyłać ochronę, a nawet policję na kobiety i dzieci, które błagały o niezwalnianie mężów. Kulke nie miał złudzeń. To, że starosta wystarał się jakimś cudem o tę rolę, miało wymiar polityczny. Chciał się utrzymać na stołku jak najdłużej, bo kto odważy się zwolnić Jezusa z urzędu?

– Wiem, wiem – powiedział Heinze, jakby czytał zarządcy w myślach. – Muszę panu zdradzić, że mało brakowało, a wczoraj wszystko by się odwróciło! Heilburg w przyпіływie desperacji chciał zaproponować rolę Jezusa komuś innemu.

– Komu? – zdziwił się Thomas.

– Znajomemu hrabiego. Dyrektor zobaczył go wczoraj, jak się przechadza po parku, i doznał objawienia, jakby samego Chrystusa zobaczył – zaśmiał się Heinze. – Przybiegł do mnie wypytać, co to za mężczyzna. Szkoda, że pan tego nie widział. Heilburg aż się cały trząsł z podniecenia, wymachiwał rękami. Jakby mógł, to od razu przybiłby waszego gościa do krzyża.

Kulke też się zaśmiał, ale nieco sztucznie.

– I co? zaproponował mu rolę?

– Nie. – Heinz spoważniał. – Dowiedział się, kim jest gość, i mu przeszła ochota. Tajne służby, wojenne historie, kilka spraw z morderstwami w tle... Nie odważył się z nim porozmawiać. A szkoda, trzeba przyznać, że rola w tym roku obsadzona byłaby idealnie.

– Pewnie, że idealnie – przyznał Kulke. Pomyślał, że jakby pójść za ciosem, to i jedna ze znajomych przyjaciela hrabiego mogłaby z miejsca objąć rolę Marii Magdaleny. Odgłosy dochodzące z pokojów zamkowych świadczyły o tym, że nawracana była nader żarliwie.

Mężczyźni milczeli przez chwilę. Ciszę przerwał Heinze:

– Ale jest, jak jest, co poradzimy. Mam tylko nadzieję, że starosty nie wygwizdzą... Wracam do pracy. Proszę przysłać do mnie Markusa. Chciałbym zobaczyć, to pomieszczenie, które dostaniemy do dyspozycji.

– Oczywiście – zgodził się Kulke, odprowadzając wzrokiem scenografa.

Ruszając w stronę zamku, popatrzył jeszcze w stronę skarpy i zamarł w pół kroku. Chuda, brodata postać stała na szczycie wzniesienia. Mężczyzna z tej perspektywy zdawał się jeszcze wyższy. Delikatny wiatr poruszał jego długimi włosami. Falowały jak źdźbła trawy u jego stóp. Kulke pomyślał, że gdyby gość hrabiego rozłożył teraz ramiona, jak nic przypominałby Chrystusa. Mógłby jeszcze trochę wody w wino zamienić, bo goście, którzy jutro odwiedzą zamek, zawsze opróżniali gorzanowskie piwnice do cna.

KŁODZKO, LIPIEC 1923

– Gdzie aresztant?

Wachmistrz Ernst Makowski oderwał wzrok od maszyny do pisania i spojrzał na wachmistrza Koschellę. Wzruszył ramionami, udając zdziwienie. Doskonale wiedział, co stało się z przywiezionym w nocy aresztantem, nie miał jednak zamiaru być tym, który stanie na pierwszej linii frontu i przyjmie na siebie gniew Franza.

– Kurwa!

Koschella trzasnął drzwiami, co w korytarzach magistratu wybrzmiało jak armatni wystrzał. Kilku policjantów z ciekawości wystawiło nosy ze swoich nor. Doskonale wiedzieli, co się święci. Śledzili kroki Koschelli, patrzyli, jak ten niczym rozjuszony byk rusza w stronę pokoi zajmowanych przez Wydział Kryminalny, któremu jeszcze niedawno szefował. Miejsce Franza na tym prestiżowym stanowisku zajął dawny sekretarz komisarza Heinricha Richtera, Thomas Zender. Koschella ze względu na swoją gruboskórność nie cieszył się zbyt dużą popularnością wśród policjantów, ale Zendera nikt nie lubił. W tym konflikcie pomiędzy wachmistrem i nadwachmistrem większość trzymała stronę Franza.

Zender przyjechał do Kłodzka z Wrocławia i dostał się pod skrzydła komisarza Heinricha Richtera z polecenia jego znajomego. Przez kilka miesięcy służył Richterowi wiernie jak pies, nabierając coraz większej pewności siebie. Przez ten czas dokładnie rozeznał się w wewnętrznych układach, poparcie zdobywał fałszywymi pochlebstwami, a nieprzychylne gęby zamykał szantażem. Jego pozycja szybko się umocniła i stał się drugim po Bogu. Komisarzowi Richterowi zdawało się to w ogóle nie przeszkadzać, jakby był ślepy na animozje narastające wśród podwładnych. Zenderowi nikt do tej pory nie odważył się przeciwstawić, widać wachmistrzowie cenili sobie przede wszystkim święty spokój.

Koschella od Zendera trzymał się z daleka. Sprawiał wrażenie wycofanego i zubożniałego na zmiany, każdy jednak wiedział, że to tylko pozory, a wewnętrzna równowaga, którą ostatnio wykazywał się Franz, prędzej czy później runie niczym domek z kart. Ten czas najwyraźniej nadszedł.

Makowski wychynął na korytarz i popatrzył na schody. Dochodził go odgłos ciężkich kroków Koschelli.

– Wywalą Franza na bruk. Richter czeka tylko na pretekst...

– Nie sądzę – powiedział Anton Werner, ale bez przekonania.

Policjanci chwilę jeszcze stali, nasłuchując. Na dźwięk kolejnego trzaśnięcia drzwi wymienili niepewne spojrzenia, a potem, nie mając nic lepszego do roboty, wrócili do swoich obowiązków.

*

– Ty go kazałeś wypuścić?

Zender na wtargnięcie Koschelli do swojego gabinetu zareagował ze stoickim spokojem. Położył nogi na biurku i wspierając się na podłokietnikach fotela, złączył dłonie.

– Tak właśnie, Franz. Kazałem go zwolnić.

– Masz coś z głową, Zender?

– Nigdy nie bawiłeś się w dyplomację, Franz. Można powiedzieć, że w jakiś sposób to w tobie cenię.

– Przestań pieprzyć. Do czego ci potrzebny Junior?

– Junior? – Zender zmarszczył brwi. – Masz na myśli Brunona Hellera, którego wczoraj kazałeś przewieźć do aresztu?

– Tego samego.

– Z chęcią ci to wyjaśnię, wachmistrzu. Nie skonsultowałeś ze mną swoich działań. W ten sposób naraziłeś na niepowodzenie ostatnie miesiące śledztwa Wydziału Kryminalnego, pracę twoich dawnych współpracowników. Nazwisko Hellera wypłynęło w sprawie, którą prowadzimy. Twoje działania były nieodpowiedzialne. Heller wie teraz, że jest na celowniku policji! – Po kilku spokojnych słowach nastąpił wybuch. Franz miał wrażenie, że dokładnie zaplanowany. Po nim Zender teatralnie zaczerpnął powietrza. – Chciałem cię poinformować o mojej interwencji w sprawie aresztowanego, Koschella, ale byłeś nieobecny w biurze. Omówiłem więc sprawę zwolnienia Hellera z komisarzem Richterem, który przychylił się do mojego wniosku. Heller pozostaje pod naszą obserwacją, i tylko naszą. Myślę, że w ten sposób wyświadczymy ci przysługę. Na pewno masz sporo do roboty w swoim wydziale. Niepokoje z Wrocławia przenoszą się na ulice innych miast. Warto chyba

zwiększyć patrole w Kłodzku. Może nie jesteś zorientowany, ale i u nas doszło do rozruchów, szkoda, że to nie twoi ludzie im zapobiegli, tylko moi...

– Masz dla mnie jeszcze jakieś inne cenne rady, Zender?

– Na razie nie. – Nadwachmistrz uśmiechnął się ironicznie. – Zawsze możesz jednak liczyć na moją pomoc, z chęcią służyć swoim doświadczeniem każdemu, kto o to poprosi.

– To wspomniałomyślnie. – Koschella pokiwał z namysłem głową i wbił chłodne spojrzenie w Thomasa. – Pozwól, że i ja dam ci jedną cenną radę.

– Jaka to rada, wachmistrzu?

– Nie wchodź mi więcej w drogę.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. To krótkie zdanie musiało mieć swój wydźwięk. Zapewne większy niż mało wyszukane groźby. Obaj zrozumieli, że ich konfrontacja jest nieunikniona. Zender czuł się zbyt pewnie. Do tej pory z Koschellą mijali się bez większych zgrzytów, unikali kontaktu, choćby przypadkowego. Teraz jednak Thomas zmienił taktykę. Z jakiego powodu? Czuł, że jego pozycja jest nie do podważenia? Podporządkowywał sobie stopniowo wszystkich innych, a niepokornego wachmistrza zostawił na deser?

Franz, w przeciwieństwie do większości tutaj zatrudnionych, nie był konformistą. Zender, skoro zdecydował się na tę próbę sił, musiał się do niej przygotować. Nie był chyba tak naiwny, by sądzić, że obędzie się bez ofiar. Jeśli podjął się tego wyzwania, musiał przewidzieć, że Koschelli nie da się łatwo złamać.

Ta interwencja w sprawie Hellera wydawała się doskonałym pretekstem do wypowiedzenia wojny Franzowi. Wachmistrz był jednak pewny, że musi tu chodzić o coś więcej. Nie słyszał, by Zender prowadził obecnie w Wydziale Kryminalnym jakąś poważniejszą sprawę. Zwłaszcza taką, z którą można byłoby powiązać konieczność obserwacji Juniora. Czy Heller był więc jedynie pretekstem do konfrontacji z Koschellą? Zdaniem Franza możliwości były dwie. Albo Heller jakimś cudem rzeczywiście znalazł się na celowniku Wydziału Kryminalnego, albo... miał zejść z celownika Koschelli.

Franz uśmiechnął się krzywo i uśmiech ten dostrzegł Zender. Jego oczy zwięzły się, pogłębiając zmarszczki. Najwyraźniej zdał sobie właśnie sprawę, że po raz pierwszy przyjdzie mu się zmierzyć z przeciwnikiem większego kalibru.

– Myślę, Koschella, że są tu zbyt wąskie korytarze w magistracie, żebyśmy się mijali bezkolizyjnie. Więc niewchodzenie ci w drogę może okazać się trudne...

– Jasne, Zender. Zapewne tęsknisz za szerokimi korytarzami wrocławskiego prezydium policji. Powiem szczerze, trudno mi zrozumieć tę decyzję o przyjeździe do Kłodzka. Traktujesz to w kategoriach awansu? A może arterie

tamtego gmachu także okazały się dla ciebie za wąskie i wszedłeś komuś w drogę?

Zender zrobił się czerwony. Franz znał odpowiedź na to pytanie. On też nie próżnował i przygotowywał się do tej konfrontacji.

– Na drugi raz pukaj, jak wchodzisz – rzucił nadwachmistrz za Franzem.

– Módl się, żebym nie musiał tu wchodzić po raz kolejny – odparował Koschella.

W jednym Thomas się nie mylił. Franz naprawdę nie lubił bawić się w dyplomację.

GORZANÓW, LIPIEC 1923

Joseph Kulke po raz ostatni tego dnia zrobił obchód po zamkowych korytarzach. Upewniał się, że na powrót hrabiego i przyjazd gości wszystko zostało należycie przygotowane. Ostatnie dostawy tego wieczoru umieszczono w spiżarniach i piwniczkach z winem. Wynegocjowane ceny wprawiły kamerdynera w dobry nastrój. Był mu potrzebny przed wielką niewiadomą dnia jutrzejszego.

Joseph nie miał złudzeń, wiedział, że nad wszystkim zapanować się nie da. Na szczęście gorzanowska pasja spoczywała w rękach profesjonalistów. Zamek był jednak jego domeną, robił więc wszystko, by tutaj nic nie zawiodło, ani człowiek, ani złośliwe rzeczy martwe.

– Pościel wszędzie zmieniona?

Pokojówka Berta odskoczyła od okna, jakby przyłapał ją na jakimś niecnym uczynku. Zakręciła się przy łóżku i wygładziła poduszkę.

– Wszędzie, to ostatni pokój.

– Ręczniki?

– Przyjechały właśnie z pralni.

– To na co czekacie? Roznieść je do pokoi!

Berta przecisnęła się pomiędzy futryną a kamerdynerem i wybiegła z pomieszczenia. Joseph widział jej zaczerwienione policzki. Coś z tymi niecnymi uczynkami było na rzeczy. Podszedł do okna i wyjrzał na park.

Znów Klein. To jego obserwowała pokojówka. Kapitan zawrócił w głowie kolejnej dzierlatce. Na szczęście miał na tyle przyzwoitości, że do łóżka spraszał tylko przyjezdne panienki. Tej tutaj pozostały jedynie marzenia na jawie. Kulke pokręcił głową zde gustowany. Uważał, że równie ciężko co uczynkiem można zgrzeszyć myślami.

Przygładził grzywkę i naciągnął kamizelkę. Co one w nim widziały? Ten kapitan wyglądał jak dzikus. Chodziło o jakiś zwierzęcy magnetyzm? Zapach

tajemnicy, zakazany owoc, niebezpieczeństwo?

Kulke dziwił się sam sobie, że tak mocno irytował go gość Herbersteina. Dlaczego? Pewnie dlatego że stanowił wielką niewiadomą, element niepewny w misternej układance przygotowań. Kamerdyner zawsze miał pełną kontrolę nad zamkiem i wszystkimi w pałacu, no może oprócz hrabiego. Nad tym tutaj jednak żadną miarą nie można było zapanować, nie dało się go przestawić, ustawić czy... wystawić na zewnątrz. Wilhelm Klein wymykał się kontroli. Stanowił potencjalny załamek chaosu.

Tyle przygotowań przed jednodniowym świętem. Potem wszyscy odczują ulgę, Kulke także. Pozostanie sprzątanie i doprowadzanie do porządku zamku i parku, które nieprzebrane tłumy zostawią w ruinie. Kto wie, może i Klein na dniach opuści to miejsce? Dochodził już do siebie po górskim wypadku. Nabierał sił, wydłużał spacer, a jego sylwetka z każdym dniem stawała się bardziej sprężysta. Ogromna odmiana po człowieku cieniu, jakim był przed kilkoma miesiącami.

Kulke odsunął się od parapetu, bo wydało mu się, że Klein spojrzął w jego okno. Kapitan podziwiał bramę tryumfalną wzniesioną specjalnie na gorzanowski spektakl. Pod nią przejdą aktorzy i tłumy widzów. Budziła podziw w roku ubiegłym, teraz też zapewne będzie zwracać uwagę. Alois Heinze kazał ozdobić ją kwiatowymi ornamentami i liśćmi winorośli. Robiła nie lada wrażenie.

Klein wyszedł za bramę parku. Ruszył na swój codzienny spacer. Kulke wiedział, że ma gościa z głowy na co najmniej dwie godziny. Na trasie kapitana znajdzie się kilka stałych punktów. Potem rekonwalescent wróci, zje kolację, a w końcu zasiądzie przy biurku i odda się lekturze. Joseph się modlił, żeby tej lektury nie zakłóciły mu nadjeżdżające od Kłodzka wyperfumowane pindy.

*

Klein rzeczywiście udał się na spacer, którego punktem startowym był łuk tryumfalny. Stał chwilę przy nim, podziwiając konstrukcję. Dostrzegł, że Joseph Kulke przypatruje mu się z zamkowego okna. Wiedział, co myśli o nim kamerdyner. Sługa dobiegał pięćdziesiątki. Był mężczyzną oschłym, pedantycznym i zarazem nieco nerwowym. Traktował swoje obowiązki poważnie i z oddaniem, co czyniło go doskonałym zarządcą takich rozmiarów rezydencji. Wilhelm starał się nie wchodzić mu w drogę. Z jednej strony chciał uniknąć owych uważnych, dociekliwych spojrzeń, z drugiej strony traktował kamerdynera jako wyrzut sumienia, który stara się zagłuszyć wewnętrzny mechanizm obronny. Prowadził niezbyt wyszukaną grę, w której przekonywał siebie, że gdy Kulke nie jest świadkiem jego słabości, tedy i nie ma problemu. Problem jednak był, bo

zarządca wiedział i... zdaje się słyszał wszystko, co z owymi słabościami było związane.

Klein ruszył ścieżką w stronę rozlewni wód mineralnych. Pierwszym przystankiem na trasie było źródło Webera i fontanna ze złotą kaczką na cokole. Zatrzymał się przy niej i wsłuchując się w delikatny szum, wystawił twarz do słońca. Wilhelm pił tutejszą wodę niemal codziennie i musiał przyznać w duchu, że będzie mu jej brakowało. Ta konkluzja nieco zbiła go z tropu. Wyglądało na to, że zagadnienie, które roztrząsał od dłuższego czasu, powoli się klaruje.

Zbliżała się pora wyjazdu z Gorzanowa, choć Klein wciąż nie wiedział, jaki obierze cel podróży. Bezczytność ostatnich miesięcy wcale mu nie doskwierała, nawet jeśli była wymuszona okolicznościami. W ostatnich dniach jednak towarzyszyło mu znajome wrażenie. Nosiło go gdzieś w środku. Wraz z powrotem sprawności i sił witalnych wzbierała w nim gorączka charakteryzująca człowieka czynu. Klein nie był typem osobnika, który mógłby osiąść w miejscu i przypisać się do jednej roli. Po chwili względnego spokoju, gdy bliski był osiągnięcia stanu ducha, za który inni oddaliby wszystko, on się wycofywał. Jakby nie był jeszcze gotów na pełną duchową przemianę. Może się jej bał? Nie wiedział, jaki przyniesie rezultat, nie wiedział, czy po przekroczeniu tej granicy rozpozna sam siebie.

Rany zewnętrzne i wewnętrzne połatały czas i prozdrowotna aura gorzanowskiego odosobnienia. Wewnętrzna równowaga, którą osiągnął, była stabilna, a doświadczane dawniej rozchwianie emocjonalne stało się czymś odległym i błahym. Takie podejście było niebezpieczne. Klein zbyt często upadał, by nie doceniać przeciwnika, który krył się w nim samym. Fundamenty budowane długimi miesiącami mogły runąć w zaledwie kilka chwil pod wpływem nieprzewidzianych okoliczności. Na wszystko przygotować się nie było sposobu. Demony nie śpią, czuwają, a wygłodzone mogą narobić jeszcze większego spustoszenia.

Klein uniósł powieki i niespiesznie ruszył w stronę wzgórza i kaplicy świętego Antoniego. Słyszał nawoływanie ptaków i szum drzew. Na szczycie wzniesienia przystanął niedaleko pustelni. Sycił oczy kolorami i widokiem. Towarzyszyło mu dojmujące przeczucie, że żegna się z tym miejscem, przynajmniej na jakiś czas.

Było to przedziwne wrażenie, bo wciąż nie określił swoich planów. Nie znał celu zbliżającej się podróży. Strzelin, Wrocław, a może Berlin? Stał na tym rozdrożu, wypatrując jakiegoś znaku, ten jednak nie nadchodził. Trudno, decyzję podejmie przy kasie biletowej.

Agnes. Śniła mu się intensywnie w pierwszych tygodniach od wypadku. Przychodziła do niego we śnie i na jawie, a dokładniej w malignie, w której pogrążony był ciałem i duszą. Słyszał jej głos, choć odległy i niewyraźny, i ten

głos nappełniał go spokojem, pozwalał znaleźć stabilny punkt, na którym mógł się oprzeć i dryfować.

Obraz twarzy Agnes powoli jednak się zacierał, tym mocniej, im szybciej Klein dochodził do zdrowia. Jak gdyby wizje wypływające z zakamarków umysłu pojawiały się tylko wtedy, gdy był wobec nich zupełnie bezbronny.

Nocami myślał o tym, by ją odszukać. Gdy jednak otrząsał się z sennych powidoków i stawiał stopę na podłodze, plan jawił się już jako groteskowy i pozbawiony sensu. Gdyby Agnes chciała, sama by się odnalazła. Poza tym czy miał jej coś do powiedzenia?

Klein zszedł ze wzgórze i udał się w stronę kolejnego punktu na mapie codziennych podróży. Po drodze mijał gospodę Przy Kwaśnym Źródle, do której często zachodził, by napić się czegoś ciepłego.

Dostrzegł Katherin z daleka. Siedziała przy stoliku ustawionym na dworze. Uśmiechała się, pewna, że go zaskoczyła. Klein wolnym krokiem zbliżył się do niej, odsunął krzesło i usiadł naprzeciw. Wpatrywała się w Wilhelma intensywnie. Pozwolił jej na to.

– Zakłócam twój poranny rytuał?

– Trochę – przyznał.

– O świecie nie miałeś nic przeciwko, wydaje mi się nawet, że moje przeszkadzanie bardzo ci się podobało.

– Skąd wiesz, że to nie jest właśnie mój poranny rytuał?

Parsknęła śmiechem.

– Jakże mogłam być tak naiwna i sądzić, że jestem jedyną aktoreczką, która jak wiele innych przewinęła się przez łóżko kapitana Kleina?

Do stolika zbliżyła się kelnerka, podała Kleinowi schłodzoną wodę mineralną. Uśmiechnęła się zalotnie i znikła.

– Poranny rytuał. – Towarzyszka kapitana odprowadziła wzrokiem dziewczynę, cmoknęła głośno. – Masz tu jak w raju Wilhelmie. Jak długo planujesz zostać?

Sięgnęła do małej torebki, wyjęła papieros i zapalniczkę. Zaciągnęła się dymem.

– Niedługo.

Pokiwała głową. Trudno było odczytać, co myśli.

– Przyjedziesz do Kłodzka?

Klein wzruszył ramionami. Wlał wodę do szklanki, upił kilka łyków. Kobieta przyglądała się uważnie tej czynności.

– Znikniesz z mojego życia? Tak samo nagle jak się w nim pojawiłeś?

– To raczej ty nagle pojawiłaś się w moim.

– Ja jednak nie mam zamiaru z niego zniknąć.

Przyciągnęła jego wzrok. O świcie jej zielone tęczaówki zmieniały odcień, zwłaszcza w momencie gdy zatracala się w rozkoszy. Nie odpowiedział.

– Cóż, jeśli tak ma być...

– Jak ma być, Kath? – zapytał Klein wbrew sobie.

– Kim ona jest? Żyje? Umarła? Nie możecie być razem, ona nie chce, nie może, ty jesteś przeszkodą?

Klein sięgnął po szklanke, upił kolejny łyk.

– Czytasz we mnie jak w otwartej księdze?

– Kobiety takie sprawy wiedzą. Ja wyczuwam rywalkę.

– Rywalkę? Czyli o mnie walczysz, naprawdę? – zaśmiał się.

– Walczę. Bo ta sama intuicja podpowiada mi, że mogę wygrać. Gdyby było inaczej, nawet bym nie próbowała.

Zamilkł. Zapatrzył się w falujące na wietrze korony drzew. Świeży powiew dotarł od rzeki, schłodził rozpaloną skórę. Co dostrzegła w nim Katherin? Jaką przemianę? Czyżby rzeczywiście pogodził się już z pewnymi faktami i sam o tym nie wiedział? Miał zaufać kobiecej intuicji – jej intuicji?

– Nie łudzę się, że zapełnię obecną w tobie pustkę, Wilhelmie. Ona też nie potrafiła, wręcz przeciwnie, sprawiła, że brak stał się większy. Ale nie było w tym jej winy.

– Sam jestem sobie winny.

Pokiwała głową.

– Szybko postawiłaś diagnozę. Nie minęłaś się z powołaniem?

– Złośliwość ci nie przystoi, Wilhelmie.

Teraz to on skinął głową. Potrafiła z nim rozmawiać, wiedziała, jak utrzymać jego zainteresowanie. Odczuł podniecenie. Już sama wymiana zdań z tą kobietą działała jak afrodyzjak.

– Obserwowałam cię, cały czas cię obserwuję. Patrzę chyba jednak na ciebie inaczej niż inni.

– Zaspokój więc moją próżność, powiedz, jak mnie widzisz.

– Jeśli nie wierzyłabym, że człowiek to ciało i dusza, to na twoim przykładzie zmieniałabym zdanie.

– Doprawdy?

– Czasem obecny jesteś tylko ciałem. Gdzie wtedy przebywasz, nie wiem. Może sam nie zdajesz sobie z tego sprawy. Myślę, że kiedyś do tego ciała nie wrócisz, jeśli ktoś lub coś cię tutaj nie przytrzyma.

Nachyliła się w jego stronę, dotknęła oburącz jego głowy. Wilhelm poczuł przyjemny ucisk palców na skroniach. Przymknął oczy. Mięśnie pleców, lędźwie rozluźniły się. Poddał się tej pieszczocie, czując, jak jego głowa staje się cięższa. Katherin przysunęła się do niego. Zetknęli się czołami. Drobne palce prześliznęły

się na płatki uszu. Nie odstraszały jej stare rany ani chropowatość skóry. A on czuł jej dotyk przez skorupę blizn.

Zapach tej kobiety przebijał się przez spaleniznę, którą wypełnione były nozdrza Kleina. Po raz pierwszy docierał głębiej, a on sam odczuwał to jak odsłonięcie ciężkiej kurtyny, przez co do płuc dociera światło i powietrze.

– Dziś, gdy zamknęłam cię w sobie, wypowiedziałeś jej imię.

Wilhelm zeszywniał. Uświadomił sobie, że tak właśnie było.

– Nie uciekaj, proszę... – powiedziała, gdy spróbował się odsunąć. – Musisz wiedzieć, że nie mam nic przeciw temu. Chcę, żebyś uświadomił sobie teraz jedną rzecz. W tamtej chwili byłam nią dla ciebie. Nieświadomie potrafiłam wytworzyć złudzenie, które wzięłeś za rzeczywistość. W takich momentach mogę być nią i sobą jednocześnie. Nie ma dla mnie znaczenia, kogo wybierzesz.

Ujął jej dłonie w swoje, uniósł głowę.

– Jak to może nie mieć dla ciebie znaczenia?

– Ja potrafię być kim chcę, a ona nigdy nie będzie mną. – Zaśmiała się. – Czyż to nie ekscytujące mieć dwie kobiety w tym samym czasie?

Pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Pocałuj mnie – powiedziała.

Zawahał się.

– Pocałuj mnie – zbliżyła się, jej nos dotknął jego policzka, przesunął się w górę.

Odszukał jej wargi. Dotyk jej języka przyprawiał go o gorączkę, która boleśnie odezwała się w podbrzuszu.

– Kogo całujesz? – wyszeptała.

– Ciebie.

– Powiedz moje imię – rozkazała, a jej kolejny pocałunek stał się jeszcze bardziej namiętny.

Klein poczuł, że brakuje mu powietrza.

– Katherin – wysapał, odsuwając się od niej.

Objął całą jej postać wzrokiem. Falujące, pełne piersi, zaczerwienioną szyję i dekolt. Szmaragdowe oczy.

Uśmiechnęła się, założyła nogę na nogę i przygładziła materiał spodni. Sięgnęła do swojej szklanki. Wypiła wodę.

– Czas na mnie – powiedziała. Wstała, nachyliła się i pocałowała Kleina w policzek. – Wiesz, że przy mnie twoja dusza opuszcza ciało tylko w jednym momencie?

– W jakim? – zapytał, chociaż znał odpowiedź.

– W takim, który stał się ostatnio naszym rytuałem o świcie. A skoro to rytuał, niedługo wrócę.

Przyciągnął ją do siebie. Jego policzki dotknęły twardego brzucha, dłonie objęły pośladki.

Wydała z siebie cichy jęk. Wyczuł jej drzenie. Wysunęła się z uścisku, gdy pod gospodę podjechał samochód.

– To po mnie, jadę wywijać nogami na scenie. Gdybyś chciał mnie zobaczyć, przyjedź wieczorem do Kłodzka.

– Wolę prywatne występy.

– W takim razie obiecuję, że zachowam trochę sił dla ciebie. – Zmrużyła oczy, ale widać było w nich rozbawienie. – Może wyjedziesz stąd wkrótce, Wilhelmie – powiedziała po chwili. – Ale nie wyjedziesz sam. W ten czy inny sposób będą z tobą.

Odwróciła się i wsiadła do samochodu. Popatrzyli na siebie krótko przed jej odjazdem.

Klein przeniósł wzrok na pustą szklankę. Katherin się pomyliła. Jeśli stąd wyjedzie, to wyjedzie sam. Nic i nikogo ze sobą nie zabierze, nawet jednego wspomnienia, które chciałby zachować.

KŁODZKO, LIPIEC 1923

Franz stał przy oknie w klitce, którą dzielił z Makowskim i wachmistrzem Antonem Weberem. Widział wychodzących z magistratu swoich dawnych podwładnych – Lothara Schulza i Leona Czoska. Wsiedli do samochodu i ruszyli w stronę Frankensteinerstrasse. Obaj przeszli pod skrzydła Zendera bez mrugnięcia okiem. Franz nie miał o to do nich pretensji, wręcz ich zachęcał, żeby nie podejmowali pochopnych decyzji. Być może łudził się, że ta zaraza, która dosięgła jego Wydział Kryminalny, przeminie, tak jak zarazy mają w zwyczaju. Ten wrocławski skurwiol zagnieździł się jednak w kłodzkiej policji jak kleszcz. Sącył animozje i pęczniał z zadowolenia. Wydział nie należał już do Koschelli, tylko do tego pasożyta.

– Dzwonił profesor August Kuhnast ze szpitala w Jurandowie. Prosił, żebyś go odwiedził – oznajmił Weber, gdy wszedł do pokoju.

– Powiedział, czego chce?

– Nic.

– Dzięki.

Koschella nawet nie odwrócił się do wachmistrza. Ten apatyczny młodzieniec przypominał mu wielką nieukształtowaną górę gliny. Był powolnym, oportunistycznym bałwanem. Robił, co do niego należało, tego Franz nie mógł mu odmówić. Wykonywał jednak polecenia jak bezwolny golem, jak sklepowy manekin z nieco bardziej wyrazistymi rysami twarzy. Trudno było z nim o czymkolwiek pogadać, a w prowadzonych sprawach nie potrafił lub nie chciał wyrazić swojego zdania. To nowe pokolenie, które Koschella widział w Kłodzku, napawało go swego rodzaju obrzydzeniem. Zwłaszcza ci, którzy wychodzili ze szkół, byli zupełnie nijacy. Zachowywali się tak, jakby na niczym im nie zależało. Jakby byli pewni, że wszystko osiągną bez odrobiny wysiłku. Franz nie

był jednak pewny, czy w ogóle wiedzą, na czym im zależy. Snuli się jak cienie, jakby umarli za życia.

– Jadę więc do Kuhnasta. Gdyby były jakieś wiadomości do mnie, zapisz i zostaw na moim biurku.

– Jasne...

Franz aż się zagotował na kolejną odpowiedź rzuconą półgębkiem, ale nie powiedział nic, tylko wyszedł z gabinetu. Na schodach wyminął komisarza Richtera. Skinął głową przełożonemu, ale ten potraktował go jak powietrze. Pewnie nawet zadzumione, bo szef odwrócił wzrok i zacisnął usta.

Wachmistrz przestał zaprzętać sobie myśli komisarzem, gdy tylko opuścił magistrat. Przeszedł na postój dorożek. Wsiadł do budy i zażyczył sobie kurs na Jurandów. Na szczęście mógł jeszcze liczyć na to, że przejazd rozliczy nowy sekretarz policyjny. Przynajmniej ten nie rzucał Koschelli kłód pod nogi.

Franz odprężył się nieco podczas tej podróży. Dobra pogoda rozleniwiała. Mimo to zastanawiał się nad powodem wezwania. Stary patolog znany był z opryskliwości i nie odmawiał sobie przytyków. W kontaktach bywał trudny i irytujący, do Franza jednak się przekonał i ten czuł, że zasłużył sobie u niego na coś w rodzaju szacunku.

Wezwanie było tym bardziej tajemnicze, że Kuhnast musiał mieć świadomość, że Koschella nie jest już szefem Wydziału Kryminalnego. Doktor miał zapewne do czynienia z Zenderem, i to nie raz. Wachmistrz uśmiechnął się na tę myśl. Wyobraził sobie rozmowę tych dwóch. Temperatura w pomieszczeniu zapewne stawała się niższa niż w lodówkach, w których trzymano denatów.

Dorożka zatrzymała się przed szpitalem. Koschella kazał czekać fiakrowi, a sam ruszył w stronę królestwa doktora. W drzwiach zatrzymała go jedna z pielęgniarek. Musiała na niego czekać, bo zamiast do prosektorium pokierowała go na jeden z oddziałów.

Franz znalazł się na piętrze, a potem, posiłkując się wskazówkami personelu, dotarł do pomieszczenia, w którym przebywał Kuhnast.

– Jest pan, to dobrze.

Profesor nie tracił czasu na zbędne w jego mniemaniu sprawy formalne. Obyło się bez słownych powitań i uścisków dłoni. Krótki ruch ręką był czytelny: Franz miał podążyć za profesorem.

Koschella nie starał się nawiązywać rozmowy, nie pytał o pogodę czy cel wezwania. Jego dobra wola wyrażona chęcią nawiązania kontaktu została szybko stłumiona jakąś uwagą czy cynicznym komentarzem. Wachmistrz nauczył się, że przy patologu lepiej nie narażać się na ostrzał.

Przemierzyli korytarz, kierując się do izolatki. Koschella wkroczył do pomieszczenia za lekarzem. Kuhnast odprawił pielęgniarkę, która siedziała przy

łóżku, i stanął przy pacjentce. Franz obrzucił szybkim spojrzeniem młodą, może dwudziestokilkuletnią kobietę. Liczne rurki podpięte do ciała pozwalały sądzić, że jej stan jest ciężki.

– Greta Heigl trafiła do nas wczoraj. Brak przytomności, drgawki, źrenice wielkości łebka od szpilki. Być może nie przeżyje tej nocy.

– Co się stało?

– Rodzice znaleźli ją rano w pobliżu domu już w takim stanie. Przywieźli ją natychmiast do szpitala.

– Nie powiadomili policji?

– To delikatna sprawa...

Koschella zrezygnował z komentarza.

– Przyczyna?

– Morfinistka. – Lekarz wskazał liczne nakłucia na przegubach. – W jej nozdrzach znalazłem jednak coś jeszcze. Ślady białego proszku.

– Cement?

– Tak nazywacie w policji opioidy, wachmistrzu?

– Badał pan ten proszek?

– Nie było go zbyt wiele. Stopił się jednak w określonej temperaturze.

– Heroina?

– Właśnie. – Kuhnast skinął głową. – Zdaje się to potwierdzać wywiad rodzinny. Rodzice próbowali leczyć dziewczynę z uzależnień. Wysłali ją nawet do kliniki w Dreźnie. Oficjalnie była na kuracji. Mimo to dziś rano znaleźli ją przed własnym domem.

– Uciekła.

– Zdaje się, że tak. Greta ostatnio wykazywała objawy melancholii, opioidy zwiększają ryzyko pojawienia się zaburzeń psychicznych, także psychozy.

– Zna pan rodziców?

Kuhnast westchnął, a Koschella domyślił się, co zaraz usłyszy.

– To moi przyjaciele, wachmistrzu. Gretę znam od dziecka. To ja poleciłem im dreźnieńską klinikę.

Franz już rozumiał, dlaczego Kuhnast wezwał właśnie jego. Profesor nie zwróciłby się do nikogo innego z policji, nawet do Heinricha Richtera. Musiał wiedzieć, że komisarz do tej sprawy wysłałby kogoś innego niż Koschellę, kto wie, czy nie Zendera. A z nim Kuhnast zapewne nie chciał mieć do czynienia. Ten wyraz zaufania Franz przyjął ze zdziwieniem i ponurą satysfakcją. Spodziewał się jednak, że w tej sprawie tkwi jakieś drugie dno. Kuhnast nie wzywałby Koschelli do morfinistki, która świadomie lub przypadkowo przedawkowała opiaty.

– Greta musiała opuścić klinikę niedawno, rozumiem jednak, że rodzice o tym nie wiedzieli?

– Zadzwoń tam dziś rano – odrzekł patolog. – Leczenie Grety przebiegało pomyślnie. Dostała dwudziestoczworogodzinną przepustkę na opuszczenie kliniki.

– Ktoś ją odwiedził?

– Jej bliski kuzyn, Theodor Heigl. Miała wrócić przedwczoraj wieczorem. Nie wróciła. Rozpoczęto poszukiwania tej samej nocy, bezskuteczne.

– Nie powiadomiono rodziców?

– Wiktora i Laury nie było w domu, poinformowano służbę, ta jednak nie zdołała przekazać wiadomości. Moi znajomi wracali z podróży z Włoch, dotarli do posiadłości dziś nad ranem.

– Wtedy znaleźli córkę?

– Leżała przy alei prowadzącej do domu. Gdyby nie ich szybka reakcja, Greta niewątpliwie zmarłaby. Przywieźli ją tutaj. Jedyne, co mogę zrobić, to utrzymać ją jak najdłużej w tym stanie...

Franz spojrzął na dziewczynę. Była blada, włosy na poduszce układały się promieniście, były zlepione i matowe.

– Chciałbym pana prosić, wachmistrzu, o wyjaśnienie tej sprawy – podjął patolog. – O odnalezienie Theodora Heigla, który mógłby rzucić na wydarzenia ostatniej nocy jakieś światło.

– To też morfinista.

– Nie znam go na tyle dobrze, by rzucić takie oskarżenie.

Wachmistrz za to znał Heigla całkiem dobrze i nie miał oporów przed rzucaniem oskarżeń. Theodor wyrobił sobie opinię bawidamka, znudzonego paniczyka, który przyciągał szemrane towarzystwo. Od rodziców regularnie wyciągał pieniądze na dziwki, hazard i używki. Przybierał pozę dandysa, był próżny i pragnął pozostawać w centrum uwagi. Nikomu nie szkodził, może tylko sobie i swojej rodzinie. Wydawał się za miękki i zbyt słaby, by zdobyć się na przemoc.

Franz widział wielu morfinistów, dziesiątki, może nawet setki tysięcy stworzyła wojna, a dokładniej szpitale znające jedyne cudowny lek na ból i rozpacz. Opiaty, choć wprowadzały w stan błogiej apatii, silnie uzależniały i zmieniały ludzi, zwłaszcza tych słabych. Sam Kuhnast wspominał o psychozie, o zaburzeniach psychicznych. Porzucenie umierającej Grety pod jej domem mogło być przykładem utraty racjonalnego myślenia przez jej towarzysza. Niewykluczone, że Heigl stracił głowę i porzucił umierającą kuzynkę tam, gdzie wydawało mu się, że ktoś jej pomoże. Po co jednak jechał do niej do Drezna? Po co wyciągnął ją z lecznicy?

– Jest coś jeszcze, prawda? – zwrócił się do lekarza Koschella. – Morfina, heroina... Trochę dużo tego jak na dziewczynę, której leczenie według kliniki przebiegało pomyślnie. Te ślady na nadgarstkach powstały w ciągu ostatnich godzin?

– Zgadza się – przytaknął Kuhnast. Położył dłoń na dłoni dziewczyny, a potem uniósł rękaw jej koszuli. – Ktoś trzymał jej nadgarstki w uścisku. Szukałem śladów przemocy, ale oprócz tych nic nie znalazłem.

– Czy wiadomo panu, by Greta próbowała czegoś więcej niż morfiny i... heroiny?

– Według rodziców i lekarzy z kliniki nie.

Kuhnast patrzył wyczekująco na Koschellę. Być może domyślał się, o czym myśli wachmistrz.

– Jeśli Greta umrze – odezwał się wreszcie Franz – jej sprawą zajmie się Wydział Kryminalny.

– Ona wciąż żyje – oznajmił krótko patolog.

Koschella stwierdził, że stan dziewczyny trudno nazwać życiem. On sam na pewno nie chciałby, żeby ktoś za wszelką cenę przedłużał jego cierpienia.

– Odszukam Theodora Heigla – oznajmił. – Postaram się dowiedzieć, co działo się z dziewczyną od momentu opuszczenia kliniki.

– Dziękuję. – Profesor przyjął tę deklarację z zadowoleniem i ulgą. – Dziękuję, że mogę na pana liczyć, wachmistrzu.

Ta wylewność Kuhnasta podziałała na Franza odpychająco. Uznał, że pewne rzeczy nie powinny ulegać zmianie. W tym szorstkość i opryskliwość profesora. Owa zmiana mogła pociągnąć za sobą kolejne, a te prędzej czy później wpłynęłyby i na Koschellę. On też miał nabrać ogłady? Byłby to niewątpliwym znak, że powinien zmienić zawód.

– Będziemy w kontakcie, profesorze. Odwiedzę pana znajomych, proszę ich jednak o tym nie uprzedzać.

Kuhnast spojrzał Koschelli w oczy.

– Cóż, są w moim gabinecie. Poprosiłem ich, by poczekali na wynik naszej rozmowy.

– Nie próżnuje pan.

– Nigdy. Uprzedzam, że jedynie Wiktor Heigl jest w stanie rozmawiać.

Kuhnast popatrzył na pielęgniarkę czekającą w korytarzu. Ta, najwyraźniej poinstruowana, co ma robić, oddaliła się. Od strony korytarza dobiegł odgłos jej nerwowych kroków.

Wiktor Heigl był na oko pięćdziesięcioletnim mężczyzną. Wszedł do izolatki lekko przygarbiony, na miękkich nogach. Wydawało się, że dużo kosztuje go patrzenie na umierającą córkę.

– Panie wachmistrzu.

Franz odwzajemnił krótki uścisk dłoni.

– Bardzo mi przykro.

Heigl skinął głową, spojrzął na Koschellę nieobecny wzrokiem. Jakby zebranie myśli przychodziło mu z ogromnym trudem.

– Jesteśmy do pana dyspozycji – powiedział w końcu. – Chcemy wiedzieć, co się stało. Jak mogło dojść do tego, że opuściła rzekomo bezpieczne miejsce.

Franz dyskretnie spojrzął na pobladłego Kuhnasta. Przypomniał sobie, że to właśnie profesor polecił przyjacielom klinikę w Dreźnie. Postanowił sprowadzić rozmowę na inne tory.

– Kiedy ostatnio widzieli państwo Gretę?

– Miesiąc temu. Odwiedziliśmy ją miesiąc temu.

– Jak przebiegało jej leczenie?

– Doskonale. Lekarze, którzy opiekowali się Gretą, byli zadowoleni z jej postępów, ona zresztą także. My też dostrzegaliśmy poprawę. Byłem pewny, że niedługo odbierzemy ją z kliniki, że...

Głos Heigla się załamał. Mężczyzna stanął przy łóżku córki, poprawił kosmyk na jej czole.

– Farbowała włosy? – zapytał Koschella.

– Słucham?

– Czy państwa córka farbowała w klinice włosy?

– Nie... ale ma pan rację, nas też to uderzyło. Greta jest blondynką. Włosy zostały zafarbowane, i to dosyć niedawno.

– Uważam, że w ciągu ostatnich dni – wtrącił Kuhnast.

– Pomalowane paznokcie, makijaż... Jak była ubrana?

– W suknię, której nie rozpoznaliśmy. Była nowa. Muszę przyznać, że... –

Głos Heigla się załamał. – Muszę przyznać, że w pierwszej chwili nie rozpoznaliśmy własnej córki. Byłem pewny, że to... że to obca kobieta. Nie wyglądała jak ona, naprawdę...

Heigl zabrzmiał tak, jakby za coś przeproszał.

– Greta często spotykała się z kuzynem?

– Niegdyś tak, potem ten kontakt się urwał. Zabroniliśmy jej tych spotkań – oznajmił oschle mężczyzna. – Theodor obracał się w nieodpowiednim towarzystwie i miał zły wpływ na Gretę. Poza tym wyjechał do Berlina, potem przeniósł się do Wrocławia...

– Po czym wrócił do Kłodzka, tak? I spotkał się z pana córką?

– Tak. Nie wiem, jak to... Ja nic nie wiem... – Mężczyzna przejechał dłonią po twarzy.

– Gdzie Heigl i pana córka lubili przebywać w Kłodzku? – dopytywał Koschella. – Mieli tu znajomych, z którymi wychodzili wieczorami?

– Po powrocie do miasta Theodor odświeżył zapewne wszystkie dawne kontakty, ale to raczej pan będzie wiedział więcej na ich temat... Greta zaś... nasza córka od dłuższego czasu nie spotykała się z nikim z dawnych znajomych.

Franz pokiwał głową. Był pewny, że nic więcej dziś z Wiktora Heigla nie wyciągnie.

– Znajdzie pan Theodora? Chcę wiedzieć, dlaczego... dlaczego to zrobił naszej córce...

Franz znów wymienił spojrzenia z Kuhnastem. Pożegnał się zdawkowo i wyszedł ze szpitala na rozpalone słońcem podwórze. Otaczające go kolory były tak jaskrawe i intensywne, że musiał zmrużyć oczy. Dorożka wciąż na niego czekała. Franz wskoczył na budę i kazał się zawieźć z powrotem do Kłodzka na Frankensteinerstrasse. Jeśli Theodor jest w mieście, to na pewno przebywał właśnie tam.

*

Stanął przed dwukondygnacyjnym domem, niegdyś dworkiem podmiejskim z osiemnastego wieku. Charakterystyczna nadbudowa wyrastała ponad połac dachu z jedną okiennicą. To właśnie tę mansardę wynajmował Theodor Heigl.

Koschella znał ten dom, choć nigdy w nim nie był. Teraz miał okazję. Brama była otwarta, więc wszedł w zawilgoconą klatkę schodową. Ktoś próbował wywietrzyć panujący tu zaduch, bezskutecznie. Różnica temperatur pomiędzy wnętrzem kamienicy a ulicą była uderzająca. Franz wspiął się na piętro, potem na kolejne i stanął przed drzwiami Heigla. Zapukał – bez skutku.

Z podwórza dotarły do wachmistrza dźwięk trzepania dywanu, płacz dziecka, gruchanie gołębi. Za drzwiami Theodora zaś panowała martwa cisza.

Koschella nacisnął klamkę, a ta poddała się bez oporów. Delikatne mrowienie na karku, kurczenie się naczyń krwionośnych na policzkach, dziwne uczucie gdzieś u podstawy czaszki. Koschella znał te sygnały. I szedł o zakład, że zaraz natknie się na trupa.

Pierwszy pokój był pusty, służył za salonik. Okrągły stół przykryty był gazetami, jakby ktoś przygotowywał się do malowania. Podłogę przykrywał wyleniał dywan. Gustowna i zapewne bardzo droga komoda stojąca pod ścianą nie pasowała do wnętrza. Heigl musiał ją sprowadzić z rodzinnego domu. Może był do niej przywiązany.

Drugi pokój, w którym mieściła się pracownia, okazał się większy, z wysokim sufitem, mimo skośnych połaci dachowych i zaledwie jednego okna był

przestronny i dobrze oświetlony. Sztalugi, brudne szmaty na podłodze i kilka obrazów zdradzały, że Heigl próbował sił w malarstwie. To była dla Franza nowa informacja. Tapczan przysunięto do okna. Pościel pstrzyły plamy również te powstałe w wyniku wycierania pędzla o poszwy.

To jednak, co przyciągnęło wzrok wachmistrza, znajdowało się pod ścianą. Kilka płócien było o nią wspartych, inne przewrócone. Zza nich wystawał but. Nietrudno było sobie wyobrazić, że tkwi na czyjejs stopie.

Koschella poddał się instynktowi. Przekroczył próg, odsunął największy z obrazów. To, co zobaczył, wstrząsnęło nawet nim.

Ciało Theodora Heigla, odziane w gustowny garnitur, nie przypominało ludzkich zwłok, ale gumowatą, galaretowatą atrapę. Klatka piersiowa była zapadnięta, jakby zmiażdżył ją ogromny ciężar. Bok głowy także pozostawał wgnieciony. Kość skroniowa i oczodół były wbite do wnętrza czaszki. Całe ciało było sine, napęczniałe, pod skórą zebrały się krew i płyny ustrojowe. Nawet nogi i ręce były pogruchothane, ktoś owinął je wokół ciała, układając każdą pod niemożliwym kątem.

Theodor Heigl przypominał worek wypełniony miazgą własnych kości i narządów. Obejmował się wiotkimi kończynami, jakby w obawie, że cała ta breja z niego wypłynie.

Najdziwniejsza była jednak rana na głowie. Nie pasowała do pozostałych. Heigl nie miał ucha.

Franz zobaczył pod ciałem rozłożoną plandekę pokrytą zaschniętą krwią. To w niej zapewne przyniesiono ofiarę. Wachmistrz obrzucił spojrzeniem pracownię, szczególną uwagę poświęcił obrazom. Heigl malował landszafty, toporne i przejaskrawione bohomy. Nawet taki ignorant w malarstwie jak Koschella wiedział, że denat nie przejawiał szczególnego talentu. Franz pomyślał nawet, że jeden z jego synów potrafiłby malować lepiej. Heigl miał przynajmniej na tyle zdrowego rozsądku, żeby nie wyciągać tych „arcydzieł” na światło dzienne.

Franz cofnął się po swoich śladach do progu. Jeszcze raz zlustrował przestrzeń pracowni. Wiedział, że Zender nie wpuści go już tutaj ponownie, musiał więc wyryć w głowie możliwie dużo szczegółów. Jeden z nich, nie licząc zwłok, dominował nad innymi.

Obraz – płótno z ukrzyżowanym Jezusem. Był inny, zupełnie nie pasował do pozostałych.

W końcu wachmistrz obrócił się na pięcie i wyszedł z pracowni. Musiał zawiadomić Wydział Kryminalny o morderstwie. Co więcej, był zmuszony przemyśleć sprawę na kilka ruchów do przodu. Opracować plan, w którym pozostawi sobie furtkę na ewentualne działania w sprawie Grety Heigl, kuzynki zamordowanego. Co zrobić, by Richter nie odsunął go od śledztwa? Wypadało

w tej czekającej go rozgrywce wykazać się delikatnością i chociaż szczyptą dyplomacji.

Tyle że Koschella nie był dyplomata.

*

Lothar Schulz zatrzymał się pomiędzy straganami rozstawionymi u stóp kolumny maryjnej na kłodzkim rynku. Sam nie wiedział, czego szuka. Wodził wzrokiem po bibelotach wyciągniętych z zakurzonych strychów i zawilgoconych piwnic. Mydło i powidło. Śmieci i zapewne cenne drobiazgi. Wachmistrz nie potrafił ich odpowiednio sklasyfikować, lecz czy miało to znaczenie? Straganów przybywało z każdym dniem. Ludzie sprzedawali wszystko, co mieli pod ręką, chcąc zyskać trochę gotówki na bieżące potrzeby. Szalejąca inflacja zrobiła z większości biedaków. Ratowali domowe budżety wszelkimi sposobami, byle mieć co włożyć do garnka i za co opłacić czynsz.

– Szanowny pan dla małżonki kupi zestaw srebrnych sztućców po taniości.

Lothar skinął głową z namysłem. Nic nie powiedział. Może gdyby miał żonę, skusiłby się na ten zakup. A gdyby tą żoną była Asta, to nawet by się nie zastanawiał.

Asta jednak została jedynie marzeniem. I sam był sobie winien, że nie połączyło ich nic więcej. Oddał ją Zenderowi bez walki, a jego nowy szef uczynił z niej swoją kochankę.

„Wykastrował cię” – powtarzał sobie w myślach Schulz. Świadomość tej porażki paliła niczym piętno.

Wydawało mu się z początku, że decyzja o wycofaniu się z rywalizacji o kobietę była podyktowana rozsądkiem. Wmawiał sobie, że postąpił jak szczywany lis, który który zaczął się na nic niespodziewającą się ofiarę. Gdyby postawił się Zenderowi, zostałby usunięty z Wydziału Kryminalnego, a kto wie, czy ten zawistny skurwysyn nie doprowadziłby do wyrzucenia go z policji. Gdyby tak się stało, co mógłby zaoferować Aście? Nie miałby u niej szans. Całkowicie poległby w walce z tym skurwysynem.

Schulz łudził się też, że Zender zakończy ten romans, gdy sprowadzi do Kłodzka żonę i dzieci. Tak się jednak nie stało. Ta kanalia nie bała się niczego. Nawet tego, że w tak małym mieście w końcu wyjdzie na jaw jego związek z wdową po innym policjancie.

Schulz nie mógł zrozumieć, dlaczego Asta sama tego nie skończyła. Może zakochała się w Zenderze? Mamił ją rozwodem i wizją ślubu?

Lothar potoczył po placu półprzytomnym wzrokiem. Zaczynało do niego docierać, że upodobał sobie ten stan udręki. Przyzwyczyił się do tego, że budził

się w środku nocy ze snu, w którym zaciska dłonie na szyi Zendera. Wtedy, już na jawie, roił sobie, że kończy to, na co nie miał odwagi się zdobyć.

– Kurwa, Schulz – rzucił sam do siebie.

– Pan, widzę, nie w humorze – zagadała go baba, którą ledwie rozumiał. – Nowa brzytwa, z perłową rączką, na pewno poprawi dzionek szanownego pana. Jest piękna...

Kobieta zademonstrowała wygląd brzytwy i ostrze. Rzeczywiście, przedmiot był elegancki i przyciągał wzrok. Lothar spytał o cenę. Potargował się i choć pewnie przepłacił, to w sumie nie żałował.

W przedmiocie było coś szczególnego, jakby miał duszę. Wpasował się w dłoń niczym zrobiony na zamówienie.

Wachmistrz schował zakup i poklepał zadowolony kieszeń spodni. Poczł się duzo lepiej. Pociągnął nosem. Wyczuł knedle i kiełbasę podgrzewane na przenośnym piecyku. Dał się poprowadzić nosowi i kupił nadziewaną kluskę wbitą na patyk. Zjadł ją w dwóch kęsach, parząc sobie język. Była soczysta, słodka i rozkosznie wypełniała żołądek.

Wtedy zobaczył Astę. Miała na sobie letnią sukienkę w groszki. Szła z torbą wypełnioną zakupami od strony Schwedeldorferstrasse. Przyciągała wzrok – Schulz widział, jak kilku robotników przerywa pracę i rozbiera ją wzrokiem. Odżyła, jakby nauczyła się czerpać z życia pełnymi garściami. Uniósł dłoń, przyciągając jej uwagę. Podeszła, witając się z uśmiechem.

– Wyglądasz wspaniale...

O dziwo, kluska, którą przełknął, nie utknęła mu w gardle. Schulz zawsze ganił się za swoją toporność i to, że brakowało mu języka w gębie, gdy go rozpaczliwie potrzebował. Teraz komplement przyszedł mu z łatwością, wypowiedział go też takim tonem, że Asta się zarumieniła.

– Dziękuję. Postanowiłam wreszcie wyciągnąć ją z szafy – odparła skromnie i nieco zawstydzona.

– Powinnaś częściej chodzić w takich sukienkach.

Najwyraźniej zrobił wrażenie tą uwagą, bo zobaczył w jej oczach wdzięczność, poczuła się swobodniej.

– Może napijesz się kawy u Moltkego? – zaproponował.

Nie poznawał sam siebie. Ta wewnętrzna przemiana była znaczniejsza, niż podejrzewał. Trudno było mu dociec jej przyczyny.

– Czemu nie?

Aż przeszył go dreszcz. Udało mu się, przyciągnął uwagę Asty, zainteresował ją. Czy wszystko zależało od nastawienia? A może od przedmiotu, który trzymał w kieszeni, a który dodał mu pewności siebie niczym talizman? Nie, Schulz nie wierzył w magię i moc tajemniczych artefaktów.

Wachmistrz przepuścił Astę przed sobą w tłumie oblegającym stoiska. Wciągnął w nozdrza zapach jej perfum. Miał ochotę dotknąć jej dłoni. Powstrzymał się jednak.

– To jak? Zapakować szanownemu panu sztucce dla małżonki? – Sprzedawca wystawił w ich stronę pudełko ze lśniącym w słońcu kompletem.

– Innym razem – powiedział ze śmiechem. Jeszcze niedawno pewnie zaczerwieniłby się i tłumaczył, że towarzysząca mu kobieta nie jest jego żoną. Teraz nie miał nic przeciwko, by pozwolić wybrzmieć tym słowom.

– Chciałeś kupić sztucce? – zagadnęła Asta z rozbawieniem.

Uśmiechnął się w odpowiedzi. Zajął się torowaniem drogi do kawiarni. Chyba to milczenie zaintrygowało ją jeszcze bardziej.

Schulz zamówił dwie kawy i ciastka. Usiedli przy stolikach na zewnątrz. Rozmowa potoczyła się gładko. Wachmistrzowi rozwiązał się język, przede wszystkim jednak uważnie słuchał Asty. Dawno nie czuł się tak dobrze.

Kogo on oszukiwał? Nie potrafił zapomnieć o Aście i całkowicie się od niej odciąć. Może więc mógł się z nią zaprzyjaźnić? Być wsparciem, kiedy tego potrzebowała? Ale czy umiał pogodzić się z tym, że nigdy nie będzie jego?

Gdy wyszli z kawiarni Moltkego, dochodziło południe. Ruszyli w tę samą stronę, z której przyszli, ominęli targ i przy południowo-wschodnim narożniku ratusza przystanęli. Schulzowi nie było dane pożegnać się z Astą w spokoju, bo z urzędu wyszedł właśnie Zender. Dostrzegł ich z daleka i zaraz się przy nich pojawił.

– Gdzie się podziewasz do cholery, Schulz?! Masz robotę przy Frankensteinerstrasse! Czošek już tam na ciebie czeka!

– Idę – odpowiedział oschle Lothar.

– Idę, nadwachmistrzu – przypomniał szef Wydziału Kryminalnego.

– Idę, nadwachmistrzu – powiedział Schulz z uśmiechem. Nie miał najmniejszej ochoty odgrywać jakiegokolwiek roli w tej próbie sił. Ukłonił się Aście i poszedł w górę rynku powolnym krokiem.

– Rusz dupę, to nie piknik! – zawołał za nim Zender. – Zaraz tam do was dołączę. Niczego nie dotykać przy denacie, zabezpieczyć teren.

– Oczywiście, nadwachmistrzu – potwierdził Schulz i utrzymując to samo tempo co wcześniej, ruszył na miejsce zbrodni.

Zaledwie kilka minut wystarczyło mu, by dotrzeć do kamienicy. Wyminął asystentów policyjnych zabezpieczających wejścia do budynku i skierował się do bramy. Kolejny policjant wskazał mu ostatnie piętro. Tu, w pracowni, Schulz odnalazł nachylonego nad trupem Czoska. Obok niego stał wyraźnie poblady policyjny fotograf. Ten ostatni powinien być odporny na widoki miejsc zbrodni, więc jego mina mówiła wiele o stanie denata.

- Zgadnij, kto go znalazł – odezwał się Czosek na widok Schulza.
- Kto?
- Franz.

Schulz przetrwał tę informację. Franz po stracie stanowiska na rzecz Zendera usunął się w cień. Lothar próbował utrzymać z nim kontakt, ale ich relacje wygasły. Wachmistrz Koschella zaszył się w swoim wydziale i trudno było nawet powiedzieć, czym się zajmuje w ostatnim czasie. W jakiś jednak sposób trafił tutaj, do mansardy przy Frankensteinerstrasse, w której złożono zmasakrowane ciało mężczyzny. Musiało mieć to więc związek z tym, czym się zajmował.

- Co z patologiem? – zapytał Schulz.
- Jedzie, okazuje się, że Franz go wezwał przed powiadomieniem naszego wydziału.
- Mnie też wezwał – powiedział fotograf.

Stare przyzwyczajenia Franza wzięły górę. Mógł sprawę zostawić, ale postąpił tak, jakby wciąż należał do Wydziału Kryminalnego. Schulz nie sądził, by Zender docenił to oddanie pracy.

- Co tu mamy?

O wilku mowa. Zender wparował do pracowni i stanął przy Schulzu na szeroko rozstawionych nogach. Popatrzył na ciało, skrzywił się.

- Ten typ komuś się mocno naraził. Znamy personalia?
- Theodor Heigl, nadwachmistrzu – oznajmił Czosek.

Schulz pomyślał, że od Leona powinien się nauczyć kilku rzeczy. Kolega wiedział na przykład, jak rozgrywać Zendera – próżność tego capa była jego słabym punktem. Tyle że Lothar czuł się już za stary na takie gierki.

– Jakiś menel? – Zender potoczył wzrokiem po pracowni. Skrzywił się na widok obrazów. Nie poświęcił im zbytnej uwagi. – Ubogi artysta? Pewnie kolejna pijacka awantura.

– Jego rodzina należy do bardziej znanych w hrabstwie. – Schulz zdecydował się na wyjawienie tej informacji zawczasu, choć wiedział, że będzie ona nie w smak Zenderowi.

Inną uwagę zachował jednak dla siebie. Pijackich awantur widział bowiem sporo, ale jeszcze żadnej, która zakończyłaby się takim zmasakrowaniem zwłok. Schulz był kiedyś świadkiem wypadku samochodowego, w którym ofiara uległa zakleszczeniu. Zmarła na miejscu, a gdy ją w końcu wydłubano z wraku, wyglądała mu więcej jak odnaleziony denat.

- Co z Kuhnastem? – dopytywał przełożony. – Któryś do niego dzwonił?
- Tak – odpowiedział krótko Czosek.

Schulz pochwalił w duchu jego przezorność. Kolejna wzmianka o Franzu Koschelli podziałałaby na Zendera niczym płachta na byka. Mściłby się za to

domniemane przekroczenie kompetencji nie tylko na Franzu. Jego przytyki i histerie musieliby znosić również podwładni.

– Spóźnia się?

– Zaraz będzie – zapewnił Schulz. Słyszał warkot samochodu parkującego na podwórzu. Był pewny, że zwiastuje właśnie przyjazd patologa.

– Dzisiaj chcę mieć zdjęcia.

– Oczywiście, nadwachmistrzu – zapewnił fotograf.

– Ty, Schulz, przeświatl Heigla i jego znajomych. Czosek, przepytaj mieszkańców kamienicy.

– Tak jest, nadwachmistrzu.

Zender wydawał się zadowolony z wydanych dyspozycji. Popatrzył jeszcze raz na Heigla. Poruszył wypomadowanym wąsem i ruszył do wyjścia.

W progu zderzył się niemal z patologiem.

– Wreszcie pan jest – wydusił. – Proszę jak najszybciej o wyniki sekcji.

Kuhnast nie odpowiedział. Wyminął Zendera i wszedł do pracowni. Profesor wydał się Schulzowi blady i mocno roztrzęsiony. Nigdy go takim nie widział. Uznał jednak, że to wpływ nowego szefa Wydziału Kryminalnego.

*

– Nie wiem, czy komisarz pana przyjmie, wachmistrzu.

– Poczekam. To ważna sprawa.

Sekretarz policyjny Erich Mielke skinął głową i uśmiechnął się ze zrozumieniem. Pracował tu już wystarczająco długo, by się zorientować, że komisarz Richter traktuje Franza Koschellę jak zadżumionego. Powrócił więc do swoich zajęć.

Mijały długie kwadransy. Do komisarza weszło kilku innych policjantów, i to bez wcześniejszego umówienia. Wychodząc, patrzyli na Koschellę ze współczuciem, a on starał się tego nie zauważać. Richter był pamiętliwym sukinsynem. Upokarzał Franza z rozmysłem. Wachmistrz jednak nie zginał karku i nie dawał się wyprowadzić z równowagi. Z pracy w policji nie zamierzał odchodzić. Poddanie się tej presji byłoby dla niego największym upokorzeniem.

W godzinach popołudniowych pojawił się Zender. Wyminął Koschellę bez słowa. Na sekretarza też nie zwrócił szczególnej uwagi, choć jeszcze kilka miesięcy wcześniej sam zajmował to stanowisko. Zapukał dwukrotnie w drzwi. Na dźwięk szorstkiego polecenia, nacisnął klamkę i wszedł do środka.

Franz przewidział scenariusz, który właśnie rozgrywał się na jego oczach. Miał się zamiar przekonać na własnej skórze, na ile jest przewidujący. Ustawił kilka

kostek domina, wierząc, że ich przewrócenie poskutkuje konkretnym wynikiem. Czekał cierpliwie, spokojny i przygotowany.

Sekretarz uniósł słuchawkę i odebrał wewnętrzne połączenie. Wychylił się zza kontuaru i spojrzał na Koschellę.

– Ma pan wejść, wachmistrzu.

Franz skinął głową i wstał z krzesła.

– Powodzenia. – Sekretarz uśmiechnął się krzepiąco.

Koschella nacisnęła zatłuszczoną klamkę i wkroczył do jaskini lwa.

Komisarz Richter siedział z nogą założoną na nogę. Wpatrywał się w okno, jakby roztrząsał jakąś szczególnie ważną kwestię. Naprzeciw niego, na krześle, siedział Zender. Patrzył na przełożonego z tajemniczym, złośliwym uśmieszkiem.

Koschella stanął naprzeciw biurka obok szefa Wydziału Kryminalnego.

– Jestem, komisarzu – oznajmił.

– Coście tam robili, Koschella? Jak to się stało, że znaleźliście trupa?

– Trafiłem tam w związku z prowadzonym przeze mnie śledztwem, komisarzu.

– Trupami zajmuje się Wydział Kryminalny – wtrącił się Zender, wciąż patrząc na szefa. Franza nie zaszczylił nawet krótkim spojrzeniem. – Może wachmistrz zapomniał, że nie ma już nic wspólnego z Wydziałem Kryminalnym?

– Do Heigla wybrałem się, żeby z nim porozmawiać, zakładałem więc, że jest żywy. Z trupa, jak pan wie, nadwachmistrzu Zender, zbyt wiele wyciągnąć nie można.

– Dość, Koschella – rzucił ostro komisarz i wbił spojrzenie w wachmistrza. Dla Franza była to nowość, wzrok komisarza skupił się na nim po raz pierwszy od wielu miesięcy. Zaczynał za tym tęsknić. Miał chyba w sobie coś z masochisty. – O czym pan chciał rozmawiać z Heiglem? Co to za śledztwo?

– Stymulanty – oznajmił Koschella, zadowolony, że oto upadła kolejna kostka domina.

– Stymulanty? Co nas one obchodzą?! – zagrzmiał Richter.

– Obchodzą nas na pewno lichwa, dziewczyny, hazard i używki – odparł beznamiętnie Franz. – W mieście doszło w ostatnich miesiącach do dużych zmian. Pojawiła się nowa grupa, która przejęła interesy. Zdaje się, że wszystko skupiło się w rękach kogoś z zewnątrz. Wczoraj zatrzymałem niejakiego Brunona Hellera, który zastąpił w mieście dobrze nam znanego Łysego.

– I czego się dowiedziałeś?

– Nie zdążyłem go przepyttać. Został zwolniony z polecenia nadwachmistrza Zendera.

– To podejrzany w śledztwie prowadzonym przez nasz wydział. Rozpracowujemy go od kilku miesięcy – wtrącił Thomas. – Poinformowałem już wachmistrza Koschellę, że tym aresztowaniem, którego z nikim nie

skonsultował, naraził nasze kilkumiesięczne dochodzenie na fiasko! Wszedł z buciarami nie na swój teren!

Zender podniósł głos, co w obecności Richtera nie było szczególnie dobrym pomysłem. Komisarz się zaczerwienił. Rozplótł palce i oparł dłonie na blacie. Franz nie zamierzał się wdawać w słowne przepychanki. Czekał. Kostki domina się chwiały, brakowało jeszcze jednego elementu, który wpasowałby się między pozostałe. Tak niewiele, by przewrócić Zendera.

– Co ma wspólnego ten lichwiarz z Heiglem? Gdzie związek? – zapytał komisarz.

– Nie bezpośredni – zastrzegł Koschella, wyczuwając zastawioną pułapkę. – Uczulony przez nadwachmistrza Zendera starałem się, żeby nie wejść z butami w jego tajemnicze dochodzenie. Zająłem się tylko swoją robotą. Od kilku tygodni docierają do mnie informacje o nowej grupie działającej w mieście. – Kłamstwo gładko przeszło Koschelli przez gardło. Podejrzewał jednak, że w tej konfabulacji może być więcej niż ziarno prawdy. – A że Heigl, znany morfinista, w tym samym czasie wrócił do miasta, to znalazł się na mojej liście osób do skontrolowania. Chciałem sprawdzić jego drogi zaopatrzenia i dowiedzieć się, co go tu przywiodło.

Richter zmarszczył brwi. Przeniósł wzrok na Zendera.

– Nasze śledztwo jest rozwojowe – odezwał się szef Wydziału Kryminalnego. – Obserwujemy kilku oprychów, którzy pojawili się w ostatnim czasie w Kłodzku. Mamy ich bogate dossier...

Richter podniósł dłoń, przerywając podwładnemu.

– Wachmistrzu Koschella, przekaze pan wszystkie dotychczasowe ustalenia związane z tą grupą i Brunonem Hellerem Zenderowi.

– A co z moim śledztwem?

– Zajmie się pan czymś innym.

Zender odzyskał rezon, na jego twarzy znów pojawił się cyniczny uśmiezek. Franz się zawahał, jednej kostki domina zabrakło. Ta wyrwa całkowicie mogła zniweczyć jego plan.

– Komisarzu...

Nie było mu dane dokończyć zdania, bo na biurku rozdzwonił się telefon. Richter chwycił słuchawkę. Odkasznął, co wyglądało na jakieś natręctwo poprzedzające rozmowę na odległość.

– Słucham!

Głosu po drugiej stronie Franz nie zdołał usłyszeć. Obserwował jednak Richtera, w którego twarzy zawsze można było czytać jak w otwartej księdze. Szczeciniaste brwi komisarza zbiegły się, tworząc niemal poziomą linię. Drgnął

mu policzek, usta otworzyły się, jakby chciał wejść rozmówcy w słowo, zaraz jednak na powrót się zamknęły.

– Rozumiem.

Brwi rozdzieliły się, na szyi za to pojawiło się kilka czerwonych plam. Wzrok Richtera, który jeszcze przed chwilą błędził po biurku, przeniósł się na Koschellę.

– Muszę to rozważyć.

Przy tych słowach komisarz wciąż wpatrywał się we Franza, ten miał więc pewność, że w tej rozmowie chodzi o niego. Już się domyślał, kto dzwoni do Richtera. Zender, który nie miał pojęcia, co się dzieje, niespokojnie wiercił się na niewygodnym krześle. Zapewne ustawiał własne domino, dorzucono mu jednak jeden niepasujący element, z którym niełatwo było mu sobie poradzić.

– Oczywiście, zastanowię się. Dziękuję. Do widzenia, profesorze.

Richter odłożył słuchawkę na widełki i powoli wypuścił powietrze z płuc. Milczał, zaczął za to uderzać palcami o blat biurka. Nawet Zender miał na tyle instynktu samozachowawczego, żeby się nie odzywać.

Franz wiedział, że właśnie ważą się jego losy. Wszystko zależało od tego, jaką siłę przebiccia i jaki wpływ na Richtera miał August Kuhnast. Wachmistrz był pewny, że to właśnie on dzwonił do komisarza. Domyślał się, że patolog, powołując się na lata znajomości i zapewne liczne przysługi oddane kłodzkiej policji, wystosował do Richtera prośbę. W tej prośbie osoba Franza miała niepoślednie znaczenie.

Pogrzebowy marsz wybijany opuszkami palców urwał się w połowie taktu.

– Będzie tak, jak powiedziałem – oznajmił Richter. – A pan, Koschella, skoro nie masz pan nic do roboty, jutro pojedziesz do Gorzanowa. Trzeba pomóc w zabezpieczeniu tamtejszego wydarzenia. Brakuje tam porządkowych.

Franzowi pociemniało przed oczami. Pospiesznie wyszedł z gabinetu.

*

Do pokoju wsącał się chłodny powiew i łagodził gorączkę trawiącą ciało. Germain sięgnął po paletę, zaschnięta farba przypominała krew. Z obrzydzeniem odrzucił przedmiot. Paleta potoczyła się po podłodze z głuchym łoskotem. Ulm skrzywił się, zasłonił uszy. Ten dźwięk rezonował w czaszce jeszcze długo.

Sięgnął po farby, wycisnął je na własne ciało, na klatkę piersiową i brzuch. Chwycił słoik z pędzlami i drżącymi palcami wybrał jeden. Chwiejnie zbliżył się do płótna i wpatrywał się w nie przez długą chwilę. Twarz umierającego wydawała mu się raz piękną, raz zdeformowaną, jakby kryła dwa oblicza. Wciąż

były niedookreślone, a artysta nie miał jeszcze pewności, które ma dominować. Germain postanowił wydobyć to właściwe.

Włosie połaskotało skórę. Przesunął pędzlem wokół sutka, zjechał w dół, do wypukłego pępka. Uniósł dłoń. Drżała, spróbował ją więc ustabilizować, chwytając drugą za nadgarstek. Drżenie przeniosło się jednak na całe ciało. Pocił się, bolały go mięśnie i kości, słabość objęła kończyny i głowę. Nie miał siły stać na trzęsących się kolanach.

Ulm osunął się na podłogę. Z trudem obrócił się na plecy. Każdy ruch wymagał ogromnego wysiłku, mężczyzna trząsł się niczym w febrze. Jego umysł odbywał podróż, nad którą nie miał kontroli. To były krótkie przebłyски, w których zanurzał się na kilka sekund niczym w gorącej wodzie. To jednak wystarczało, by obrazy wbiły mu się w pamięć, a zapachy i smaki połączyły się ze sobą. Ciemność, twarze zatrzymane w nieruchomych kadrach, urywki zdań. W większości niezrozumiałe, jakby wypowiedane od tyłu. Nocne niebo. Szybujący ptak, opary unoszące się nad leżącym na bruku ciałem.

Znów krew. Mnóstwo krwi. Otwarta dłoń, w niej ochłap ludzkiego mięsa.

Poryw wiatru szarpnął okiennicami. Było ciemno, niebo nad miastem zasnuły ciężkie chmury. Grzmot przetoczył się nad dachami kłodzkich domów. Ulm podniósł się z podłogi, doczołgał do okna. Złapał za parapet i udało mu się podciągnąć do góry. Chciał się wspinać dalej, aż do momentu, w którym poczułby pod stopami gzyms kamienicy. Wtedy wzbiłby się w powietrze. Skóra na łopatkach piekła, coś wyrzynało się przez nią, próbując wydostać się na świat.

Nie udało mu się, znów osunął się na podłogę. Skulił się, podciągając kolana pod brodę. Rozbłysk burzy rozświetlił pracownię. A jednak ukończył obraz, nad którym pracował. Nawet nie zarejestrował, kiedy to się stało. Musiał pracować w malignie. Plac Kościelny, na bruku ciało mężczyzny... Ksiądz Reiser. Znał go? Oczywiście, że tak. Odbyli wiele rozmów, uważnie słuchał Paula, wręcz chłonał jego słowa. Reiser zobaczył go już pierwszego dnia, gdy Ulm postanowił wyjść w miasto ze swoją sztalugą i płótnem. Duchowny stał często za plecami Germaina i przyglądał się jego pracy.

Ulm podczołgał się pod sztalugę, objął ją ramionami. Uniósł głowę i spojrzał w stronę leżącego bez życia Reiser. Próbował dotknąć ustami kałuży krwi. Gdzieś w jego głowie otworzyła się furka, przez którą wpuścił do tego świata demony. Kolejny rozbłysk. Był pewny, że otaczają go nieruchome postaci, nienaturalnie wysokie, okryte białymi całunami.

To przykryte sztalugi, tłumaczył sobie. Poruszały się jednak jak żywe. Unosiły dłonie, sięgały w jego stronę. Ulm krzyczał i ten krzyk był bezgłośny, piskliwy, nieludzki. Najbliższy z demonów pochylił się nad nim. Zachwiał i runął

w objęcia Ulma. Germain usłyszał trzask pękającej sztalugi. Sięgnął po materiał, by odsłonić twarz prześladowcy.

Pustka. Wymacał dłońmi pustkę. Nowa myśl dodała mu sił. Podniósł się, podszedł do kolejnych sztalug, zrzucił z nich prześcieradła. Nie śnił, wczoraj zabrali wszystkie obrazy.

Mężczyzna bezsilnie opadł na podłogę. Przesunął dłońmi po chropowatym, pokrytym farbą tułowiu. Strup rozdzielał jego klatkę piersiową i brzuch niczym blizna po operacji. Ulm wyobraził sobie, że przez tę szczelinę wypuszcza z siebie wszystkie demony. Ukończył zlecenie, były mu to winne. Teraz miały zostawić go w spokoju.

Położył się, przymknął oczy. Śniło mu się, że skrzydła wreszcie wyrznęły się przez skórę. Mógł je w końcu rozłożyć i wzbić się w powietrze.

GORZANÓW, LIPIEC 1923 ROKU

Wilhelm Klein wstał wcześnie. Zjadł śniadanie w swoim pokoju. Unikał korytarzy, na których pojawiło się kilku zaproszonych do Gorzanowa znajomych hrabiego. Samego Herbersteina wciąż w zamku nie było, miał przyjechać dopiero przed południem.

Kapitan podszedł do okna i wyjrzał w stronę parku. Ludzie nadciągali od strony stacji kolejowej. Otoczona potężnymi drzewami polana wydawała się stworzona do tego, by pełnić funkcję naturalnej sceny zbliżającego się widowiska. Pogoda zapowiadała się bezdeszczowa i słoneczna. Po nocnej burzy nie pozostały nawet kałuże. Ciepło poranka usunęło nagromadzoną wilgoć, a to pobudziło przyrodę do życia.

Klein powrócił do lektury powieści, którą wybrał z pałacowej biblioteki, trudno było mu jednak skupić się na fabule. Myślał już o wyjeździe i decyzji, która wydawała się nieunikniona. Wybór kierunku podróży miał większe znaczenie, określał nim swój cel na najbliższe miesiące, a może i lata.

Wilhelm popatrzył na walizkę stojącą przy szafie. Był pewny, że wszystko spakował poprzedniego dnia. Dlaczego więc wciąż towarzyszyło mu uczucie, że czegoś zapomniał?

Odłożył książkę na stolik i po chwili wahania wyszedł z pokoju.

Kiwał głową witającym go obcym ludziom. Odniósł wrażenie, że doskonale wiedzą, kim jest. On widział ich pierwszy raz w życiu.

Skrzydło, w którym przydzielono mu pokój, nazywane było apartamentami Karla von Holtei. Wspomnienie tego poety i reżysera teatralnego było w Gorzanowie wciąż żywe. Blisko wiek wcześniej Hieronim von Herberstein powołał do życia w pałacu teatr dworski. Przez kilka lat przedstawienia w każdym sezonie odbywały się tu nawet trzy razy w tygodniu. Wystawiano

Szekspira, Goethego i Schillera. Było to możliwe dzięki zaangażowaniu Holtei, który przez kilka lat pełnił funkcję dyrektora artystycznego.

Obecny dziedzic pałacu próbował chociaż w małym stopniu pójść śladami przodka. Nie zdecydował się na ponowne uruchomienie teatru, jednak dzięki jego zaangażowaniu w Gorzanowie latem zaczęły się odbywać misteria pasyjne. Sukces tego przedsięwzięcia był bezsporny. Kilka tysięcy ludzi gromadzących się w parku i ponad setka aktorów świadczyły o rozmachu, który zaspokajał gusta nawet najwybredniejszych krytyków z dużych miast.

Klein wyszedł z pałacu na polanę. Gromadzili się tu nie tylko mieszkańcy Gorzanowa i okolicznych miast i miasteczek, ale także pielgrzymi, którzy zapewne przybywali z daleka. Ławy wystawione przed sceną w dużej części były już zajęte. Ci, którzy chcieli mieć dobre miejsca, wspinali się na wzniesienie i tam siadali na kocach i chustach, po czym spożywali zapasy z koszyków piknikowych. Nastrój był radosny, świąteczny i Klein ze zdziwieniem odnotował, że sam mu ulega. Biegająca dzieciarnia urządziła sobie wyścigi w górę i dół zbocza. Odświętne ubrania były już zielone od świeżo skoszonej trawy, a niektóre pośladki zapewne obtłuczone za nieostrożność szorstkimi dłońmi matek i ojców.

– Panie Klein, miło mi pana poznać.

Wilhelm odwrócił się do puciołowatego mężczyzny, który stanął u jego boku.

– Robert Hollman. Jestem kierownikiem szkoły i rektorem gorzanowskiego chóru.

– Miło mi. – Klein uściśnął wyciągniętą prawicę.

Hollman musiał się denerwować, bo dłoń miał mocno spoconą.

– Pan pierwszy raz na naszej pasji, kapitanie?

– Pierwszy.

– Mam nadzieję, że będzie pan pod wrażeniem. Wszyscy wkładamy w to wydarzenie całe serce.

– Obserwuję przygotowania od jakiegoś czasu, więc nie wątpię w pana słowa. Jestem pewny, że widowisko będzie wspaniałe.

– Dziękuję, bardzo dziękuję. – Hollman skinął głową wyraźnie zaaferowany. – Mam nadzieję, że hrabia zdąży. Wciąż nie dotarł?

– Wydaje się, że nie – przyznał Klein. – Przynajmniej ja go jeszcze nie widziałem.

– Jezus też się spóźnia. – Hollman ciężko westchnął.

– Jezus się spóźnia?

– Mam na myśli aktora. – Rektor zaśmiał się urywanym, nerwowym śmiechem. – W tym roku w rolę Jezusa wcielił się kłudzki starosta Karl Puschke.

– Jestem pewny, że przybędzie na czas – zapewnił Klein.

– Oby, oby! – Hollman złożył dłonie jak do modlitwy. – Wracam na scenę, mamy jeszcze ostatnią próbę chóru z księdzem Gajdą ze Starego Wielisławia. Miło pana poznać, panie kapitanie.

– Przyjemność obopólna, panie rektorze.

Hollman zbiegł ze wzniesienia. Wyglądało to pokracznie, kilka osób zaśmiało się, przeczuwając zapewne, że ten wysoki jak tyczka mężczyzna złoży się zaraz wpół, gdy pod wpływem ciężenia ugną się pod nim nogi. Rektor jednak wybronił się przed upadkiem całkiem udanym ślizgiem. Musiał często jeździć na łyżwach na okolicznych stawach. Po chwili zniknął w tłumie.

Klein poszukał cienia drzew na skraju polany. Stąd obserwował ludzi tłumnie nadciągających pod pałac. Sam unikał ciżby, lecz teraz ten widok działał na niego hipnotycznie i trudno było mu odwrócić wzrok.

*

Franz Koschella wysiadł z pociągu razem z tłumem podróżnych, który wylał się z wagonów na peron. Wachmistrz nad głowami pielgrzymów widział jedynie błękitne niebo i ceglany budynek stacji. Towarzyszył mu Ernst Makowski. W czasie tej podróży młody wachmistrz przypominał Franzowi psa, który najchętniej wystawiłby wielki łeb przez okno i wywalił język na wiatr.

Ernst zachowywał się jak na szkolnej wycieczce. Może po raz pierwszy opuszczał Kłodzko i podróż pociągiem była dla niego spełnieniem marzeń. Franz, w ścisku i tłoku, klął w myślach, na czym świat stoi.

Nie pozwolono mu na podróż samochodem, chociaż dwa stały beczynnie w policyjnym garażu. Franz był pewien, że Zender kazał je sobie zarezerwować dla Wydziału Kryminalnego tylko po to, by Koschella odbył podróż pociągiem, a potem z buta drałował ze stacji do pałacu.

Gdy znalazł się w Gorzanowie, trochę się uspokoił. Uważnie popatrywał po podróżnych, szukając wzrokiem kieszonkowców z Kłodzka, żadnego jednak nie wyłapał – być może jeszcze nie dotarli na miejsce. Był jednak pewien, że nie przepuszczą okazji, by kogoś oskubać w kilkutyśnym tłumie.

– Piękna pogoda, jakby specjalnie na ten dzień.

Franz mógł się zgodzić z Makowskim. Było przyjemnie, słońce grzało już dosyć mocno, ale łagodny wietrzyk sprawiał, że wzrastająca temperatura nie była uciążliwa. Na moście nad Nysą Koschella zobaczył kilku porządkowych. Nie przystanął przy nich, bo nie mieli specjalnie wiele do roboty. Po zeszłorocznej gorzanowskiej pasji ludzie dokładnie wiedzieli, dokąd iść i czego się spodziewać. Tłum był pełen radosnego wyczekiwania, zapewne świąteczny nastrój sprawiał, że nikt się nie spieszył, a gwar rozmów nie był uciążliwy.

Zapowiadał się spokojny dzień. Franz wypatrywał żony i synów. Tak naprawdę powinni być już pod pałacem, przyjechali wcześniejszym pociągiem. Opitz i Haim nie byli w stanie usiedzieć w domu, nosiło ich, Barbara postanowiła więc zabrać ich wcześniej. Planowali wspólny piknik. Była to wprawka przed wyjazdem na dwutygodniowe letnisko na wieś. Jechali tam sami i Franz trochę żałował, że nie będzie mógł do nich dołączyć. Richter nie udzielił mu zgody nawet na krótkie wakacje. Owca

Figura świętego Jana Nepomucena górowała na cokole; Franz zapatrzył się na nią i niemal przewrócił. Tuż przed nim przeszedł karzeł. Nawet się nie zatrzymał, przeciskał się pomiędzy ludźmi, lawirując między nimi. Nosił wiosenny płaszcz i melonik wciśnięty na nieproporcjonalnie dużą głowę. Franz zauważył go kilka razy w Kłodzku, niewiele jednak o nim wiedział. Mężczyzna zniknął mu z oczu, a Koschella znalazł się przy bramie prowadzącej na pałacową polanę.

– Jak wam idzie? – zagadnął, zatrzymując się przy grupce policjantów z Bystrzycy, do których należało zabezpieczenie gorzanowskich uroczystości.

– Dzień dobry, wachmistrzu. Wszystko gra. Mieliliśmy zgłoszenie o zaginięciu jednego bachora. Już go odprowadziliśmy do rodziców.

– Czyli na razie spokojnie?

– Nic się nie dzieje.

Franz pokiwał głową. Rozglądał się uważnie. Kieszonkowców wciąż nigdzie nie widział. Zupełnie jakby zapomnieli o okazji, którą dawało dzisiejsze święto. Może zniknęli wraz z Łysym?

– Kto zabezpiecza scenę?

– Jeden od nas.

– Nie za mało?

– W ubiegłym roku wystarczyło, wachmistrzu.

– Jasne – zgodził się Franz. – Podejdziemy tam. Spokojnego dnia.

Kiwnięcia głowami. Policjanci powrócili do rozmowy. Nie wyglądali na zbyt czujnych, to nie Franzowi jednak podlegali, trudno więc, żeby miał ich przywracać do porządku.

Wachmistrz ruszył w stronę bramy, a z nim Makowski. Na miejsce, w którym miała się odbywać gorzanowska pasja, można się było dostać jednym z kilku wejść, ruch jednak nieco się przyblokował, bo ludzie po dostaniu się na teren parku odruchowo przystawali, poszukując miejsca, które mogliby zająć.

– Był pan tutaj w zeszłym roku, wachmistrzu? – zapytał Ernst.

– Nie.

– Ja byłem. Nic szczególnego się nie wydarzyło. Dwa omdlenia, kilkoro zagubionych smarków i skręcona kostka. A nie... wróc, był jeszcze jeden wariat, który podawał się za Jezusa. Szybko go odeskortowaliśmy do lekarza.

Ernst zaśmiał się rubasznie. Franz słuchał go jednym uchem. Zanotował jedynie, że Makowski środkami lokomocji podróżował jednak już wcześniej. Przejście przed nimi wreszcie się otworzyło. Wachmistrz odnalazł wolną przestrzeń i ruszył w stronę sceny. Większość ław była już zajęta. Koschella wypatrzył punkt, z którego miał dobry widok na cały park. Udał się w tamtym kierunku.

– Zaraz się zacznie – oznajmił Ernst z nabożną czcią w głosie.

Rzeczywiście, tłum na dojazdowych drogach zaczął rzednąć, a park wypełnił się gęstą ciżbą. Do uszu Franza dotarły pierwsze takty kościelnych pieśni.

Wachmistrz nie był jakoś szczególnie religijny, ale to, co miał przed oczami, nie wyglądało mu na teatr, raczej na nabożeństwo. Do chóru dołączyli ludzie, muzyka wypełniła przestrzeń, przyprowadzając o cierpienie skóry. Śpiewy w końcu ucichły, a na pierwszy plan przebił się mówca, który przedstawił się jako prorok. Cytował wersy ze Starego Testamentu.

Wybierając miejsce, Franz rzeczywiście miał nosa. Ujrzał wjazd Jezusa do Jerozolimy i tłum towarzyszący Mesjaszowi. Było to ponad dwieście osób ubranych w kolorowe szaty z gałązkami oliwnymi w dłoniach. Widok rzeczywiście robił wrażenie na widzach. Nawet dzieciaki wytrzeszczały oczy na tłum statystów i górującego nad nimi Jezusa.

Mijały scena za sceną. Głos chóru to wznosił się to opadał, a Franz wyczuwał coraz większe napięcie. Wszyscy niby wiedzieli, co się wydarzy i jaki będzie punkt kulminacyjny, jednak oglądanie pasji było doznaniem zupełnie wyjątkowym. Ostatnia wieczerza i zdrada Judasza dostarczyły wszystkim wiele emocji. Franz widział, jak tłum żywo reaguje na kolejne sceny. Nie zazdrościł aktorowi grającemu Judasza – gdyby w porę nie zniknął ze sceny, pewnie od nagromadzenia złych spojrzeń padłby trupem. Wtedy też wachmistrza naszała myśl, że najlepiej do tej roli pasowałby znienawidzony starosta Puschke. Wypadłoby to jeszcze naturalniej.

W modlitwie Jezusa na Górze Oliwnej uczestniczyli wszyscy widzowie, co do jednego. Słyszając ten chóralny głos tłumy, Franz czuł dudnienie we własnej czaszce i klatce piersiowej. Przesłuchanie przed Herodem i Piłatem spowodowało mocniejsze bicie serca i Koschella, zapatrzony w wydarzenia na scenie, uznał, że jest świadkiem czegoś zupełnie wyjątkowego.

– Ukrzyżuj go! Ukrzyżuj go!

Te słowa wypowiedane przez żądny krwi tłum budziły w nim wewnętrzny sprzeciw. Pozostało mu jednak tylko przyglądać się temu w milczeniu.

Scena dźwigania krzyża stała się dla wielu ogromnym przeżyciem. Do uszu Franza dochodziły westchnienia i okrzyki. Ludzie stali jak zahipnotyzowani, przepełnieni jakimś nabożnym lękiem. Jezus zniknął za kurtyną. Prorok odczytał

kolejny biblijny tekst. Wszyscy czekali na to, co się wydarzy. Franz próbował odszukać wzrokiem Barbarę i synów, ale nie zdołał ich dostrzec. Przed oczami mignął jednak ktoś inny. Zupełnie zapomniał, że kapitan Klein wciąż może korzystać z gościny hrabiego Herbersteina. Wilhelm stał niedaleko, wpatrzony w scenę, oczekując, jak wszyscy, finału.

Kurtyna uniosła się wreszcie, a jej ruchowi towarzyszył narastający głos chóru. Widzowie wyglądali na wstrząśniętych widokiem, który ukazał się ich oczom. Nawet na Koschelli zrobił wrażenie obraz Mesjasza, który wisiał na krzyżu, z koroną cierniową na głowie. Z jego brzucha sączyła się krew, widoczna nawet z dużej odległości, i rozlewała się w kałużę na deskach sceny. Wyglądało to tak realistycznie, że nawet aktorzy stali jak oniemiały. Jakby wszyscy pograżyli się w niezrozumiałym letargu. Widzowie czekali na ostatnie słowa umierającego Syna Bożego, te jednak nie nadeszły.

– Dokonało się! – zagrzemiał prorok, jednak jego głos został zagłuszony przez przeraźliwy krzyk aktorów znajdujących się najbliżej ukrzyżowanego.

– Co jest, kurwa? – Makowski wychylił się, żeby lepiej widzieć. – Tak miało być?

Franz złapał towarzysza za rękaw i pociągnął za sobą. Odpychał ludzi zagradzających mu drogę. Stali jak bezwolne kukły, nie rozumiejąc, czego są właśnie świadkami.

Koschella, przedzierając się w stronę sceny, miał przed oczami jeszcze inny obraz. Pojawił się znieczulacz i nałożył na ten rzeczywisty. Dostrzegł w nich podobieństwa i różnice. Mansarda Heigla, płótno przedstawiające ukrzyżowanego Jezusa, które tak poruszyło go zaledwie wczoraj. Postać umierającego z głową opadającą na pierś, zasłoniętymi ustami i przebitym brzuchem na wysokości pępka.

– Opuścić kurtynę! – zawołał Franz, wbiegając po schodach na scenę. – Natychmiast!

Ktoś z obsługi wykonał polecenie, odgradzając denata od widowni. Na scenę wbiegło kilku kolejnych policjantów, którym udało się przedrzeć między ciasno stojącymi widzami.

– Ściągnijcie go! Ściągnijcie! Trzeba wezwać lekarza!

To musiał być dyrektor artystyczny Heilburg. Mężczyzna próbował podbiec do wiszącego na krzyżu, ale Koschella zagroził mu drogę.

– Zostawić! – zarządził. – Odsunąć się! Policja!

– Ale on jeszcze...

– Już mu nie pomożemy.

Franz szybko się zorientował, że krew, która zebrała się pod krzyżem, nie pochodziła jedynie z głębokiej rany w boku. Dostrzegł przecięte tętnice udowe.

Krew przestała już nawet wypływać z ciała.

– Boże, to starosta, zamordowano starostę!

– Poinformujcie ludzi o zakończeniu przedstawienia. Mają się rozejść! – zakomenderował wachmistrz, zwracając się do bystrzyckich policjantów. – Dwóch z was niech odgrodzi scenę ławkami. Jeden do pałacu, do telefonu, poinformujcie o sytuacji nadwachmistrza Zendera z Kłodzka.

Mundurowi bez szemrania przystąpili do wykonywania poleceń.

– Czy na scenę można wejść tyłem? – chciał wiedzieć Koschella.

– Od tamtej strony. – Heilburg wskazał zasłonę poruszaną przez wiatr.

– Makowski, sprawdź to, zatrzymaj każdego, kto się tam kręci.

Ciężkie buciory Ernsta zadudniły na deskach sceny.

– Panie Heilburg, kto towarzyszył za kurtyną staroście podczas ukrzyżowania?

Mężczyzna potrząsnął głową. Zasłaniał dłonią usta, ledwie trzymał się na nogach.

– Ja i Alois Heinze, scenograf. Pomogliśmy staroście wejść na krzyż, przywiązaliśmy go... Boże...

Franz zobaczył, jak starszy mężczyzna, równie roztrzęsiony jak Heilburg, unosi dłoń.

– Pan Heinze?

– Tak – potwierdził scenograf.

– Tylko panowie byli przy nim?

– Tylko my. – Heilburg patrzył na wiszącego na krzyżu, wytrzeszczając oczy.

Był jeszcze bledszy od denata.

– Co potem?

– Zostawiliśmy go...

– Samego?

– Samego – potwierdził Heinze, bo Heilburg stracił głos.

– Jak długo był na scenie sam, odgrodzony od ludzi?

– Pięć, może dziesięć minut.

– Pięć czy dziesięć?

– Dziesięć, pieśń się przedłużyła...

– Kto był z tyłu sceny?

– Nikt, wszyscy byliśmy przed sceną – zapewnił Heinze.

Zasłona poruszyła się. Koschella był pewny, że to Makowski wrócił z rekonesansu, ale w przejściu zobaczył kogoś innego.

– Wachmistrzu, panowie...

Kapitan Klein zatrzymał się kilka metrów od miejsca zbrodni. Szybko omiótł wzrokiem denata, krzyż i scenę u jego stóp. Wydawało się, że błyskawicznie

zarejestrował mnóstwo szczegółów. Franz nie skomentował pojawienia się wojskowego śledczego.

– Proszę sporządzić pełną listę nazwisk osób, które miały dostęp do sceny, panie Heilburg. Wszystkich: tak panów, jak i aktorów, statystów oraz obsługę poproszę o przejście do pałacu. Nikt nie może opuścić Gorzanowa.

– Oczywiście – zapewnił łamiącym się głosem dyrektor artystyczny. – To okropne, ten, kto dokonał tej zbrodni... w taki sposób, panie wachmistrzu... ja miałem...

Heilburgowi znów zabrakło słów. Wachmistrz wcale mu się nie dziwił. Wiedział, że w zeszłym roku to on grał postać Jezusa, dopiero w tym zastąpił go starosta Puschke.

– Niech panowie już idą. Proszę pamiętać o moim poleceniu.

Obaj mężczyźni w towarzystwie kilku aktorów zeszli ze sceny. Franz odwrócił się do Kleina, z którym zostali na miejscu zbrodni sami.

– Odbiorą ci tę sprawę, Franz?

– Zapewne.

Klein skinął głową. Znów wpatrywał się w trupa.

– Brzuch, a nie bok – powiedział.

– To prawda – przyznał wachmistrz, patrząc na ranę pod żebrami starosty.

– Morderca dużo ryzykował.

Liczba pojedyncza, to Franz zanotował w myślach. Klein miał nieco więcej czasu na przyjrzenie się miejscu zbrodni. Zapewne doszedł już do jakichś wniosków.

– Heilburg i Heinze ułatwili mu sprawę. Puschke był mocno przywiązany. Dziesięć minut wystarczyło na zasłonięcie ust, podcięcie tętnic i przebicie brzucha.

– Tak, dokładnie w tej kolejności – przyznał Klein. – Lecz z jeszcze jednym szczegółem... Nie spieszył się, miał wszystko dokładnie zaplanowane. Wybrał jednak inną część ciała na zadanie tej głębokiej rany... Niezrozumiałe... nie sądzę, żeby nie miało to dla niego znaczenia, musiał wizualizować sobie tę chwilę wielokrotnie.

Franz widział, że z rozcięcia pod żebrami nie wypłynęło zbyt wiele krwi. Heilburg musiał utracić jej sporo dużo wcześniej.

– Podeszedł do niego, wspiał się po drabinie. – Franz przeniósł wzrok na wnękę w scenie za krzyżem. Morderca czuł się na tyle pewnie, że po dokonaniu morderstwa odstawił drabinę na miejsce. Zupełnie jakby nie chciał, żeby zakłóciła obraz, który miał się ukazać oczom widzów. – Nie słychać było krzyków Puschkego, więc pewnie się znali.

– Niekoniecznie. – Klein wskazał palcem stopę denata.

Wachmistrz zbliżył się do kapitana. Spojrzał na wskazane miejsce, ocenił podskórny ślad.

– Miejsce wkłucia?

– Tak, znam się na tym – zaśmiał się gorzko Klein. – Morderca coś mu wstrzyknął, środek działający błyskawicznie. Puschke zapewne nie zdołał nawet krzyknąć. Pewnie nie był świadomy tego, co później się stało. Zasłonięcie ust było więc zbędne...

Franz przeniósł wzrok na Kleina. Widział go ostatnio na szpitalnym łóżku, kilka dni po wyciągnięciu spod zwałów śniegu. Po kilku miesiącach kapitan wcale nie wyglądał lepiej. Był wychudzony, długie włosy i broda upodabniały go do pustelnika, zakrywały większość blizn i defektów. Jedyne oczy się nie zmieniły. Pozostawały czujne i przenikliwe.

– Zaangażujesz się w tę sprawę, kapitanie?

Pociągła twarz wydłużyła się jeszcze bardziej.

– Spakowałem się, planuję wyjazd.

Franz skinął głową, uniósł kącik ust.

– Myślisz, wachmistrzu, że zmienię plany?

– Na miejscu hrabiego Herbersteina poprosiłbym swojego gościa, wojskowego śledczego, o pomoc. Myślę, że hrabia będzie wstrząśnięty tym wydarzeniem, zwłaszcza że doszło do niego na terenie jego posiadłości. Będzie dążył do ujęcia sprawcy. Może być pewny, że Wilhelm Klein nie spocznie, dopóki go nie ujmie.

– Zapewne masz rację, wachmistrzu, hrabia może tak pomyśleć.

– Ulegnie pan tej prośbie, kapitanie?

– Od kilku dni mam przeczucie czegoś nieuchronnego. Byłem pewny, że jest to związane z decyzją, którą muszę podjąć. Decyzją, co robić dalej ze swoim życiem.

Franza zdziwiła ta szczerłość.

– I co postanowił pan zrobić z własnym życiem?

– Nie znam odpowiedzi na to pytanie. Zupełnie jakbym to życie już przeżył, a ostatni jego akt rozegrał się dawno temu. Spakowałem walizkę i czekałem na znak.

Obaj popatrzyli na zakrwawione zwłoki. Klein zaśmiał się chrapliwie.

– Nie takiego znaku chyba pan oczekiwał, kapitanie?

– Nie jestem aż tak próżny, wachmistrzu. Myślę, że ten znak akurat nie dotyczy mojej osoby.

Koschella zanotował w myślach kolejne spostrzeżenie Kleina. Że też nie pomyślał o tym od razu. To rzeczywiście był znak, ten, kto zaplanował zabicie starosty na krzyżu, wysłał w świat sygnał, o którym w najbliższych dniach, tygodniach, a nawet miesiącach będą mówić wszyscy. Do kogo jednak został

skierowany? Ofiara była przypadkowa, bo miała nią być osoba odgrywająca postać Jezusa, czy wręcz przeciwnie, to Puschke był celem od początku? Franz próbował przywołać w pamięci obraz ukrzyżowania z mieszkania Heigla. Czy oblicze tamtego Jezusa nie było podobne do oblicza denata?

– Chyba nasze drogi po raz kolejny przetną się na jakimś etapie tej sprawy.

Znów to przenikliwe spojrzenie. Franz miał wrażenie, że Klein siedzi w jego głowie i doskonale zna wszystkie myśli.

– Mylisz się, kapitanie. Pracuję w obyczajówce. Nie mam nic wspólnego z Wydziałem Kryminalnym. W przypadku tego morderstwa będzie miał pan do czynienia z Heinrichem Richterem i Thomasem Zenderem, nowym szefem wydziału. Zalecam ostrożność w relacjach z jednym i drugim.

Zmarszczki wokół oczu Kleina pogłębiły się, znów się uśmiechał.

– Ty już prowadzisz tę sprawę, Franz.

– Skąd to przypuszczenie?

– Świadczy o tym jeden... szczegół. Wspominałem, że morderca wybrał błędną część ciała na zadanie tej głębokiej rany. Jak na tak przygotowaną zbrodnię mnie ten błąd w sztuce zdziwił, a ciebie, wachmistrzu... wcale. Myślę, że jest tego jakaś przyczyna.

Koschella zagryzł wewnętrzną stronę policzka.

– Ta inscenizacja, wachmistrzu, nie jest ci chyba tak obca, co?

Koschella nie odpowiedział, nie musiał. Klein skinął w końcu głową.

– Dziękuję za zalecenie ostrożności w kontaktach z Wydziałem Kryminalnym. Wypada mi się chyba odwdzięczyć tą samą przestrogą.

Kapitan wyminął Franza i opuścił scenę tylnym wejściem. Wachmistrz wpatrywał się w wiszącego na krzyżu Puschkego. Wkrótce u jego boku pojawił się Makowski.

– Nikogo nie ma. Mają tu niekiepski las tuż za sceną, morderca mógł się ulotnić bez trudu.

– Nic nie znalazłeś? – Franz zastanawiał się, czy po drodze Ernst napotkał Kleina, czy tamten przeszedł obok niego niezauważony jak duch.

– Nic. – Makowski podrapał się po głowie. – Co robimy?

– Czekamy – odpowiedział Franz.

I czekali, dopóki na deskach nie rozległ się tupot butów. Na miejscu zbrodni pojawili się policjanci z Kłodzka i patolog. Widok ukrzyżowanego starosty sprawił, że kilku ludzi się przeżegnało.

Franz dostrzegł Kuhnasta. Wymienili spojrzenia, ale nie zamienili nawet słowa. Tuż za lekarzem na scenę wkroczył Zender. Od razu przejął dowodzenie. Franz bez mrugnięcia okiem przyjął polecenie przesłuchania drugorzędnych świadków. Wydziałowi miał zostawić tych najważniejszych. Tak właśnie się

stało: Heilburga i Heinzego wzięli na siebie Schulz i Czosek. Franz nie wdawał się w dyskusję. Ruszył w stronę pałacu z kilkoma asystentami policyjnymi od czarnej roboty. Czekwały go długie godziny papierkowej roboty, ale wcale się na to nie zżymał.

KŁODZKO, LIPIEC 1923 ROKU

Trząśnięty jak w febrze. Nawet nie wiedział, jak udało mu się wrócić z Gorzanowa do domu. Jak przez mgłę pamiętał tłum ludzi, z którymi ruszył szosą w kierunku Kłodzka. Potem był przebłysk jakiegoś wozu z sianem i kolejne kilometry wędrówki poboczem.

Germain był brudny i spocony. Koszula lepiła mu się do ciała, z włosów posklejanych w strąki spływały krople potu.

W końcu znalazł się w pracowni. Wciąż miał przed oczami scenę, którą przelał na płótno. Obraz, który ożył na deskach w gorzanowskim parku. Bezwładne ciało na krzyżu i drewno spływające czerwienią.

Przeniósł się tam, w świat wizji i sennych koszmarów. Jakby kreował rzeczywistość. Bo tak było, uświadomił sobie. Wizje, które go nawiedzały, obrazy, przemawiały gdzieś z wnętrza jego głowy. To wszystko już się wydarzyło, wszystko narodziło się w zakamarkach jego podświadomości. Ile w tym było jego własnego szaleństwa?

– Germain! Germain?!

Podszedł do okna, potykając się o prześcieradło. Przewrócił sztalugę, ale zdołał szybko dotrzeć do parapetu. Zawisł na nim, wychylając się niebezpiecznie do przodu.

Ida. Stała na chodniku przy ścianie kamienicy. Unosiła dłoń do czoła, osłaniając oczy przed światłem. Na widok znajomej postaci pomachała drugą ręką.

– Germain! – krzyknęła. – Chodź do mnie!

Zaśmiała się, świetlny refleks bijący od sklepowej wystawy ukrył ją przed jego wzrokiem. Mężczyzna wybiegł z mieszkania, niemal skrzył sobie kark na schodach. Szarpnął drzwiami, znalazł się na ulicy. Zniknęła.

Gorączkowo potoczył wzrokiem wokół siebie. Przechodnie zwracali na niego uwagę, ale w ogóle go to nie obchodziło. Zmrużył oczy, gdy znów oślepiło go odbicie słońca.

– Ida?

Patrzył na witrynę narożnego budynku. Na wystawowe zdjęcia w atelier, żywą reklamę talentu fotografa. Zobaczył ją. Była tam, uśmiechała się tajemniczo, kusząco. Znów go zawołała.

Germain uniósł pięść do ust, zacisnął zęby na skórze. Z jego gardła wydobył się piskliwy dźwięk. Pokręcił głową, powoli, z jakimś niemym wyrzutem. Wycofał się. Świat wirował i ciemniał mu przed oczami, mężczyzna natrafił jednak na drzwi, ruszył po schodach na poddasze. Gdy znalazł się w mieszkaniu, osunął się na podłogę, podciągnął kolana pod brodę i zamknął oczy. Nigdy nie pozbył się demonów. Jak mógł myśleć inaczej? Wróciły, były bardzo blisko.

*

Klein wysiadł z samochodu prowadzonego przez kierowcę hrabiego Herbersteina. Kłodzki Sellgittplatz był pełen ludzi. Wysypywali się z dworca kolejowego, podążając w stronę wschodniej części miasta i centrum. Większość podróżnych szła stąd na piechotę do domów, kilku zdecydowało się zamówić dorożkę. Do uszu kapitana dochodziły pełne ożywienia rozmowy. Wydarzenia z Gorzanowa wciąż były na ustach wszystkich świadków pasji. Domysły i plotki – tym będzie teraz żyć Kłodzko.

Kapitan pożegnał się z kierowcą i przejął od niego bagaż. Spojrzał w stronę miasta pnącego się w górę. Koński most rozpięty nad Nysą zachęcał do zagłębienia się w przedmieścia, w Rossmarkt i uliczki Wyspy Piasek. Było to preludium do kolejnej wędrówki wzwyż, pokonania kamiennego mostu i wspinaczki Brücktorberg w stronę dolnego i górnego rynku. Miasto wrastało w skałę, na której szczycie niegdyś stał zamek, a teraz wznosiła się twierdza. Ten strup okalający wzniesienie od południa był niewątpliwie malowniczy. Czynił Kłodzko miastem ciekawym i intrygującym. Klein miał jednak ambiwalentne uczucia. Może dlatego, że nie zabawił dotąd tutaj jako zwykły turysta. Odkrywał pod tą arcyciekawą, pełną zabytków fasadą jakieś drugie dno. Wrastało w kamienne mury, w piwnice i podziemia. Przede wszystkim jednak tkwiło w ludziach. Jakby tutaj, na końcu świata, w zapomnianej przez Boga kotlinie, to co złe, przychodziło łatwiej.

Chyba dlatego, przyjeżdżając tu przed kilku laty, wybrał na miejsce noclegu Hotel Dworcowy. Okna jego apartamentu wychodziły nie na miasto, ale na peron i tory. Widok wjeżdżających na stację pociągów uspokajał, kapitan miał

poczucie, że wystarczy wyjść z hotelowego pokoju i pokonać kilkadziesiąt metrów, by po krótkiej podróży znaleźć się zupełnie gdzie indziej. Daleko. Daleko od ludzi i ich problemów.

– Dzień dobry, kapitanie!

– Dzień dobry, Hans.

Boy hotelowy, Hans Fredke, uśmiechał się szeroko na widok Kleina. Nie zmienił się ani trochę. Równo przycięta grzywka wystawała spod kapelusza, którego rondo otoczone było tasiemką z napisem Hotel Dworcowy. Cwaniacki uśmieszek, zawadiackie spojrzenie. Kleinowi trudno było ocenić, ile młody mężczyzna ma lat. Zapewne już dawno ukończył dwadzieścia. Był to ten typ pracownika, który jest w stanie zapewnić hotelowemu gościowi wszystko, czego dusza zapagnie. Oczywiście za odpowiedni napiwek.

– Jak się miewa pan Anton Krupski?

– Stary pierdziel czeka na pana w recepcji, nie może usiedzieć w miejscu.

No tak, Klein mógł się tego spodziewać. Wszedł do hotelu, korzystając z uprzejmości Fredkego, który przejął od niego bagaż i usłużnie otworzył drzwi.

Znalazł się przed blatem recepcji i wstającym na jego widok mężczyzną.

– Tak sobie pomyślałem, że pan do nas zawita, kapitanie Klein.

Wilhelm zastanawiał się, czy to śmierć jest zwiastunem jego przybycia, czy też odwrotnie, to on jest zwiastunem śmierci. Prawda leżała zapewne gdzieś pośrodku. Recepcjonista obrócił się w stronę drewnianej półeczki pełnej przegródek. Sięgnął po klucz i wręczył go Kleinowi.

– Skąd pan wiedział?

– To taki wewnętrzny barometr. – Śmiech starego przeszedł w kaszel. – Wiedziałem, że kapitan przebywa w Gorzanowie. Przed kilkoma godzinami dotarła do nas informacja o tym strasznym wydarzeniu podczas pasji. Od razu pomyślałem o panu. Na wszelki wypadek kazałem przygotować wszystko na pana przybycie.

– Dziękuję. – Klein podrzucił klucz w dłoń. Nie skomentował tego, że na wieść o czyjejś śmierci komuś na myśl przychodzi Wilhelm Klein. Obrócił się w stronę boya hotelowego, ale ten był już z walizką na schodach.

– Bardzo się cieszę, że pana widzę, kapitanie. Życzę miłego pobytu.

Klein skłonił głowę. Do Kłodzka znów sprowadziło go morderstwo. Z tym miłym pobytom mogło być różnie.

Kapitan ruszył śladem Fredkego. Piętra pokonał szybko i zaraz znalazł się na poddaszu. Z zadowoleniem stwierdził, że nawet się nie zasapał. Hans przejął klucz i otworzył drzwi. Wpuścił kapitana pierwszego, po czym wszedł za nim i postawił walizkę przy szafie. Wilhelm wręczył mu napiwek.

– Gdyby kapitan czegoś potrzebował, proszę dać znać. – Fredke wyszczerzył zęby.

– Dziękuję, będę pamiętał i... ta pomoc może się przydać szybciej, niż pan myśli.

Boy dotknął palcem czapki i się ulotnił, a Klein rozejrzył się po pokoju. Nic się w nim nie zmieniło. Obrazek z Wieżą Wilhelma na ścianie, łóżko, szafa i biurko. Mały korytarzyk z drugim pokojem, do którego nie wchodził. Przez chwilę patrzył na tamte drzwi, jakby spodziewał się, że uchylą się i wyjdzie z nich ktoś znajomy. Odepchnął od siebie wspomnienia i podszedł do szeroko otwartego okna. Odgarnął zasłony i wyjrzał na Sellgittplatz.

Na stację wjechał kolejny pociąg, tym razem z Wrocławia. Zazgrzytały hamulce, ciepły wiatr przyniósł odgłos trzaśnięć drzwi i przenikliwy wizz gwizdka konduktora. Z wagonów wysypało się kilkadziesiąt osób, ruszyły za swoimi sprawami w stronę miasta. Buchająca z kotła para znów przykryła peron. Stalowa maszyna stęknęła, rozległ się gwizd, pociąg ruszył w dalszą drogę. Klein zdał sobie sprawę, że on też zabawił tu zaledwie na chwilę.

Do miasta przyciągnęło go zabójstwo z Gorzanowa. Prośba hrabiego Herbersteina, której trafnie spodziewał się Koschella. Miała na to wpływ jednak także postawa samego wachmistrza. Trudno było powiedzieć, że Franz Koschella spodziewał się tego morderstwa, jednak coś spowodowało, że wachmistrz zbyt szybko doszedł do porządku dziennego nad tym niewątpliwie niezwykłym wydarzeniem. Klein obserwował jego mimikę, znał Koschellę na tyle, by wiedzieć, że Franz dokonał jakiejś wewnętrznej analizy opartej na doświadczeniu. Jakim? Rana w brzuchu, zasłonięte usta ofiary, jej ukrzyżowanie. Morderca wykorzystał finał gorzanowskiej pasji po to, by dokonać morderstwa na wybranej ofierze... a może większe znaczenie od tego, kim była ofiara, miała sama scena ukrzyżowania?

Franz stracił szefostwo Wydziału Kryminalnego, zajmował się zadaniami typowymi dla obyczajówki. W jaki więc sposób zetknął się z tą sprawą? Co poruszyło go na tyle, by zestawić ze sobą jakieś wspomnienie z morderstwem, do którego doszło w Gorzanowie?

Klein miał w tej chwili zbyt mało punktów zaczepienia, by popchnąć śledztwo do przodu. Wiedział jednak, że lada chwila otrzyma ich więcej. Koschella nie usiedzi na dupie. Wróci do tego powiązania, które odkrył. Będzie drażył sprawę tak długo, jak to możliwe, starając się nie wychylać i nie przyciągać uwagi nowego szefa Wydziału Kryminalnego i komisarza Richtera. Prędzej czy później jednak ktoś zauważy jego działania. Wtedy Koschella będzie potrzebował pomocy.

Klein odsunął się od okna. W drodze do Kłodzka opracował już plan działania. Spojrzał na naścienny zegar. Upływający czas nie był jego sprzymierzeńcem. Jeśli chciał coś osiągnąć, musiał liczyć na pomoc kilku osób.

*

Leon Czosek biegł korytarzami kłodzkiego magistratu, trzymając kurczowo pod pachą teczkę ze zdjęciami policyjnego fotografa. Nadwachmistrz Zender kazał mu je jak najszybciej dostarczyć do biura. Czosek przeskakiwał kilka schodków na raz, wymijając licznych petentów. Ktoś potrącił go łokciem, ale Leon na szczęście nie upuścił dokumentów. Musiałby oddzielić od siebie kilkadziesiąt zdjęć z zabójstw starosty Puschkego i Theodora Heigla. Chociaż z drugiej strony, przyszło mu do głowy, że przecież te dwie sprawy i tak wiele łączy. Każdy z nich widział obrazy w pracowni Heigla. Zender zmył im głowy za to, że nie zwrócili na nie uwagi. Zwłaszcza na ten szczególny, z ukrzyżowania Jezusa. Niby miał rację, ale, do cholery, nie byli przecież jasnowidzami.

– Wreszcie!

Szef wydziału odwrócił się od okna. Leon wkroczył do sali, starając się nie sapać jak parowóz. Przy stole czekali już na niego Schulz i Karl Gurber. Lothar wpatrywał się w swoje dłonie, Gurber skinął Czoskowi głową, jakby chciał mu dodać otuchy.

– Mamy sekcję Heigla. Od tego zaczniemy. – Zender uniósł otwartą kopertę, którą zapewne dostarczono z Jurandowa. – Obrażenia są typowe dla ciężkiego pobicia. Ktoś długo znęcał się nad denatem. Kuhnast jest tego pewny.

– A wyglądał, jakby kilka razy zleciał z dachu – mruknął Schulz.

Zender go zignorował.

– Pęknięta czaszka, pogruchotane kości, urazy narządów wewnętrznych, krwotok – wyliczał nadwachmistrz. – Zamęczyli go w nieznanym miejscu, zadali sobie jednak wiele trudu, żeby ciało przetransportować do mansardy. Wczoraj wydawało się to pozbawione sensu, dziś chyba patrzymy na tę sprawę inaczej, co?

Zender ostatnie słowa wypowiedział lodowatym tonem, potoczył wzrokiem po zebranych. Żaden z nich nie odważył się zabrać głosu.

– Nie cofniemy czasu. – Nadwachmistrz z trudem panował nad sobą. – Chyba wszyscy zgadzamy się co do tego, że Heigl miał zostać odnaleziony w takim właśnie stanie, w jakim go zobaczyliśmy, w swoim mieszkaniu i przy tym obrazie... Być może doszłoby do tego dużo później, gdyby nie przypadek.

Czosek wiedział, o jakim przypadku mówił nadwachmistrz. Tym przypadkiem był Franz Koschella.

– Gurber, Czosek! Przesłuchaliście wszystkich z kamienicy Heigla? – zapytał Zender.

– Nikt nic nie zauważył – odparł Karl. – Tylko jedna lokatorka z parteru słyszała w nocy, że pod bramę podjeżdża samochód, ale szybko odjechał. Nic więcej na razie nie wiemy.

– Co z samym Heiglem?

– Staramy się prześledzić jego kontakty z ostatnich dni. Być może uda nam się ustalić, z kim się spotykał i gdzie był ostatniej nocy.

– Jak Koschella trafił pod adres Heigla? Czosek, udało ci się coś dowiedzieć? – zapytał nadwachmistrz.

Leon skinął głową.

– Wachmistrz utrzymuje, że trafił tam, żeby przesłuchać Heigla w sprawie, którą prowadzi. Heigl jest morfinistą, nie stroni od używek... Jedyńm jego źródłem zaopatrzenia w Kłodzku mógł być Łysy. Jego teren jednak przejął ktoś nowy... – Leon wyczuł na sobie spojrzenie Zendera i zamilkł.

– Profesor Kuhnast zadzwonił do mnie, by omówić wyniki sekcji Heigla. Poinformował mnie też, że w szpitalu przebywa kuzynka Theodora, Greta. Jest w ciężkim stanie. Została odnaleziona nieprzytomna przed własnym domem. Kilka dni wcześniej Theodor odwiedził ją w lecznicy, w której przebywała. Greta także jest morfinistką. Opuściła placówkę wraz z kuzynem i zniknęła. W końcu się odnalazła, ale kilkaset kilometrów dalej, w stanie nierokującym przeżycia.

Zender rozkoszował się chwilą milczenia. Widział, że ta informacja zrobiła na wszystkich wrażenie.

– Tego ci Franz nie powiedział, co? – Nadwachmistrz pokręcił głową, jakby tego właśnie się spodziewał. – Franz Koschella wczoraj odwiedził Augusta Kuhnasta i Gretę Heigl. Godzinę później znalazł się na Frankensteinerstrasse w mieszkaniu jej kuzyna. Możemy między bajki włożyć jego tłumaczenia, że Heigl znalazł się na jego celowniku w związku z jakimś dochodzeniem. Franz próbował działać w tej sprawie na własną rękę.

Rewelacje Zendera nie zrobiły na Czozku większego wrażenia. Wiedział, że nadwachmistrz szuka kozła ofiarnego, próbując odwrócić uwagę od własnych niepowodzeń. Leon myślał o czymś innym. Bez względu na to, jak Koschella trafił do domu Heigla, dzięki niemu wszyscy dostali dar od losu. Dar, którego nie wykorzystali. Gdyby tylko skojarzyli ten obraz z gorzanowskim przedstawieniem, wszystko potoczyłoby się inaczej.

– Jakie są motywacje Koschelli? – ciągnął Zender. – Trudno powiedzieć. Do samowolki jednak nie dopuszczę. Informuję was wszystkich i powiem to tylko raz: jeśli się dowiem, że ktoś przekazuje Franzowi informacje dotyczące prowadzonego przez nas śledztwa, kariera kapusia w policji zakończy się w tym

samym dniu. Na tym nie poprzestaną. Znajdzie się na nielojalnego paragraf za utrudnianie dochodzenia. Możecie mnie nazwać mściwym skurwysynem, ale nie pozwolę, by w zespole uchował się szczur. Czy to jasne?

Czosek skinął głową, pozostali także. Zender wydawał się zadowolony z reakcji podwładnych.

– Jesteśmy Wydziałem Kryminalnym. Do nas należy sprawa wyjaśnienia śmierci Heigla, a przede wszystkim starosty Puschkego. Gurber, zabezpieczyłeś obrazy z pracowni Heigla?

– Tak, nadwachmistrzu.

– Przynieś ten z ukrzyżowaniem.

Karl wstał od stołu i zniknął w drugim pokoju. Słysząc było szuranie przestawianego mebla. Po chwili Gurber wniósł obraz i postawił go przy ścianie.

Wszyscy zapatrzyli się w postać Jezusa.

– To teraz konkrety. – Nadwachmistrz odchrząknął. – Morderca odtworzył scenę z tego płótna w Gorzanowie, to zauważyłby ślepy. Chyba wszyscy się zgodzimy, że obraz z ukrzyżowaniem nie wygląda jak inne bohomy, które wyszły spod ręki denata. Musimy więc o tej pracy i jej twórcy dowiedzieć się więcej. Trzeba prześledzić powiązania i kontakty Heigla. Nie zdziwiłbym się, gdyby znał mordercę. Być może mamy do czynienia z jakimś chorym umysłowo skurwielem, któremu od farb i rozpuszczalników pomieszało się w głowie.

Czosek poczuł gwałtowny sprzeciw wobec słów szefa, nie zdobył jednak się na komentarz. Potraktował wypowiedź nadwachmistrza jako przejaw myślenia życzeniowego.

Schulz z kolei nie miał oporów przed powiedzeniem tego, co myśli.

– Zakłada nadwachmistrz, że morderstwa starosty dokonał twórca obrazów? – zapytał.

– Nic nie zakładam, biorę pod uwagę każdą ewentualność. A ty, Schulz, chcesz się z nami podzielić swoimi wnioskami?

– Nie.

– I dobrze. – Zender przeniósł wzrok na Gurbera i Czoska. – Wasze przemyślenia?

– Zastanawia mnie, kto był celem mordercy. – Czosek zauważył, że Zender zmarszczył brwi, pospieszył więc z doprecyzowaniem: – No, czy w przypadku starosty rzeczywiście chodziło o niego, czy...

– Prawdopodobnie dla mordercy bez znaczenia było to, że rolę Jezusa odgrywał właśnie Puschke – wtrącił Gurber, jakby uznał, że zbyt długo pozostawał poza centrum uwagi. – Nie chodzi więc pewnie o osobistą vendettę wobec urzędnika. Takie domysły będą teraz na porządku dziennym ze względu na... reputację starosty. Mordercy nie szukałbym jednak w otoczeniu Puschkego,

wśród jego domniemyanych wrogów. Skupiłbym się raczej na aktorach i wszystkich tych, którzy byli zaangażowani w inscenizację pasji w Gorzanowie. Morderca musiał wiedzieć, że starosta zostanie na scenie przez dłuższy czas sam. Co prawda mocno ryzykował, że ktoś go zobaczy, ale moim zdaniem musiał być pewny, że ma duże szanse powodzenia.

Zender z namysłem pokiwał głową, jakby spostrzeżenia wachmistrza zgadzały się z jego własnymi. Czosek milczał, Lothar też jakoś się nie kwapił do rozbudowania tej teorii.

– Wiemy więc, jakie są nasze pierwsze kroki – oznajmił przełożony. – Przyjmijmy, że szukamy mordercy w kręgu osób powiązanych z gorzanowską pasją. Do waszych zadań będzie należało wytypowanie potencjalnych podejrzanych. Macie ponownie przejrzeć listę aktorów, statystów, obsługi i chóru. Zwróćcie uwagę na nowych członków zespołu i tych, którzy mają już kartoteki. Takich delikwentów z marszu zapraszamy na przesłuchanie. A jeśli wśród nich pojawi się jakiś malarz, macie mnie o tym powiadomić od razu.

– Uważa nadwachmistrz, że sprawca jest tylko jeden?

– Tego się dowiemy. – Zniecierpliwiony ton Zendera zdradzał, że nie w smak mu uwagi Schulza.

– Sam pan mówił, że ciało Heigla musiało wnieść na poddasze przynajmniej dwóch ludzi. Co z nim i jego kuzynką? Co z obrazem, który znaleźliśmy w jego pracowni? – drażył Lothar.

– A jak myślisz, Schulz?

To pytanie najwyraźniej było retoryczne, jednak Lothar zdecydował się na nie odpowiedzieć. Przyglądał się, jak na policzki Zendera występują czerwone plamy.

– Moim zdaniem ta afera z obrazem jest grubymi nićmi szyta. Trudno uwierzyć, że mamy do czynienia z jakimś wariatem, który wciela w życie swoje wizje. Za dużo tu planowania, za mało miejsca na przypadek. Może obraz u Heigla pojawił się tylko po to, żebyśmy szukali religijnych odniesień, zamiast trzeźwo spojrzeć na sprawę?

– Uważasz, że religijne odniesienia i symbolika w przypadku starosty to niedorzeczność, Lothar?

Schulz zdawał się nie zauważać, że stąpa po cienkim lodzie.

– Czy niedorzeczne, tego nie wiem, wydaje mi się jednak, że ktoś wiedział, co robi. O tym, że starosta będzie grał Jezusa, wiadomo było od jakiegoś czasu. Sprawca, planując morderstwo, zdawał sobie sprawę, że nie zabije przypadkowej osoby, wiedział, jakie będą tego konsekwencje. Morderstwo Puschkego na oczach tysięcy ludzi, jeszcze w takich okolicznościach, to cholerne ryzyko. Starosta miał wrogów na pęczki. Nagle jednak pojawia się ten cholerny obraz.

Przez niego inaczej patrzemy na sprawę. Może właśnie tego chce sprawca... albo sprawcy. Będziemy tracić czas na szalone teorie, a rozwiązanie może być prostsze, niż się wydaje.

– To może nas oświecisz, Schulz? Czy rozwiązałeś już sprawę i wskażesz mordercę? – Zender wywołał wesołość jedynie u Gurbera.

– Możemy albo przez kolejne dni przesłuchiwać setki, a może nawet tysiące osób zaangażowanych w gorzanowską pasję, albo przyjrzeć się staroście i jego otoczeniu...

Czoska zaskoczyła przemiana Schulza. Wachmistrz od kilku miesięcy był apatyczny, starał się nie wchodzić w drogę Zenderowi i bez szemrania wykonywał jego polecenia. Teraz coś się zmieniło.

– Zadam ci teraz pytanie, Lothar. – Zender cedził słowa, jakby próbował nad sobą zapanować. – Sprawdzę twoją spostrzegawczość... Przyjrzałeś się obrazowi? Zwróciło coś twoją uwagę?

– Proszę o bardziej precyzyjne pytanie, nadwachmistrzu.

– Czy mamy tu jakąś wskazówkę, którą zostawiono na obrazie?

– Nie jestem dobry w odczytywaniu symboliki.

Zender pokręcił głową, jakby spodziewał się podobnego usprawiedliwienia. Czosek spojrział na obraz. Zastanawiał się, jak sam odpowiedziałby na to pytanie.

– Gurber?

– Wizje Reiser... tak jest napisane z tyłu obrazu.

– Doskonale! – Zender pociągnął za sztalugę, obrócił ją i wskazał ledwie widoczny napis z tyłu płótna.

„Ciekawe, kiedy Gurber miał czas na tak dokładne przestudiowanie dowodu rzeczowego” – pomyślał Czosek.

– Słyszałeś, Schulz, o księdzu Paulu Reiserze z kościoła Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny?

– Trudno, żebym nie słyszał. Zbieraliśmy go z bruku pod kościołem.

– Więc słyszałeś też o jego wizjach, Schulz? Czy może pamięć ci szwankuje albo inteligencja, skoro nie potrafisz łączyć faktów?

Lothar nic na to nie odpowiedział.

Zender potoczył wzrokiem po dwóch pozostałych policjantach.

– Paul Reiser, jak wiecie, miał przed śmiercią wizje, które opisywał wiernym. Jeśli nie znacie tego faktu albo nie przywiązywaliście do niego większej wagi, proponuję zajrzeć do raportów. Wizje księdza związane były ze śmiercią Jezusa i z ostatnimi dniami jego życia. Wokół Reiser... utworzyła się spora grupa wyznawców, czym mocno wystraszył władze kościelne. Zaczęto go odsuwać od sprawowania obrzędów i izolować. W Kłodzku jednak ludzie mówili o tych wizjach, o tym, że Reiser ostrzegał, że wszystko się powtórzy... Ukrzyżowanie

i wszystko z nim związane... Czy naprawdę, do cholery, to ucięte ucho Heigla i ukrzyżowanie starosty nic wam nie przypomina?

Policjanci milczeli. Schulz zapatrzył się w blat stołu.

– Co się stało temu Reiserowi? – zapytał Gurber.

– Odleciał. – Zender wykonał nieokreślony ruch dłońmi. – Dosłownie i w przenośni. Powrócił z frontu jako morfinista. Doktor Kuhnast zapisał w raporcie, że stężenie opiatów w jego krwi było tak duże, że nawet gdyby nie skoczył z dachu, i tak by tego nie przeżył. Nie podano tego do publicznej wiadomości, choć może trzeba było. Wyjaśniłoby się przynajmniej źródło jego wizji... Co ty na to, Schulz?

Lothar wzruszył ramionami, nie dał się sprowokować.

– Obawiam się, Lothar, że straciłeś wyczucie. – Zender przemawiał już teraz spokojniej. – W Gorzanowie w roli Jezusa mógł wystąpić każdy i nie miałyby to większego znaczenia! Bo nie chodzi o to, kto był aktorem w inscenizacji pasji!

– Mamy do czynienia z szaleńcami, nadwachmistrzu? – zapytał Gurber, odwracając uwagę od Schulza. – Fanatykami, którzy chcą urzeczywistnić wizje tamtego księdza? Mamy się przyjrzeć, kto za nim łąził i się do niego modlił?

Zender skinął głową. Złość wyraźnie mu przeszła.

– Musimy wziąć to pod uwagę.

Czosek zrozumiał, skąd ten nagły wybuch skierowany w stronę Schulza. Zender nie tracił czasu, dużo myślał o ostatnich wydarzeniach. Zwietrył też swoją szansę na wykazanie się w związku z naprawdę spektakularną sprawą. Morderstwo dokonane przez fanatyków religijnych długo nie będzie schodziło ze szpalt prasy. Zender potrzebował sukcesu, żeby wyjść z cienia dokonań Koschelli i Kleina. Z całym szacunkiem dla Pusckego morderstwo z przyziemnych pobudek, nawet jeśli dotyczyło starosty, nie wzbudziłoby tylu emocji i szybko by spowszedniało. Nadwachmistrz potrzebował czegoś, o czym będzie głośno nie tylko w Kłodzku, ale i w całej Republice. Dlatego umniejszanie tej sprawy przez Schulza uznawał za osobisty afront.

– Uważa pan, że będą kolejne trupy? Kolejne... obrazy?

Zender był wyraźnie zadowolony z pytania zadanego przez Leona. Spojrzał na niego poważnym wzrokiem.

– Nie możemy tego wykluczyć, Czosek. Gurber, obaj przyjrzyjcie się sprawie Reisera. Zwróćcie uwagę, kto przychodził na spotkania do księdza i słuchał jego opowieści. Może jakieś nazwisko pokryje się z tymi z Gorzanowa.

Czosek skinął głową, choć akurat nie spodziewał się, że tak prosto uda im się znaleźć jakieś powiązanie.

– Co więcej, Czosek, sporządzisz listę malarzy z całego hrabstwa. Może odnajdziemy autora tego obrazu.

– A co z Heiglową? – zapytał szorstko Lothar.

– Co ma być z Heiglową, Schulz?

– Może się obudzi i zdoła rozpoznać napastników?

– A ty znowu swoje... No dobrze, żeby cię uspokoić, Schulz: jestem w stałym kontakcie z doktorem Kuhnastem. Niestety uważa, że jej stan jest nieodwracalny. Wyślemy kogoś do szpitala, żeby przy niej czuwał. – Zender prześwidrował Schulza wzrokiem. – Może to odpowiednie zadanie dla ciebie, wachmistrzu?

– Nie palę się, ale chętnie przyjrzę się Heiglom. Ta cała kuzynka zupełnie mi nie pasuje do tej układanki. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że została wmieszana w to przez przypadek. Mordercy musieli zastać z nią Heigla. Miała pecha. Jednak...

– Jednak? – Zender znacząco bębnił palcami o blat.

– Nadwachmistrz sam zauważył, że Koschella nie trafił na Heigla przez przypadek. Szedł tropem dziewczyny. Tylko dzięki temu odkryliśmy zwłoki i obrazy tak wcześnie. To, że mieliśmy je odnaleźć, nie budzi wątpliwości. Zwłaszcza w świetle pana teorii. Kiedy jednak mieliśmy tam trafić? Jeszcze przed śmiercią starosty? To cholerne ryzyko, chyba że ten, kto się z nami bawi, uznał, że będziemy na tyle tępi, że nie skojarzymy obrazu z gorzanowską pasją.

Ta uwaga wybrzmiała w pomieszczeniu. Leon był niemal pewny, że usłyszał zgrzytanie zębów Zendera.

– I w sumie miał rację... – dodał po chwili milczenia. – Jednak odkrycie obrazu po kilku dniach, a nawet tygodniach nie miałyby przecież sensu.

Czosek z coraz większym zdziwieniem patrzył na Schulza. Zupełnie go nie poznawał. Lothar obudził się z głębokiego snu, w którym tkwił przez ostatnie miesiące. Czosek się zastanawiał, co wachmistrz kombinuje.

– Znaczący się, te skurwysyny popełniają błędy – powiedział lekceważąco Gurber. – Greta Heigl pomieszała im nieco szyki. Pewnie to Theodor, widząc stan kuzynki, zawiózł ją pod dom. Potem dorwali jego, ale nie wiedzieli, co się stało z dziewczyną...

Zender odchylił się na krześle.

– Przemyślę twoją prośbę, Schulz – skwitował nadwachmistrz. – Zanim jednak zajmiesz się Heiglami, przesłuchasz aktorów i obsługę sceny. – Szef Wydziału Kryminalnego podniósł się z krzesła i wziął głęboki oddech. Kolejne słowa wyrzucił z siebie podniosłym tonem: – Przyszło nam się zmierzyć z najtrudniejszą sprawą w naszej karierze. Musicie zdawać sobie sprawę, że od teraz wszyscy będą patrzeć nam na ręce. Znajdziemy się pod naciskiem komisarza Richtera i opinii publicznej. Ten ostrzał wezmę jednak na siebie. – Zender potoczył wzrokiem po swoich ludziach. – Wy macie wykonywać

sumiennie swoje obowiązki. Wszystkie siły poświęcamy na znalezienie mordercy starosty Puschkego. Zrozumiano?

– Tak jest! – rozległo się w odpowiedzi. Mocno wybrzmiały jedynie głosy Gurbera i Czoska.

– Przy okazji – Zender zwrócił się właśnie do nich – chciałem was obu pochwalić za ostatnią interwencję. Podjęliście ją po służbie. To pokazuje, że w tym zespole są jednak ludzie nadający się do policyjnej roboty. No, rozejść się do swoich zadań. Oprócz ciebie, Karl. Chciałeś ze mną rozmawiać. Zapraszam do gabinetu.

Nadwachmistrz i Gurber opuścili salkę. Schulz podniósł się z krzesła.

– Uważaj na niego, Czosek. To śliski padalec.

– Zender?

– Gurber. Twój nowy kolega – powiedział wachmistrz, sięgając po kapelusz. – Po prostu na niego uważaj.

Czowski nie podobał się protekcyjny ton Schulza. Nie miał jednak zamiaru wdawać się w słowne przepychanki.

– Dzięki za ostrzeżenie – powiedział, ale Schulz wyszedł już na korytarz. – Gdzie idziesz? Mamy zadania.

– Przewietrzyć się. – Lothar mrugnął do Czoska i zamknął za sobą drzwi.

*

Franz Koschella wszedł w wąską Niedergasse. Uliczka ta przez większość dnia pozostawała w cieniu. Wysokie, stojące ciasno budynki zagarniały dla siebie całą przestrzeń. Strzelista wieża mieszkalna z łukowym przejściem w parterze wydawała się wciśnięta na siłę pomiędzy kamienice niczym tama tarasująca przejście. Za nią rozciągała się dalsza część ulicy, zamknięta kolejnym budynkiem, którego front wychodził na Frankensteinerstrasse.

Powietrze przesyciły wonie dochodzące z bram, klatek schodowych i mieszkań. Pobrzmiwały rozmowy i kłótnie, a także śmiechy dzieciarni. Kilku chłopaków uganiało się za obręczą ściągniętą z beczki. Patykami wprawiali ją w ruch, nie pozwalając, by upadła na bruk. Pogłos wzmacniał irytujący metaliczny dźwięk, jednak nikomu z mieszkańców zdawało się to nie przeszkadzać.

Odrapane i zawilgocone kamienice wyglądały ponuro, trudno było uwierzyć, że na tej ulicy mieścił się niegdyś pierwszy miejski szpital i Pruski Urząd Skarbowy. Franz przypomniał sobie, że na Niedergasse wciąż mieszka Wilhelm Thon, właściciel hotelu Nowy Wrocław. Musiał darzyć tę część miasta jakimś

niezrozumiałym sentymentem. Franz, mając tyle pieniędzy co on, wybrałby raczej willę na obrzeżach.

Wachmistrz zatrzymał się przed jedną z kamienic. Oto dotarł do celu wędrówki. Przy bramie, oparty o ścianę, stał krępy młodzian w szarej od brudu koszuli. Ulokował się dokładnie pod szyldem z reklamą usług szewskich. Palił papierosa, patrzył w niebo i od czasu do czasu niby od niechcienia lustrował uliczkę.

Dla Franza był to niechybny znak, że Łysy jest u siebie. Koschella ruszył w stronę mężczyzny. Nie miał wątpliwości, że ten dostrzegł go już dawno temu. Wachmistrz zobaczył, że chłopak rzuca kilka słów w stronę dzieciarni grającej w kulki. Jeden z malców, czarny jak ziemia obdartus, przerwał zabawę i pognął w stronę bramy. Tupot butów niósł się po ulicy od szeroko otwartych okien klatki schodowej.

– Zgubił się wachmistrz?

Krępy nawet nie spojrzął na Koschellę. Franz z ciekawości uniósł głowę, próbując dociec, co tak fascynuje młodzieńca w wąskim wycinku nieba.

– Jeśli ktoś się zgubił, to chyba twój szef. Nie widziałem go ostatnio w jego królestwie. Jakiś leszcz zajął jego miejsce. Traktują go tam jak Boga, nawet świeży obrus mu dali.

Szczęki młodego zacisnęły się, zadrgały. Chłopak był wyrywny, ale miał na tyle oleju w głowie, żeby nie sadzić się do Franza.

– Nie posiedzą tam długo.

– Oj, chyba jednak posiedzą – stwierdził oschle Koschella.

Krępy wreszcie na niego popatrzył. Widać to było w jego oczach: Franz miał rację. Łysy stracił królestwo i nie miał pojęcia, jak je odzyskać. Już nawet ten lebiega to rozumiał. Lada chwila Hermann Brost odejdzie w cień, wróci do roboty w jakiejś fabryce, zdechnie na gruźlicę w swojej klitce. Pozostaną mu tylko wspomnienia, jak to kiedyś mu się wydawało, że był królem obdartusów z Kłodzka.

– Za wysokie progi dla was. – Koschella cmoknął z udawaną troską. – Przyjechali, weszli z buciorami jak do siebie. Nawet nie zdążyliście się podrapać po dupie, a już wam ją obrobili.

Chłopak poczerwieniał, chyba nawet zacisnął pięści, ale Franz wiedział, że to wszystko, na co sobie pozwoli. Od okna nad ich głowami dobiegł głos:

– Przepuść wachmistrza, Zygfyrd!

Koschella nigdzie się nie spieszył. Stał jeszcze chwilę, patrząc młodemu w oczy. Gdzieś go już widział, te oczy także. W końcu wszedł w bramę i ruszył chwiejnymi schodami na piętro.

Drzwi do mieszkania Łysego były otwarte. Wkroczył więc w korytarzyk i przeszedł do pokoju na wprost wejścia. Łysy siedział przy dużym stole, nad rozłożoną na blacie gazetą. Zapewne służyła za papier pakowy dla kawałka kiełbasy. Świadczył o tym nieprzyjemny zapaszek unoszący się w powietrzu.

Przy ścianie stał drugi, mniejszy stolik. Pochylało się nad nim dwóch innych chłystków i tych Franz dobrze znał. Wyższy, z przetrąconym nosem, był ochroniarzem Łysego od dawna. Nazywali go Tyczką ze względu na wzrost i sztywny sposób chodzenia. Drugi, przeciwieństwo Tyczki, był Grubym. I do niego przewisko pasowało idealnie, wyglądał bowiem jak nadmuchana kula do kręgli. O dziwo, mimo zwałów tłuszczu był równie twardy jak rzeczona kula.

– Co szanownego pana władzę sprowadza w moje skromne progi? – odezwał się Łysy.

Koschella nie odpowiedział. Obrzucił krytycznym spojrzeniem otłuszczone ściany i meble. Z obrzydzeniem odsunął krzesło od stołu. Strącił z siedzenia okruszki i zajął miejsce.

– Wyproś kolegów – rzucił krótko.

Łysy przemielił coś w gębie. Skinął głową. Zaszurały tyczkowate nogi jednego, Gruby stęknął, próbując dźwignąć ciało do pionu. Wymaszerowali z pomieszczenia, a potem mieszkania, zamykając za sobą drzwi.

– O czym będziemy gadać? – Łysy położył dłonie na blacie, prezentując paznokcie czarne jak ziemia. Niektóre były poobgryzane. Musiał ostatnio żyć w dużym napięciu.

– Co o nich wiesz?

– Niby o kim?

Koschella się uśmiechnął. Pokręcił głową.

– Łysy, jeśli masz rozum w tej pustej łepetynie, to zwietrzysz swoją szansę. Zaraz stąd wyjdę, a to oznacza twój koniec. Siedzisz tu i dumasz, jak wrócić do gry, ale nic nie wymyślisz. W zakutych pałach twoich ludzi już teraz kiełkuje myśl, że Łysy jest skończony. Myślisz, że co, będą wiernie tkwić u twojego boku? Pogrzebią cię żywcem. Może jeszcze któremuś przyjdzie do głowy, żeby sprzedać ci kosę pod zebro i zaskarbić sobie tym łaskę nowego pracodawcy.

Łysy zmarszczył się jak wysuszona rodzynka. Łypnął na wachmistrza, ale w tym spojrzeniu nie było dawnej siły i pewności siebie. Siedzący przed Franzem mężczyzna wiedział, że jego rządy w półświatku Kłodzka dobiegają końca.

– Dobra, ja się nagadałem, twoja kolej. – Koschella otrzepał spodnie z jakiegoś pyłku. Podejrzliwie popatrzył po podłodze i ścianach, jakby się spodziewał, że pluskwy wyczuły obecność świeżej krwi.

– Zjeżdżać się zaczęli jakie kilka miesięcy temu – odezwał się Łysy. – Pierw na rekonesans. Pogoniliśmy jednego i drugiego. Chyba miasto badali, knajpy, a i

lepiej restauracje. Węszyli jako wilki i coś wywęszyli, skoro się tu potem zjechali.

– Tak łatwo oddałeś im swoją działkę i te lepsze restauracje?

– Postawiliśmy się, ale ich była cała ferajna. Zjechali się w trzydziestu. Szli jak czołgi, od drzwi do drzwi. Wiedzieli, który chłopak ode mnie, wszystko wiedzieli. Wyciągali, bili do nieprzytomności. Zanim moi się skrzyknęli, połowa była już poskładana. Wycofaliśmy się tutaj, na Niedergasse. Zapowiedzieli, że jak moi się będą kręcić koło ich interesów, to skończą z poderzniętymi gardłami. Jednego ode mnie pocięli dla przykładu. Potem wszystko przejęli...

– Skąd oni? Z Wrocławia?

Zbir pokręcił głową. Nie wyglądał na skorego do dalszych zwierzeń.

– Nie mów, Łysy, że nie zainteresowało cię, kto wam zrobił taką porotę. Myślę, że niebo i ziemię poruszyłeś, żeby się tego dowiedzieć.

Mężczyzna wyduł wargi, ramiona założył na piersi. Najwyraźniej nie zamierzał mówić już nic więcej.

– I jak dalej wygląda twój plan, co?

– Będziemy się tu bronić. Połamią na nas zęby!

Koschella wybuchnął śmiechem. Uderzył otwartą dłonią w stół, ale zaraz tego pożałował, bo cerata była uwalana jakimś lepkiem paskudztwem.

– Pozamykacie bramy na wylotach Niedergasse? – ryknął. – Zabunkrujecie się tu jak w jakimś zamku? Może smołę w kotłach gotujecie, a ten fircyk z dołu wykuwa przyłbice na te wasze zakute łby?

– Damy se tu radę!

– To ty jesteś jeszcze głupszy, Łysy, niż myślałem. Oni mają w dupie i ciebie i tę zasraną ulicę. Nie wyjdiesz z tej nory do usranej śmierci. Zdechniesz w niej sam.

– Może i zdechnę! Może...

Koschella szukał czegoś, o co mógłby wytrzeć dłoń, ale nic nie znalazł. Skrzywił się z obrzydzenia.

– Jak tyś się, kurwa, w tym mieście tyle czasu uchował? Te zakłady, drobna lichwa... Taki z ciebie Al Capone jak z koziej dupy trąbka.

– Się nie afiszuję ...

– Się nie afiszuję – Koschella przedrzeźnił Łysego. – Z taką gębą i zapuszczonym kałdunem to się nie dziwię. Byłem w twojej dawnej siedzibie, Pod Żłotym Mieczem. Siedzi tam teraz taka wymuskana, wypachniona młodsza kopia ciebie. Wiesz, że ludzie jakoś nawet się do niego garną? Zapomnieli o tobie w tej samej chwili, w której zasiadłeś na gównianym tronie na Niedergasse.

– Się wachmistrz o mnie coś strasznie martwi. A to z jakiej przyczyny, hę? Znajome gówno mniej śmierdzi od obcego?

– Coś w ten deseń – przyznał Franz.

– Dobra. – Łysy znów oparł się na blacie.

Koschelli przyszło do głowy, że zbir zaraz na dobre przyklei się do ceraty.

– Co dobra?

– Wiem, skąd są. Gruby miał scysję z kilkoma z nich. Złapali go i zamknęli w piwnicy. Otwierali ją co jakiś czas, żeby się wyżyć na chłopaku. Traktowali go jak worek bokserski.

Koschella musiał przyznać, że to całkiem udany pomysł.

– I jak go obili, to co?

– Jeden z tych skurwysynów miał pierścień na palcu. Bizuterię się zdejmuje przed tym, jak się kogoś po łbie wali. No, chyba że to biżuteria do bicia, kastet albo co.

– I co z tą biżuterią?

– Odcisnęły się wgłębienia na skórze Grubego. Jak w pergaminie...

Koschella znów parsknął śmiechem, ale tym razem na widok przejętej gęby Łysego.

– I coście na tym pergaminie zobaczyli?

– No, odcisk pierścienia – obruszył się Łysy.

Wstał od stołu, a gdy odklejał przedramiona od ceraty, rozległo się obrzydliwe mlaśnięcie. Podszedł do komody, otworzył szufladę i wyciągnął kartkę papieru. Wrócił do Koschelli i mu ją podał. Sapnął i usiadł z powrotem, roztaczając wokół siebie odór potu i przetrawionego alkoholu.

Franz rozprostował kartkę, popatrzył na niewprawny rysunek.

– Liść dębu.

– No.

– Deutsche Eiche? Berliński ringverein?

– Berlin, ani chybi oni.

Koschella nie był specjalnie zaskoczony, chociaż wcale nie ucieszyło go potwierdzenie domysłów.

– Weźmie się wachmistrz za nich? – Łysy się wyszczerzył, a widok ten nie należał do przyjemnych.

– Nie twój interes.

– No mnie się wydaje, że i mój. Prędzej czy później wachmistrzowi staną na drodze, a może i nadepną na odcisk. Nie wiem, po co oni tutaj przyjechali, ale nie widać, żeby to tylko wycieczka była.

Franz z tym ostatnim stwierdzeniem był skłonny się zgodzić. Czyżby w Berlinie zrobiło się ciasno i złodziejskie organizacje szukały nowych rynków? Wokół stolicy było jednak więcej atrakcyjnych kąsków, dużych i małych

miasteczek. Zapomniane przez Boga Kłodzko zupełnie nie pasowało do działalności zorganizowanej grupy przestępczej.

– Jak się wachmistrz chce przyjrzeć tym kurwom bliżej, to niech idzie do Hotelu Cesarskiego. Tam sobie uwili gniazdko.

– Może tak zrobię – odezwał się Koschella po chwili znaczącego milczenia. – Jedną rzecz mam do ciebie, Łysy, którą chcę, żebyś sobie wbił do łba. Może być, że przyślę kogoś do ciebie. Trzymaj więc chłopaków jak najdłużej przy sobie. Jak przyjdzie czas, powiem ci, co masz robić.

– Policjant będzie mi mówił, co mam robić?

Koschella się uśmiechnął, wstał z krzesła.

– Właśnie tak, Łysy, właśnie tak będzie. Co więcej, wykonasz moje polecenia z niekłamaną przyjemnością.

– Jasna sprawa. Cesarski, wachmistrzu. Tylko jak pan tam już pójdzie, niech pan ma oczy dookoła głowy!

*

Z szeroko otwartego okna widać było kościół i plac. Na tej wysokości czuło się ożywczy podmuch wiatru, który dawał wytchnienie od ciężkiego zaduchu. Mieszkanie zajmowane przez kościelnego Jakoba Lischkego szybko nagrzewało się w ciągu dnia. Słońce przemieszczające się nad budynkami przenikało przez szyby, zamieniając tę część kamienicy we wnętrze pieca kaflowego.

– Niech pan mi opowie o śmierci księdza Reisera.

– Znał go pan? – Lischke patrzył na swojego gościa z przejęciem i zainteresowaniem. Wiedział, kim jest kapitan Wilhelm Klein. Miał w sobie coś, co widział też w młodym duchownym. Piętno wojny. Nie dało się go zetrzeć, zmyć czy o nim zapomnieć. Wrastało w ciało i duszę.

– A powinienem?

– Walczył pan na froncie zachodnim. Myślałem, że może się poznaliście. Ksiądz Reisera trudno byłoby nie zapamiętać.

– Nie, nie poznałem go.

Stary skinął głową. Sięgnął po papierosy, zapalił.

– Widziałem ten moment – odezwał się w końcu, zaciągając się dymem. Palenie rozjaśniało mu umysł. Popatrzył przez okno, na wieże świątyni. Patrzył na nie każdego dnia. – Ksiądz wszedł na wieżę, a potem z niej spadł.

– Spadł, nie skoczył?

„Dobre pytanie” – pomyślał Lischke.

– Nie wiem – odparł szczerze. – Może trudno mi się pogodzić, że ksiądz dopuścił się tak strasznego czynu.

Milczał przez chwilę, po czym znów podjął opowieść:

– Widziałem już samobójców, kapitanie. Kilku takich, co skakali z dachów i okien. To nie jest prosta decyzja. Zawsze tuż przed tym ostatecznym krokiem przychodzi taka chwila... może wahania, może żegnania się ze światem. Chwila, w której wszystko wydaje się zamierać. Tutaj tego nie było. Ksiądz wszedł na wieżę, potem przekroczył gzyms i po prostu spadł, jakby nie zauważył, że po drugiej stronie nie ma oparcia dla stóp. Mój brat w dzieciństwie lunatykował... Zamykaliśmy drzwi do chałupy i okna, żeby nie wyszedł z domu i nie zrobił sobie krzywdy. To właśnie tak wyglądało.

– Tylko księdza widział pan na wieży?

– Nie jestem pewny. – Lischke ściągnął palcami pokruszony tytoń z języka. – Codziennie mi się to śni i już nie wiem, co się wydarzyło, a co nie.

– Niech pan opowie – poprosił Klein.

Stary westchnął. Znów zaciągnął się dymem, patrzył przez chwilę na Kleina, jakby chciał ocenić, jak ten zareaguje na jego słowa.

– Ja przesądny nie jestem, to żeby kapitan wiedział. Duchy, demony może są, ale ja żadnego nie widziałem. Tyle że wtedy miałem wrażenie, że coś za księdzem idzie. Jakiś cień, tuż za jego cieniem. I kiedy ksiądz spadł, to... to ten cień na wieży jeszcze chwilę pozostał. Jakby się upewniał, że Reiser leży martwy. Pan wieży w duchy i demony?

– Jeśli są, to siedzą w człowieku.

Lischke skinął głową.

– Może to moja wyobraźnia. Widzę te chimery i maskary, które zamieszkują ściany i dach kościoła. Czasem wyobraźnia człowiekowi płata figle i wydaje mu się, że one ożywają. – Lischke nagle zamilkł, zmarszczył brwi. – Dlaczego pan o księdza pyta? Skąd pan o nim się dowiedział?

– Od znajomego.

– Od znajomego... A co on takiego panu powiedział?

– O wizjach Reiserera.

Klein zagrał w otwarte karty. Nie sądził, żeby Lischke powtórzył komuś ich rozmowę. Przed kwadranssem w recepcji odebrał wiadomość z taką właśnie informacją. Z koślawych liter postawionych na kartce papieru odcyfrował „Wizje Reiserera” i nazwisko Lischkego.

– Co mi pan może powiedzieć o wizjach księdza? – zapytał.

Jakob otrząsnął się z ponurych obrazów, które znów stanęły mu przed oczami.

– Ksiądz wchodził do kościoła od północnej strony. Kładł się krzyżem w Ogrójcu na posadzce. Wpatrywał się w sufit. Zawsze w pewnym momencie zaczynał drzeć, trząsł się jak w febrze. Wtedy go okrywałem... – Jakiś cień przemknął przez twarz starego na to wspomnienie. – Oczy uciekały mu w głąb

czaszki, usta otwierały się, ale nie wydawał dźwięku. Za pierwszym razem się przeraziłem, myślałem, że Reiser doznał jakiegoś ataku. Ale to nie trwało długo. Ksiądz nagle się uspokajał, wciąż patrzył w sufit i nawet się uśmiechał. Jakby widział coś, czego nie jest dane oglądać zwykłemu śmiertelnikowi.

– Mówił panu o tych wizjach?

– Nie mnie bezpośrednio... Ksiądz mówił o nich w kazaniach. Choć początkowo nikt nie wiedział, że opisuje właśnie te wizje. Opowiadał w taki sposób, że człowiek nie mógł przestać słuchać. O okopach, o cierpieniu, o śmierci... Wielu z nas straciło bliskich w Wielkiej Wojnie. Ludzie słuchali w milczeniu, przeżywali to tak, jakby sami tam byli, w tym błocie, we krwi, pośród konających. I pomyślałem sobie, że to dobrze, że trzeba to wiedzieć. Trzeba wiedzieć, jak straszna była to wojna. Może dzięki temu to się już nie powtórzy... Bo jakbyśmy już o tym zapominali... albo nie chcieli pamiętać.

Stary wziął głęboki oddech, zaświszczało mu w płucach. Odkaslnął, znów zaciągnął się dymem.

– To wspomnienia księdza, nie wizje – zauważył Klein.

– Tak, wspomnienia z okopów, z walk, rzeczy, które ksiądz widział na własne oczy. Ale to nie wszystko. Te opowieści w pewnym momencie się zmieniały i wtedy Reiser relacjonował sceny ostatnich dni Jezusa, o tym, jak został zdradzony, jak nasz Pan oddał za nas życie na krzyżu i... Mówił to tak, jakby to wszystko nie wydarzyło się tysiące lat temu, ale miało dopiero się wydarzyć, i to właśnie tu, u nas w Kłodzku. Mówił, że widzi złych ludzi, przez których miasta zostaną skąpane we krwi, a potem zburzone i spalone do gołej ziemi. Miliony trupów, które spoczną w bezimiennych grobach. Mówił, że Jezus nie umrze za nas ponownie, by zmasać nasze grzechy, bo są zbyt ciężkie i jest ich zbyt wiele. Że pojawi się tylko po to, by nas ukarać i wymazać z powierzchni ziemi. To zakrawało na bluźnierstwo...

– Uważa pan, że Reiser bluźnił?

– Myślę raczej, że chciał nas przestrzec. Jego słów nie należało odbierać dosłownie. Ksiądz mówił przecież o życiu, o tym, jaki los może człowiek zgotować bliźniemu. Sam pan zresztą wie, był pan na froncie i widział niejedno... Nie wszyscy chyba to rozumieli. Proboszcz zaczął odsuwać księdza od prowadzenia mszy. Pojawiły się plotki, że na wojnie coś mu się porobiło z głową, stąd te ataki i drgawki. Że to nie wizje, a jedynie rojenia w gorączce.

– Pan tak nie uważa?

Lischke się zaśmiał.

– Historię biskupa praskiego Arnoszta z Pardubic pan zna? Wie pan, że jako dzieciak w naszym kościele doznał objawienia? Figura Matki Boskiej odwróciła się do niego plecami. To go zmieniło. A jego nagrobek, który mamy w kościele?

Wie pan o tym oleju, który co jakiś czas z niego wysiaka? Wielu mówi, że ma cudowne właściwości. Teraz może nie każdy wierzy w wizje Reiserera, ale za jakiś czas, za kilka, może kilkadziesiąt lat będzie się je traktować inaczej. Zwłaszcza jeśli okażą się prawdą.

– Kto był blisko księdza w tym czasie?

– Sporo osób zaczęło odwiedzać Ogrójec, panie kapitanie, dopóki proboszcz nie kazał zamknąć do niego dostępu. Ludzie tam leżeli jak ksiądz, czekali na swoje wizje. Już się nie mieścili. Chodzili za Reiserem, niektórzy uważali go za świętego. Chcieli, żeby ich uzdrawiał. Ksiądz sprowadzał ich na ziemię, ale wyglądało na to, że wiedzieli lepiej. Nikogo blisko nie dopuszczał, przebywał zamknięty w swojej izbie. Modlił się w samotności.

– Co o śmierci Reiserera mówią ludzie?

– Mało kto wierzy w samobójstwo. Są jednak i tacy, którzy uważają, że skoczył, że doprowadziła go do tego choroba, przeżycia i rany psychiczne odniesione na wojnie.

Klein odwrócił się od Lischkego i spojrzał w stronę kościoła.

– Chciałbym zobaczyć Ogrójec. Wpuści mnie tam pan?

Rozległo się skrzypnięcie mebla i brzęk kluczy. Stary wstał z krzesła i stanął u boku kapitana. Przez krótką chwilę patrzył na świątynię.

– Pójdzie pan tam sam. Klucze potem proszę zostawić w drzwiach.

*

Bryła kościoła na pierwszy rzut oka wydawała się surowa. Dopiero uważniejszy obserwator wychwytywał liczne detale i zdobienia. Wzrok przyciągała kapliczka z figurą Jezusa wspierającą się na popiersiu anioła. Była to ozdoba jednej z przypór. Nie zabrakło płaskorzeźb z herbami, popiersi i innych rzeźb na elewacji zewnętrznej. Nie było wątpliwości, że to jedna z cenniejszych bazylik hrabstwa kłodzkiego.

Kleina interesowała jednak nawa północna. Przez chwilę podziwiał płaskorzeźby zdobiące ściany od zewnętrznej strony Ogrójca. Przedstawiały sceny pasyjne, w tym biczowanie i włożenie korony cierniowej na głowę Jezusa. Wydawały się proste i nieporadnie wykonane. Liczyły sobie ponad cztery wieki, ale o ogólnym wrażeniu i tak decydowały styl i umiejętności twórcy.

Klein wyciągnął klucze z kieszeni i odnalazł właściwy.

Znalazł się w cichym, chłodnym wnętrzu wypełnionym zapachem kadzidła. Odetchnął głęboko.

Ogrójec zajmował niewielką część nawy. Kapitan przystanął w progu, obejmując wzrokiem rzeźby i malowidło naścienne. Następnie wkroczył w tę

przestrzeń, przypatrując się figurom naturalnej wielkości. Judasz z sakiewką prowadzący przez furtę dwunastu siepaczy. Mały, ciekawski ulicznik przedzierający się przez dziurę w wiklinowym płocie, by być świadkiem zdarzenia. Scenę zdrady przedstawiono na tle wyrzeźbionej panoramy Jerozolimy. Stare miasto świętego miasta do złudzenia przypominała Kleinowi Kłodzko.

Kapitan przeniósł wzrok na drugą stronę, na klęczącego Jezusa i trzech przysypiających apostołów. Zlustrował fresk modlącego się Chrystusa i rzeźbę anioła zstępującego z nieba, by pocieszyć Syna Bożego. Stanął pośrodku Ogrójca i wyobraził sobie modlącego się tu Reisera. Czuwającego zupełnie jak Jezus, oczekującego tego, co nieuniknione.

*

Leon Czosek przysłuchiwał się rozmowie Gurbera z kościelnym. Niewiele z niej wynikało. Mężczyzna powtórzył to, co zapisano kilka miesięcy wcześniej w raporcie. Był nawet bardziej powściągliwy. Ta powściągliwość właśnie zastanawiała asystenta policyjnego. Co więcej, Jakob Lischke okazywał zniecierpliwienie, jakby chciał, żeby dano mu wreszcie spokój. Karl nie dawał za wygraną, kazał staremu wypełnić listę nazwiskami znajomych księdza, a także tych, którzy za nim chodzili jak cień. Kościelnemu szło to równie opornie jak odpowiadanie na pytania.

– Czy coś jeszcze pan sobie przypomniał? Chciałby pan uzupełnić wcześniejsze zeznania?

– Nie.

– Czasem po kilku miesiącach patrzy się na pewne sprawy inaczej. Na pewno wracał pan myślami do tamtego dnia.

– Wracałem. I nie mam nic do dodania.

– To pan pierwszy znalazł się przy ciele księdza?

Lischke skinął głową. Tamta chwila znów stanęła mu przed oczami. Bezładne, zakrwawione ciało Paula. Niewielki krucyfiks wysuwający się z martwej dłoni...

– Wiedział pan, że ksiądz był morfinistą?

Lischke uniósł głowę, popatrzył Gurberowi w oczy. Było w tym spojrzeniu coś chłodnego, zniknęła dotychczasowa obojętność.

– Nic mnie do tego – powiedział. – Wojna zniszczyła tych młodych ludzi. Zniszczyła ich śmierć, która codziennie zaglądała im w oczy. Potem swoje dołożyły szpitale i lekarze, którzy na ból ciała i duszy mieli tylko jedno lekarstwo. Był pan tam? Walczył pan na froncie?

Gurber zaśmiał się, popatrzył na Czoska i wywrócił oczami.

– Nie byłem i trochę żałuję, bo nie pogardziłbym tymi receptami, co je tak chętnie przepisywali.

Stary zapatrzył się w blat stołu, nic nie powiedział. Zdusił w coś sobie, może jakieś słowa, a może uczucie, które zapragnęło wydostać się na zewnątrz.

– Zna pan niejakiego Theodora Heigla? – Karl zaczął z innej strony.

– Nic mi to nazwisko nie mówi.

– A malarze jacyś się tu kręcą przy kościele?

– Nie interesują mnie...

Czosek otarł chusteczką pot z czoła. W mieszkaniu było gorąco, chciało mu się pić. Stał przy oknie w nadziei, że ruch powietrza złagodzi nieco jego cierpienia. Zbliżył się do parapetu, popatrzył na plac przed kościołem.

Zobaczył, jak ktoś wychodzi ze świątyni. Wysoki, szczupły mężczyzna zamknął za sobą drzwi. Leon uważnie mu się przyjrzał. W pierwszej chwili go nie rozpoznał, gdy jednak człowiek ten uniósł głowę i ich spojrzenia się spotkały, Czosek nabrał pewności, że patrzy w oczy Wilhelma Kleina.

Kapitan uśmiechnął się i zniknął Leonowi z pola widzenia. Policjant nie zdążył nawet skinąć mu głową. Odwrócił się w stronę kościelnego. Już wiedział, skąd wzięła się powściągliwość tamtego i zniecierpliwienie. Niewiele wcześniej rozmawiał z Kleinem.

– Ma pan klucze do kościoła? – zapytał Czosek, przerywając w połowie zdania Gurberowi, który wciąż próbował coś wyciągnąć z Jakoba.

Lischke obszukał kieszenie, zmarszczył brwi. Nie nadawał się na aktora.

– Chyba zostawiłem w drzwiach kościoła. Człowiek roztargniony w tym upale. Leon pokiwał głową z udawanym zrozumieniem.

– Nie będzie miał pan nic przeciwko, jeśli tam zajrzemy?

Gurber spojrział na Czoska pytająco. Ten jednak skupił uwagę na kościelnym.

– Zaprowadzę panów. – Lischke podniósł się z krzesła. Zrobił to z trudem, jakby męczyła go podagra. Policjant mógł się założyć, że Lischke będzie ich prowadził do kościoła całą wieczność.

– Skoro klucz jest w drzwiach, nie musi się pan fatygować – oznajmił Czosek, kierując się do wyjścia. Dał sygnał Gurberowi, żeby do niego dołączył. Wachmistrz skinął głową, uśmiechnął się szeroko i ruszył za towarzyszem.

– Co jest, Leon? – zapytał Karl już na schodach.

– Nic z niego nie wyciągniemy. Chcę zobaczyć to miejsce, w którym Reiser miał te swoje wizje.

– W porządku. Dobra myśl... – Wachmistrz najwyraźniej czekał na ciąg dalszy wyjaśnień. Miał dobrą intuicję, jednak Czosek postanowił zachować dla siebie informacje na temat Kleina. Nie wiedział, dlaczego tak postąpił.

Znaleźli się na placu kościelnym i ruszyli w stronę bazyliki. W Ogrójcu stali przez dobrą chwilę, w milczeniu popatrując na rzeźby. Było w tym miejscu coś szczególnego, co powodowało, że człowiek mimowolnie zaczynał podążać za historią opowiedzianą przez rzeźbiarza.

– Myślisz, że Reiser nie wytrzymał?

Czosek wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Mógł mieć problemy... z głową.

– Też tak uważam. Widziałem wielu takich, którzy sobie nie poradzili. A on, jako ksiądz, był pewnie na to wszystko szczególnie wrażliwy. Ja nawet myślę, że wierzył w te swoje wizje. W końcu jednak sobie z nimi nie poradził.

– Zapewne masz rację – przyznał Leon. – Na kogoś jednak wpłynął tymi wizjami.

– Jasne. To wszystko pięknie się łączy – przyznał Gurber. – Reiser i jego objawienia w Ogrójcu. Przepowiednia, że wszystko się powtórzy w Kłodzku. No, może z lokalizacją miał problem. – Karl zaśmiał się ochryple. – Ale gorzanowska pasja i śmierć starosty na krzyżu to nie przypadek.

– Dodaj jeszcze Heigla, odcięto mu ucho. Zdaje się, że święty Piotr miał odciąć ucho jednemu z arcykapłanów.

Obaj popatrzyli na rzeźbę świętego Piotra u boku modlącego się Jezusa.

– Widzę, że odrobiłeś zadanie domowe, Czosek.

– Przeczytałem Biblię, jeśli o to ci chodzi. A ty nie?

Gurber znów się zaśmiał.

– A może to drugi van Gogh? Nie pomyślałeś? Szaleniec, co sobie sam odciął część ciała...

– Daj spokój, to nie artysta tego formatu.

– Albo nie świr tego formatu – zarechotał Gurber. – No dobra. Co jeszcze tam wyczytałeś, Leonie? Możemy się spodziewać kolejnych trupów?

– Judasz się powiesił.

– Że co?

Czosek wskazał rzeźbę przedstawiającą Judasza z sakiewką.

– Powiesił się z rozpacz. Chciał oddać srebrniki, ale to już nie miało znaczenia.

Gurber poklepał kolegę po plecach.

– Więc czeka nas jeszcze trochę zabawy. Zender chyba ma rację: ktoś tak bardzo uwierzył w wizje Reisera, że postanowił pomóc im się urzeczywistnić. Mamy jednak do czynienia z wariatem.

– Wariatem?

– Jak dla mnie to pewne, że trzeba szukać kogoś równie pomyłonego jak nasz świętej pamięci księżulo. Nie wiem, czy nie powinniśmy mieć tutaj, w kościele,

jakiegoś obserwatora. Może nasz morderca pojawia się tu i leży plackiem w Ogrójcu jak wcześniej Reiser. Czeka na znak, a potem wciela w życie to, co sobie uroi.

Czosek skinął poważnie głową, co wywołało wesołość u Gurbera.

– Żartowałem, ale to chyba jednak wcale nie taki głupi pomysł...

– Kto wie...

Leon poczuł chłodny dreszcz na plecach.

– Chodźmy – rzucił Gurber, wyraźnie znudzony. – Wracamy do naszej nory w magistracie.

Policjanci wyszli z kościoła. Czosek poczuł się lepiej w promieniach słońca. Upał przestał mu przeszkadzać. Gdy przechodzili pod Czarną Bramą, która prowadziła niegdyś na przykościelny cmentarz, Leon nie mógł oderwać wzroku od figur trzech jezuickich świętych.

Z Kirchgasse skręcili w ruchliwą Schwedeldorferstrasse. Tu Gurber dźgnął Czoska łokciem w żebra.

– Ej, co jest?!

– Żona szefa. Helga Zender!

– Gdzie?

Leon się zatrzymał, bo i Gurber stanął jak wryty. Karl wyprostował się jak struna i ukłonił się kobiecie wychodzącej właśnie z Domu Mody Działoszynskiego.

– Dzień dobry, szanowna pani.

– Karl? Co tu robisz? – Kobieta nie ukrywała zdziwienia. Otworzyła białą koronkową parasolkę i uniosła ją nad głowę, by ochronić się przed palącym słońcem. Jej suknia zaszeleściła, gdy przeszła przez próg i stanęła na bruku. Helga była ubrana elegancko. Na gust Leona zbyt elegancko jak na ulice prowincjonalnego miasteczka.

– Współpracuję z nadwachmistrem. Ściągnął mnie tutaj, do Kłodzka.

Kobieta skinęła głową. Nie skomentowała tego. Trudno było wyczytać z jej twarzy, jak przyjęła tę informację. Obok niej pojawił się wyrostek, może dwunastoletni. Ubrany był w krótkie spodenki, a jego długie, chude nogi o kolanach wielkich jak jabłka wydawały się nieproporcjonalne względem reszty ciała. Chłopak się niecierpliwił. Widać było, że nie jest w humorze. Czosek pomyślał, że pewnie nie w smak mu była przeprowadzka z Wrocławia.

– Aspirant kryminalny Leon Czosek. – Gurber poczuł się zobowiązany przedstawić towarzysza. – Należy do zespołu nadwachmistrza Zendera.

– Dzień dobry, szanowana pani. – Leon się ukłonił.

– Dzień dobry.

Helga Zender uniosła nieznacznie kapelusz, przypatrując się Czoskowi. Zmrużyła oczy, być może miała problem ze wzrokiem. Uważnie przyjrzała się policjantowi i najpewniej dokonała jego oceny.

Leon też przypatrzył się kobiecie. Unikał zerkania w ogromny dekolot, choć nie było to łatwe. Budził znacznie większe zainteresowanie niż okrągła twarz z perkatym nosem i puciołowatymi policzkami.

– Jak pani znajduje Kłodzko?

Brwi Helgi Zender uniosły się nieznacznie. Zastanawiała się chyba, co odpowiedzieć na pytanie Gurbera.

– Znajduję je jako małe i duszne. Ciekawe na jednodniową wycieczkę krajoznawczą.

Karl uśmiechnął się uprzejmie, słysząc tę odpowiedź.

– Hrabstwo ma kilka zalet. W pobliżu jest sporo modnych kurortów. Przyciągają turystów z całych Niemiec.

Czosek popatrzył ze zdziwieniem na Gurbera. Karl zachwalał okolicę, jakby żył tu od lat, a nie od kilku miesięcy.

– Zapewne – potwierdziła matrona bez entuzjazmu.

Ze sklepu wyszedł starszy mężczyzna obładowany torbami.

– Zanieś to do samochodu – poleciła mu Helga.

Wyglądało na to, że przynajmniej zaopatrzenie sklepów przypadło jej do gustu.

– Mamo, obiecałaś czekoladę.

Syn Zendera bardzo przypominał ojca. Oczywiście dzieliły ich przynajmniej trzy dekady i kilkadziesiąt kilogramów, jednak zacięty wyraz ust i ciągłe niezadowolenie na twarzy sprawiały, że nadwachmistrz nie zdołałby się wyprzeć ojcostwa przed żadnym sądem.

– Hans będzie chodził do szkoły w Kłodzku, pani Zender?

Ta zażyłość Gurbera z rodziną przełożonego zdziwiła Czoska. Wciąż milczał, uśmiechając się głupkowato.

– Wraca do Wrocławia, tam będzie kończył edukację. Nie zmarnuję życia dziecku w prowincjonalnej szkółce.

Zender junior zadarł nos, słysząc, że mówi o nim matka. Czosek uznał, że dzieciak ma farta, bo w Kłodzku nie czekałoby go łatwe życie. Szybko doprowadzono by go tutaj do pionu.

Bachor nie odrywał wzroku od witryny sklepowej Ernsta Müllera. Obok win widać było bombonierki i czekolady owinięte w złote papierki. Ślinił się na ich widok, jak, nie przyrównując, Czosek na myśl o piersiach jego matki. Na razie szczył miał dobrą przemianę materii, ale Leon był pewny, że przyjdzie czas, gdy górę wezmą geny rodzicieli i obżarstwo zaowocuje sporą nadwagą.

Służący Zenderów powrócił, pozbywszy się licznych zakupów, zapewne przygotowany na kolejne podboje prowincjonalnych sklepów.

– Życzymy miłego dnia, pani Zender. Cieszę się, że znajduję panią w zdrowiu. Życzę wszystkiego dobrego.

– Dziękuję – odpowiedziała automatycznie Zenderowa. Zdążyła już stracić zainteresowanie policjantami.

Gurber i Czosek ukłonili się i ruszyli w stronę ratusza.

– Inflacja jej nie straszna – powiedział Karl, gdy znaleźli się w rynku. – Nasz nadwachmistrz musi nieźle zarabiać.

– Może ceny w Kłodzku są wciąż niższe we Wrocławiu.

– Pewnie masz rację. – Gurber zaśmiał się, jakby zawstydziła go własna uwaga o zasobności portfela szefa. Zaraz zmienił temat: – Myślisz, że Schulz przemaglował już aktorów z Gorzanowa?

– Pewnie tak – potwierdził z roztargnieniem Leon. – Lothar jest dobry w tym, co robi.

– Znasz go lepiej, więc ci wierzę. – Gurber mimo wszystko nie wyglądał na przekonanego. Może miał za złe wachmistrzowi, że ten mimo prób nawiązania lepszego kontaktu pozostaje z nim w chłodnych relacjach.

– A nasza robota? Mamy pełną listę wyznawców Reiser'a?

Czosek poklepał się po kieszeni, do której schował notatkę.

– Chciałbym wierzyć, że kościelny nikogo nie pominął.

– Bo niby dlaczego miałyby to robić, nie?

Leon domyślił się, że tą sarkastyczną uwagą Gurber zarzucił mu naiwność.

– Chcesz wypytywać księżulków z parafii?

– A sądzisz, że dowiemy się od nich czegoś więcej, Leonie?

– Te nazwiska, co podał Lischke, to sami staruszkowie nad grobem. Porównamy je z listą Schulza. Jeśli jakieś się pokryją, weźmiemy delikwentów na celownik.

– Mamy więc plan. – Karl skinął głową. – Może coś się ruszy w tej sprawie, zanim kogoś powieszają.

– Naprawdę uważasz, że to pójdzie w tę stronę?

– Byłbym zawiedziony, gdyby stało się inaczej – zaśmiał się Gurber. – To miasto zaczyna mi się coraz bardziej podobać. Myślałem, że będę się nudził jak mops, a tu popatrz. Zaprawdę, Kłodzko jest pełne atrakcji.

Znaleźli się przed wejściem do ratusza. Tu zwolnili, bo drogę zastąpił im tłum ludzi. Na schodach stał starszy mężczyzna, którego Czosek od razu rozpoznał. Erich Frank mówił podniesionym głosem, trzymając w ręku jakiś świstek papieru. Unosił go nad głowę i potrząsał nim, perorując.

– Jeśli będziemy siedzieć cicho, nikt w naszej sprawie nic nie uczyni! – Potoczył wzrokiem po zgromadzonych. – Wzywam burmistrza Franza Ludwiga, by po raz kolejny swoim autorytetem wpłynął na tych, którzy decydują o naszej przyszłości. Ba! O przyszłości nie ma co mówić, skoro boimy się nawet o teraźniejszość. Wielu z nas nie ma śmiałości, by wybiegać daleko myślami w przód, kiedy każdy dzień staje się walką o przetrwanie!

Leon przyglądał się zbiegowisku. Z ratusza wyszli policjanci z porządkowej, ale nie interweniowali, po prostu ustawili się w kilku newralgicznych miejscach na obrzeżach tłumu. Czosek widział przed sobą kobiety, mężczyzn i dzieci. Dorosłych w większości rozpoznawał. Byli to pracownicy kilku kłodzkich fabryk i zakładów przedziałniczych z Ołdrzychowic.

– Wiem, że wielu z was w ciągu kilku nocy straciło oszczędności życia – zagrmiał Erich. – Wyprzedajemy rodzinne pamiątki, by nasze dzieci nie umarły z głodu! Pieniądze z wypłat przynosimy w workach, jednak nie jesteśmy w stanie kupić za te papierki nic wartościowego, wymieniamy je od razu na żywność. A przemysłowcy towary wyprodukowane naszymi rękoma sprzedają za dewizy za granicę! Niedawno płaciliśmy za chleb kilka marek, później setki, wczoraj tysiące, a dziś ponad dwadzieścia tysięcy. Jutro będziemy płacić miliony!

Tłum reagował coraz energiczniej. Pomrukem towarzyszyły coraz liczniejsze okrzyki.

– Czy kryzys trawiący Niemcy dotknął właścicieli wielkich fabryk? – grzmiał Frank. – O nie! Jakimś cudem właśnie oni mają się świetnie. Odpowiada im to, co się dzieje z naszym krajem! Ucierpieliśmy tylko my! Bo w naszej obronie nikt nie chce wystąpić!

Leon usłyszał burzę oklasków. Miał przed sobą ludzi, którym zaglądały w oczy głód i desperacja. Ten tłum łatwo było podpalić.

– Ledwie wiążemy koniec z końcem. – Głos Franka brzmiał hipnotyzująco. – Nasze miesięczne wypłaty nie uwzględniają inflacji. W rezultacie za ciężką pracę dostajemy ochłapy. Nie jesteśmy w stanie nawet wyżywić naszych rodzin! Dlatego mówię wam: mamy prawo domagać się dniówek, a co najmniej wypłat tygodniowych uwzględniających spadek wartości pieniądza! W całym kraju strajkują już setki tysięcy robotników. Dziś możemy strajkować i my! Jeśli nic się nie zmieni, miasta spłyną krwią, a na ulicach będą leżeć trupy tych, którzy umarli z głodu!

– Ten nasz zabójca od pasji wybrał zły moment na swoje przedstawienie – wykrzyczał Gurber w ucho Czoska. – Ludzie mają teraz ważniejsze sprawy na głowie niż jakiś morderca od obrazów.

Czosek przytaknął. W całym kraju wrzało jak w ulu. Lewica zwiększała swoje wpływy, skrajna prawica poczyniała sobie coraz śmielej. Wielu szeptało

o rewolucji, a liczni pewnie marzyli o obaleniu Republiki. Rząd Wilhelma Cuno zupełnie nie radził sobie z sytuacją w państwie.

Te nastroje, o których Czosek czytał w gazetach, jeszcze jakiś czas temu wydawały mu się odległe. Jakby dotyczyły innego świata, a życie w hrabstwie toczyło się według innych reguł. Choroba przeniosła się jednak także na ulice jego miasta.

– Burmistrzu, wyjdź do nas! Jesteśmy mieszkańcami Kłodzka i hrabstwa. Właściciele fabryk i zakładów nie słuchają naszego wołania, więc ty je usłysz!

Patos z miejsca podziałał na zgromadzonych. Jak na zawołanie zaczęli skandować imię i nazwisko burmistrza:

– Franz Ludwig! Franz Ludwig!

Nagle rozległa się wrzawa. Czosek stanął na palcach, żeby lepiej widzieć główne wejście do ratusza. Wyłonił się z niego burmistrz w towarzystwie jakiegoś mężczyzny. Stanęli przy Franku.

– Dziękujemy, że pan do nas przyszedł, burmistrzu. – Erich wciąż zwracał się do zebranych. – Jesteśmy tutaj, by rozmawiać. Wyciągamy rękę, pamiętając, że burmistrz nigdy nie był obojętny na los potrzebujących. A tych potrzebujących jest teraz więcej niż zwykle, już nie setki, ale tysiące!

Tłum znów zawrzał, ucichł jednak, gdy Franz Ludwig uniósł dłoń.

Czosek wielokrotnie mijał Ludwiga na korytarzach urzędu. Burmistrz cieszył się ogromnym poważaniem. Dobrotliwa, inteligentna twarz, otwartość na problemy mieszkańców, a przede wszystkim jego decyzje mające wpływ na rozwój miasta zaskarbiły mu uznanie i szacunek.

Ludwig poprawił okulary na nosie i ogarnął tłum wzrokiem. Czosek odniósł wrażenie, że nawet jemu na ułamek sekundy burmistrz popatrzył prosto w oczy. Urzędnik pokiwał głową, jakby zadowolony, że tak wiele osób zgromadziło się pod ratuszem. A przecież tego typu głodowe demonstracje w Niemczech kończyły się falą tsunami, która przetaczała się przez miasto i pozostawiała za sobą rozbite sklepowe witryny i krwawe ofiary. W końcu przemówił:

– Słyszę wasz głos!

Te trzy słowa wystarczyły, by przez tłum przeszedł elektryzujący impuls. Zdziwiałe, ale napięcie momentalnie opadło.

– Słyszę wasz głos, bo mówimy nim wszyscy razem! Bo widzę, czuję i myślę tak jak wy. Podążamy trudnym szlakiem, wyboistym i stromym. Potykamy się na nim, ale jest nas wielu i nie pozwolimy, żeby ktokolwiek z nas upadł, by ktokolwiek z nas pozostał w tyle. Tylko razem dotrzemy do celu...

Czosek poczuł dławienie w gardle, patrząc na zasłuchanych ludzi. Nawet Gurber wpatrywał się w burmistrza, jakby się bał, że uroni choćby słowo z jego przemowy.

– Dziś w tej podróży wykonaliśmy kolejny krok. Bardzo ważny, zapewne jeden z wielu, które musimy wykonać. Zebrali się u mnie wasi pracodawcy. Pojawili się wszyscy, nikt nie odmówił rozmowy. Przedstawiłem im wasze żądania. Pensje tygodniowe uwzględniać będą spadek wartości marki...

Przez tłum przeszedł szmer ulgi.

– Pracodawcy zapewnili utrzymanie miejsc pracy przez najbliższe trzy miesiące. Oba te postulaty zostały przyjęte i zagwarantowane.

Leon widział, jak zgromadzenie się ożywia, jak nastrój ludzi ulega zmianie.

– Co z tymi, którzy stracili pracę?

Burmistrz skinął poważnie głową.

– W Minoritenkirche powiększamy kuchnię dla potrzebujących. Ale to nie wszystko. – Franz Ludwig spojrzął na towarzyszącego mu mężczyznę. Ten chował się do tej pory za jego plecami, jednak na dany mu sygnał stanął u jego boku. – Pan Bertram Scheidt został wybrany na przedstawiciela grupy przemysłowców hrabstwa kłodzkiego. Ma państwu coś do zakomunikowania.

– Dziękuję, burmistrzu. – Scheidt uklonił się Ludwigowi i spojrzął na zgromadzonych. – Być może znacie mnie już państwo. Związałem się z Kłodzkiem jakiś czas temu, wybierając je na swój dom... Widzieliście zapewne liczne składy odjeżdżające z dworca w stronę Wrocławia i dalej, w głąb Republiki. Jestem przedstawicielem firmy, która zajmuje się pośrednictwem w sprzedaży towarów. Znajduję rynki zbytu za granicą dla licznych towarów produkowanych w hrabstwie. Moi koledzy przemysłowcy obdarzyli mnie zaufaniem. Wiem, że rola, którą mi powierzono, jest odpowiedzialna, postaram się jednak godnie ją wypełnić. Niemieckie towary słyną z jakości, zapotrzebowanie na nie za granicą jest wciąż duże. Udało nam się nawiązać kontakty, które już owocują zamówieniami u naszych partnerów. To oznacza większą produkcję i potrzebę zatrudniania pracowników. Wszystko wymaga oczywiście czasu. Jednak już teraz potrzebować będziemy kilkudziesięciu par rąk do pracy...

– Chodźmy stąd. – Gurber pociągnął Czoska za sobą. – Nic tu po nas. Mamy swoją robotę.

Wyminęli tłum i weszli bocznym wejściem do ratusza.

– Całkiem dobrze mówią o tym Scheidtcie, potrzeba Kłodzku takich ludzi, Karl. Może warto go posłuchać. Już podnoszą się głosy, żeby uczynić go nowym starostą.

– Jeszcze jeden nie ostygł, a już mają drugiego? – zarechotał wachmistrz. – Jeśli nawalimy w swojej robocie, to wtedy będzie trzeba się zgłosić do tego pajaca. Ty możesz od razu, jeśli marzy ci się rola tragarza. Taki wagon

załadowałbyś w trymiga. Z tego, co wiem, buduje też nowe osiedle domów, jeśli odpowiada ci praca na budowie, to pewnie też się załapiesz.

– Tylko jak będziesz dowoził mi cegły – odparował Leon.

Gurber się zaśmiał. Znaleźli się na piętrze wydziału.

– Znajdź Schulza, trzeba porównać nazwiska od kościelnego z jego listą – powiedział wachmistrz. – Ja skoczę do Zendera. Złożę mu raport.

– W porządku.

Leon odprowadził Karla wzrokiem, a sam wszedł do sali wydziału. Schulza jednak nie zastał.

*

Kleina zbudziło z drzemki pukanie do drzwi. Przez chwilę się nie poruszał. Może tylko mu się to śniło?

Pukanie się powtórzyło, bardziej natarczywe, przynaglające. Wilhelm wstał z łóżka, a prześcieradło zsunęło mu się z ciała i opadło na podłogę. Podszedł do drzwi. Rzucił okiem za siebie, na szare niebo obramowane okienną ramą. Zbliżał się wieczór.

– Kto tam? – zapytał chrapliwie.

– A jak myślisz?

Przekręcił klucz w zamku, uchylił. Pochwycił jej ironiczne spojrzenie, odsunął się i wpuścił ją do środka.

– Czekaleś na mnie? – zapytała, zamykając za sobą.

– Nie przyszło mi do głowy, że przyjdiesz.

– Zależy do której... Ta mniejsza jest o dziwo bardziej domyślna.

Popatrzyła w dół, ujęła w dłoń jego prącie.

– On jest zadowolony, a ty?

– Nie zwykłem narzekać...

Zaśmiała się. Zderzyli się boleśnie zębami. Poczuli delikatny smak wina. Zrzuciła z siebie koszulę i spodnie, po czym pchnęła go na łóżko. Po chwili, już całkiem naga, usiadła na jego brzuchu.

– Chciałbym, żebyś mi dziś wieczorem w czymś pomogła.

– Myślałam, że właśnie to robię. – Przekrzywiła głowę, patrząc na niego z uśmiechem.

– Nie o takiej pomocy mówię.

– A o jakiej, Klein?

– Pójdiesz ze mną w pewne miejsce.

– Jako twoja znajoma? Kochanka? A może przykrywka?

Wzruszył ramionami, na co głośno się zaśmiała.

– Zastanowię się – powiedziała. – Najpierw jednak ty zrobisz coś dla mnie.

Sutek dotknął jego warg, stwardniał, gdy zamknął go w ustach. Po chwili Klein w niej był. Zamknęła go w sobie niespiesznie, syciła się tą chwilą. Patrzył na nią, gdy odchyłała się do tyłu, wyginając ciało w łuk.

Obrazy nakładały się na siebie, przenikały. Był w tym łóżku z inną kobietą. Widział delikatne ramiona, łuk szyi i drobne piersi Agnes. Widział jej twarz, słyszał jej słowa, które uwalniały go od obłędu. Wzięła wtedy na siebie tamtą walkę, potrafiła utrzymać na powierzchni siebie i jego. Wspomnienie jej oczu, zapachu i smaku było bolesne.

Obraz stabilizował się wraz z każdym kolejnym ruchem ich ciał. Wypierał ten dawny, pozwalał wyłaniać się jednemu rzeczywistemu. Odeszło wspomnienie, które w sobie pielęgnował. Był tu i teraz, całym sobą.

– Katherin...

Dźwięk tego imienia pobudził ich jeszcze mocniej. W końcu przyszło spełnienie, w pospiesznych oddechach, drzeniu ciał i rozedrganych myślach.

– Dotknęłam twojej duszy? Sprowadziłam ją na ziemię, Klein?

– Nie mam duszy – wysapał, łapiąc oddech pomiędzy jej pocałunkami. – Nie jest mi potrzebna.

Odchyliła głowę, żeby go lepiej widzieć. Dłonie wsparła na jego ramionach. Nie pozwoliła mu się z siebie wysunąć.

– To chyba jesteś szczęściarzem. – Zmrużyła oczy. Jej palce błędziły w szczelinach blizn od piersi w stronę brzucha. – Nie trafisz do piekła ani do nieba. Po prostu rozsypiesz się w proch. Poczuję ulgę, gdybym sama była pozbawiona duszy.

Patrzyła na niego. Czekala, aż powie coś więcej, Wilhelm jednak milczał. Znów zaczęła się poruszać. Powoli, w odpowiednich momentach delikatnie zaciskając mięśnie wokół jego prącia.

– Zadowolę się więc twoim ciałem, Wilhelmie, skoro nie mogę zabrać ci duszy. Od teraz nie masz już nic na własność. To pozwoli ci się narodzić na nowo.

*

Germain się wzdrygnął, gdy za oknem przesunęły się reflektory samochodu. Przestraszył się własnego cienia, który wyrósł na ścianie. Nieforemna pokraka, dzwonnik z Notre Dame.

Pamięć przywołała wydarzenia sprzed kilku dni. Co tak naprawdę wtedy się wydarzyło? Germain dotknął palcami skroni, potarł je, czekając na kolejny przebłysk.

Obrazy, które go nawiedzały, były niepokojące i podniecające. Dostrzegał obce twarze i fragmenty nagich ciał. Jakby przebywał gdzieś jedynie fizycznie, gdy jego świadomość pozostawała w uśpieniu. Ale czy nie czuł się tak przez całe życie?

Wydało mu się, że usłyszał jakieś kliknięcie w czaszce, jakby ten melanz bodźców uruchomił dawno zastały wewnętrzny mechanizm. Maszyneria drgnęła, tryby i tłoki wróciły do życia.

Wsiadł wtedy do samochodu. Ida przez chwilę patrzyła mu w oczy, a gdy pojazd ruszył, pozwoliła, by jego usta dotknęły jej policzka i szyi. Przypomniał sobie ich rozmowę:

- Czasem się zastanawiam, kim naprawdę jesteś – powiedział.
- Mogę być, kim chcesz...
- Tego się właśnie obawiam.
- Dlaczego, Germain? Czego się obawiasz?
- Jesteś prawdziwa?
- Nie wiem. Ty mi powiedz.

Jak niby miał odróżnić sen od jawy?

Widział jej zdjęcie w witrynie atelier, zwrócił na nie uwagę już wtedy, pierwszego dnia, gdy ciągnął po bruku walizkę, szukając numeru kamienicy i przyszłej pracowni. Stanął na rogu Schwedeldorferstrasse i Grünestrassen jak sparaliżowany, łapiąc powietrze niczym ryba wyrzucona na brzeg. Po raz pierwszy zobaczył ją na tamtej fotografii, ale to było tak, jakby naprawdę doskonale ją znał. Kolor jej oczu, długi łuk szyi, dołeczki w policzkach, gdy się uśmiechała...

– Zamknij oczy, Germain, jestem pewna, że gdy je znów otworzysz, wciąż tu będę.

Posłuchał jej także teraz. Mimo że dzieliły ich czas i przestrzeń. Ogarnęło go zmęczenie. Powieki opadły niczym żelazne kurtyny. Usłyszał szelest jedwabiu, poczuł muśnięcie delikatnego materiału na policzku, czole, ustach. Liczyło się tylko tu i teraz. To, że mógł położyć głowę na jej kolanach, wtulić się w nią i czuć dotyk palców na włosach i twarzy.

*

Koschella dotarł na Wilhelmsplatz. Tu zatrzymał się przed Hotelem Cesarskim. Część miasta rozrastająca się na zachód była nowoczesna i zaprojektowana z rozmysłem. Gmach poczty, a także fasady hotelu i kamienic otaczających plac przywodziły na myśl większe i bardziej znane miasta – tej części Kłodzka nie powstydziliby się Wrocław ani nawet Berlin. Franz przez chwilę obserwował

gości podjeżdżających pod budynek. Mężczyźni wyskakiwali na chodnik z samochodów i dorożek, stukając o bruk podszwami lakierków, i pomagali wysiąść roześmianym partnerkom, które obcasami wybijały na tych samych kamieniach wesoły rytm. Krótki żart, kilka słów będących zapowiedzią dobrej zabawy i przyjezdni kierowali się do bramy przytrzymywanej przez odźwiernego.

Kontrast był uderzający. Jeszcze przed kilkoma godzinami Franz, przechodząc przez rynek, widział tych, którzy walczyli, by mieć co włożyć do garnka. Teraz miał przed sobą wymuskane, elegancko ubrane pary w wieczorowych strojach, nastawione na szampańską zabawę. Wciąż, mimo kryzysu, w mieście było wielu, którzy nie rezygnowali ze starych przyzwyczajzeń. Znudzone małżonki przemysłowców czy dzieci bogaczy z różnych zakątków hrabstwa obrały sobie za cel Kłódzko, by uczestniczyć w otwarciu nowego lokalu w sali teatralnej Hotelu Cesarskiego.

Franz popatrzył na pulsujący neon zdobiący dach przybytku. Pierwszy punkt na dzisiejszej mapie odwiedzin. Ruszył do drzwi. Na pytanie o zaproszenie wyciągnął policyjną odznakę. Czerwony dywan prowadził schodami w górę, a jego druga odnoga ciągnęła się przez hol w stronę dużej sali. Frekwencja dopisywała. Przed szatnią stały dwie panienki w kabaretkach, ubrane w surduty i meloniki. Uśmiechały się szeroko, dygały na przywitanie przed gośćmi i podsuwały każdemu tace z kieliszkami szampana. Koschella wyminął kobiety, przyjrzał się szatniarzowi. Nie znał go. Zapewne był to człowiek nowego najemcy.

Muzyka, dobiegająca aż tu, brzmiała Franzowi obco, trochę egzotycznie. Rechot trąbki, wesołe dźwięki orkiestry, zachrypnięty głos śpiewaka. Grano rytmiczny i skoczny utwór. Koschella z wahaniem, ale i ciekawością wkroczył w wypełnioną gośćmi przestrzeń. Na scenie rzeczywiście dostrzegł orkiestrę. Wystrój tego miejsca mocno się zmienił: przybyło luster, powiększających optycznie salę, boczne części zaaranżowano na dwa niezależne bary. Wokół nich ustawiono blaty ze stołkami barowymi, przy których siedzieli koneserzy wymyślnych drinków i niezobowiązujących rozmów w mniejszym gronie. Tło dla tych dwóch przyczółków stanowiły rzędy półek wypełnionych kolorowymi butelkami. Środek sali podzielono na dwie części. Przed sceną znajdował się parkiet taneczny, już teraz wypełniony wirującymi parami. Dalej ustawiono siedem stolików przykrytych białymi obrusami. Na nich błyszcząły nastrojowo lampki, obok których stały kieliszki i butelki szampana.

Największe wrażenie robiły unoszące się nad salą i mieniące wszystkimi kolorami tęczy ogromne kandelabry.

– Jak w amerykańskim filmie, co, Franz?

– Co tu robisz, Schulz? – Koschellę musiał nieco oszołomić przepych wnętrza, bo nie zauważył wachmistrza, który przy nim stanął.

– Chyba to samo co ty? Czuję w kościach, że cię tu znajdę. Przyglądałeś się Heiglowi, a ten, gdyby żył, nie odmówiłby sobie przyjscia tutaj. Jego znajomi na pewno się tu bawią, więc będziesz chciał z nimi pogadać...

– Zrobiłeś się przenikliwy jak cholera. Czego ode mnie chcesz?

– Pogadać.

– O Heiglu?

– Między innymi.

– Zender nie ostrzegał cię przed kontaktem ze mną?

– Rzeczywiście coś wspomniał, żeby się trzymać od ciebie z daleka. – Lothar się zaśmiał. – Straszyl poważnymi konsekwencjami.

– Ale ty nie z tych strachliwych, co, Schulz?

– Może się napijemy? Stoimy jak kołki w wejściu. Zaraz nas wezmą za parę.

Franz się roześmiał, skinął głową. Ruszyli do baru, który wydawał się mniej zatłoczony. Usiedli na stołkach. Koschella zamówił piwo; podano mu je w butelce, najwyraźniej nikt nie miał zamiaru kłopotać się kuflem. Schulz zamówił burbon. Pijąc go, strasznie się krzywił.

– Złóżę prośbę o przeniesienie do obyczajówki, Franz.

Koschella milczał.

– Nie cieszysz się? Znowu moglibyśmy razem współpracować.

– Zastanów się, podobno nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki. Paskudna robota i jeszcze marniejsza pensja.

– Nie na długo, Franz.

– Co masz na myśli?

Schulz upił kolejny łyk farbowanego trunku. Wszedł mu już lepiej.

– Zender kombinuje. Nie pasuje mi w nim coś.

– Nie jesteś do niego uprzedzony?

– Przyganiał kocioł garnkowi.

– Ja mam powód: próżność, urażona duma. A ty?

– Ja też mam powód – odparł Schulz. Chciał coś dodać, ale się zawahał. Dopił burbon i wskazał barmanowi, że chce dolewkę. – Mniejsza o mnie. W tej sprawie ze starostą coś śmierdzi. Nie podoba mi się to, jak Zender ją rozgrywa. Bo że prowadzi jakąś grę, jestem więcej niż pewny.

– Prowadzi grę, bo pilnuje stołka. Potrzebuje sukcesu. Nie chce się potknąć, a ma u siebie w wydziale ludzi w spadku po mnie. Nie ufa ci.

– Może masz rację... Ale zapytam ciebie, jako byłego szefa Wydziału Kryminalnego. Mając o sprawie starosty te informacje, które do tej pory zgromadziłeś, odpuściłbyś wątek Heigla i jego siostry?

– Nie – przyznał Franz. – A skąd wiesz, że Zender odpuścił ich sobie?

Schulz nie odpowiedział. Znacząco wskazał głową w stronę wejścia. Gurber. Stał w progu, uśmiechał się. Nie widać było po nim takiego oszołomienia tym miejscem, jakie wywołało ono u prowincjonalnych policjantów. Zupełnie jakby poczuł się u siebie, w jakimś nocnym klubie we Wrocławiu.

Dostrzegł Lothara i Franza. Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Skinął głową.

– Kurwa – wydusił Schulz.

– I tak miałeś złożyć prośbę o przeniesienie – przypomniał ironicznie Koschella. – Chyba że ci się odwidziało?

Karl zakręcił się, zniknął w tłumie.

– Nie odwidziało mi się – powiedział Lothar. – Muszę tylko złożyć papiery szybciej, niż Zender wręczy mi wypowiedzenie.

– Gurber cię nie podkabluję.

– Nie?

– Oczywiście, że nie. Nie jest głupi. Trochę z tobą pogra. Wiesz, że cię ze mną widział i może o tym powiedzieć Zenderowi. Ta świadomość i niepewność, czy coś wypaple, będzie cię teraz uwierać w dupę. To mu wystarczy. Może zechce podobnej przysługi?

– Skurwiel. – Schulz potrząsnął szklanką, kostki lodu zastukały o ścianki naczynia. – Myślisz, że dlaczego się tutaj pojawił, Franz? Też idzie tropem Heigla? Tyle że na odprawie nawet się nie zająknął na ten temat.

– Bo jak zauważyłeś, Lothar, Zender prowadzi swoją rozgrywkę. Zapewne nie będzie mówił wszystkiego tobie i Czoskowi. Sam chce trzymać wszystkie sznurki. Na taką sprawę czekał. I zechce ją spektakularnie rozwiązać. Cały splendor spłynie na niego. Po wszystkim będzie miał wolną rękę w reorganizacji wydziału. I ściągnie tam swoich zaufanych ludzi.

– Gównu, potknie się, wrócisz na swoje miejsce, a ja z tobą – prychnął Lothar.

– Obstawiasz złego konia, Schulz.

– Nie lubię hazardu. Skoro więc stawiam na ciebie, nie ma żadnego ryzyka.

Te ostatnie zdania Schulz musiał wykrzyczeć, bo publiczność rozgrzała się do czerwoności i wokół zapanował straszliwy harmider.

Obaj popatrzyli w stronę sceny. Zmieniła się scenografia. W tle pojawił się obraz wiatraka i napis Moulin Rouge. Z sufitu opuszczono dwie huśtawki, na każdej zasiadła zgrabna panienka. Orkiestra zagrała głośniej. Pojawiły się tancerki wywijające długimi nogami.

Lothar zagwizdał pod nosem. W tym czasie Franz wykorzystał fakt, że uwaga wszystkich skierowana była na scenę, i nachylił się do barmana.

– Pada tu gdzieś śnieg?

Mężczyzna popatrzył na Koschellę obojętnym wzrokiem.

– Coś podać? – zapytał.

– Pytałem, czy pada tu gdzieś śnieg?

Franz zrozumiał, że jego próba będzie daremna. Barman już dawno ocenił klientów siedzących przy barze, sklasyfikował też Koschellę i Schulza. Musiał mieć nosa do gliniarzy, a może wystarczył mu dobry słuch.

– Śnieg, proszę pana, latem?

Uśmiezek na wąskich wargach tego palanta Koschella chętnie zmasałyby pięścią. Pokiwał jednak tylko głową, patrząc barmanowi w oczy odrobinę za długo. Chciał dać mu do zrozumienia, że zapamiętał jego uprzejmą odpowiedź.

– Zbieramy się. – Szturchnął Schulza w bok.

Lothar z ociąganiem zgramolił się z barowego krzesła. Łypał okiem w stronę roznegliżowanych tancerek.

Franz poczuł, że ktoś go trąca. Miał odwdzińczyć się osobnikowi łokciem pod żebra, ale zobaczył, że ten chwieje się i wyraźnie chce mu coś powiedzieć.

– Czego? – warknął wachmistrz.

– Śnieg na dole, na dole, panowie!

– Na dole? – powtórzył za nim Franz.

– Słyszałem, jak pan pyta tego cwaniaczka za barem o śnieg. Więc mówię, że jest na dole i jest go... po kolana!

Facet obrócił się i wmieszał w tłum zmierzający na parkiet.

Franz jeszcze raz obrzucił salę wzrokiem. Widział trochę znajomych twarzy, ale w przeważającej większości otaczali go ludzie zupełnie mu nieznani. Na otwarcie klubu musieli przyjechać goście z różnych zakątków hrabstwa, a pewnie i spoza niego. Kilku delikwentów wyglądało podejrzanie. Takich Franz wyczuwał na kilometr. Rozpoznawał ich po ruchach, gęstej, ciągnącej się za nimi aurze, a w końcu i po nalanych, odpychających gębach. Każdy siedział przy stoliku w otoczeniu przybocznych i wianuszka adoratorek. Czuli się jak u siebie, jakby ten przybytek należał do nich.

Gdy Koschella i Schulz wyszli z sali, Franz skierował się w stronę piwnic. Na schodach minął obściskujące się pary. Z wysokości półpiętra dostrzegł gustownie urządzonego przedsionek z pufami i kolejne drzwi, przy których stało dwóch ochroniarzy.

– Bingo – powiedział Schulz. – Myślisz, że nas wpuszczą?

Franz milczał, patrzył na parę, która wchodziła właśnie w korytarzyk. Ochroniarze kiwnęli głowami do mężczyzny, przepuścili go. Byli dokładnie poinstruowani, kogo wpuszczają, a kogo wręcz przeciwnie. Franz zachodził w głowę, jakimi kierują się kryteriami.

– Spróbuj wejść. Nie machaj legitymacją.

– Jasne.

Schulz odczekał chwilę. Gdy mijała ich głośna grupka, chwiejnie ruszył za nią. Na oko Franza zachowywał się naturalnie, jakby wracał w znajome miejsce, mimo to ochroniarze wyłowili go bez problemu. Jeden z nich zastąpił mu drogę. Nie zamierzał się wdawać w dyskusję, choć Lothar wyraźnie go zagadywał. Gdy wachmistrz nic nie wskórał, pozostało mu obrócić się na pięcie i wrócić na parter.

– Dupa.

– Z ciebie – dodał Koschella.

– Sam może spróbuj, jak taki jesteś mądry.

– Spróbuję, ale nie frontem. Chodź.

Znów znaleźli się w głównym holu. Franz wyminął szatnię, skręcił w boczny korytarz zastawiony prowizoryczną ścianką. Buty Lothara zaskrzypiały na posadzce.

– Chcesz przejść od strefy dostaw? – domyślił się Schulz.

– Wyglądasz na dostawcę, może się uda.

Lothar się wyszczerzył. Brakowało mu złośliwości Franza. Znów czuł się potrzebny, działał, miał jakiś plan. Nie wiedział, że tak bardzo mu tego brakuje.

Skręcili obok kuchni, zeszli na półpiętro. Kilka osób z obsługi krążyło między salą teatralną a zapleczem. Donosiły specjały, których brakowało na stołach. Nikt nie miał czasu zwracać uwagi na intruzów.

Zza otwieranych i zamykanych drzwi dobiegała muzyka. W pewnej chwili Koschella usłyszał jeszcze jeden dźwięk: przytłumiony, wolniejszy, mniej rytmiczny. Wskazał Schulzowi drzwi w części piwnicznej. Ruszyli w ich stronę. To stamtąd dochodziła nowa melodia.

– Za drzwiami ochrona?

– Zobaczymy.

To Franz nacisnął klamkę.

Przyciemniony wąski korytarzyk był pusty. Ciemnoczerwona kotara oddzielała ich od kolejnych pomieszczeń. Koschella zbliżył się do niej i odchylił ciężki materiał.

Ochroniarz stał kilka kroków dalej, plecami do nich, z kimś rozmawiał. Franz wśliznął się do salki, a Schulz za nim.

Kanapy, niskie stoliki wypełnione kieliszkami. Kilka mizdrzących się do siebie par. Na podwyższeniu pianino. Grajek wyciskający z instrumentu nieskładne dla ucha dźwięki.

– Nieźle – powiedział z uznaniem Schulz.

– Nieźle – potwierdził Koschella.

Wystarczyło jedno spojrzenie na gości przybytku, by wiedzieć, po co tu przyszli. Śniegu może nie było po kolana, jednak na pewno nie zabrakłoby go dla

nikogo chętnego. Bardziej rozochocone pary znikwały w kolejnych przejściach przypominających tunele w kretowisku. Można było tu zaspokoić wiele pragnień.

Franz ruszył w stronę jednego z przepierzeń, a Schulz podążył za nim jak cień.

– Kolejny burdel na kółkach – rzucił Lothar.

Koschella przypatrzył się twarzom za przepierzeniem. Jeden z mężczyzn próbował skupić wzrok na intruzie, ale nie był w stanie. Jego głowa opadła pomiędzy piersi roześmianej partnerki. Franz go znał, i to bardzo dobrze. Na wszelki wypadek zasłonił widok Schulzowi, który już zapuszczał żurawia.

– Idziemy – polecił.

– Myślisz, że Heigl bawił się w tym towarzystwie?

– W jakimś na pewno. Czy w tym? Możliwe.

Koschella zdążył już wypytać o Heigla swoich informatorów. Chłopak wrócił do Kłodzka, ale stronił od przyjaciół, miał się obracać wśród nowych znajomych, znikał czasem na kilka dni, nie wiadomo gdzie.

– Chcesz podpytać kogoś z tych tutaj, Franz?

– Nie. Na razie wystarczy.

Koschella opuścił pokój i ruszył do głównego wyjścia. Nie miał zamiaru ułatwiać się przez zaplecze. To chyba spodobało się Schulzowi, bo wyszczerzył zęby.

Dwaj ochroniarze selekcjonujący klientelę zmartwieli na ich widok. Jeden ruszył w końcu na Koschellę, ale ten odsłonił poję marynarki, ukazując kaburę. Sygnał był wyraźny. Facet nie był na tyle głupi, by wszczynać awanturę. Mleko i tak się rozlało.

Znaleźli się w głównym holu. Przed Koschellą wyrósł kelner z tacą. Zamiast kieliszków leżała na niej wypchana koperta.

– Panie wachmistrzu. – Mężczyzna skłonił głowę.

– Od kogo? – zapytał Franz.

– Z pozdrowieniami. Za nową przyjaźń. – Kelner wykonał nieznaczny gest podbródkiem.

Koschella podążył wzrokiem we wskazanym kierunku. Na schodach prowadzących na piętro zobaczył znajomego osobnika. Junior uniósł kieliszek w geście toastu, patrząc Franzowi prosto w oczy.

– Proszę przekazać, że nie mam przyjaciół. – Wachmistrz skrzywił się z niesmakiem. Skinął na Schulza i obaj wyszli z Hotelu Cesarskiego na Wilhelmsplatz.

– Teraz ty z nim pogralesz, co, Franz? – Lothar się ożywił. – Zastosujesz na tym fagasie ten sam numer, co Gurber na mnie? On wie, że ty wiesz i te sprawy? Będzie się zastanawiał, co zrobisz z jego podziemną działalnością, i zacznie żyć w niepewności? Łapówki nie wzięłeś, więc nie ma przysługi za przysługę...

Równie dobrze możemy skrzyknąć chłopaków i zrobić mu tam nalot. Kilka zarzutów by się znalazło.

– Ale tego nie zrobimy. Jeszcze nie teraz.

– Jasne – zgodził się Lothar. – Czyli trochę się z nim zabawisz. Ale muszę przyznać, że fagas spadł na cztery łapy, nie ma co. Po wtopie Pod Złotym Mieczem myślałem, że pójdzie w odstawkę, a tu awans!

Koschelli też ta konkluzja przeszła przez myśl. Widać Junior musiał się czymś zasłużyć u swoich szefów.

Skręcili w Grünestrasse i przeszli obok synagogi. Obaj odruchowo popatrzyli w jej kierunku.

– Nowe idzie, to miasto się zmienia, Franz. Nie masz wrażenia, że zaczynamy być jakimś przeżytkiem?

– Melancholia cię dopadła?

– Nawet nie wiem, co to... – Schulz włożył ręce do kieszeni. Odetchnął głęboko wciąż ciepłym, nocnym powietrzem. – Może tacy jak Zender i Gurber to przyszłość policji? Starzejemy się, Franz, kiedyś wydawało mi się, że ta robota to wszystko, co mam i co... chcę mieć. Teraz już nie wiem. Nie wiem, czy mi się chce w tym babrać. Te rozgrywki na górze, układy. Wolałem, jak życie było prostsze...

Franz nie skomentował, bo nie wiedział, co ma Schulzowi powiedzieć. Dawny podwładny nigdy się przed nim nie otwierał.

– Widziałeś Kleina w Gorzanowie? – zmienił temat Lothar.

– Widziałem – potwierdził Franz. Zdał sobie sprawę, że ta chwila, w której jego kolega się otworzył, minęła. I był pewny, że już się nie powtórzy.

– Facet ma dar przyciągania świrów, nie?

– Myślisz, że tego świra też on przyciągnął?

– Pewnie nie. – Schulz wzruszył ramionami. – Ale znając życie, tej sprawy nie odpuści.

– Też tak myślę – zgodził się Koschella. – Na miejscu Herbersteina zaangażowałbym w tę sprawę właśnie jego.

– Klein się zgodzi?

– A jak myślisz?

Schulz się zaśmiał.

– Wiem, że kręci się po mieście.

– To prawda – przyznał cierpko Franz.

Przed oczami stanął mu obraz z piwnic Hotelu Cesarskiego. Widział tam Kleina w towarzystwie kłodzkiej aktoreczki, którą też kojarzył z widzenia. Trudno powiedzieć, czy kapitan zdawał sobie sprawę z obecności wachmistrza. Próbował skupić wzrok na stojącym w progu Koschelli. Uśmiechał się błogo,

oddając się swoim demonom i znajdując ukojenie na pełnych piersiach blondynki.

– Będziesz współpracował z kapitanem?

– Niby w jakiej sprawie? – zapytał Koschella. – Przecież nie zajmuję się morderstwem starosty. Jestem w obyczajówce, pamiętasz?

– Pamiętam, pamiętam – zapewnił wciąż rozbawiony Schulz.

Zbliżali się do wylotu ulicy i jej skrzyżowania ze Schwedeldorferstrasse. Miałby stąd blisko do Asty. Przyszło mu do głowy, żeby ją teraz odwiedzić, czuł jednak, że alkohol przytępia mu zmysły, a rozmowę z Astą wolał przeprowadzić na trzeźwo.

– Masz rację, że to miasto się zmienia, Schulz.

– Tak? – skomentował Lothar z roztargnieniem.

Skręcili w stronę rynku i po kilkunastu krokach zatrzymali się przy skrzyżowaniu z Domgasse. Franz widział stąd kamienice na swojej ulicy.

– Ale to nie znaczy, że my musimy się zmieniać i dostosowywać. Przynajmniej ja nie zamierzam.

– Chwała ci za to – rzucił Schulz, nie szczędząc ironii.

– Dalej chcesz złożyć papiery o przeniesienie?

– Jasne.

– Spróbuj. Jednak myślę, że ani Zender, ani komisarz Richter nie wyrażą na to zgody. Zwłaszcza teraz.

Lothar potarł szczeciniasty zarost.

– Co mam więc zrobić?

– To, do czego zostałeś stworzony, Schulz. Rób swoje.

– Rób swoje – powtórzył Lothar, patrząc na plecy oddalającego się Franza. – Rób swoje...

Zawrócił. Ruszył w górę Schwedeldorferstrasse. Zdecydował się przynajmniej przejść pod oknami Asty. Zastanawiał się, czy będzie się w nich paliło światło, czy dostrzeże więcej niż jeden cień na zasłonach. Wyciągnął papierosa. Stał w bramie i spojrzał w górę. W mieszkaniu Asty światła były zgaszone.

*

Germain wsunął w usta pastylkę. Rozgryzł ją. Miała smak znajomych tabletek na kaszel, ale wiedział, że jej działanie zostało wielokrotnie zwiększone. Szybko poczuł zmianę. Odprężenie w ciele, przyjemną drętwotę i rozbłysk wyostrający zmysły. Musiał wszystko sobie przypomnieć, spróbować zrozumieć...

Usiadł w kucki i objął głowę dłońmi. Kiwał się w przód i w tył, miarowo, jakby chciał, żeby jego serce przejęło ten rytm i zwolniło. Pulsujący ból

rozsadzał czaszkę, Germain z trudem poruszał szyją. Świetlne refleksy zaburzały ostrość widzenia. Pojawiały się nawet wtedy, gdy zamykał oczy.

Przeblýski wspomnień. Powracały w ciągach zupełnie ze sobą niepowiązanych. Ida zawsze pojawiała się na pierwszym planie i przesłaniała wszystko inne. Uśmiechała się, przyciągała wzrok, zagarniała całą przestrzeń.

Ulm próbował się skupić. Skoncentrował się na jednym zadaniu, chciał wszystko zapamiętać, odtworzyć w pamięci i zrozumieć.

Dotarli do jakiegoś miejsca. Germain wspierał się na Idzie, a ta prowadziła go jak dziecko. Wokół głowy miał przepasaną szarfę, nic nie widział, jednak inne zmysły mu się wyostrzyły. Dziewczyna pociągnęła go w stronę, z której dochodziły radosny gwar i muzyka.

Potknął się na schodach. Roześmiał się. Przypominało to pijacką czkawkę.

– Ostrożnie, Germain, bo połamiesz sobie nogi. Zaraz będziemy na miejscu.

– W piekle czy niebie?

– A gdzie chciałbyś trafić?

– Do piekła...

Refleks świetlny przenikający przez zasłonę oślepił Ulma. Zabolały go oczy, jakby wbito w nie szpikulce. Kolejne obrazy, urywki wspomnień...

– Miało być piekło...

Ida ściągnęła szarfę z jego oczu. Światła wirowały jednostajnie, a obraz nieco się rozmywał, może za sprawą licznych luster i mieniących się w nich ogników świec.

– Załóż to.

Podąa mu zdobioną cekinami srebrną maskę.

– Myślisz, że w ten sposób ukryję swoją tożsamość? Ilu karłów widziałas ostatnimi czasy?

– Tylko ciebie. Jesteś wyjątkowy.

Spodobał mu się ton, w jaki to powiedziała.

Poczuł dotyk jej palców na uszach. Mocno zawiązała tasiemkę.

– Jesteś gotów – powiedziała.

Był? Pewnie, że tak.

Na krętych, szerokich schodach wyminęli wypudrowanego lokaja. Patrzył gdzieś w dal jak sklepowy manekin. Tą dałą było lustro na przeciwległej ścianie, w którym odbijała się jego własna postać.

– Myślisz, że zagląda w swoją duszę? – zapytał artysta.

– Dlaczego tak uważasz, Germain?

– Wpatruje się w samego siebie... a oczy są zwierciadłem duszy...

– A jeśli jest ślepcem?

Zaśmiała się, wskazując mu salę balową. Wyrosła przed nim kolejna ściana luster.

– Teraz i ty możesz zajrzeć w swoją duszę, Germain. Kto wie, może tam znajdziesz odpowiedź?

Pociągnęła go za sobą. Skrzypnięcie drzwi. Zobaczył stół, przy nim kilkoro ludzi. Wpatrywali się w niego. Czekali, aż wdrapie się na wysokie krzesło, aż położy drżące dłonie na marmurowym blacie.

Ich twarze roztopił płynny metal wygasających świateł.

– Zaczynasz, Germain.

Zza pleców Ulma wysunęła się czyjaś ręka. Germain widział smukłe palce, a pomiędzy nimi czarną kartę.

Zacisnął dłonie.

– Zaczynasz, Germain – powtórzył ten sam głos i zawtórował mu przynaglający stukot laseczki. – Wybierz jedną z nich.

Kolejny przebłysk. Stół, karta na blacie.

Germain przestał się kołysać, zamarł, wstrzymał oddech. Co było potem? Czy był w stanie sobie to przypomnieć? Tak...

Świat wirował, a jedynym stabilnym punktem była twarz Idy.

– Wiesz, co mi zrobił, Germain. Wiesz, że nigdy nie dosięgnie go za to kara. A musi odpowiedzieć za grzechy...

Germain zachłysnął się powietrzem, odpędzając tę wizję. Drżał na całym ciele. Trawiła go gorączka. Czekał na kolejny obraz.

Dokonał wyboru. Odwrócił kartę. Rozpoznał na niej starostę Puschkego.

*

Kapitan Klein stanął przy oknie. Musiał zmrużyć oczy, bo raziło go intensywne przedpołudniowe światło. Dostrzegł obłok pary i skład przejeżdżający wolno przez stację. Pociąg nie zatrzymywał się, kilka wagonów doczepionych do lokomotywy wydawało miarowy stukot, gdy koła pokonywały łączenia torów. Nawet gwizd zapowiadający przejazd składu przez miasto był niemrawy i krótki.

Wilhelm odczytał duże napisy na burtach. Towarowy, musiał przejechać przez granicę. Gdy zniknął z pola widzenia, kapitan udał się do łazienki. Umył się i przebrał w świeże rzeczy.

Wyszedł z pokoju i wkrótce zasiadł w hotelowej restauracji z gazetą, którą odebrał w recepcji. Zamówił jedynie herbatę i wodę mineralną. Nie potrafił przełknąć nic treściwego – wystarczyły mu ciężkostrawne doniesienia z kraju. Szpalty miejscowej i wrocławskiej prasy zdominowała sytuacja polityczna i gospodarcza. O wydarzeniach gorzanowskich pisano, chociaż informacja

o śmierci starosty nikt nie mówił wśród wielu relacji i komentarzy zdradzających duże napięcie w Republice.

Klein upił kilka łyków herbaty, parząc się dotkliwie w język. Wczytał się w informację dotyczącą obecnej sytuacji w Kłodzku. Ominęło go wczorajsze przemówienie krewnego, burmistrza Franza Ludwiga, na szczęście dziennikarz pokusił się o szczegółową relację z tych wydarzeń. Burmistrz cieszył się w hrabstwie nieustającym szacunkiem licznych środowisk. Zapracował sobie na to wieloletnią pracą dla Kłodzka, jako wiceburmistrz, a potem głównodowodzący w magistracie. Do dziś pamiętano, że dzięki niemu tuż po Wielkiej Wojnie nie doszło na ulicach miasta do rozlewu krwi. Jak widać, sprawdzał się i teraz. To zapewne jego działania doprowadziły do ustępstw i deklaracji lokalnych przemysłowców.

Dużą część artykułu dziennikarz poświęcił spekulacjom dotyczącym powołania nowego starosty. W obecnej chwili Puschke nie miał zastępcy i nie zdecydowano się na powołanie kogokolwiek, kto mógłby pełnić jego funkcję tymczasowo. Nieoczekiwanie jednak na kandydata wyrósł Bertram Scheidt, który zdobył zaufanie w wielu kręgach kłodzkich decydentów. Wydawał się idealnym następcą Puschkego. Gwarantował współpracę różnych środowisk, ceniono też jego wiedzę, kontakty i umiejętności porozumiewania się z innymi ludźmi.

– Wiadomość dla pana, kapitanie. Poślaniec właśnie przyniósł.

Klein spojrział na boya hotelowego i przejął od niego kopertę.

– Dziękuję, Hans.

– Bawił się pan wczoraj dobrze w Cesarskim? Informacja się na coś przydała?

– Chłopak wyszczerzył zęby.

Klein uniósł brew, otworzył kopertę i wyciągnął zapisaną pochyłym pismem wizytówkę.

– Odnalazłem kilku znajomych Heigla.

Fredke pokiwał głową, uśmiechnął się jeszcze szerzej. Widać było, że trzyma jakiegoś asa w rękawie.

– Mam coś nowego dla pana, kapitanie.

– Zamieniam się w słuch. – Klein włożył karteczkę z powrotem do koperty i schował ją do kieszeni marynarki.

– Heigl był ostatnio widziany z pewnym artystą, Germainem Ulmem. To karzeł, znaczy się taki niski facet...

– Co to za artysta?

– Malarz. – Fredke wyszczerzył zęby. – Heigl odwiedzał Ulma w jego pracowni przy Schwedeldorferstrasse.

– Znasz adres?

- Grünestrasse wychodzi wprost na tę kamienicę. Ulm mieszka na poddaszu, pracownia z trzema oknami.
- W porządku, znajdę.
- Gdyby coś jeszcze trzeba było, proszę dać znać.
- Na pewno, Hans.

Gdy Fredke zniknął z pola widzenia kapitana, ten wstał od stołu. W wiadomości zapisanej na wizytówce burmistrz Franz Ludwig zapraszał go na niedzielny obiad do siebie, do domu. Klein nie miał zamiaru odmawiać wujowi. Zwłaszcza że miał wystarczająco dużo czasu, by wcześniej sprawdzić podany przez Fredkego adres.

Kapitan wyszedł z hotelu na rozpalony słońcem Sellgittplatz i skręcił w stronę końskiego mostu. Na chwilę przystanął przy barierce, patrząc w leniwy nurt rzeki. Kilka osób zrobiło sobie piknik przy brzegu. Od wody bił przyjemny chłód. Jedynie tu można było poczuć jakiś bardziej ożywczy podmuch powietrza.

Obok Kleina przejechał samochód i Wilhelm ruszył w ślad za nim w stronę centrum. Większość sklepów była pozamykana. Tylko przy niektórych świecących pustkami witrynach stali rozleniwieni sprzedawcy.

Klein wszedł na kamienny most i ruszył w stronę rynku. Jasny kapelusz, który miał na głowie, chronił go przed słońcem. Kapitan widział, jak wielu przechodniów przygląda mu się z zaciekawieniem. Odruchowo dotknął twarzy. Może nadszedł czas, by odwiedzić miejscowego golibrodę?

Przez chwilę patrzył na gmach banku, a potem skręcił za jego rogiem w lewo. Szedł jeszcze chwilę wzdłuż kamienic w stronę południowo-zachodniego narożnika placu. Tutaj było więcej przechodniów. Odświętne ubiory i podniosły nastrój kazały sądzić, że zapewne zmierzają na mszę.

Wreszcie znalazł się na Schwedeldorferstrasse. Renesansowa kamienica, której szukał, była widoczna nawet z tej odległej perspektywy. Wyróżniała się charakterystycznym dwukondygnacyjnym wykuszem wychodzącym poza linię sąsiednich budynków. Klein zatrzymał się u wylotu Grünestrasse i przyjrzał się każdemu z pięter. Szczególnie interesowało go dwukondygnacyjne poddasze. Zgodnie z tym, co mówił Hans, to właśnie tam mieściła się pracownia Ulma.

Ulica w tej części miasta opustoszała. Niedzielne przedpołudnie zgromadziło mieszkańców w kościołach lub na piknikach pod miastem. Brama kamienicy była uchylona, co Wilhelm skwapliwie wykorzystał i wszedł do wnętrza budynku.

Kapitan wspinał się po schodach bez pośpiechu, nasłuchując odgłosów rozbrzmiewających w starych murach. Na parterze dobiegł go płacz dziecka, wyżej stukot garnków, może patelni. Pod drzwiami na poddaszu panowała dzwoniąca w uszach cisza. Na chwilę zakłóciło ją brzęczenie tłustej muchy uderzającej o szybę okienka wychodzącego na podwórze.

Klein nie znalazł przy drzwiach tabliczki z napisem, mimo to był pewny, że trafił we właściwe miejsce. Na klamce widać było różnokolorowe smugi farby. Gospodarz, zdaje się, nie należał do osób przesadnie dbających o czystość. Klein nasłuchiwał przez chwilę odgłosów z wnętrza pracowni, potem rozejrzał się wokół, szukając miejsca, w którym Germain mógł schować zapasowy klucz. Artyści bywali roztargnieni, zatem nie zdziwiłby się, gdyby i ten notorycznie gubił klucze do mieszkania i chciał się w ten sposób zabezpieczyć.

Kapitan był wysokim mężczyzną. Stał na palcach i spojrzał na górną część framugi. Przeczucie go nie myliło. Sięgnął po klucz i po chwili wsunął go do zamka.

Gdy tylko przekroczył próg, zamknął za sobą drzwi. Stał nieruchomo, obserwując sporą przestrzeń. Uderzyło go wiele szczegółów, które musiał przyswoić i usystematyzować.

Szafa z ubraniami, łóżko przykryte poplamioną narzutą, sztalugi. Te ostatnie puste, jedna przewrócona.

Klein postąpił kilka kroków. Ledwie wyczuwalne zapachy umykały mu, nie budziły skojarzeń. Wpatrywał się za to w palety z zaschniętymi farbami. Układał w głowie kolory i odcienie. Nie było ich wiele, ale dzięki nim poznawał Ulma i jego mroczną naturę. Przykucnął przy jednym z prześcieradeł i pociągnął je w swoją stronę. Rozpoznał krew.

Wzrok Kleina przesuwiał się wolno po podłodze, ścianach i sprzętach. Jakby w tym labiryncie cienia i światła odnajdywał właściwą drogę. W końcu kapitan się podniósł i podszedł do płótna opartego o krzesło. Odwrócił je, uniósł i postawił na siedzisku. Odsunął się kilka kroków i utkwiał wzrok w świątyni o dwóch nierównych wieżach. Rozpoznał ją. Tonęła w mroku, w barwach, których już wcześniej się spodziewał. Zdziwiła go liczba detali i ich realizm. To nie był zwykły obraz przeznaczony na sprzedaż turystom. Budził niepokój. W mroku, w załamaniach dachu kryły się małe pierzaste istoty. Zastygły z wyciągniętymi szycjami, wpatrując się w wyższą z wież. Obsiadły gzymy, atyki i przęśła niczym widzowie oczekujący ważnego wydarzenia.

Klein dostrzegł na płótnie kolejny cień, bardziej ludzki, w prześwicie okna wieży białej. Smugi na plecach tej postaci przypominały skrzydła. Wilhelm spojrzał niżej, na plac kościelny i postać leżącą w kałuży krwi. Książd Reiser...

Z trudem oderwał wzrok od obrazu. Przeszedł w stronę ściany. Schylił się znowu, popatrzył na brudne ubrania zmięte w kulkę. Zakrwawione spodnie i koszula. Podniósł z podłogi pędzel, zahaczył nim o materiał, rozwinął go. Sprawdził kieszenie.

Z jednej z nich wypadł brunatny strzęp, który rozpoznał od razu. Ludzkie ucho.

*

Czosek nalał sobie resztkę kawy z dzbanka i usiadł za stołem. Bolała go głowa. W mieście od rana panowała spiekota. Było duszno, zanosilo się na burzę. Do porannej odprawy zostało kilka minut. Przejrzał zapiski z notesu. Nie miał za bardzo czym się pochwalić. Spojrzał w stronę Schulza. Ten zajadał ze smakiem słodką bułkę, popijał ją herbatą. Był tak skoncentrowany na tej czynności, że na nic nie zwracał uwagi.

Jedynie Gurber tryskał energią. Może sprawiła to druga szklanka mocnej kawy.

– Jak wam minął wczorajszy wieczór? – zagadnął.

– Na pracy. – Czosek widział, że Schulz nie kwapi się do odpowiedzi, więc poczuł się zobowiązany przerwać ciszę. –

Zrobiłem listę kłódzkich malarzy, dopisałem też tych z hrabstwa. Spis jest spory. Nie wiem, czy zdołamy ich wszystkich przesłuchać przez najbliższy tydzień. No ale dwóch odwiedziłem.

– I co?

– Zaproponowali mi, że namalują mi portret i wszystko, co tylko będę chciał. Jeden nawet oferował sprośne obrazki...

– Będę cię musiał poprosić o kontakt do niego – zarechotał Gurber. – A ty, Lothar?

Schulz nie zdążył odpowiedzieć, bo do pokoju wkroczył Zender. Był jak zwiastun burzy. Marsowe oblicze i pioruny w oczach stawały się jego znakiem rozpoznawczym. Atmosfera w sali odpraw momentalnie zgęstniała.

Nadwachmistrz rzucił na stół kilka gazet. Obszedł blat, odłożył swoją teczkę na biurko.

Gurber i Czosek wymienili spojrzenia. Czekali, aż nadwachmistrz odezwie się pierwszy.

– Porównaliście listy aktorów i ludzi z otoczenia księdza Reisera?

– Tak, nadwachmistrzu, niestety nie ma nazwisk, które by się powtórzyły. Ta sekta wokół Reisera to w większości grupa starych dewotek. – Gurber wyprężył się, jakby gotów przyjąć polecenie przełożonego. Potrafił się dostosować do nastrojów szefa.

Karl i Leon patrzyli w napięciu na Zendera, jedynie Schulz spokojnie dojadał swoją bułkę. Nic dziwnego, że nadwachmistrz właśnie jego wziął na celownik.

– Schulz! Większość raportów z przesłuchań została sporządzona przez ciebie. Nic z nich nie wynika. Nie uwierzę, że nikt nie widział sprawcy. To musi być ktoś z aktorów lub obsługi.

– Niekoniecznie – odparł wachmistrz, a Czosek pomyślał, że kolega do reszty stracił instynkt samozachowawczy. – Dojście do sceny od zaplecza nie sprawiło

problemów. Drzewa zapewniały doskonały kamuflaż, a nikt się tam nie kręcił, bo wszyscy byli na widowni. Morderca mógł czekać na sposobny moment dłuższy czas. Na załatwienie sprawy miał blisko dziesięć minut. Tyle mniej więcej Puschke przebywał sam za kurtyną.

Zender odsunął krzesło i usiadł przy stole.

– A zatem morderca musiał być w tym wszystkim doskonale zorientowany, nie sądzisz? Wiedział, że w trakcie przedstawienia ma tylko jeden moment, w którym będzie miał możliwość dokonać morderstwa. Musiał być pewny, że Puschke zostanie za kurtyną sam. Skąd u niego ta pewność, Schulz, co?

– Tak jak nadwachmistrz powiedział, musi być w to zamieszany ktoś z aktorów lub obsługi.

– Świetnie, że się ze mną zgadzasz – powiedział Zender z przekąsem. – W twoim raporcie z przesłuchań nie znalazłem jednak żadnego wskazania. Nic, co mogłoby być jakimś punktem zaczepienia. Nie przycisnąłeś nikogo.

Schulz chciał coś odpowiedzieć, ale przełożony nie dał mu dojść do głosu.

– Panowie, być może nie zdajecie sobie z tego sprawy, ale pracujecie w Wydziale Kryminalnym. Mamy znaleźć mordercę starosty!

– I Heigla – dodał Lothar, przerywając świeżo rozpoczętą tyradę.

Zender poczerwieniał.

– Ale w tej chwili nic nie mamy! – zawołał, świdrując wzrokiem podwładnego. – Nie widzę efektów waszej pracy. Co z malarzami, Czosek?

– Mam listę.

– I...? – ponaglił nadwachmistrz.

– Sprawdzam wszystkich po kolei, najpierw tych w Kłodzku. Na obrazie nie ma inicjałów, niczego, co pozwoliłoby wskazać twórcę...

– Dlatego wezwaliśmy profesora Gustawa Taubego – wtrącił Schulz, widząc, że Czosek traci rozpęd, a Zender szykuje się do kolejnego wybuchu.

– Kim jest ten Taube?

– Dyrektorem miejscowego gimnazjum, uczy rysunku, zna się na malarstwie – wyjaśnił Lothar. – Jeśli ktoś ma nam coś więcej powiedzieć o obrazie i być może twórcy, to właśnie on. Będzie... właściwie to już powinien tu być.

Czosek się zaczerwienił. Nie przyszło mu do głowy, żeby poprosić Taubego o pomoc. Nie tłumaczyło go to, że go nie znał. Powinien był pomyśleć o tym, by skonsultować się z jakimkolwiek ekspertem. Lothar uratował mu tyłek, choć nie musiał tego robić.

– Dobrze. – Z Zendera uszło trochę pary. – Gurber, co z otoczeniem Heigla?

– W ostatnich tygodniach zniknął znajomym z oczu. Nie przejęli się tym, bo zdarzało mu się to co jakiś czas. Pojawiał się na mieście, żeby uzupełnić zapasy.

– Jakie?

– Heroiny.

– Co robił w dniu śmierci?

– Wygląda na to, że skończył mu się towar. Potwierdza to fakt, że w domu nie znaleźliśmy oprócz strzykawek i śladowych ilości stymulantów. Był na głodzie. Nie miał jednak pieniędzy, a w mieście już nikt nie chciał mu udzielić pożyczki. Rodzina, bogata jak cholera, też się od niego odcięła. Obstawiam, że pojechał do kuzynki, wierząc, że ona mu pomoże. Często od niej pożyczał pieniądze. Zresztą to on wciągnął ją w nałóg.

– W klinice można mieć pieniądze? Mógł się spodziewać, że je od niej dostanie? – dopytywał Zender.

– Nie, pacjenci kliniki nie mają gotówki ani cennych rzeczy. Nawet w depozycie. Heiglowa miała jednak opuścić klinikę w najbliższych dniach. Wychodziła już na dłuższe spacerunki. Być może mogła odwiedzić bank i podjąć gotówkę.

– Jak Heigl dotarł do kliniki? – zapytał Schulz.

– Tego wciąż nie udało mi się ustalić. – Gurberowi wyraźnie nie w smak było, że nie zna odpowiedzi.

– To musiał być samochód – powiedział Lothar.

– Najprawdopodobniej – przyznał Karl.

– Nikt Heiglowi by go nie pożyczył. – Lothar pokręcił głową z niedowierzaniem. – Musiał mieć kierowcę.

– Może więc... – Czosek postanowił się odezwać. Wciąż trudno mu było przełknąć swoje wcześniejsze gapiostwo. – Co myślicie o tym, że Heigl miał jakiś większy dług do spłacenia? Być może nie miał wyboru i jego jedyną szansą była kuzynka. Pojechał do kliniki, wywabił ją. Kazał jechać ze sobą, może nawet jej groził, szantażował?

– Coś w tym może być. – Gurber się ożywił. – Jestem w trakcie sprawdzania, czy Heiglowa nie podjęła pieniędzy z banku. Konta miała w kilku, a to utrudnia sprawę. Może zabrała coś z domu? Rodzice mogli tego nie zauważyć, nie było ich wtedy w posiadłości.

– Dobrze. – Zender wyglądał na zadowolonego. – Gurber i Czosek, sprawdźcie teorię z Heiglami. Ustalcie, komu Theodor mógł być winny pieniądze.

– Schulz, ty jeszcze raz przejrzyj zeznania wszystkich przesłuchiowanych w Gorzanowie. Mam mieć na biurku przynajmniej dziesięć nazwisk, które wytypujesz do dodatkowego przesłuchania.

– A co z tymi z zamku? – wtrącił Gurber.

Czosek wymienił spojrzenia z Schulzem.

– Schulz, dopilnowałeś, żeby wszyscy zostali przesłuchani?

- Służbę przesłuchiwali wachmistrzowie z obyczajówki.
- A gości hrabiego Herbersteina?
- Także obyczajówka.
- Wszystkich?

Schulz się uśmiechnął. To, że rozmowa poszła w tym kierunku, wydało mu się zaplanowanym działaniem.

- Chodzi nadwachmistrzowi o kapitana Wilhelma Kleina?
- A był gościem hrabiego Herbersteina w tym czasie?
- Rzeczywiście był.
- Nie rozumiem więc pytania i wątpliwości.
- Nie przesłuchiwałeś kapitana Kleina.
- Dlaczego, Schulz?
- Bo wyjechał zaraz po przedstawieniu.

– I nie zdziwiło cię to? Wydałem wyraźne polecenie, by nikomu nie pozwolić na opuszczenie pałacu, dopóki nie zostanie przesłuchany.

– Nie widziałem kapitana Kleina. Trudno mi powiedzieć, czy wziął sobie do serca to polecenie.

W sali odpraw zrobiło się cicho. Czoszek w napięciu czekał na to, co się wydarzy.

- Dokąd wyjechał Klein? – zapytał chłodno Zender.
- Myślę, że jest w pobliżu – powiedział Lothar.
- W pobliżu? Bawi cię to, Schulz?
- Ani trochę.

Zender pokiwał głową.

– Skoro tak dobrze znasz kapitana Kleina, znajdziesz go i zaprosisz do mnie. Przesłucham go osobiście.

– Oczywiście, postaram się go odnaleźć i przekazać mu zaproszenie nadwachmistrza.

Zender patrzył przez chwilę na Lothara, jakby czekał na jakąś prowokację z jego strony.

- Albo nie – rzucił. – Leon, ty odnajdziesz Kleina.

Nie doczekał się odpowiedzi Czoska, bo do drzwi sali odpraw ktoś zapukał.

– Wejść! – Ton Zendera był równie skrzekliwy jak następujący po nim odgłos otwieranych drzwi.

- Nadwachmistrzu, profesor Gustaw Taube. Był podobno zaproszony.

– A, tak – Zender niecierpliwie machnął ręką. – Proszę przyprowadzić tu profesora.

Od strony korytarza dobiegło głośne sapanie i do pomieszczenia wszedł, a raczej wtoczył się niski siwowłosy mężczyzna. Miał zaczerwienione policzki,

a pot wystąpił mu na wysokie czoło. Otarł je chusteczką i kiwnął głową policjantom siedzącym przy stole.

Krzaczaste brwi profesora przypominały dwie ruchliwe gąsienice. Poruszały się, gdy przyglądał się każdemu z policjantów z osobna. Nie wyglądał na zadowolonego z wizyty w Wydziale Kryminalnym. Traktował ją raczej jako przykry obowiązek.

– To gdzie ten obraz? – zapytał bez zbędnych wstępów.

Zender otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Ruchem głowy dał znać Czoskowi, żeby ten zaprezentował pracę, która stała odwrócona pod ścianą.

Leon ukłonił się Taubemu i ruszył w stronę malowidła.

Taube tymczasem otarł chusteczką pot z czoła. Był elegancko ubranym mężczyzną, który – co widać było już na pierwszy rzut oka – miał słabość do dobrego, tłustego jedzenia i zapewne nie gardził przyjmowaniem w dużych ilościach złocistego trunku. Był to typ belfra traktujący wszystkich młodszych od siebie jak uczniów.

– Proszę, profesorze.

Czosek uniósł ramę, obrócił ją i oparł o krzesło.

Taube wyraźnie się ożywił. Staął naprzeciw obrazu. Uniósł dłoń do ust i przejechał palcami po koziej bródce.

– Czy może nam pan powiedzieć coś o tym obrazie? – wyrwał się Gurber.

– Coś? Zapewne coś mogę. Pytanie, czy pan cokolwiek z tego zrozumie...

Karl zacisnął usta. Nie wyglądał na obrażonego, wydawało się raczej, że jest bliski parsknięcia śmiechem. Czosek poczuł się jak w szkolnej ławce.

– Panie profesorze – na walkę w pierwszym szeregu zdecydował się Zender – zdaje się, że nieobce są panu okoliczności śmierci starosty Puschkego. Ten obraz może mieć związek ze sprawą. Szukamy...

– Jasne, jasne. – Taube uniósł dłoń. – Dajcie mi panowie chwilę.

Policjanci popatrzyli znacząco po sobie. Nadwachmistrz spiorunował wzrokiem Czoska, jakby jego obwiniął o ściągnięcie do wydziału wariata.

Taube tymczasem wykonywał przed obrazem dziwny, chaotyczny taniec. Marszczył brwi, cmokał, łapał się pod boki i bujał na czubkach wypolerowanych butów. Kilka razy westchnął, nawet wypowiedział parę słów, których obserwujący go policjanci nie zdołali zrozumieć.

– Panie Taube? – Zender po kilku długich minutach zaczął tracić cierpliwość.

– Jeszcze moment!

Taube się odchylił, pokiwał głową, w końcu odwrócił się od obrazu. Spojrzał z lekkim uśmiechem na siedzących przy stole.

– Jestem do panów dyspozycji. Co chcielibyście wiedzieć?

– Chcielibyśmy wiedzieć, kto jest autorem obrazu. Być może rozpoznaje pan ten... styl?

– Tylko z tego powodu zostałem wezwany?

Czosek, który zadał wcześniejsze pytanie, poczuł się zbity z tropu. Taube wydawał się zawiedziony.

– Ma pan coś więcej do powiedzenia o tym obrazie? – chciał wiedzieć Zender.

– Oj, drodzy panowie! Spodziewałem się od was innego pytania!

– Jakiego? – Zender wznosił oczy ku sufitowi.

– Oczywiście! Ile obrazów tworzy ten cykl? Czego mogą dotyczyć? Takie pytanie przyjąłbym jako wyzwanie dla mojej wiedzy, wyobraźni i doświadczenia!

– To... cykl? – Zender odsunął się z krzesłem od stołu i założył nogę na nogę.

Taube wydawał się zadowolony z wrażenia, które wywołał, i faktu, że przyciągnął uwagę policjantów.

– W istocie, cykl. Podejrzewam, że twórca namalował przynajmniej cztery obrazy.

– Po czym pan to wnosi?

Taube powrócił do obrazu. Wyciągnął z kieszeni marynarki ołówek i posłużył się nim jak wskaźnikiem.

– Autor pozostawił wskazówki... Obraz nawiązuje do Męki Pańskiej, nie tylko samego ukrzyżowania Jezusa, a właściwie jego śmierci na krzyżu. Twórca chciał przedstawić coś więcej, ostatnie dwanaście godzin życia Syna Bożego, Mękę Pańską zaczynającą się zapewne od pojmania w Ogrójcu. Tutaj macie panowie kilka ukrytych przedmiotów, których być może nie dostrzeżliście.

Czosek przychylił głowę, żeby lepiej widzieć punkty wskazywane przez Taubego. Zender otworzył usta, ale zaraz je zamknął. Wstał z krzesła i podszedł do profesora. Reszta policjantów czekała na ten sygnał, ustawili się za plecami przełożonego.

– Gdzie? – Gurber pokręcił głową z niedowierzaniem. – Jakie ukryte wskazówki? Patrzyłem na ten obraz kilka razy, ale za cholerę nic nie dostrzegłem.

Zender spiorunował Karla wzrokiem, ale Taube zdawał się tego nie dostrzegać.

– Postarał się o to autor tego dzieła – wyjaśnił nauczyciel. – Wiecie, panowie, czym jest perspektywa?

– Im coś jest dalej, tym jest mniejsze. – Gurber najwyraźniej nie bał się ośmieszenia.

Taube przewrócił oczami.

– Zacznijmy od początku. Obraz powinien zawierać jedno miejsce zainteresowania. I tak jest tutaj. Scena ukrzyżowania skupia uwagę oglądającego,

do tego elementy drugoplanowe wskazują element główny, prowadzą ku niemu nasz wzrok. Na obrazie znajdziemy kilka postaci, wszystkie patrzą w kierunku środka obrazu...

– Zgadza się, ale czy może pan pominąć wykład i przejść do rzeczy? – ponaglił Zender.

– Wydaje mi się, że każdą hipotezę należy poprzeć dowodami, czyż nie, komisarzu?

– Nadwachmistrzu – poprawił Zender.

– Proszę mi nie przerywać, tylko uważnie słuchać. – Taube założył ręce nad pokaznym brzuchem. Zapewne poddawał teraz testowi policjantów, bo zamilkł. Trwało to chwilę. Gdy upewnił się, że nikt nie będzie mu przeszkadzał, znów popatrzył na obraz i kontynuował przemowę. – Obraz powinien mieć przynajmniej trzy plany, ten ma cztery. Na jednym z nich widzimy ukrzyżowanego Jezusa. To pierwsza wskazówka. – Profesor potoczył wzrokiem po stojących w półkolu słuchaczach. – Idziemy dalej. Wszelkie linie, drogi, strumienie, które tu zobaczymy, nie dochodzą do brzegu obrazu. To jedna z zasad, do której zastosował się artysta. Wskazują jednak na coś innego. Na przykład ta linia... wskazuje coś na najbliższym nam planie. Widzicie to panowie?

– To ucho? – wyrwało się Czoskowi.

Rzeczywiście, u stóp jednej z postaci leżało ludzkie ucho. Ledwie widoczne pomiędzy stopami odzianymi w sandały.

Policjanci wymienili między sobą spojrzenia, czego Taube nie zauważył.

– Twórca uzyskał efekt trójwymiarowości dzięki zachodzeniu na siebie obiektów. Jednocześnie udało mu się ukryć pomiędzy nimi owe wskazówki, o których wspomniałem. Prześwity w odpowiednich miejscach sprawiają, że nie dostrzegamy tego, co oczywiste. Łatwiej ukryć coś w cieniu, prawda? – Taube nie czekał na odpowiedź. – Idziemy dalej?

Nikt się nie sprzeciwił.

– Świetnie! Pociągnięcia pędzla kierują się ku wnętrzu obrazu, z jednym wyjątkiem... Na kolejnym planie znajdziemy element numer trzy.

Zaostrzony ołówek wskazał odpowiednie miejsce.

– To bicz?

– Tak, panowie. Zapewne taki, którego użyto do wymierzenia kary Jezusowi.

– Gdzie znajdziemy element numer cztery, profesorze?

– Cóż, nadwachmistrzu... Malując obraz, artyści pamiętają, by rogi płótna były ciemniejsze i mniej wyostrzone. Wiecie, panowie, dlaczego?

– Żeby nie odciągały uwagi od głównego miejsca zainteresowania? – Głos Zendera przypominał dźwięk wydawany przez papier ścierny w zetknięciu

z kawałkiem drewna.

– Brawo! Jednak mój wykład na coś się przydaje. Był pan moim uczniem? Eee, chyba nie... – Taube się zaśmiał. Zaświszczało mu w płucach, więc odkaslnął. – W rogu obrazu, na planie numer cztery, znajdziecie ostatnią wskazówkę.

– Sznur? – Czosek przechylił głowę. Nie był pewny swojej obserwacji. Pomiędzy chmurami zwiślała ledwie wyraźna lina.

– Sznur – potwierdził Taube. – Zapewne taki, jakiego użył Judasz, by się powiesić z rozpaczy po zdradzie Jezusa.

– Wspomniał pan o cyklu obrazów – Zender wydawał się teraz żywo zainteresowany tym, co Taube ma do powiedzenia. – Skąd pomysł, że są cztery obrazy?

– Jestem o tym przekonany. To jak z ukrywaniem w obrazie odniesień, znaczeń, symboliki. Artysta poszukuje ich w dziełach kolegów po fachu, oczywiście interpretuje je przez pryzmat swoich doświadczeń i wiedzy. Są one jednak często uniwersalne i czytelne, bo takie mają być. Ten artysta wybrał cztery plany, ale każdy z nich przedstawia nieco inny świat. Tak jakby ktoś zbudował obok siebie cztery drogi. Patrzycie panowie na nie z perspektywy wzgórza, mając je u swoich stóp. Gdy na jednej z nich pojawi się jakiś pojazd, samochód, wóz z sianem czy nawet pieszy, ta właśnie droga będzie dla was miała najważniejsze znaczenie. Na nią będziecie zwracać uwagę. Ten samochód w końcu przejedzie, zniknie z pola widzenia, pojawi się kolejny, na drodze położonej bliżej was lub dalej. Co się wtedy stanie? Znow zmienicie obszar zainteresowania! Cztery obrazy, tego jestem pewny! Są w cyklu cztery obrazy. Każdy powiązany z jednym z czterech widocznych tu planów.

– A te przedmioty? – po raz pierwszy do rozmowy włączył się Schulz. – Czym one są według profesora?

Taube odwrócił się do mężczyzn. Pogładził brodę.

– Cztery zbrodnie. – Pokiwał głową z namysłem. – Znaleźliście już panowie ucho?

Chyba każdy z policjantów poczerwieniał na twarzy.

– Czyli nie. – Profesor się zaśmiał. – Obstawiałbym, że może kogoś bez ucha?

– Dziękujemy, profesorze, za pana wizytę. – Zender najwyraźniej nie chciał wchodzić z profesorem w dyskusję dotyczącą śledztwa. Obecność gościa zauważalnie zaczynała go drażnić. – Nie muszę panu chyba mówić, że to, co pan tu zobaczył, podobnie jak treść naszej rozmowy, powinny pozostać w tajemnicy.

– Za kogo mnie pan ma?

– Proszę nie brać mojej prośby do siebie. Wiemy, że możemy liczyć na pańską dyskrecję.

Taube wydawał się udobruchany sławami Zendera.

– To wszystko? – zapytał.

– Wydaje się, że tak – przyznał nadwachmistrz. – Jeśli będziemy potrzebowali kolejnej konsultacji, pozwolimy sobie z panem się skontaktować.

– A co z pierwszym pytaniem? – zapytał Taube.

– Z jakim pierwszym pytaniem? – wyrwało się Zenderowi.

– Nie chcecie wiedzieć, kto namalował te obrazy?

W pomieszczeniu znów zapanowała głucha cisza.

– Pan wie, kto je namalował? – zapytał Schulz.

– Oczywiście. Jestem nawet tego pewny. Widziałem tego artystę kilka razy podczas pracy. Pojawiał się ostatnio przy kościele Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Pan Bóg poskąpił mu wzrostu, ale obdarzył niesamowitym talentem, co zapewne panowie widzą.

– Zna pan jego nazwisko?

– Germain zdaje się... – Taube zmarszczył brwi, wysilając pamięć. – Germain Ulm. Mieszka na Schwedendorferstrasse, w tej kamienicy, na którą wychodzi się z Grünstrasse.

*

Klein już zawczasu się zorientował, że nie tylko on postanowił złożyć Ulmowi wizytę. Wszedł z jego pracowni w momencie, gdy na schodach rozległ się odgłos kroków. Znalazł drabinkę prowadzącą na dach, z której niezwłocznie skorzystał.

Pokonał sprawnie kilka dachów. Na jednym z nich odnalazł kolejne wejście. Tu przykucnął i się rozejrzał. Nagrzane dachówki oddawały sporo ciepła, gorące, rozedrgane powietrze unosiło się do góry. Twierdza w tym ciepłym mirażu wydawała się rozmywać, jakby coś próbowało ją usunąć z panoramy miasta.

Wzrok Kleina przesunął się na wieżę ratusza, a w końcu podążył w stronę nieodległej wieży kościoła Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Świątynia od północnej strony tonęła w cieniu. Kleinowi wydało się, że w załamaniach dachu dostrzega ruch. To zapewne było tylko złudzenie, bo to wrażenie już się nie powtórzyło, mimo to pozostawał czujny. Instynkt kazał mu zejść z widoku. Tak też uczynił, zanurzając się w otworze dachowym i zaduchu klatki schodowej.

Gdy znalazł się na ulicy w pobliżu południowo-zachodniego narożnika rynku, skontrolował czas. Był spóźniony na obiad u burmistrza. Nie lubił się spóźniać.

Otrzeptał marynarkę, spojrzął na pobrudzone dłonie. Być może powinien powrócić do hotelu i doprowadzić się do porządku, ale uznał, że skorzysta z gościnności Franza Ludwiga i z jego łazienki.

Przy kamienicy, w której mieszkał burmistrz, parkowało kilka samochodów. Ten rodzinny obiad, na który Klein otrzymał zaproszenie, najwyraźniej zapowiadał się na nieco większy. Kapitan się zawahał. Miał zamiar zawrócić, ale wtedy właśnie drzwi prowadzące do kamienicy otworzyły się i stanęła w nich niewysoka kobieta. Uśmiechnęła się na widok Kleina. W pierwszej chwili jej nie rozpoznał.

– Wilhelmie, ani myśl o ucieczce! Franz ostrzegał, że zechcesz się ulotnić, gdy tylko zobaczysz te wszystkie samochody. Wypatrywałam cię od dłuższej chwili.

– Dzień dobry. – Kapitan ściągnął kapelusz i ukłonił się żonie krewnego.

Kobieta, gdy tylko przestąpił próg, ujęła go pod ramię i spojrzała mu w oczy.

– Ileż to czasu minęło, mój drogi?

– Powiedziałbym, że zaledwie kilka dni, droga ciociu Hildo. Nic się nie zmieniłaś.

– Po takich słowach wybaczę ci, że nie odwiedziłeś nas ani razu podczas ostatnich pobytów w Kłodzku!

– Miałem wtedy dużo na głowie...

– A teraz nie masz? – Hilda wymownie uniosła brew.

Uśmiechnął się w odpowiedzi. Dał się poprowadzić do dużego, bogato zdobionego przedsionka. Tu zostawił kapelusz.

– Chciałbym skorzystać z łazienki, nim przywitam się z burmistrzem i gośćmi.

– Pokazał swoje brudne dłonie.

Hilda się zaśmiała.

– Nic się nie zmieniłeś, Wilhelmie. Dalej włazisz w najbrudniejsze i najciemniejsze zakamarki?

– To moja słabość.

Ciotka wprowadziła go w kolejny korytarz. Gwar rozmów i brzęk sztućców oraz zastawy stołowej stanowiły melanz wesołych domowych dźwięków.

– Drzwi po prawej.

Klein skinął głową w podziękowaniu i zniknął w łazience.

Pomieszczenie było spore, z żeliwną wanną ustawioną pośrodku i potężną umywalką. Na wystrój składało się duże lustro i kilka półek, nie zabrakło też śnieżnobiałych ręczników i obrazków na ścianach. Hilda zadbała o każdy szczegół. Białe i czarne kafelki dodawały pomieszczeniu elegancji.

Klein odkręcił kran i zanurzył dłonie w ciepłej wodzie. Umył je dokładnie mydłem. Opłukał także twarz. Nie ściągał marynarki, bo przepocił koszulę. Szybko jednak wysychała, dzięki czemu czuł się nieco pewniej.

Na półce znalazł wodę kolońską używaną przez pana domu. Skropił się nią delikatnie. Czy był gotowy na spotkanie z gośćmi? Unikał ludzi, rozmów, pytań i odpowiedzi. Męczyło go trzymanie fasonu, pamiętanie o konwenansach.

Tymczasem wpadł jak śliwka w kompot. Franz Ludwig zastawił na niego zmyślną pułapkę.

Wilhelm spojrział w lustro po raz ostatni. Jezus zmartwychwstały. Pomyślał, że mógł przyjąć zaproszenie reżysera gorzanowskiej pasji do objęcia głównej roli w przedstawieniu. Nie musiałyby teraz przeżywać katuszy związanych z koniecznością udziału w niechcianych spotkaniach.

W końcu przygładził włosy i wyszedł z łazienki. Klepki parkietu w korytarzu zaskrzypiały pod jego ciężarem. Ruszył w stronę salonu. Widział duży stół i zgromadzonych wokół niego gości pograżonych w nieformalnych rozmowach. Niektórzy palili papierosy i cygara.

Burmistrz dostrzegł Kleina, zanim ten dotarł do progu. Przeprosił swojego rozmówcę i ruszył Wilhelmowi na przywitanie. Gdy tylko kapitan znalazł się w salonie utonął w uścisku Ludwiga. Speszył się tym wylewnym powitaniem. Widział, że przyciąga zaciekawione spojrzenia gości. Ludwig wyglądał na wzruszonego.

– Cieszę się, że przyjąłeś zaproszenie. I że wykaraskałeś się z kolejnych tarapatów.

– Złego diabli nie biorą, burmistrzu.

Franz się roześmiał.

– Chodź, przedstawię cię znajomym. Dzisiejsze spotkanie jest dla mnie ważne z kilku powodów. Chciałem, żebyś w nim uczestniczył. Zaprosiłem do nas przemysłowców z hrabstwa, staramy się utworzyć grupę, która postara się zapobiegać skutkom kryzysu. Oczywiście na miarę możliwości.

Stało się to, czego obawiał się Wilhelm. Ci ludzie najwyraźniej dobrze go znali, choć nigdy nie zostali sobie przedstawieni. Uściski dłoni, kilka uprzejmych słów, zaproszeń do odwiedzenia tego czy innego przedsięwzięcia. Wilhelm przebrnął przez ten obowiązek, choć wymagało to od niego sporego wysiłku.

W jego dłoni znalazł się talerzyk z kanapką. Nawet nie zauważył, kiedy Hilda mu go wcisnęła. Nie był jednak w stanie napocząć apetycznie wyglądającego jedzenia, bo Ludwig najwyraźniej za punkt honoru postawił sobie zapoznanie Kleina z każdym gościem.

– Mój zastępca Konrad Goebel i Bertram Scheidt, przewodniczący naszego nieformalnego stowarzyszenia.

Klein uścisnął masywną dłoń wiceburmistrza. Goebel był przysadzystym, mocno zbudowanym mężczyzną. Marsowe oblicze czyniło zeń przeciwieństwo zawsze pogodnego burmistrza. Może w jakiś sposób się uzupełniali, nie tylko dzieląc między sobą obowiązki.

Uścisk Scheidta był równie mocny. Ten szczupły wysportowany mężczyzna z ciekawością patrzył na kapitana. Uśmiechnął się i skinął głową. Wilhelm go

kojarzył. Za ledwie rano czytał w prasie o jego prawdopodobnej kandydaturze na wakujący urząd starosty.

– Dobrze, że pana widzę w tak dobrej kondycji. – Goebel poruszył sumiastym wąsem. – Wydarzenia sprzed kilku miesięcy mocno nami wstrząsnęły. Ten wypadek na Śnieżniku... Burmistrz bardzo przeżywał pana stan i pobyt w szpitalu. W Kłodzku wszyscy mówili o panu i życzyli szybkiego powrotu do zdrowia.

– Dziękuję, czułem to wsparcie.

– Jak pan widzi – Goebel głośno westchnął – nie dano nam odetchnąć. Śmierć Puschkego to dla nas kolejny wstrząs. Stoimy przed wieloma wyzwaniem w obliczu trwającego kryzysu. Próbujemy w hrabstwie wyjść z niego obronną ręką i przewyciężyć najgorsze trudności. Nie jest to jednak proste. Dziś spotykamy się u burmistrza, by przedyskutować i wprowadzić w życie kilka koncepcji, które powinny zdać egzamin. Duża w tym zasługa pana Scheidta, który namówił nas do wspólnego wysiłku i wskazał kierunek działań.

– To za dużo powiedziane – zaprotestował Scheidt i wyglądało to na szczere wyznanie, a nie przejaw fałszywej skromności.

– Dał pan nam jednak impuls do działania, wskazał kierunki, których nie dostrzegaliśmy. Wprowadzenie ich w życie będzie wyzwaniem, jednak przynajmniej nie siedzimy beczynnie, oczekując biernie na rozwój sytuacji.

– Co to za kierunki i drogi? – zainteresował się uprzejmie Klein.

– Postanowiliśmy współdziałać w walce z kryzysem. Dotąd każdy radził sobie z nim na własną rękę, a właściwie nie radził... Przemysłowcy z hrabstwa będą prowadzić wspólną politykę wobec pracowników. To oznacza ograniczenie zwolnień i wypłacanie tygodniówek.

– To autorytet burmistrza Ludwiga pozwolił na opracowanie jednolitego stanowiska w tej sprawie.

– Tak, niewątpliwie – przyznał Goebel. – Jednak bez pańskich kontaktów i dostępu do zagranicznych rynków zbytu dla towarów naszych przemysłowców byłoby trudno o tę jednomyślność. Towar znika z magazynów, jest zapotrzebowanie na kolejne wyroby. To proste przełożenie: jest praca i są pieniądze na wypłaty.

– Przedstawia mnie pan jako altruistę, a przecież nie robię tego za darmo.

– Wszyscy na tym korzystają, i przemysłowcy i pan. Nie mam nic przeciwko, bo to są interesy. Franz Ludwig wziął na siebie rolę strażnika interesów trzeciej grupy. Tej, która jest dla niego najważniejsza, czyli mieszkańców Kłodzka. Można więc powiedzieć, że każda ze stron jest zabezpieczona.

– Niewątpliwie. – Scheidt uśmiechnął się i zwrócił do Kleina: – Pana krewny ma niesamowity dar zjednywania sobie ludzi i przekonywania ich do swoich

racji. To, jak prowadził negocjacje z przemysłowcami hrabstwa, było dla mnie niesamowitą lekcją. Wiele mógłbym się od niego nauczyć.

– Jak każdy z nas – przyznał kapitan.

– Jednak morderstwo starosty budzi nasze znaczne obawy. Odgrywał on w naszym stowarzyszeniu bardzo ważną rolę, a co gorsza... – Scheidt się zawahał. – Dochodzą do nas niepokojące informacje, że można się spodziewać kolejnych ofiar.

– Trudno mi to skomentować. – Klein wzruszył ramionami. – Ja takich informacji nie otrzymałem.

Scheidt chciał powiedzieć coś jeszcze, ale wiceburmistrz go ubiegł:

– Miejmy nadzieję, że nie dojdzie więcej do takich wydarzeń. Potrzebujemy teraz spokoju i czasu, by przetrwać trudne chwile. I zrobimy wszystko, aby tak się stało. Miejmy nadzieję, że nasz rząd podejmie szybkie kroki, by wyprowadzić kraj z kryzysu politycznego i gospodarczego.

– Wierzę, że tak będzie. – Scheidt dopiero teraz przypomniał sobie o kieliszku trzymanym w dłoni i upił mały łyk nalewki. – Wspólnymi siłami możemy wiele zdziałać w naszym mieście i hrabstwie. Położymy fundament pod przyszłość Kłodzka. Systemowe zmiany są jednak konieczne.

– Panowie, zapraszam na skromny poczęstunek!

To zaproszenie burmistrza Ludwiga do stołu Klein przyjął jak wybawienie. Sam nie ruszył w stronę gospodarza, który osobiście polecał kanapki i piętrzące się w misach sałatki. Zgodnie jednak z jego oczekiwaniami uczynili to Goebel i Scheidt. Wilhelm dyskretnie się rozejrzał, planując drogę ucieczki. Wtedy wyczuł na sobie czyjś wzrok. Mężczyzna skinął mu głową i się uśmiechnął. Wilhelm rozpoznał kapitana Metza z kłodzkiej twierdzy – niedawno wyświadczył mu szereg przysług w związku ze sprawą prowadzoną w Kłodzku.

– Kapitanie Klein.

– Kapitanie Metz.

Przywitali się serdecznie mocnym uściskiem dłoni.

– Ciągnie pana do tego miasta. Zupełnie jakby pański los w jakiś niepojęty sposób był z nim związany.

– Nie myślałem o tym w ten sposób, ale może mieć pan rację.

– W śledztwo dotyczące ostatnich, tragicznych wydarzeń także się pan zaangażuje?

Klein nie miał zamiaru zbywać ani tym bardziej oszukiwać Metza.

– Jestem komuś winien przysługę. Muszę więc odpowiedzieć twierdząco, kapitanie.

– Zrozumiałe, domyślam się, że to przysługa dla hrabiego Herbersteina. Wydaje mi się jednak, że odgrywa tu pewną rolę także pańskie powołanie.

– Trudno mi mówić o powołaniu, bo tak naprawdę nie wiem, co nim jest – powiedział szczerze Wilhelm. – Znał się pan dobrze ze starostą?

– Nasze drogi rzadko się przecinały. Twierdza podlega pod miasto, więc częściej widuję się z pańskim krewnym, burmistrzem Franzem Ludwigiem. Zaproszenie od niego przyjąłem tym chętniej, że poinformował mnie o pańskiej planowanej obecności.

– Miło mi to słyszeć.

– Zapewniam, że kieruję się sympatią do pana, ale niestety także osobistym interesem.

Klein doceniał bezpośredniość rozmówcy.

– Jestem panu winny przysługę, kapitanie Metz. Konieczność jej wypełnienia nie traktuję jak obowiązku. Może się pan do mnie śmiało zwrócić ze swoją sprawą. Jeśli tylko zdołam coś wskórać...

Klein wiedział, że Metz był typem człowieka, który nie nawykł do proszenia o cokolwiek. Jeśli zdecydował się na rozmowę, dręczące go zagadnienie musiało być sporego kalibru.

– Gdyby pan mógł mnie odwiedzić jeszcze dziś w Twierdzy Głównej, będę zobowiązany.

– Oczywiście – zapewnił Klein. Wyraźnie wyczuł, że sprawa musi być delikatnej materii, skoro Metz chciał poruszyć ją na osobności. Zmienił więc temat. – Przeczytałem kilka pańskich artykułów o planach uczynienia z twierdzy na Owczej Górze i Twierdzy Głównej atrakcji turystycznej.

– Jak pan je ocenia?

– Bardzo pozytywnie. Koncepcja rozwijania restauracji i udostępniania obiektu jest jak najbardziej słuszna. To będzie jedna z największych atrakcji hrabstwa. Wpływy z biletów pokryją niezbędne koszty napraw. Sama wizja oddania militarnego obiektu do zwiedzania jest dla mnie ważnym symbolem.

– Dziękuję. – Metz się uśmiechnął. – Wierzyłem, że także pan dostrzeże tę symbolikę.

– Czy pańskie koncepcje mają szansę na szybką realizację?

– Cóż... – Metz wyraźnie się zasepił. – Mam poparcie burmistrza, ale nie mam poparcia przełożonych. W tej chwili na pewno nie możemy o tym myśleć. Kryzys to raz, dwa, twierdza przejęła na siebie rolę magazynu do wynajęcia. To w tym komendant widzi przyszłość, a nie w udostępnieniu korytarzy zwiedzającym.

– Prędzej niż później to się zmieni.

– Oby – powiedział Metz, zerkając na zebranych przy stole gości.

Klein także dyskretnie spojrział w tym kierunku. Domyślił się, że w rozmowie z wiceburmistrzem pograżony jest wspomniany przełożony Metz.

- Muszę wracać do swoich obowiązków. Cieszę się, że znów pana widzę.
- Z wzajemnością, kapitanie Metz.

Mężczyźni znów uścisnęli sobie dłonie. Metz odszukał burmistrza Ludwiga. Pożegnał się również z nim i opuścił salon.

Burmistrz popatrzył na swojego krewnego i ruszył w jego stronę.

- Myślałem, że dłużej ze sobą porozmawiacie.
- Dziękuję, że pomyślałeś o moim dobrym samopoczuciu. Kapitan Metz miał mi dotrzymać towarzystwa, żebym nie czuł się samotnie? Jako wojskowi mieliśmy według ciebie znaleźć wiele wspólnych tematów?

Ludwig zaśmiał się cicho.

– Coś w tym rodzaju – przyznał. – Miałem nadzieję, że cię przypilnuje i nie uciekniesz zbyt szybko.

Klein uważnie przypatrzył się burmistrzowi.

- Dlaczego mnie zaprosiłeś? Co cię tak niepokoi?
- Nic nie da się przed tobą ukryć, Wilhelmie, co?
- Dwóch panów w samochodzie przed domem najwyraźniej nie ma go zamiaru opuścić. Siedzą tam z konkretnym zadaniem. Pilnują cię. Przed czym? A może raczej przed kim?

– Dobrze. – Burmistrz odwrócił się w stronę gości, pokiwał głową, jakby podejmował jakąś decyzję. Nie trwało to długo. – Nie będą mieli mi za złe, jak ich na chwilę zostawimy. Konrad Goebel się nimi zajmie. Muszę z tobą porozmawiać.

Wyszli z salonu na korytarz. Podłoga znów westchnęła pod ciężarem Kleina. Skierowali się w stronę schodów, a potem weszli na piętro. Tu burmistrz wybrał jedno z kilkorga drzwi. Otworzył je i zaprosił Kleina do środka.

Znaleźli się w gabinecie Ludwiga wypełnionym osobistymi akcentami. Ścian nie było widać zza zdjęć rodzinnych oraz tych przedstawiających Kłodzko i okolice. Półki ugięły się od książek. Błaty komody i szafki pełne były starannie ułożonych bibelotów, pamiątek i prezentów. Mimo tego natłoku szczegółów pokój sprawiał przytulne wrażenie, chciało się w nim przebywać. Klein był pewny, że w wolnych chwilach burmistrz zasiada w wygodnym fotelu ustawionym przy oknie, by odpocząć albo załatwić sprawy, z którymi nie zdążył się uporać w urzędzie. Był to gabinet urzędnika, ale i człowieka wielu pasji, w tym zamiłowania do historii i regionu.

– Zaangażujesz się w dochodzenie, Wilhelmie? – Burmistrz wskazał kapitanowi fotel przy oknie, sam odsunął swój od biurka i zasiadł w nim naprzeciw krewnego.

– Poprosił mnie o to przyjaciel.

Ludwig skinął głową, znał już odpowiedź przed zadaniem pytania.

– Udało ci się coś do tej pory ustalić?

– Niewiele.

– Co myślisz o morderstwie starosty?

– Miało być spektakularne, a ofiara nie była przypadkowa.

– Nie była przypadkowa? – Ludwig uniósł brwi. Nerwowo uderzał palcami w podłokietnik. – Kilka godzin temu rozmawiałem z komisarzem Richterem. Jego grupa śledcza prowadzona przez nadwachmistrza Zendera ma na ten temat inne zdanie. Uważają, że liczyły się jedynie okoliczności śmierci, ta spektakularność, o której wspomniałeś. Podbić ją mają obrazy, jak ten z ukrzyżowaniem Jezusa, który, jak zapewne wiesz, został znaleziony przez policję. Według nich celem był nie starosta, lecz aktor, który odgrywał postać Jezusa umierającego na krzyżu. Wykorzystali moment...

– Nie znam ustaleń kłódzkiej grupy śledczej. Nie wiem, na podstawie czego wyciągnęli takie wnioski. Pytałeś mnie, co myślę o morderstwie starosty. Udzieliłem ci odpowiedzi.

Ludwig opadł na oparcie fotela. Zamyślił się.

– Wiesz, że ufam twojej opinii – powiedział po chwili. – Zastanawiam się jednak, skąd ta... rozbieżność. Jeśli starosta był celem, to wiele zmienia. Śledztwo powinno być chyba prowadzone innym torem?

– To nie jest pytanie do mnie, burmistrzu.

– Zdaję sobie z tego sprawę, wybacz. – Ludwig zdjął okulary i potarł zaczerwienioną od oprawek nasadę nosa. Wyglądał na zmęczonego. Być może nie spał ostatniej nocy, co nie umknęło uwadze Wilhelma. – W jaki sposób zamierzasz... prowadzić to dochodzenie? Będziesz to robił prywatnie? Na własną rękę?

– Wydaje się, że wciąż jestem wojskowym śledczym, chociaż na urlopie. Moje uprawnienia do działania na terenie hrabstwa nie wygasły.

– Uprawnienia te dotyczyły jednak innej sprawy – zauważył burmistrz. – Która zapewne została zamknięta po tym, co wydarzyło się na Śnieżniku.

– Tamta sprawa nigdy nie została oficjalnie otwarta, burmistrzu. Nie było więc co zamykać.

– Rozumiem. – Ludwig przesunął dłonią po materiale podłokietnika, strącając niewidoczny pyłek. – Gdybyś potrzebował uprawnień, możemy ci takich udzielić. Konrad Goebel jest formalnym szefem policji, chociaż w rzeczywistości zawiaduje nią komisarz Heinrich Richter, jednak...

– Nie potrzebuję tych uprawnień – przerwał Klein. – Dziękuję.

Ludwig założył nogę na nogę. Wciąż nie poruszył tematu, z powodu którego Klein był pewien, zaprosił go do gabinetu.

– Kiedy ci go przysłali, burmistrzu? – Kapitan nachylił się w stronę Ludwiga i spojrzał mu w oczy. – Dzisiaj rano?

Ludwig znieruchomiał. Przestał poruszać stopą w niespokojnym rytmie, a dłoń zaciśnął w pięści.

– Dzisiaj rano... – potwierdził. Na jego czole zaszklili się pot. – Skąd wiedziałeś?

– Powiedziałeś mi to.

– Kiedy? – Ludwig wyglądał na zdezorientowanego.

– Kiedy wspomniałeś o obrazach w liczbie mnogiej. W prasie informowano o jednym obrazie znalezionym przez policję, z ukrzyżowanym Jezusem.

– Ale skąd wiesz, co mi przysłali?

– Jesteś pedantem, wuju, lubisz wokół siebie porządek. Nie przeoczyłbyś kawałka sznurka i papieru pakowego leżącego pod ścianą, gdyby nie twoje wzburzenie. Prawdę mówiąc, właśnie ono wyczuliło mnie na te drobne szczegóły. Dostałeś dziś rano przesyłkę. Obraz przedstawiający kolejną scenę pasji. Obawiasz się, że to ostrzeżenie dla ciebie. Gdy powiedziałem, że śmierć starosty nie jest przypadkowa, poblądłeś jeszcze bardziej. Przyszło ci do głowy, że ktoś upatrzył sobie kłódzkich urzędników na ofiary, a ty będziesz kolejną.

– Będę, Wilhelmie?

– Nie można tego wykluczyć. Nie wiem jednak, po co ktoś miałby cię ukrzyżować albo raczej udusić czy zamęczyć na śmierć. Jesteś niegroźny, a do tego poczciwy. Żadne z ciebie wyzwanie dla mordercy.

– Ta laurka jest dosyć osobliwa.

– Nie jesteś próżny, więc jakoś to przełkniesz.

Ludwig wyraźnie się uspokoił. Wyrównał mu się oddech. Burmistrz patrzył na Kleina z niedowierzaniem i fascynacją. Krewniak był dla niego zagadką, zawsze wydawało mu się, że jego umysł to jakaś niezbadana maszyna zdolna do nadludzkich analiz dokonywanych w tempie nieosiągalnym dla zwykłej istoty. Owszem, pewne rzeczy można było wyćwiczyć, a zaawansowanych metod nauczyć się z mądrych podręczników. Jednak Ludwig był pewny, że Klein nie musiał korzystać z żadnych podręczników. Urodził się z darem albo... został naznaczony jakimś piętnem. Trudno było powiedzieć, patrząc na tego młodego mężczyznę, czym jest dla niego ów dar niebios. Może sam traktował go jak przekleństwo?

Wilhelm zmienił się mocno przez tych kilka lat. Ową zmianę dało się dostrzec w jego oczach. Trudno było patrzeć w nie dłużej niż kilka sekund. Wydawało się, że człowiek traci własną wolę, wpada w studnię szaleństwa. I tylko trudno było pojąć, czy to szaleństwo miało źródło w umyśle patrzącego, czy jedynie się udzielało, odzwierciedlając prawdziwy stan duszy Wilhelma.

– Pokaż mi obraz.

– A tak!

Ludwig otrząsnął się ze swoich myśli. Być może zbyt długo patrzył Kleinowi w oczy.

Wyszedł z gabinetu. Wrócił chwilę później, niosąc malowidło. Pozbył się go z ulgą, opierając je o ścianę. Nie popatrzył na nie. Wrócił na miejsce i zlustrował swoje dłonie, jakby spodziewał się, że ma na nich ślady farby.

Klein nie ruszał się z fotela, w milczeniu wpatrując się w obraz. Wizja artysty była przejmująca i realistyczna. Mężczyzna przywiązany do kolumny. Wygięte w łuk ciało, zdradzające wielkie cierpienie, pochylona głowa. Pasma oderwanej skóry, krew spływająca z wielu ran.

– Biczowanie Jezusa...

Wilhelm skinął głową.

– Czy... czy to znak, że to czeka kolejną ofiarę?

– Zapewne.

– Jak temu zapobiec? Kogo chcą tak zamęczyć?

– Odpowiadając po kolei: nie uda nam się zapewne temu zapobiec i nie mam pojęcia, kto będzie następną ofiarą.

– Myślałem, że spojrzysz na obraz i wyczarujesz odpowiedzi z kapelusza, przepraszam.

– Nie masz za co, wuju. Kapelusz po prostu zostawiłem na dole.

Ludwig zaśmiał się i głośno westchnął.

– Co radzisz, Wilhelmie?

– Ochrona, którą masz, niech będzie przy tobie cały czas. Nie w samochodzie, ale tu, w domu. Radzę się przygotować na kolejną, a może kolejne ofiary. Ten obraz wskazuje zapewne następną z nich, ale wydaje mi się, że nie ciebie.

– Nie mnie – powtórzył jak echo Ludwig. – Będziesz działał przeciw mordercy sam?

– Niekoniecznie.

– Odpowiadasz lakonicznie. Jesteś w tym mistrzem.

– Powinienem teraz rzucić coś w stylu, że wolę działać niż mówić.

Ludwig wyprostował się w fotelu.

– Cieszę się, że jesteś tu, w Kłodzku. Tak naprawdę zaprosiłem cię wczoraj w innej intencji. Zamierzałem, być może niedyskretnie, zapytać o twoją przyszłość, twoje plany. Chciałem ci zaproponować, żebyś związał się z naszym miastem na dłużej... Wierzę, że do tej rozmowy wrócimy już po wszystkim.

– Dziękuję, wuju. – Klein podniósł się z fotela w momencie, w którym uczynił to także Franz Ludwig. – Dziękuję, że o mnie pamiętasz i ciepło myślisz.

Burmistrz dotknął ramienia Wilhelma.

– Gdybyś czegoś potrzebował w związku ze sprawą i nie tylko, pamiętaj, żeby mi o tym powiedzieć. Komisarz Richter zapewne wie o twoim przyjeździe do Kłodzka i zdaje sobie sprawę, że będziesz prowadził prywatne śledztwo w sprawie śmierci Puschkego.

– Postaram się nie wchodzić w drogę jemu i jego śledczym.

– Rób to, co konieczne. Mam wrażenie, że coś mi umyka, Wilhelmie. Od kilku miesięcy angażujemy się w sprawy gospodarcze, próbujemy obronną ręką wyjść z zapaści. Tak wielu straciło nie tylko oszczędności życia, ale i nadzieję... Potrzebne są duże zmiany, to pewne. Kto jednak je przeprowadzi? I jak te zmiany wpłyną na naszą przyszłość? Są tacy, którzy próbują wykorzystać ten trudny moment. Tobie nie muszę tego mówić, pamiętasz, co działo się tutaj kilka lat temu. Wystarczy chwila, by doszło do wybuchu. Znow zaczną szukać kozłów ofiarnych.

– Jesteś gwarancją spokoju Kłodzka i hrabstwa, burmistrzu. Starasz się skutecznie minimalizować skutki kryzysu. Towarzystwo, które powołałeś, odgrywa w tym znaczną rolę. Wyjdziecie z tego zwycięsko. Tylko musisz na siebie uważać.

– Złego diabli nie biorą, Wilhelmie – zaśmiał się Ludwig, ale mało przekonująco.

– Zgadzam się – odpowiedział kapitan. – Dlatego powinieneś być ostrożny.

Burmistrz pokiwał głową. Wyszli na korytarz, a potem schodami w dół do holu.

– Dziękuję, że pokazałeś mi obraz, wuju.

– Wyczytałeś z niego więcej, niż mi powiedziałaś, prawda?

– Jeszcze nie wiem, co z niego wyczytałem, ale na pewno dam ci znać.

– Zaraz przyjadą po niego z Wydziału Kryminalnego. Nie chcesz zobaczyć papieru, w który go zawinięto? Albo sznurka, którym go obwiązano? Nie zapytałeś nawet, kto go dostarczył...

– Te pytania zapewne zadadzą ci śledczy. Kawalek papieru widziałem, sznurka też. Obraz zapewne znalazłeś przed drzwiami. Myślę, że zbudził was dzwonek do drzwi.

Ludwig pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Znajdź jego albo ich, Wilhelmie. Mamy już wystarczająco powodów do zmartwień.

– Zrobię, co w mojej mocy.

Kapitan pożegnał się z burmistrzem i jego żoną. Wyszedł na ulicę rozpaloną popołudniowym słońcem. Był pewny, że kolejnemu morderstwu nie uda mu się zapobiec. Jednocześnie przewidywał, że da mu ono wskazówkę, która wyjaśni

motywację sprawców. „Tu chodzi o Kłodzko” – przypomniał sobie słowa burmistrza. Był skłonny się z nim całkowicie zgodzić.

*

Koschella zasiadł z Schulzem przy stoliku ukrytym w rogu gospody Pod Niebieską Gwiazdą. Lothar zapalił papierosa i oparł się o odrapaną ścianę. Przypomniał sobie o kapeluszu, zdjął go i rzucił na blat.

– Nie patrz tak, posłuchałem twojej rady, robię to, na czym znam się najlepiej, pamiętasz?

– Jasne.

– Ale po tym wszystkim, jeśli nic się nie zmieni, rzucę papierami.

– Oczywiście.

– Wiesz, jak człowieka wkurwić.

Tym razem odpowiedzią był krzywy uśmiech Koschelli.

– Zender chce zaprosić na rozmowę Kleina – kontynuował Lothar.

– Uważasz, że to zła wiadomość? Znając Kleina, wykończy Zendera, jeszcze zanim ten się odezwie.

Schulz zarechotał. Zaciągnął się dymem. Chyba wyobraził sobie rozmowę kapitana z nadwachmistrem.

– Mam nadzieję, że przy tym będę.

– Czego chcesz, Lothar? Przyszedłeś mi powiedzieć o Kleinie?

– Nie tylko.

– Skąd wiesz, że chcę słuchać twoich relacji z odpraw?

– Bo siedzę tam tylko po to, żeby pomóc tobie. Więc weź to, kurwa, docień.

– Doceniam.

– No. – Lothar wypuścił nosem kłęby dymu. – Zaprosiłem dziś na spotkanie profesora Taubego. Chciałem, żeby zobaczył obraz.

– Co powiedział?

– Stary uważa, że to cykl obrazów. Każdy zwiastuje śmierć jakiejś osoby, a z każdą śmiercią związane jest jakieś narzędzie zbrodni lub element powiązany z wydarzeniami z pasji.

– Ile tych obrazów?

– Cztery.

Franz pokiwał głową. Sięgnął do szklanki, upił łyk chłodnej mineralnej.

– Czyli zostały dwie ofiary?

– Na to wygląda. Jeśli starosta i Heigl to dwie pierwsze. – Schulz strzepnął popiół pod stół.

– Jakie elementy pozostały?

– Sznur i bicz.
– Czyli znajdziemy wisielca i delikwenta po torturach.
– Ładniej bym tego nie ujął, Franz.
– Taube rozpoznał autora obrazu?
– Strzał w dziesiątkę, Germain Ulm. Taki karzeł, na pewno widziałeś go w mieście.

– Widziałem. Ale nie wiedziałem, że malował... – Franz się zawahał. Przypomniał sobie, że Ulma spotkał nie tylko w Kłodzku.

– Ja podobnie. Wiele razy widziałem faceta z tym wózeczkiem i zakładałem, że pod prześcieradłem wiezie jakieś graty na sprzedaż. Czosek z Gurberem sprawdzili jego pracownię. Ulm zniknął, kamienica pod obserwacją. Na miejscu był jeden obraz. Wygląda na to, że ten popapraniec narysował śmierć księdza Reisera.

– Namalował.

– No tak... namalował – przyznał Lothar.

– Był tam.

– Co?

– Ulm był w Gorzanowie. Pamiętam, jak szedł ze stacji do parku.

Kaszel palacza przez chwilę przytknął Schulza. Wachmistrz odchrząknął i znów się zaciągnął.

– Myślisz, że to on?

– Nie wygląda na takiego, który dałby radę dokonać tych zbrodni w pojedynkę.

– Jak nie on, to może jest jakiś zleceniodawca obrazów? Bogaty, rąbnięty mecenas? – zasugerował Lothar.

– Musiały być zdrowo rąbnięty, Schulz.

– Zender ma chyba na to inny pomysł. Kazał mi sprawdzić listy aktorów i obsługi sceny z Gorzanowa. Porównywałem je z listą Lischkego, tego kościelnego. Księżulek Reiser miał sporo wyznawców, ale w większości to stare dewoty i kilku nawiedzonych staruchów. Tym łącznikiem pomiędzy księdzem i mordercą wydaje się jednak Ulm.

– Mówisz, że zniknął.

– Jeśli jeszcze żyje, to się gdzieś ukrył. Ma podstawy, by obawiać się o swoje życie. Chyba że to on za wszystkim stoi i jednak nie ma żadnego zleceniodawcy.

– Starostę byłby w stanie wykończyć, wystarczyła drabina – rzekł w zadumie Franz. – Heigl pewnie został odurzony jakimś paskudztwem. Chociaż z tym Ulm mógłby mieć problem, no i jak wtaszczyłby ciało do mieszkania? Nie wyobrażam sobie, by sam go wciągnął na poddasze.

– Może mieć pomocnika. Poza tym widziałem kiedyś takiego karła w cyrku. Był silny jak tur.

– I tak trzeba się za nim rozejrzeć – zdecydował Koschella. – Rozpuszczę wici na mieście.

– Obstawiasz, kto będzie następną ofiarą?

– Skontaktuj się z wróżką, jeśli chcesz wiedzieć.

Schulz się zaśmiał i zgniótł końcówkę papierosa palcami.

– A co z tymi nowymi w mieście? Czują się jak u siebie. Nocny klub w Hotelu Cesarskim, śnieg. Pewnie zaraz wyrosnie nam tutaj kilka burdeli. Skąd się wzięli, Franz?

Lothar zauważył, że Koschella musiał zadawać sobie te pytania od dłuższego czasu. Chciał się dowiedzieć, czy wachmistrz będzie skłonny podzielić się z nim swoimi przemyśleniami.

– Pojawili się akurat teraz właśnie w Kłodzku, Franz – drażnył. – Dziwna sprawa. Ludzie Łysego pochowali się po kątach. Widać, że coś wisi w powietrzu.

Franz patrzył przez chwilę na Schulza w zamyśleniu, jakby rozważał, ile może – albo chce – mu powiedzieć.

– Masz rację. Dziwna sprawa – odezwał się w końcu. – To jeden z berlińskich ringvereinów, Deutsche Eiche. Dlaczego wybrali nasze miasto, nie wiem. Może Berlin dla tych wszystkich organizacji stał się za mały i próbują czegoś nowego w czasie kryzysu? To nie jest tylko badanie terenu, Lothar, oni na poważnie próbują przejąć miasto. Tylko za cholere nie rozumiem dlaczego. Takich miast jak nasze jest na pęczki, może więc jest tu coś szczególnego...

– Ringvereiny nie bawią się w detal. Jeśli coś planują, to z rozmachem. Stymulanty? Kokaina? Heroina? Coś, czego nie można dziś kupić w aptekach? Spodziewają się tutaj tak dużego rynku zbytu? Ile tu tego sprzedadzą? Rozumiem Berlin, Wrocław, Drezno. Ale Kłodzko? No, chyba że kuracjusze w kurortach hrabstwa zdrowotną wodę na jajach zamienili na śnieg w nosie...

Koschella wzruszył ramionami.

– Może to tylko jakiś odłam Eiche? – kontynuował Schulz. – Wyrzucili ich ze stolicy i szukają miejsca, gdzie mogą się zaczepić. – Lothar sięgnął po drugiego papierosa, ale się rozmyślił i schował go do pudełka. – Te morderstwa, pojawienie się ringvereinu w mieście... Trochę za dużo nieszczęść jak na raz, co?

Brak reakcji Koschelli wystarczył Lotharowi za odpowiedź.

– Co zamierzasz, Franz?

– Przyjrzę się im bliżej.

– Oni też cię będą badać. Już wczoraj próbowali cię przekupić. Poza tym wiesz, jak to działa w Berlinie. Tam policja toleruje ringvereiny, wydaje im się, że jak takie stowarzyszenie weźmie pod skrzydła byłych więźniów i żołnierzy, to

staną się łatwiejsi do kontrolowania. Nie wiem, czy Zender nie chce iść właśnie tą drogą. Taki układ jest pożyteczny. Ringvereiny mają swój kodeks, dzięki nim wyłapiemy pedofili, złodziejstwo się zakończy, zapanuje spokój w mieście.

– W zamian za przyknięcie oka na burdele, używki i hazard?

– Wiesz, coś za coś. – Schulz puścił porozumiewawczo oko. – Dobra, dobra! Żartowałem. Wiem, że będziesz ich drażnić. Poczekasz, aż ugryzą, co?

– Myślę, że będą unikać konfrontacji jak najdłużej.

– Może masz rację – przyznał Lothar po chwili zastanowienia. – Mają jednak jakiś plan działania. Na pewno przyjechało tu kilku, żeby poustawiać sprawy, ale w końcu sięgną po miejscowych oprychów. Pokazali Łysemu, gdzie jego miejsce, w końcu przejmą jego ludzi. Poczują się na tyle pewnie, że będzie trudno ich ruszyć. To chyba jedyny moment, kiedy jeszcze możemy mieć nad nimi przewagę.

– Już jej nie mamy, Schulz. Wydział Kryminalny zajmuje się morderstwem Puschkego. Richter zdaje się nie zauważać, co się dzieje pod jego nosem. Podlega mu cała obyczajówka, wliczając w to mnie. A mnie słuchać nie będzie.

– To może musimy coś zrobić, żeby się zainteresował? Coś, co nie da mu wyboru? Sam im nie dasz rady, Franz. A wkrótce przeciw sobie będziesz miał nie tylko ringvereiny. Te skurwiele lada dzień uderzą do niektórych naszych kolegów. Będą ich mieli na liście płac. Wielu wejdzie w to z radością. Przy marnej policyjnej pensji zaryzykują i przyjmą kopertę. A wtedy już nawet w magistracie człowiek będzie się bał oglądać za siebie. Wiesz, że tak działają.

– Chcesz mi zaofiarować pomoc, Lothar?

Schulz skinął głową.

– Sam nie dasz im rady. Chcę też ci udzielić przyjacielskiej rady. Co z nią zrobisz, twoja sprawa. W każdym razie uważam, że musisz mieć mocniejsze plecy, Franz. Sam zepchnąłeś się na boczny tor. Nie trzymasz z nikim w obyczajówce, uważają, że zadzierasz nosa, bo byłeś... nadwachmistrem i szefem Wydziału Kryminalnego. Tu nie chodzi o jakieś osobiste animozje. Mają w dupie to, że Richter cię zdegradował. Nie cierpią tego buca równie mocno jak ty. Gdybyś inaczej to rozegrał, miałbyś ich wszystkich po swojej stronie. Wiesz dobrze, że chłopaki potrzebują kogoś, kto ich za sobą pociągnie. Wiele się zmieniło przez tych kilka lat, Franz. Widzieli, co zrobiłeś w ostatnich sprawach. Jak Richter cię zdegradował, wszyscy w obyczajówce zastanawiali się, co będzie, jak do nich znów trafisz. Kilku myślało, że weźmiesz ich za mordę, że nimi wstrząśniesz. Wiesz, spodziewali się chyba wszystkiego, tylko nie tego, że zaszyjesz się w swoim kurwidołku jak ślimak w skorupie. W końcu machnęli na ciebie ręką. Mogłeś mieć całą obyczajówkę po swojej stronie, a przegapiłeś okazję. Teraz nie stałbyś sam przeciw ringvereinom.

Koschella słuchał tej przemowy z rosnącym zdumieniem. Chyba się nie spodziewał, że Schulz potrafi się zdobyć na tak moralizatorski ton. Początkowo z każdym słowem kolegi rosła w nim irytacja. Przełknął jednak dumę i z pokorą wysłuchał, co ten ma mu do powiedzenia. Już nie wiedział, co wstrząsnęło nim bardziej: trafność spostrzeżeń wachmistrza czy to, że Schulz pokazał się z jakiejś zupełnie innej, nieznannej strony.

– Miałeś jakieś objawienie, Lothar? Doznałeś cudownej przemiany po śmierci Puschkego na krzyżu?

– Nie, po prostu kupiłem brzytwę.

– Co?

– Pogadaj z Richterem. – Wachmistrz schował paczkę papierosów i zapalki do kieszeni. Rozejrzył się. Kiedyś w porze obiadowej było tu sporo ludzi, teraz lokal świecił pustkami. Gospodarz zawzięcie czyścił kufel brudną szmatką. – Przełknij dumę i powiedz mu, co się dzieje w mieście. Nikt inny tego nie zrobi, bo każdy trzęsie portkami i pilnuje własnego nosa. Komisarz stał się swoim najgorszym wrogiem, sam jest sobie winny. Ludzie wolą go nie drażnić. A kiedy się obudzi, będzie za późno. To zawistny skurczybyk, ale jak wyczuje pismo nosem, to nie będzie miał wyboru i ruszy dupę. Myślisz, że przełknie ringvereiny na swoim terenie?

– Nie przełknie.

– No właśnie.

Na tym skończyli. Wstali od stołu. Franz ruszył za Schulzem, obrzucił go dyskretnym spojrzeniem. Przyszła mu do głowy zadziwiająca i niezbyt wesoła myśl: niewiele różnił się od Richtera. Schulz miał rację. Po przeniesieniu do obyczajówki powinien był poszukać sojuszników, zjednać sobie ludzi, ale tego nie zrobił. Taki miał charakter, zawsze uważał, że może polegać tylko na sobie. Na dłuższą metę to nie miało prawa działać.

Wyszli na Rossmarkt. Schulz zakręcił się, uniósł dłoń, wyprostował się jak struna. Franz dopiero po chwili się zorientował, co wywołało tę reakcję policjanta. Dostrzegł Astę Seipelt, wdowę po ich koledze. Schodziła właśnie z kamiennego mostu.

Franz ukłonił się jej. Jednocześnie zacisnął zęby. Unikał tej kobiety od śmierci Paula. Nie potrafił jej spojrzeć w oczy. Paula pożegnano w mieście jak bohatera, chociaż bohaterem nie był. Jego żona nie miała pojęcia o wszystkich jego powiązaniach, a na pewno nie mogła wiedzieć, co zrobił tuż przed śmiercią. Mimo to Franz jakoś nie potrafił się przełamać, by z nią porozmawiać. Co niby miał jej powiedzieć?

Schulz najwyraźniej nie miał takich dylematów. Machnął Franzowi na pożegnanie i zostawił go samego u wyjścia z gospody. Postanowił towarzyszyć

Aście, a ta najwyraźniej nie miała nic przeciwko temu. Po raz kolejny tego dnia, za sprawą Lothara, Franz poczuł, jak świat staje na głowie. Nic się tu nie zgadzało. Schulz nie był dawnym Schulzem.

Zmierzając w stronę ratusza, Koschella pomyślał, że z tą odmianą może mieć coś wspólnego tylko wdowa po Seipelcie, a nie jakaś cholerna brzytwa.

*

Metz musiał wcześniej zaanonsować wartownikom, że będzie miał gościa, bo ci przepuścili Kleina przez bramę bez zbędnych formalności. Jeden ze szczupłych żołnierzy kazał kapitanowi iść za sobą.

Odgłosy miasta zostały daleko za Wilhelmem. Wkroczył w zupełnie nowy świat. Forteca decyzją pruskiego rządu została rozbrojona już ponad pół wieku wcześniej, jednak do dziś budziła niekłamaną podziw.

Trudno było jej nie zauważyć, wjeżdżając do Kłodzka od strony północnej czy przechadzając się ulicami miasta. Klein nie dziwił się Metzowi, że za cel postawił sobie uczynienie z Twierdzy Głównej i fortu posiłkowego na Owczej Górze atrakcji turystycznych. Oswajanie tego miejsca, które w ostatnim czasie służyło jako magazyny oraz więzienie o zaostrzonym rygorze, było zadaniem karkołomnym, jednak Wilhelm był pewny, że Metz konsekwentnymi działaniami dopnie swego. Utrzymanie tego kompleksu w dobrym stanie wymagało sporego wysiłku i finansów. Turyści zapewne nie kryliby zachwyty, mogąc się przejść po kazamatach, a widok z bastionów na panoramę miasta i kotlinę ze szczytami malowniczych wzgórz był wart każdych pieniędzy.

Wartownik przeprowadził Kleina labiryntem korytarzy pod bastionami. Przeszli przez kilka bram, aż znaleźli się w centralnym punkcie twierdzy. Miejsce wyburzonego średniowiecznego zamku zajął donżon. Był najwyższy położony i stanowił ostatni punkt obrony. Wieloboczny dziedziniec rozświetlało słońce. Klein zmrużył oczy i dzięki temu dostrzegł kapitana Metza, który wyszedł mu na przywitanie. Wartownik zasalutował i ruszył w drogę powrotną, zostawiając mężczyzn samych.

– Był pan kiedyś w tej części twierdzy, kapitanie?

– Nie miałem przyjemności.

Metz skinął głową i wskazał podejście na koronę bastionu usytuowane w rogu placu. Z każdym kolejnym krokiem przed Kleinem coraz szerzej otwierała się imponująca panorama.

– Wejdziemy na wieżę obserwacyjną.

Metz trzymał w dłoni teczkę. Teraz włożył ją pod pachę i otworzył bramę prowadzącą do okrągłego budynku. Przeszli schodami w górę i wkrótce znaleźli

się na dachu świata.

Klein oparł się o barierkę. Przez chwilę milczał, patrząc na rozpościerający się wokół widok. Potem przeniósł wzrok na rzeźbę stojącą na cokole.

– Jak pan się domyśla, kapitanie, to święty Jan Nepomucen – pośpieszył z wyjaśnieniami Metz. – I bodaj pierwsza kamienna rzeźba tego świętego na ziemi kłodzkiej. Ponad dwieście lat temu podarował ją miastu austriacki major Thomas Wilhelm von Venediger. Był wtedy komendantem twierdzy, a statuetkę ufundował na pamiątkę swojej pięcioletniej tureckiej niewoli i przejścia na katolicyzm. Początkowo co prawda posąg stał w innym miejscu, na moście Zamkowym przy Bramie Polnej, ale podczas przebudowy twierdzy, być może na rozkaz Fryderyka II, przeniesiono go tutaj. Ma strzec miasta.

– Robi to z powodzeniem – powiedział Klein.

– Chyba ma pan rację – przyznał Metz z uśmiechem. – Według wierzeń święty Nepomucen chroni pola i zasiewy przed suszą i powodzią. Jest patronem mostów i spowiedników.

– Czyli to dobre miejsce na to, co chce mi pan przekazać, kapitanie? Nie chodzi tylko o pokazanie mi tych wspaniałych widoków?

Metz znów się zaśmiał.

– Być może też ma to znaczenie, choć nieuświadomione. – Kapitan oparł się o barierkę i zapatrzył na rozciągające się u ich stóp miasto. – Naprawdę chciałem, żeby pan zobaczył kotlinę z tej perspektywy. Mam chyba taką potrzebę, żeby odwiedzający to miejsce czuli podobny zachwyt jak ja za każdym razem, gdy tu stoję. Jestem ciekawy ich reakcji.

– Założę się, że żaden nie był zawiedziony tym widokiem. Robi pan bardzo wiele dla twierdzy i miasta. To miejsce przetrwa dzięki takim ludziom jak pan.

– Jestem wdzięczny za te słowa – Metz odparł roztargniony, wyraźnie błędząc myślami gdzieś indziej.

– W jakiej sprawie chciał pan ze mną porozmawiać, kapitanie?

Wojskowy zbierał się chwilę w sobie.

– Tak jak panu wspomniałem, sprawa jest delikatna. Dotyczy twierdzy, komendanta i podległych mu żołnierzy. Chcę skorzystać z pańskiego doświadczenia, a być może i prosić pana o pomoc.

– Zamieniam się w słuch.

– Wspomniałem już, że twierdza od dłuższego czasu służy za magazyny dla miasta i wojska. Ostatnio wiele pomieszczeń wynajmowanych jest firmom prywatnym w charakterze magazynów i składów. Nie jest to zły pomysł, jednak...

– Jednak?

– Do zeszłego roku podpisywaliśmy umowy z każdym najemcą bezpośrednio. Teraz ta procedura uległa zmianie. Komendant scedował umowę na wynajem i pośrednictwo na jedną firmę. Ta otrzymuje za swoje usługi stosowny procent.

– Ta umowa jest niekorzystna?

– To duży procent, jednak nie on jest powodem, dla którego z panem rozmawiam. Coś dziwnego dzieje się z dokumentacją. Pojawiają się w zestawieniach skrzynie, których nigdy tu nie było, twierdzą natomiast opuszczają inne. Niektóre zmieniają właściciela. Te nieprawidłowości zgłosił mi nasz rachmistrz, Michael Stein.

– A zgłosił je komendantowi?

– Oczywiście, w pierwszej kolejności. Jeszcze w tym samym dniu dowiedział się o swoim przeniesieniu.

– Wtedy przyszedł z tym do pana?

– Zgadza się.

– Jest ciąg dalszy, prawda? Wie pan, że jako śledczy nie zajmuję się małwersacjami czy też przestępstwami gospodarczymi.

– Na większości kwitów znajduje się jedno nazwisko. Nazwisko, które w mojej opinii sprawia, że temat ten jak najbardziej związany jest z pańskimi kompetencjami i zainteresowaniem.

– Jakie to nazwisko, kapitanie Metz? Ma pan ze sobą fotokopie?

Metz sięgnął do teczki, otworzył ją i podał Kleinowi zdjęcia.

– Nazwa firmy to HMS Goliat. Na dokumentach widnieje podpis głównego reprezentanta firmy...

– Theodor Heigl – przeczytał Klein.

– Przyszło mi do głowy, że użył do stworzenia nazwy firmy liter ze swojego imienia i nazwiska. Trudno jednak nazwać to anagramem...

– Być może poniosła go fantazja.

– On nie żyje, prawda? Jest jedną z ostatnich ofiar.

– To prawda, kapitanie Metz. Theodor Heigl obracał się w niebezpiecznym towarzystwie.

– Myślę, że był słupem. Wykorzystali go, żeby mieć dla swojej firmy reprezentanta urodzonego w Kłodzku. Gdy burmistrz wraz z nowo utworzonym towarzystwem przemysłowców rozpoczął działania mające na celu pomoc przedsiębiorstwom i zatrudnionym w nim robotnikom, pojawiły się hieny. Zwietryły interes. Ktoś musiał dać im cynk, bo uprzedzili w umowie z twierdzą burmistrza Ludwiga i Scheidta, którzy szukali magazynów na czas przeładunku przed wysyłką transportem kolejowym. Wiem, że Scheidt długo się starał o wynajem, odprawiono go jednak z kwitkiem. Rodzina Heigla zna się z komendantem. Theodor mógł wykorzystać informację, sprzedać ją, komu

trzeba. Przy okazji, jak widać, wykorzystano i jego. To jednak tylko moje domysły...

– Jest to prawdopodobne – przyznał Klein. – O ile wiem, Heigl kręcił się blisko Deutsche Eiche. To ringverein, który przybył jakiś czas temu do Kłodzka.

Metz skinął głową, jakby i ta informacja nie była mu obca. Wyglądało na to, że jego zaangażowanie w sprawę nie ograniczyło się do stworzenia fotokopii kilku dokumentów.

– To by się zgadzało. Mój znajomy ze stolicy sprawdził berliński adres, na który kierowano korespondencję i dokumenty płatnicze. W rzeczywistości to skrytka w jednym z urzędów pocztowych. Kurier opróżnia ją codziennie około południa, a listy przekazuje do jednego z berlińskich klubów nocnych należącego do ringvereinu. To potwierdza związek Heigla z nimi. Wygląda na to, że pilnujemy ich towaru.

– Mogę się skontaktować z rachmistrzem?

– Próbowałem. – Kapitan Metz był wyraźnie poruszony. – Otrzymał dwutygodniowy urlop, z którego skorzystał przed zmianą placówki. Nie dotarł do rodzinnego domu w Bolesławcu. Od kilku dni nie ma z nim kontaktu.

– Kiedy pan z nim ostatnio rozmawiał?

– Jeszcze przed decyzją komendanta o jego przeniesieniu. O wyjeździe rachmistrza dowiedziałem się po swoim powrocie z kilkudniowego wyjazdu do Berlina. Chciałbym, żeby pomógł mi pan ustalić, co się z nim stało.

– Zrobię to – obiecał Klein. – Będę chciał zobaczyć jego mieszkanie.

– Dziękuję. – Metz skłonił głowę. – Powiadomię dozorcę o pana wizycie. Wiem, że wiele od pana wymagam, ale ta sprawa nie daje mi spokoju.

– Mnie także – przyznał Klein. – Czy Goliat ma już nowego pełnomocnika?

– Wczoraj się u nas pojawił. Goliat funkcjonuje bez zarzutu. Kolejne transporty będą się pojawiać w najbliższych dniach.

– Postaram się wykorzystać także i tę informację. Będę chciał się dostać do magazynów...

– To nie będzie łatwe, ale jest taka możliwość. Prosiłbym jednak o zachowanie ostrożności.

Klein opuścił twierdzę po dwóch kwadransach. Zszedł na północną stronę rynku, a potem udał się w stronę Mälzstrasse i wkrótce znalazł się pod kamienicą wskazaną przez kapitana Metza. Dozorca rzeczywiście został uprzedzony o wizycie Kleina, jednak Wilhelm musiał mu wręczyć zwitek banknotów, by przewyciężyć jego wyraźną niechęć do wizyty nieproszonego gościa. W końcu kapitan dostał klucz do lokum wynajmowanego przez rachmistrza kłodzkiej twierdzy i wspiął się na drugie piętro.

Otworzył drzwi, stanął w korytarzu niewielkiego mieszkania. Pozwolił, by przeniknęła go aura tego miejsca. W końcu wykonał kilka kroków w głąb kwatery. Zlustrował kuchnię i sypialnię.

Michael Stein był człowiekiem uporządkowanym. Wszystko miało tu należne sobie, starannie przemyślane miejsce: meble, obrazy na ścianach, większe i mniejsze sprzęty. Nie było ich wiele, rachmistrz nie zagracał sobie życia, jednak nawet przedmioty pierwszej potrzeby nie zostały spakowane i przygotowane do wyjazdu.

Klein podszedł do szafy, sprawdził jej zawartość. Podobnie uczynił z komodą i kredensem.

Potem stanął przy oknie i wyjrzał na Mälzstrasse. Zauważył dozorcę, który zapewne przed chwilą uszczuplił plik otrzymanych banknotów, dokonując zakupów w sklepie tytoniowym Antona Gerscha. Chwila szczęścia za kilka niewiele wartych papierków.

Klein próbował uporządkować sobie w głowie zdobyte informacje. Śmierć starosty Puschkego i Theodora Heigla... Rola Grety Heigl i zaginionego rachmistrza kłodzkiej twierdzy. W tle ringvereiny panoszące się w mieście i malarz Germain Ulm... Było tego sporo. Jednak to osoba Heigla bezsprzecznie stanowiła łącznik między poszczególnymi elementami tej sprawy. Dla Kleina było jasne, który trop powinien być priorytetowy.

Wilhelm odwrócił się od okna i ponownie popatrzył na mieszkanie rachmistrza. Był pewny, że Michael Stein nie opuścił Kłodzka, do tej kwatery więcej już jednak nie wróci.

Kapitan wyszedł z mieszkania i niespiesznie ruszył w stronę Frankensteinerstrasse. Rozpalona słońcem ulica była niemal pusta, nieliczni przechodnie wybierali stronę, która pozostawała w cieniu wyższych budynków. Do uszu Kleina dotarł odgłos włączonego radia. Rzewny utwór przesączał się leniwie przez otwarte okno, odbijając echem od ścian budynków.

W poprzednim stuleciu Frankensteinerstrasse zmieniła swoje oblicze. Zdecydowało o tym sąsiedztwo twierdzy. Powstał tu zespół budynków związanych z działalnością wojska stacjonującego w fortyfikacjach, a niegdyś reprezentacyjną ulicę wypełniły zabudowania przeznaczone na koszary, składy i magazyny, a także kasyno oficerskie.

Klein znalazł się naprzeciw miejsca, na które szczególną uwagę zwrócił mu kapitan Metz. Frankensteinerstrasse z Twierdzą Główną łączyła poterna: ponadstumetrowy tunel z windą pozwalającą transportować wyposażenie, żywność i amunicję między stacją dolną a górną, znajdującą się w kazamatach Wielkich Kleszczy. Różnicę wzniesień, wynoszącą czterdzieści pięć metrów, winda pokonywała od kilkunastu minut do pół godziny. Mechanizm wyciągarki

stanowił wał główny napędzany czterema kilkumetrowymi korbami, obsługiwanymi ręcznie przez ponad dwudziestu żołnierzy.

Poterna według Metza ostatnio była często używana, wwożono nią skrzynie, składowane później pod strażą w kazamatach. Dużo zachodu, biorąc pod uwagę, że większość magazynów przy głównej ulicy świeciła pustkami. Decyzja o karkołomnym wwożeniu i zwożeniu towarów musiała więc być czymś uzasadniona. Najpewniej zawartością skrzyń.

Klein zdecydował się w końcu wrócić w stronę rynku. Sprawa, z którą miał do czynienia, stawała się bardziej skomplikowana, niż początkowo przypuszczał. Nie wiedział, czy jest ona z gruntu wielowymiarowa, czy wręcz przeciwnie – ktoś, stara się, żeby na taką wyglądała.

*

Koschella zaprosił do sali odpraw wszystkich wachmistrzów z obyczajówki. Nie był pewny, czy odpowiedzą na jego wezwanie, pomieszczenie jednak powoli zaczynało się zapełniać. Naprzeciw Franza siedziało czterech ludzi. Nie odzywali się, po prostu zajęli miejsca przy stole i czekali na to, co były szef Wydziału Kryminalnego ma im do zakomunikowania. Dwóch ostentacyjnie trzymało ręce w kieszeniach.

Franz podniósł się z krzesła, usiadł na blacie biurka, popatrzył w oczy każdemu z mężczyzn. Różne osobowości, różne charaktery. W większości znał ich całkiem dobrze. Rozpoznał ich słabe i mocne strony. Tych ostatnich nie było zbyt wiele. Franz przez chwilę zastanawiał się, czy nie popełnił błędu. Rozważał wcześniej, czy nie odbyć z każdym z policjantów indywidualnej rozmowy, ale odrzucił ten pomysł. Wprowadziłoby to zbyt wiele zamieszania i stworzyło pole do zbytnej podejrzliwości. Wachmistrz postanowił wyłożyć karty na stół. Musiał im coś dać, zaoferować coś konkretnego. Czego mogli chcieć?

– Werner, możesz zamknąć drzwi?

Pierwsza wymiana spojrzeń. Wzmożona czujność. Franz zagrał tym świadomie. Wprowadził atmosferę konspiracji, przecucie, że wydarzy się coś ważnego.

Anton podniósł się ciężko z krzesła, drzwi jednak zamknął delikatnie, jakby do klamki zamocowany był ładunek wybuchowy. Wrócił na miejsce.

Chwila ciszy. Koschella pozwolił, żeby w tych rozleniwionych beczynnością łepetynach zakotłowało się kilka myśli. W końcu wstał od stołu i podszedł do przykrytej płachtą tablicy. Zabrał najczystsze prześcieradło z domu. Wyjazd żony i synów na lotnisko przydarzył się w najlepszym momencie. Barbara przekłębaby

go, gdyby się dowiedziała. Wiedział, że jeśli pościel przez przypadek rozedrze, jak nic szlag go trafi, podagra i hemoroidy.

Płachta zsunęła się na podłogę. Cztery pary oczu zwróciły się ku tablicy i wachmistrz wyczuł poruszenie. Dobrze. Ręce wysunęły się z kieszeni. Franz poczuł na sobie pytające spojrzenia.

– O co chodzi? Dlaczego nam to pokazujesz?

– A do czego powołano obyczajówkę, Ernst?

– Co ty odwalasz?! Posadziłeś nas jak uczniaków w ławkach? Będziesz nam wykłady robił? – Makowski zmarszczył się, jakby wyczuł smród.

– Przedstawiam wam sprawę, którą się zajmiemy.

Cisza. Werner podniósł rękę. Rzeczywiście jak w szkole.

– Te zdjęcia, co je tutaj zawiesiłeś, Franz. Jak pytasz o obyczajówkę, to ci odpowiem, że trupy nie leżą w naszych kompetencjach. Zwłaszcza te dwa.

Koschella widział, jak wszyscy ponownie spoglądają na tablicę. Poprosił fotografa o duże odbitki zdjęcia ukrzyżowanego starosty i Heigla ze stołu sekcyjnego.

– A co, jeśli te dwa trupy związane są ze sprawami, które jak najbardziej nam podlegają?

– To pewnie też nic nam do tego. – Anton wzruszył ramionami.

Koschella wiedział, że musi być bardziej stanowczy, jeśli nie chce stracić ich zainteresowania.

– Wiecie, co to jest? Kto się posługuje takim herbem? – Wskazał na zdjęcie rysunku, który znalazł w jednym z opracowań policyjnych.

– Deutsche Eiche. – Głęboki głos Makowskiego sprawił, że wszyscy odwrócili się w jego stronę. – Znak jednego z berlińskich ringvereinów.

– Zgadza się, Ernst. Z jakiegoś powodu pojawili się w Kłodzku. Zapewne zauważyliście, że Łysy przestał być aktywny, właściwie to znikł z pola widzenia. To jednak nie znaczy, że z własnej woli zwinął interes i się nawrócił.

– Po co berlińskiemu ringvereinowi Kłodzko? To nie ma sensu. Może ktoś się pod nich podszywa?

– Na te pytania mam zamiar znaleźć odpowiedź.

– W jaki sposób?

Koschella skinął głową, uznając zasadność tego pytania. Z teczki, którą wcześniej położył na stole, wyciągnął kolejne zdjęcie. Przyczepił je do tablicy.

– Znacze to miejsce. Słyszeliście zapewne o otwarciu w nim nowego klubu.

– Coś nam się obilo o uszy – powiedział niedbale Werner.

Jeden z kącików ust Koschelli uniósł się nieznacznie. Makowski i Werner przynajmniej weszli z nim w polemikę. Dwóch pozostałych wachmistrzów,

Bosek i Weinert, nie odezwało się nawet słowem. Koschella był jednak pewny, że pójdą za pozostałymi. Po prostu czekali, jak się rozwinie sprawa.

– W sali teatralnej widać sporo alkoholu. Jest orkiestra i parkiet taneczny. W dniu otwarcia pojawiło się wielu dzianych gości. Ale to w piwnicach dzieją się naprawdę ciekawe rzeczy. Co najmniej kilka niezarejestrowanych panienek, kokaina...

– I...? – przynaglił Makowski. – Co ma to wspólnego z Heiglem i starostą?

Franz przybrał wyraz twarzy, który miał wskazywać, że wie coś, czego oni jeszcze nie dostrzegają. Teraz miał pewność, że zainteresował ich sprawą.

– Goście w Hotelu Cesarskim nie byli przypadkowi. To ludzie, którzy mają coś do powiedzenia w hrabstwie. Pojawiło się też wielu spoza tego terenu. Sieć powiązań, zależności. Właścicielom klubu chodzi o coś więcej niż zapewnienie rozrywki klientom.

– Szantaż? – zgadywał Werner.

– Zapewne z czasem stworzą kartotekę z opisem słabości każdego z nich. Mam jednak na myśli coś innego. To ringverein otworzył ten klub. Mają zamiar mocno osiąść w mieście. Musimy ustalić, dlaczego Kłodzko jest dla nich tak wyjątkowe.

– W jaki sposób? – Makowski zmarszczył brwi.

– Pożar w burdelu – zaanonsował krótko Franz, wzbudzając wesołość wachmistrzów. – Mam zamiar uprzykrzyć im życie. Nie tyle nadepnąć na odcisk, ile zmiażdżyć palce.

Te słowa były skierowane do narwańca Wenera. Znany był z gwałtownego usposobienia.

– Wciąż nie widzę związku ze starostą i Heiglem. – Ernst nie dał się ponieść emocjom, zadziwiająco dobrze nad sobą panował.

– Wczoraj w klubie kręcił się wachmistrz Gurber. Nie zajrzał tam raczej w celach towarzyskich. Ich też interesuje to miejsce. Możesz nazwać to, jak chcesz, może to tylko moje przeczucie. Szukał powiązań Heigla z tym miejscem, a właściwie z ludźmi, przy których kręcił się ten obszcymur. Heigl powiązany jest ze śmiercią starosty przez cykl obrazów zwiastujących śmierć kolejnych ofiar...

– Jeśli to prawda, Zender będzie chciał przyblokować nasze działania – wtrącił Werner.

– Ano właśnie. – Koschella uśmiechnął się tajemniczo.

Teraz i Makowski się rozchmurzył.

– Zajmujemy się sprawami, które leżą w naszych kompetencjach. Panienki i heroína to przecież nasza działka – powiedział już innym tonem Koschella. Brzmiało to tak, jakby wydawał polecenia w ustalonej sprawie. – W tym kierunku będziemy prowadzić działania. Jeśli w trakcie naszych czynności

pojawią się wątki związane ze sprawą ostatnich morderstw, będziemy zmuszeni je zbadać. Ci nowi w mieście powinni o tym wiedzieć. Jak widać zlekceważyli nas, i to ich błąd. Berlińska policja układa się z ringvereinami, dlatego czują się silni. Nie wiem jak wy, ale ja nie mam zamiaru im niczego ułatwiać. Wręcz przeciwnie. Powinniśmy uderzyć teraz, zanim okrzepli. Jeśli pomieszymy im szyki, odkryją się, będziemy wiedzieć, gdzie i w kogo uderzyć.

– Co z komisarzem Richterem? Autoryzuje nasze działania?

– Richtera zostawcie mnie. – Koschella nie miał zamiaru rozwijać tematu. – Macie plany na wieczór?

Obserwował, jak Makowski i pozostali wymieniają spojrzenia. Ernst popatrzył na tablicę.

– Też nie zamierzam im niczego ułatwiać – powiedział. – Mam plany na wieczór, chętnie zobaczę, co się dzieje w piwnicach Cesarskiego.

Werner się zaśmiał, zabębnił palcami o blat stołu.

– Wchodzę w to – oznajmił.

Dla Koschelli było jasne, że Bosek i Weinert także podjęli decyzję.

*

Czosek, wchodząc do Hotelu Dworcowego, miał zamiar jedynie zostawić wiadomość dla kapitana Kleina. Nie spodziewał się, że recepcjonista zaproponuje mu, by wiadomość przekazał osobiście. Kapitan kończył już obiad w restauracji hotelowej, a wcześniej nie zastrzegł, by mu nie przeszkadzano.

Młody asystent kryminalny nie okazał zbyt wylewnie wdzięczności starszemu mężczyźnie. Ruszył z wahaniem do części restauracyjnej. Nie przygotował się na to spotkanie.

Dostrzegł stolik kapitana już z daleka. Klein siedział tam w towarzystwie boya hotelowego. Kończyli właśnie rozmowę, bo chłopak podniósł się z krzesła.

Czosek wyminał się z nim w wąskim przejściu. Stanął przed Wilhelmem. Był pewny, że Klein go rozpoznał, bo uśmiechnął się lekko.

– Dzień dobry, kapitanie. Proszę wybaczyć, że przeszkadzam w obiedzie.

– Dzień dobry. Nie przeszkadza pan, już skończyłem. – Wilhelm wskazał krzesło, a Leon skorzystał z zaproszenia.

– Cieszę się, że doszedł pan do siebie po tamtym wypadku.

– Ja też się cieszę, dziękuję.

Po wymianie formułek grzecznościowych Czosek musiał w końcu przejść do rzeczy. Postanowił nie zwlekać.

– Nadwachmistrz Zender polecił mi pana odnaleźć. Chciałby z panem porozmawiać na temat wydarzeń związanych ze śmiercią starosty Puschkego

w Gorzanowie. Gdyby pan znalazł czas...

– Mogę spotkać się z nadwachmistrem choćby w tej chwili. Oczywiście jeśli jest w magistracie.

– Powinien być. – Czosek odczuł ulgę. Wcześniej wydawało mu się, że Klein nie będzie chętny rozmowie z Zenderem. Z drugiej strony dlaczego miałyby unikać tego spotkania?

– Zatem ruszajmy – zaproponował Klein. – Jeśli nie ma pan nic przeciw...

Leon podniósł się niezgrabnie z krzesła. Klein stał już obok niego, czekając, aż policjant się pozbiera. Asystent kryminalny skinął głową, ruszyli w stronę wyjścia i po chwili znaleźli się na Sellgittplatz.

Wszystko potoczyło się bardzo szybko. Tego scenariusza Czosek nie przewidział. Szedł obok kapitana w milczeniu, bo nie nawykł do grzecznościowych konwersacji. Mógł co prawda wymienić kilka uwag o pogodzie, ale ta wymuszona sztuczność wypadłaby jeszcze bardziej niezręcznie.

– Nie miałem okazji panu podziękować. W tamtej sprawie dobrze się pan spisał. Wiele panu zawdzięczam.

– Dziękuję... – Leon się zaczerwienił.

Zerknął na Kleina. Ten szedł niespiesznie. Jego włosy rozwiewał wiatr wiejący od rzeki. Broda, którą zapuszczał przez ostatnie miesiące, w kilku miejscach była rzadka, zapewne przez liczne blizny na twarzy. Równomierna opalenizna stanowiła rezultat licznych wędrówek po okolicach Gorzanowa. O doskonałej kondycji kapitana świadczyły też sprężysty krok i postawa. Czosek z kolei, który wiele godzin spędzał za biurkiem, mimo panujących upałów był blady niczym upiór. Wyprostował się odruchowo, choć obawiał się, że niewiele to dało. Brak aktywności zamieniał go w rozlazłą kluchę.

Leon przepuścił Kleina w drzwiach magistratu. Dogonił go na schodach i wskazał kierunek. Widział, jak urzędnicy wędrują za nimi wzrokiem. Musieli rozpoznać kapitana. Gmach będzie dziś żył domysłami i plotkami.

Drzwi wydziału były otwarte – Schulz zapewne chciał zrobić przeciąg, który przegnałby zaduch z nagrzanego słońcem części budynku. Weszli do środka. Wilhelm przywitał się z Lotharem mocnym uściśnięciem dłoni. Czosek zapukał do drzwi pokoju Zendera i usłyszawszy głos nadwachmistrza, otworzył drzwi, po czym zaanonsował przybycie Kleina.

Zender wyglądał na zaskoczonego. Odłożył gazetę, przesunął akta na biurku i dał sygnał asystentowi policyjnemu, by ten wprowadził gościa. Czosek przepuścił kapitana i na kolejny wyraźny sygnał przełożonego zamknął drzwi. Po chwili usiadł za swoim biurkiem i przetaił zroszone potem czoło.

– Szkoda, że nie możemy usłyszeć tej rozmowy – zaśmiał się Schulz. – Cholernie dużo bym za to dał.

Leon popatrzył w stronę gabinetu szefa. Nie potrafił się nie uśmiechnąć.

*

Zender złożył dłonie pod brodą i patrzył na Kleina w milczeniu. Po formalnym, chłodnym przywitaniu zajęli miejsca naprzeciw siebie. Odgradzało ich potężne biurko, które nadwachmistrz kazał zainstalować w swoim pokoju.

Szef wydziału zrobił tę krótką przerwę intencjonalnie. Dał szansę Kleinowi, by ten pierwszy zadał pytanie o powód zaproszenia. Kapitan jednak nie kwapił się do tego. Czekał, a cisza nie krępowała go ani trochę. Wyglądał wręcz na odprężonego. Uważnie przypatrywał się Zenderowi.

– Zaprosiłem pana ze względu na pańską obecność w Gorzanowie w czasie przedstawienia pasyjnego. Był pan na nim obecny?

– Owszem, byłem.

– Widział pan moment opuszczenia kurtyny? Miał pan dobry widok na miejsce zbrodni?

– Bardzo dobry. Wał pod pałacem.

– Oglądał pan przedstawienie sam czy w towarzystwie znajomych?

– W towarzystwie kilku tysięcy osób. Jeśli pan jednak pyta, czy ktoś jest w stanie to potwierdzić, to mogę wskazać tylko jedną osobę, wachmistrza Koschellę. Widział mnie, stał niedaleko.

– Nie oglądaliście panowie przedstawienia razem?

– Nie.

Zender uniósł brwi, jakby ta odpowiedź mocno go zdziwiła.

– Znalazł się pan jednak później na scenie w towarzystwie wachmistrza.

– Pojawiłem się na miejscu zbrodni, to prawda.

– Po co?

Zender zadawał pytania coraz szybciej i coraz bardziej natarczywie. Oczekiwał jakiejś zmiany, emocjonalnej reakcji kapitana, ale ten emanował spokojem. Odpowiadał jednostajnym tonem, bez zdziwienia czy zająknięcia. Jakby prowadził zwykłą pogawędkę przy kawie.

– Trochę przyzwyczajenie, a może raczej rutyna. Nie mogłem przejść obojętnie obok tego wydarzenia.

– Z której strony wszedł pan na scenę?

– Od zaplecza.

– Dlaczego?

– Uznałem, że właśnie tamtędy uciekł sprawca.

- Myślał pan, że go zobaczy? Dogoni?
- Nie miałem nadziei ani na jedno, ani na drugie. Widziałem, że wachmistrz Koschella wejdzie na scenę od przodu. Wybrałem więc drugą możliwość.
- Powtórzę pytanie: dlaczego?
- Chęć zbadania śladów.
- Pozostawił pan jednocześnie swoje. – Klein milczał, więc Zender przystąpił do ataku. – Nie uważa pan, że to nieprofesjonalne zachowanie? Nie jest pan policjantem, powinien pan zostawić czynności wachmistrzowi Koschelli i mundurowym, którzy zabezpieczali to wydarzenie. Czyżby uznał pan, że wachmistrz Koschella nie poradzi sobie bez pańskiej pomocy?
- Poradził sobie wyśmienicie.
- Tym bardziej nie rozumiem pańskiego działania i zaangażowania – powiedział lodowato nadwachmistrz.
- Zmienił pozycję w fotelu. Uznał, że pierwsze starcie ze sławnym Kleinem właśnie wygrał. Inicjatywa była po jego stronie. Działanie kapitana w Gorzanowie nie dawało się uzasadnić przyzwyczajeniem czy rutyną.
- Jest pan wojskowym śledczym. Wciąż czynnym?
- Tak.
- Rozumiem. – Zender pokiwał głową z namysłem. – Gdybym to ja kierował się przyzwyczajeniem i rutyną i wkroczył na miejsce zbrodni, powiedzmy, jakiegoś wojskowego, na terenie podlegającym jurysdykcji jednostki wojskowej, co by pan na to powiedział?
- To zależałoby od sytuacji. Najważniejsze byłoby dla mnie dobro prowadzonej sprawy. Gdybym uznał, że skorzystanie z pańskiej pomocy przyniesie mi korzyści, bez wahania bym o nią poprosił.
- I taką korzyść przyniosłoby mi skorzystanie z pana pomocy?
- Być może.
- Spróbujmy, kapitanie. Przebywał pan w pałacu przez kilka miesięcy. Obserwował pan przygotowania do wystawienia pasji w gorzanowskim parku. Oglądał pan próby, przyglądał się aktorom, budowie scenografii. Zauważył pan coś, co mogłoby świadczyć o tym, co się wydarzy?
- Nie.
- Nie – powtórzył Zender, cicho, lecz z emfazą, jakby dając wyraz swemu rozczarowaniu. – Wróćmy więc do naszych wcześniejszych rozważań. Gdyby jednak pan uznał, że w pańskiej sprawie nie przyniosę panu korzyści, a wręcz przeciwnie, mogę jedynie zaszkodzić, co by pan zrobił?
- Nie poprosiłbym o pomoc.
- Panie Klein, ujął pan to dyplomatycznie. – Zender roześmiał się i pokręcił głową. – Mówmy szczerze. Myślę, że grzecznie lub mniej grzecznie wykluczyłby

mnie pan z czynności śledczych i dał do zrozumienia, żebym nie mieszał się w nie swoje sprawy.

– Który sposób preferuje pan nadwachmistrz w naszych relacjach?

– Na razie grzeczny – powiedział sucho Zender. – Nie chcę widzieć pańskiego zaangażowania na żadnym etapie śledztwa. Pańska pomoc nie jest nam potrzebna. Nie będę tolerował jakiejkolwiek ingerencji. Zaprosiłem pana, żeby wyjaśnić tę sprawę. Nie cofnę się przed aresztowaniem pana, jeśli zajdzie taka potrzeba. Zrobię to, gdy uznam, że przeszkadza pan lub utrudnia śledztwo.

– Cenię pańską szczerść. I ja jestem winny panu bezpośredniość...

– Doprawdy? – Zender się zawahał.

Był pewny, że w tej konfrontacji zaskoczył Kleina i wypunktował go na tyle, by ten nie podjął rękawicy. Teraz, przyglądając mu się, odniósł wrażenie, że kapitan tej rozmowy nie traktował jak bitwy, zaledwie wstęp do czegoś poważniejszego. Pozwolił Zenderowi na wytoczenie ciężkich dział, ale nadwachmistrz tak naprawdę nie miał do czego strzelać. A teraz, gdy skończyła mu się amunicja, Klein przystąpił do kontrataku.

– Moje działania w Kłodzku związane są z pełnioną przeze mnie funkcją, nadwachmistrzu. Zadania, które zamierzam tu podjąć, także. Wspomniał pan o wojskowej jurysdykcji. Czynności przez mnie prowadzone właśnie jej podlegają. Cieszę się, że zdaje pan sobie sprawę, iż przeszkadzanie w śledztwie lub jego utrudnianie niesie za sobą poważne konsekwencje. Nie będziemy musieli sobie tego po raz kolejny wyjaśniać.

Zender milczał. Słyszał było jedynie tykanie zegara i bzyczenie tłustej muchy próbującej się wydostać przez zamknięte okno.

– Czy pańskie śledztwo, kapitanie, ma jakikolwiek związek z tym prowadzonym przez Wydział Kryminalny kłodzkiej policji?

– Sprawa jest rozwojowa.

Zender czuł, jak krew napływa mu do twarzy. Pociemniało mu przed oczami. Klein wyraźnie na coś czekał. Na wybuch, który chciał sprowokować w tak perfidny sposób?

– Kłodzko, panie Klein, nie ma statusu wojskowej twierdzy od pół wieku. Nie wiem, czy rzeczywiście prowadzi pan jakąkolwiek sprawę jako śledczy wojskowy. Nawet jeśli tak jest, wszelkie pańskie działania będą postrzegane w kategoriach działania zwykłego obywatela. Mam do tego prawo, nie otrzymałem bowiem oficjalnego pisma od pańskich przełożonych. Sugeruję więc ostrożność w prowadzeniu owej... rozwojowej sprawy. Dla mnie nie ma ona znaczenia!

– Panie nadwachmistrzu, cieszy mnie nasza zgodność w tym temacie.

– Prawda? – spytał Zender z przekąsem. – Dziękuję za poświęcony czas. Wnioskuje, że niedługo znów się spotkamy.

– Nie mogę tego wykluczyć. – Klein podniósł się z krzesła. – Powodzenia, nadwachmistrzu. Życzę szybkiego rozwiązania sprawy.

Zender odprowadził gościa wzrokiem. Patrzył, jak ten zamyka za sobą drzwi. Wzburzenie minęło. Było na pokaz. Zender osiągnął w tej rozmowie to, co zamierzał. Potrzebował jasnej deklaracji Kleina. Chciał wiedzieć, czy ten będzie się angażować w sprawę i w jakim zakresie. Odpowiedź była jasna: kapitan miał zamiar prowadzić działania na własną rękę, i to w sprawie śmierci starosty. Nadwachmistrz nie dał się nabrać na tajne zadanie, rzekomo przydzielone Kleinowi. Musiał więc w swoich planach uwzględnić jego działania. Ostatnie sprawy, które kapitan prowadził w Kłodzku, nie pozostawiały cienia wątpliwości, że będzie za wszelką cenę chciał doprowadzić dochodzenie do końca. Co więcej, był skuteczny. Zender jednakże też posiadał w swoich zasobach cały arsenał działań, które mógł podjąć w dowolnym momencie. Miał nadzieję, że mu wystarczą. To była jego sprawa, i tylko jego.

*

Dwa automobile nadjechały od Wilhelmstrasse. Zaparkowały na chodnikach przed głównym wejściem, niemal całkowicie je blokując. Neon Hotelu Cesarskiego odbił się w przednich szybach, a jego obraz rozmył się wraz z pierwszymi kroplami deszczu. Przez dłuższą chwilę nikt z pojazdów nie wychodził. We wnętrzu było widać kilka nieruchomych postaci. Czekwały na sygnał zwierzchnika. Ten się nie spieszył, wiedział, że ich przyjazd zwróci uwagę odźwiernego. Wnętrze hotelu było rozświetlone, co ułatwiało obserwację. Otrzymawszy stosowną informację, szatniarz popędził schodami na piętro, zapewne do pokoju zarządcy klubu.

Koschella opuścił boczną szybę, wystawił głowę i spojrzał w górę. Zmrużył oczy, gdy ciepłe krople deszczu uderzyły go w powieki. Jego górna warga uniosła się w krzywym uśmiechu. Przy oświetlonym oknie na piętrze pojawiła się ciemna plama. Dobrze, chwila niepewności. Czas na poznanie procedur przeciwników.

– Idziemy – zakomunikował Franz.

Wyszli z pojazdów. Trzask zamykanych drzwi obudziłby umarłego. Pięć policyjnych psów, gotowych do działania. Koschella sam czuł, jak krew huczy mu w skroniach. Popatrzył na boki. Makowski, nakręcony jak sprężyna, rwał się w blokach startowych. Werner stał z rozszerzonymi nozdrzami, miał zaciśnięte usta i napięte mięśnie karku. Bosek i Weinert ustawili się z przodu, jak dwa czołgi gotowe utorować drogę przez zasieki.

Mężczyzna i kobieta, para nowych klientów. Zakręcili się przy wejściu i odbili w bok, rezygnując z zamiaru wejścia do Cesarskiego. Widok piątki mężczyzn kierujących się do wnętrza odebrał im ochotę na zabawę. Być może wyczuli spowijającą ich aurę napięcia.

Policjanci ruszyli do drzwi i drogę natychmiast zastąpił im odźwierny. Wyglądał niepewnie, nie zdążył nic wydukać.

– Pamiętasz mnie? Wiesz, kim jestem? – zapytał Koschella.

Skinienie głową.

– To zejdź z drogi.

Mężczyzna miał resztki instynktu samozachowawczego. Przytrzymał nawet drzwi ciągnącemu się z tyłu Wernerowi.

Ludzie Koschelli rozejrzeli się po holu z ciekawością, jakby widzieli to miejsce po raz pierwszy. Głośna muzyka dobiegała z góry. Kilku ciekawskich zatrzymało się na schodach i patrzyło na scenę rozgrywającą się na dole. Między nimi torował sobie drogę ochroniarz. Schodził powoli, ostentacyjnie. Prężył się karykaturalnie, jakby chciał się wydać wyższy i szerszy w barach niż w rzeczywistości.

– Witam panów. Czym możemy służyć? – zapytał, stając przed policjantami.

Franz go zignorował. Ruchem głowy wskazał swoim ludziom zejście do piwnic.

– Panowie nie macie zaproszeń, tam się odbywa zamknięte spotkanie.

Facet wyciągnął dłoń, jakby chciał przytrzymać Makowskiego za rękę. Dziwnym sposobem jego własna ręka wygięła się pod nienaturalnym kątem i ochroniarz z jękiem opadł na kolana. Nie podniósł się, gdy nieproszeni goście zaczęli schodzić do prywatnej części klubu.

Tu też zapytano ich o zaproszenia. A że legitymacja najwyraźniej ochroniarzom nie wystarczała, Bosek i Weinert przedstawili obu dżentelmenom nieco twardsze argumenty. Działali z zaskoczenia, co dało im przewagę. Wprawiali się od lat w pacyfikowaniu kłódzkich osiłków i dziś to niewątpliwie zaprocentowało.

Franz odsunął kotarę. Zapach tego miejsca odurzał, było w nim coś drapieżnego. Pomieszczenie puchło od dźwięków pianina, przytłumionych rozmów, szeptów, ordynarnych i cichych śmiechów. Ten dźwięk łaskotał, jakby ktoś pieszczotliwie wsączał go do ucha.

Ich wejścia niemal nikt nie zauważył. Franz uznał, że równie dobrze mogliby wjechać tu ciężarówką.

– Niezły kurwidolek – rzucił Makowski. – Lupanar nie z tej ziemi. Co robimy, Franz?

– Niech chłopaki obstawią wyjścia. Bosek ma przerwać to rzępolenie. Bierzemy się do roboty.

Policjanci rozpełzli się po sali. Franz odszukał włącznik światła. Przekręcił go. Intymny nastrój prysł. Pojawiły się pierwsze gwałtowniejsze reakcje, okrzyki zaskoczenia, wybrzmiało kilka głośnych komentarzy.

Koschella potoczył wzrokiem po najbliższej siedzących gościach podziemnego klubu. Z trudem koncentrowali wzrok na przybyszach. Wystarczyła chwila, by ten świat, do tej pory pokryty grubą warstwą pudru, pokazał swoje prawdziwe oblicze.

Wybrzmiała ostatnia fałszywa nuta pianina. To Bosek oderwał dłonie grajka siłą od klawiatury albo przytrzasnął je pokrywą.

– Zostać na miejscach! – ryknął Ernst. – Policja!

Oczywiście znaleźli się tacy, dla których był to sygnał do ulotnienia się. Tych osadzali przy drzwiach Weinert z Makowskim. Większość jednak zapadła się w miękkich poduchach, trudno im było się wydostać z objęć puf i kanap.

– To spotkanie zamknięte!

– Zaraz zrobimy kolejne, w areszcie śledczym. – Makowski stanął nad mężczyzną, który zgłaszał obiekcje. Nachylił się nad nim, palcem wskazał stolik z zawiniątkiem. – Zdaje się, że pan będzie naszym pierwszym gościem.

Martwa cisza. Do większości zaczęło docierać, w jakiej znaleźli się sytuacji. Koschella z uśmiechem obserwował, jak ci bardziej przytomni pozbywają się kompromitujących dowodów.

– Drodzy państwo! Nazywam się Franz Koschella. – Wachmistrz postanowił, że przyszedł czas na niego. Dał zebrany chwilę na zapamiętanie swego nazwiska. – Dostaliśmy zgłoszenie o popełnieniu przestępstwa. Wątpliwość budzi legalność działalności tego klubu. Moi koledzy spiszą teraz państwa personalia. Zostaną państwo wezwani na przesłuchania w najbliższych dniach. Tak jak zostaliście poinformowani, proszę nie opuszczać swoich miejsc. Liczymy na państwa współpracę! Dziękuję!

Franz dał skinieniem głowy znak Makowskiemu i Weinertowi, a ci wyciągnęli z kieszeni notesy i ołówki. Na pierwszy ogień wybrali stoliki, przy których siedzieli delikwenci otoczeni najliczniejszym wianuszkim pobladyłymi panienkami.

Wachmistrz widział zmieszanie na twarzach kilku dżentelmenów. Być może należeli do tych, którzy dbają o swoją reputację, a przynajmniej zależało im na dyskrecji.

Przy głównym wejściu się zakotłowało. Makowski w pojedynkę blokował dwóch ochroniarzy, którzy zamierzali wejść do środka. Za ich plecami Franz dostrzegł znajomą twarz.

– Wpuść panów, Ernst.

Wachmistrz odsunął się niechętnie. Nie był bez szans w starciu z tamtymi dwoma, ale Koschella nie chciał otwartej konfrontacji, przynajmniej nie w tej chwili.

– Witam zarządcę klubu – powiedział głośno. – Junior? Dobrze pamiętam?

– Proszę panów o natychmiastowe opuszczenie klubu. Działania panów są nielegalne. Nie ma pan nakazu przeszukania. Spotkanie jest prywatne...

Koschella cierpliwie czekał, aż mężczyzna zakończy klepanie formułek.

– Ci panowie nie zażądali od nas żadnych zaproszeń – powiedział ze zdziwieniem, patrząc na ochroniarzy. – Słyszałeś coś, Werner?

– Za cholerę. – Wachmistrz na krótko podniósł wzrok na Koschellę, po czym wrócił do spisywania delikwentów. – Może zapomnieli?

Ochroniarze mieli żądzę mordy w oczach. Koschella był jednak pewny, że żaden z nich nie zareaguje.

– Czy jako zarządca klubu miał pan świadomość, co się tutaj dzieje? – zwrócił się do Juniora. – Odnoszę wrażenie, że na tym prywatnym spotkaniu dochodzi do łamania prawa...

– Nie wiem, o czym pan mówi. – Zarządca nawet nie spojrzał na stoliki, które omiótł wzrokiem Franz. – Został pan poinformowany o prywatnym charakterze spotkania, proszę je opuścić.

Koschella podszedł do zarządcy. Stał naprzeciw niego na szeroko rozstawionych nogach. Pochylił głowę, patrząc mu prosto w oczy. Ten wytrzymał spojrzenie, jednak po jego oczach Franz widział, że Junior jest zaledwie niewiele wartą płotką.

– Drodzy państwo? Jak się bawicie? – ryknął, sprawiając, że zarządca drgnął z zaskoczenia. – Bo jeśli marnie, a obstawiam, że tak właśnie jest, to proponuję udać się do wyjścia z myślą, że nie warto tu wracać!

Chwila konsternacji trwała krótko. Wszyscy siedzący do tej pory grzecznie na sofach i pufach podnieśli się z miejsc i ruszyli tłumnie do drzwi. Kobiety gubiły buciki na obcasie, kilka stolików przewróciło się, jeden czy dwa szklane blaty pękły w drobny mak.

W końcu Koschella ze swoją ekipą został sam w towarzystwie Juniora i jego świty.

– To było niepotrzebne, wachmistrzu – powiedział zarządca. – To naprawdę było niepotrzebne.

– Naprawdę? Zdziwiał mnie pańska ocena sytuacji.

– Wszystkie sprawy można załatwić w sposób cywilizowany. Chciał się pan popisać, wachmistrzu? Pokazać swoją siłę? Zaprawdę jest imponująca. Tyle że tak się spraw nie załatwia.

– A jak? – zainteresował się Franz.

Kątem oka widział, jak Werner krok za kroczkiem przybliżył się do Juniora. Kipiał energią, czekał na pretekst do bójki.

– Wie pan, gdzie jest mój gabinet. A jeśli nie, wystarczyło zapytać. Zawsze jestem otwarty na rozmowy. Nie wiedziałem, że działacie panowie w liczniejszej grupie. Ale to dla nas żaden kłopot, wręcz przeciwnie, spore ułatwienie...

Koschella niemal parsknął śmiechem. Albo facet miał nie lada tupet, albo był głupi jak but. Zresztą jedno nie wykluczało drugiego.

– Co pan proponuje? – zapytał Franz.

Junior skrywał uśmiezek, ale zdradził go błysk w oku. Wydało mu się, że wachmistrz połknął haczyk.

– Może przejdziemy teraz do gabinetu i wyjaśnimy to nieporozumienie – zaproponował. Ton jego głosu uległ zmianie, jakby nagle zaczął się zwracać do petentów. – Zapraszam za mną.

Werner spojrzał pytająco na Franza. Ten uspokajająco kiwnął głową, ruszyli więc za Juniorem w stronę wyjścia. W holu wciąż stał wystraszony odźwierny, towarzyszyło mu kilku nowych ochroniarzy, zapewne ściągniętych przez pracodawcę.

Junior wyciągnął dłoń, wskazując schody, i ruszył w ich stronę. Koschella rzeczywiście szedł za zarządcą krok w krok, jednak na półpiętrze ich drogi się rozminęły. Franz skręcił w stronę drzwi do głównej sali teatralnej.

– Wachmistrzu!

Koschella odwrócił się na to niecierpliwe przywołanie.

– Dalej tego nie rozumiesz, Junior, co? Nie przychodzi ci do tej zakutej pały, że nie wszystkich da się kupić?

Przekazał sygnał swoim ludziom. Makowski pchnął drzwi.

Franz zrobił szybki przegląd pola i wybrał stolik, który przyuważył poprzedniego wieczoru. Siedziało przy nim to samo towarzystwo: kilku modnie ubranych mężczyzn z tatużami na dłoniach i bliznami przecinającymi twarze. Jeden, z kalafiorowatymi uszami, wyglądał na szczególnie twardego zawodnika. Wśród tej menażerii był i przywódca stada. Nietrudno go było zidentyfikować, biła bowiem od niego duszna, lepka aura. Jakby wszystko koncentrowało się wokół niego.

Koschella zbliżył się wolnym krokiem, stanął obok.

W pierwszej chwili tamten nie zorientował się, o co chodzi. Chyba pytający wzrok jego partnerki uświadomił mu, że dzieje się coś nieoczekiwanego. Znajomi bossa zeszywnieli, stracili zainteresowanie rozmową. Żaden nie zareagował nerwowo, nawet gdy stół został otoczony przez wachmistrzów.

– Dobry wieczór. Widzę, że bawicie się państwo w Kłodzku doskonale.

Szeroka twarz obróciła się w stronę Franza. Mężczyzna sięgnął po serwetkę, wytarł nią usta. Okrągłe oczy skryte pod wydatnymi łukami brwiowymi znieruchomiały, zatrzymując się na Koschelli.

– A kim pan jest, żeby mi przerywać zabawę?

– Nikim nadzwyczajnym. Sprawdzam, czy niczego panom nie brakuje. – Koschella mówił głośno, ale poza siedzącymi przy stoliku nikt nie miał prawa go słyszeć.

– To miasto ma teraz specjalnych wysłanników, którzy dbają o samopoczucie przyjezdnych? – Okrągłą twarz przeciął nieprzyjemny uśmiech. Mężczyzna rzucił serwetkę na niedojedzoną przekąskę.

– Oczywiście, to nasza nowa usługa. Gwarantujemy ją przyjezdnym wraz z kilkoma innymi w pakiecie.

– Mam zapewne zapytać: z jakimi? – Boss zaświecił złotym zębem.

Koschella przyjrzał mu się uważnie. Facet tłuścizem obrósł w ciągu kilku ostatnich lat, wciąż jednak widać było szerokie barki i zbite mięśnie tam, gdzie sadło jeszcze się na dobre nie zdomowiło. Nos miał zadziwiająco prosty, brodę wokół ust wypielegnowaną, brwi przycięte. Wypachniony, ubrany w ciuchy, na które Franz musiałby ciuć kilka, a może nawet kilkanaście miesięcy. Próżny skurwiel.

– Po dobrej zabawie zapewniamy transport na stację albo rogatki miasta. Darmowy i szybki – odpowiedział.

Facet się roześmiał.

– Spodziewałem się czegoś bardziej oryginalnego.

– To prowincja, nie stolica – odparł Koschella. – Jeśli czuje się pan rozczarowany, to znak, że może czas się zbierać?

Cisza. Makowski sięgnął w stronę jednego z talerzyków. Przeżuł małą kanapeczkę. Prowokował. Obstawa bossa nie dała się ponieść emocjom. Franz był pewny, że na ruch małego palca rzuciliby się im do gardeł. Jak by się to skończyło? Zapewne nieciekawie. Koschella wyszedł jednakże z założenia, że żadnej ze stron nie zależy na ostatecznych rozwiązaniach.

– Rozumiem, że już drugi dzień świętujecie otwarcie klubu. – Franz zmienił ton. Zwracał się teraz bezpośrednio do bossa. – Nie wróżę temu miejscu sukcesu. Słyszałem, że wielu niezadowolonych klientów zdecydowało się go już opuścić. Szkoda, tak światowo było.

Grubas milczał. Kiwał jedynie głową, jakby z zainteresowaniem słuchał życiowych prawd wypowiedzianych przez miejscowego wachmistrza.

– Impreza na dole zdechła, ta tutaj też jakaś niemrawa. Choć zarządca, przyznam, bardzo się stara, żeby wszyscy byli zadowoleni.

Franz przeniósł wzrok na Juniora. Ten, blady jak ściana, stał kilka kroków od stolika. Za nim warowali ochroniarze. Co najmniej dziesięciu. Niedobrze.

– Lubię ludzi grających tak otwarcie – powiedział boss. – Człowiek wie, na czym stoi. Przykro mi, że uznaje pan zabawę za niemrawą. Może gustuje pan po prostu w innej rozrywce? Jeśli tak, postaramy się ją panu zapewnić. Klient nasz pan, uważam, że trzeba mieć na uwadze gusta i guściki. Być może na prowincji trendy stolicy się nie sprawdzają? Przemyślę to.

– Koniecznie – powiedział Koschella. – My tutaj jesteśmy ludzie prości.

– To widać. – Spaślak omiół wzrokiem strój Franza.

Wachmistrz się zaśmiał. Uszczypliwość z gatunku tych płytkich. W tej chwili boss nie miał więcej argumentów. Był pewny, że nikt w Kłodzku nie będzie mu robił przeszkód, że wszystko pójdzie jak po maśle. To założenie musiało mieć jakieś podstawy. Kto obiecał mu nietykalność?

– Tak z ciekawości. – Franz popatrzył po ferajnie siedzącej przy stole. Oczy wygłodniałych młodych wilków wpatrzone były w niego jak w ochłap mięsa. – Berlin zrobił się przyciasny? Skąd to zainteresowanie końcem świata?

– Sentyment. – Ochrypły, świszczący nieprzyjemnie głos należał do jednego z przybocznych.

– Sentyment? – Koschella udał zdziwienie, po czym zwrócił wzrok ku mężczyźnie, który odważył się uprzedzić szefa w odpowiedzi.

Wyglądał inaczej, nie należał do rasy przygłupich osiłków. Szczupły, krótko ostrzyżony. Wokół szyi okręcił sobie apaszkę. Może miała odwracać uwagę od szpetnej gęby, pokrytej licznymi kraterami po ospie. Kanciaste rysy pociągłej twarzy i lód w oczach znamionowały jednak zawodnika z innej ligi. Nawykłego do życia na krawędzi i okrucieństwa.

– Tony... – Boss dał znak przybocznemu, żeby się nie mieszał.

Ludzie Koschelli położyli dłonie na kaburach. Zabawa rozkręcała się w najlepsze, i ta na parkiecie, i ta przy głównym stoliku. Niektórzy goście zaczęli pokazywać palcami w ich kierunku.

– Sentymentalni gangsterzy to dla mnie nowość. – Franz przekrzywił głowę. Ospowaty patrzył na niego nieruchomym wzrokiem i Koschella pomyślał, że ktoś mniej odporny odwróciłby spojrzenie.

– To sentyment do nietuzinkowych widoków, wspaniałych kurortów i pięknych kobiet – rzekł grubas, wyraźnie próbując odciągnąć uwagę Koschelli od Tony'ego. Wyszczrzył się przy tym do pań siedzących przy stoliku. Na oko Franza żadna z nich nie wyglądała na miejscową.

– Jednak co wyrobiony gust, to wyrobiony gust – powiedział Koschella. – Jak to dobrze, że świeża krew napływa do tego miasta. Człowiekowi od razu poszerzają się horyzonty.

– Zaskakuje mnie pan, panie...

– Wachmistrz Franz Koschella.

– Wachmistrzu Koschella, przyznaję i proszę wybaczyć tę szczerłość, moje wyobrażenie o policjantach z prowincjonalnego miasteczka nie było zbyt pochlebne. Zaimponował mi pan jednak. Cenię cechy, które zdołałem u pana zauważyć. Nawet w stolicy brakuje takich stróżów prawa. Ale z tego powodu akurat nie ubolewam. – Boss roześmiał się znowu. – Dziwię się, że nie usłyszałem o panu wcześniej...

Franz widział, jak wzrok bossa kieruje się w stronę zarządcy. Pod tym spojrzeniem krew w żyłach Juniora zapewne zastygła na dobrą chwilę.

– Ja też muszę się panu przyznać, że przeoczyłem pojawienie się w Kłodzku tak wspaniałego inwestora, do tego rozmiłowanego w prowincji. Zdążył pan urządzić klub z salą taneczną, zajął się pan pomniejszych interesami w mieście. Mam jednak wrażenie, że wciąż nie dostrzegam czegoś jeszcze. Bo przecież z tymi widokami, kurortami i kobietami – Franz ukłonił się delikatnie paniom z zainteresowaniem słuchającym rozmowy – to tylko kurtuazja...

– Jest pan bardzo dociekliwy.

– Poznał pan właśnie moją kolejną cechę.

– Zapewne nie ostatnią.

– Nie mnie to oceniać. Martwi mnie jednak sytuacja, w jakiej się panowie znaleźli.

– To znaczy?

– Wiedzę o tym mieście czerpie pan zapewne nie tylko z raportów zarządcy, ale czyta pan też gazety. Jeśli tak, słyszał pan o wydarzeniach w Gorzanowie, o spektakularnym morderstwie starosty, a także o śmierci Theodora Heigla?

– Czytam gazety. – Boss przechylił głowę, czekał na ciąg dalszy.

– Te tragiczne wydarzenia zbiegły się z panów działalnością w mieście. Być może to przypadek, ale strasznie rzuca się w oczy. Berliński ringverein pojawia się w Kłodzku, ginie starosta. To brzmi jak nagłówek sensacyjnego artykułu.

Atmosfera przy stoliku zgęstniała. Żeńska część poruszyła się niespokojnie. Najwyraźniej panie nie brały dotąd udziału w takiej konfrontacji.

– Ja cenię sobie dyskrecję, wachmistrzu. – Boss nie wydawał się w żaden sposób dotknięty tą insynuacją.

– A to wyklucza udział panów w tamtych wydarzeniach? – Koschella zmarszczył brwi, jakby rozważał tę zależność. – Można wręcz powiedzieć, że owe morderstwa nie są panom na rękę? Dobrze rozumiem?

– Można tak powiedzieć, wachmistrzu – przyznał boss. – Gdyby do nich nie doszło, pewnie nie doszłoby również do tej rozmowy.

– Może mieć pan rację – przyznał Franz.

– Dobrze. – Grubas poprawił się w fotelu, położył dłonie na blacie. Mową ciała dał znać, że przystępuje do kolejnego etapu rozmowy. – Mówiłem panu o niewątpliwych urokach tego miasta i okolic. I nie było krzty przesady w moich słowach. Jestem przedsiębiorcą, któremu zależy, by jego interesy się rozwijały. Zainwestowałem kapitał w ten klub, planuję kolejne inwestycje w regionie, w hotele i kurorty. Kryzys jednych niszczy, inni dzięki niemu potrafią rozwinąć skrzydła. Inwestuję teraz, by czerpać z tych inwestycji profity w lepszych czasach, gdy gospodarka znów stanie na nogi. Wierzę, że nastąpi to w najbliższych miesiącach... Te morderstwa, o których pan wspomniał, nie są mi na rękę z kilku powodów. O jednym już wspomnieliśmy. Kolejny to fakt, że chciałbym, by o Kłodzku i kotlinie pisano jako o rajach, do którego zawitać powinien każdy mieszkaniec Republiki Weimarskiej. Najlepiej do mojego hotelu, klubu czy restauracji. Zależy mi więc na przedstawianiu tej okolicy jako bezpiecznej i atrakcyjnej. Tą atrakcją nie jest ukrzyżowany starosta. Kłodzko na to nie zasługuje. Mam więc dla pana pewną propozycję.

Koschella milczał.

Boss uśmiechnął się i skinął głową, doceniając ostrożność wachmistrza.

– Chciałbym, żeby pan wysłuchał, co mam do powiedzenia, i się nad tym zastanowił. Zależy mi, by inwestować w legalne interesy. Zapomnijmy o tym, co pan widział na dole...

Obaj doskonale wiedzieli, że wspomniane miejsce i tak jest już spalone. Nikt do niego nie wróci po przedstawieniu, które urządził Franz ze swoimi ludźmi.

– Chciałbym, żeby między nami była pełna jasność, wachmistrzu Koschella. Nie tolerujemy morderców. W tej sprawie jesteśmy po stronie policji. Śledzimy rozwój wydarzeń. Jeśli będziemy mieli jakiegokolwiek informacje wskazujące na winnego tych zbrodni, na pewno się nimi z panem podzielimy. Także we własnym interesie, ale zdaje się, że w tym wypadku ów interes jest wspólny.

– Coś ci się pomyliło – powiedział oschle Koschella. – Nigdy nie będziemy mieli wspólnych interesów. Kim ty, kurwa, jesteś, żeby przyglądać się jakiegokolwiek sprawie?

Zdziwienie. Zdaje się, że tak można było zinterpretować grymas, który pojawił się na twarzy grubasa. Ospowaty drgnął. Niecierpliwy ruch dłoni bossa przytrzymał go w miejscu.

– Tony, a co ty o tym myślisz? – Franz popatrzył na mężczyznę. – Jakiś prowincjonalny policjant obraża ci szefa, a ty jakbyś miał to głęboko w dupie. Tony?

– To kolejna cecha, którą u pana zauważyłem – wychrypiął boss. – Ale nie przysparza panu chluby.

– Kolejna cecha, mówisz pan. Jaka?

– Porywczość. Ona zgubiła wielu gliniarzy.

– Zdaje się, że wyrywnych i w tym towarzystwie nie brakuje. – Koschella wciąż patrzył dziobatemu w oczy. – Masz mi coś do powiedzenia?

Mężczyzna posłał mu uśmiech, w którym kryła się obietnica. Franz szedł o zakład, że to obietnica kolejnego spotkania w innych okolicznościach.

– Ta próba sił nie jest potrzebna. Wystarczy, wachmistrzu. – W głosie bossa pojawił się zgrzyt. – Przedstawił pan swoje stanowisko.

Koschella jeszcze przez chwilę nie odrywał wzroku od Tony’ego. Ludzie Franza przybliżyli się do pozostałych siedzących, ustawiając się za ich plecami.

– W jednym miał pan rację, panie...

– Może się pan do mnie zwracać Schwarz.

– Panie Schwarz. Chodzi o te piękne słowa o Kłodzku. Jak to szło? – Franz wznosił oczu ku sufitowi, jakby tam szukał natchnienia. – Coś o tym, że nie zasługuje, by kojarzono je z tą wątpliwą atrakcją, jaką jest ukrzyżowany starosta i tak dalej. Powiem więcej, w moim mniemaniu, to miasto nie zasługuje też, by kojarzono je z wami.

– To groźba, wachmistrzu?

– Makowski, weź przerwij te jęki, bo pan najwyraźniej nie dosłyszysz.

Wachmistrz się uśmiechnął. Zniknął w tłumie. Śpiewający chórek zamilkł, mikrofon wydał z siebie przejmujący zgrzyt, a przez tłum przeszło westchnienie zaskoczenia.

Schwarz milczał, jednak na oko Koschelli, gdy przyglądał się jego kraśniejącemu obliczu, mógł śmiało zmienić nazwisko na Rot.

– Powtórzę powoli i wyraźnie, żeby to do pana dotarło, panie Schwarz – mówił głośno Koschella, pewny, że słyszą go wszyscy zgromadzeni w sali. Ludzie patrzyli na stolik, przy którym rozgrywała się ta scena z szeroko otwartymi ustami. – Nie będziemy tolerować w tym mieście pana interesów. Stymulanty, hazard, prostytutka, związki przestępcze, które pan reprezentuje, nie mają tu racji bytu. Proponuję zwiąć interesy, bez względu na to, jakie one są, i wracać do Berlina. Rozumie mnie pan?

Schwarz sięgnął po serwetkę, ponownie wytarł usta. Wstał. Wymijając Koschellę, patrzył mu prosto w oczy. Zaszurały krzesła. Męskie towarzystwo ulotniło się, podążając za szefem. Ospowaty zrobił to najwolniej, najbardziej ostentacyjnie.

Franz zbliżył się do zarządcy, który najwyraźniej nie odważył się wyjść za szefem.

– Jak to było z tą sentencją, którą mi pan podałeś? Coś o tym, że nie ma ludzi niezastąpionych? Chyba widzimy się po raz ostatni, co, Junior?

Zaciśnięte usta mężczyzny pobieleły.

– Albo zostaniesz odesłany do Berlina, albo... wyłowimy cię z Nysy?
– Pan też niech na siebie uważa. – Uwaga miała być kąśliwa, ale drżący głos odebrał siłę przekazowi.

– Będę.

Koschella ruszył do wyjścia. Słyszał ożywione rozmowy gości Cesarskiego. Nawet się nie obejrzał.

Schwarz i jego ludzie opuścili hol. Być może przeszli do garaży, bo przez Wilhelmsplatz przejechało kilka samochodów. Wachmistrz i jego ekipa także znaleźli się przed swoimi samochodami zaparkowanymi na chodniku.

– Dorzuciłeś do pieca, Franz. – Makowski z sykiem wypuścił powietrze z płuc. Zaśmiał się, zawtórowali mu pozostali. Rozluźnili się.

– Nie mów, że się źle bawię.

– Zabawa była przednia. – Werner z niedowierzaniem pokręcił głową. – Aż mi się gacie do dupy przykleiły. Widzieliście ich? Ale, kurwa, towarzystwo! A ten przydupas Schwarza, ten, co startował do Franza? Aż świerbiła mnie łapa, żeby mu przylutować.

– Tę gębę gdzieś widziałem. – Makowski spoważniał. – Tony... Trzeba go sprawdzić, bo myślę, że jeszcze nam wejdzie w drogę. Wiesz, że to nie koniec, Franz? Że oni nie odpuszczą?

– Wiem. – Koschella wyczuł na sobie spojrzenia pozostałych wachmistrzów. Nie byli strachliwi, ale pierwszy raz mieli do czynienia z berlińskim ringvereinem. – To i tak było nieuniknione. Gdybyśmy nie oznaczyli terytorium, rozmontowaliby nas w kilka miesięcy.

Gliniarze popatrzyli na siebie, żaden się nie odezwał.

– Komisarzowi Richterowi ktoś pewnie usłużnie doniesie o naszej akcji – rzekł pośpiesznie Makowski.

– Mówiłem, Richtera biorę na siebie.

– W porządku – zgodził się Ernst. – Ale jest jeszcze jeden problem. Wystarczy, że ci tutaj skrzykną połowę ferajny ze stolicy, a nakryją nas czapkami.

Koschella popatrzył na kolegów. Ochłonęli, gorące opary podniecenia wyparowały z głów. Musiał powiedzieć coś, co ich uspokoi.

– To, jaka będzie ich reakcja, powie nam o nich bardzo dużo. Podejrzewam, że na otwartą wojnę się nie zdecydują. Owszem będą nas podgryzać, ale nic poza tym. Obstawiam, że rozkręcają tu coś, na co nie chcą zwracać uwagi. Coś mniej oczywistego niż kluby, hotele i restauracje.

– Obyś się nie mylił – powiedział Makowski.

– Wierzysz temu Schwarzowi, że on i jego ludzie nie mają nic wspólnego z morderstwami? – zapytał rzeczowo Werner.

– Ringvereiny mają chyba swoje kodeksy – wtrącił Bosek. – Nie tolerują morderstw.

– Ale to chyba nie wystarczy za alibi. – Makowski wyszczerzył się w nieprzyjemnym uśmiechu.

– Jakieś powiązanie między ich przyjazdem i zbrodniami jednak jest. Choćby Heigl – przypomniał Werner. – Kręcił się koło Juniora i jego ludzi. Zginął z jakiejś przyczyny...

Koschella słuchał tej wymiany zdań w milczeniu i z rosnącą satysfakcją. Pomyślał, że musi postawić piwo Schulzowi – gdyby nie on, pewnie tkwiłby teraz pod Cesarskim sam jak palec, zastanawiając się, jak ugryźć Juniora. Z tym zespołem osiągnął w jeden dzień więcej, niż zdołałby w pojedynkę w kilka tygodni, a może i miesięcy.

– A może jednak ten Schwarz ma rację? – Makowski sięgnął po paczkę papierosów, poczęstował kolegów. Wzięli wszyscy, nawet Franz. Odpalili, zaciągnęli się dymem. – Nie wykluczyłbym, że ktoś specjalnie chce ich powiązać z tymi zbrodniami. No wiecie, zwalić wszystko na ringvereiny byłoby prosto. W ten sposób morderca odciągnąłby uwagę od siebie, a nam cholernie utrudnił działania. Śmierć Heigla też mogła w nich jakoś uderzyć, jeśli był ich człowiekiem w Kłodzku.

– Coś w tym może być – zgodził się Bosek. – To byłoby działanie obliczone na to, że policja wypowie ringvereinom wojnę. Można byłoby wykorzystać chaos w mieście i dalej spokojnie robić swoje.

Wszyscy popatrzyli wyczekująco na Koschellę.

– Już włożyliśmy kij w mrowisko...

Werner skomentował coś po raz pierwszy od Bóg wie jak dawna. Pokiwali głowami, przy wyjściu z hotelu zrobiło się tłumnie. Coraz więcej gości opuszczało Cesarski. Koschella uśmiechnął się na ten widok.

– Zmywamy się, panowie. Nic tu po nas – powiedział.

Trzasnęły drzwi samochodów. Odjechali w kierunku centrum.

Franz kazał się zawieźć pod magistrat i tam pożegnał się z kolegami. Wypalił papierosa przy miejskiej studni. Było ciepło, w świetle lamp krążyły liczne ćmy. Wachmistrz obrzucił spojrzeniem kamienice i na długą chwilę zatrzymał wzrok na bryle banku przy Brücktorberg. Potem wszedł do gmachu ratusza. Postanowił nie wracać do pustego mieszkania, bo tam i tak by nie zasnął. Popracuje w biurze, a skoro świt zasadzi się na komisarza Richtera. Szef przychodził do pracy wczesnym rankiem. Franz miał z nim do pomówienia.

Poranek był dżdżysty, co stanowiło miłą odmianę dla ostatnich bezdeszczowych dni. Chłodniejszy front powietrza pozwalał swobodnie oddychać. Pachniało rdzą i kurzem, powoli, ale konsekwentnie zmywanym z bruku. Na bocznicy stacji Kłodzko Główne podjechał skład towarowy. Ośmiu tragarzy czekało na platformie na sygnał do rozładunku. Wśród nich był boy hotelowy Hans Fredke. Tryskał humorem i zacierał dłonie. Jego energia udzielała się ospałym towarzyszom.

– Ze trzy godziny roboty przed nami, trochę się napocimy, panowie, co? – Hans sięgnął do zasuwy wagonu i szarpnął.

Stojący obok mężczyzna zrobił to z drugim skrzydłem, dzięki czemu operacja poszła gładko. Tragarze wskoczyli do nagrzanego wnętrza.

Ciężarówka zaczęła cofać, uderzyła w coś z hukiem.

– Uważaj, człowieku. Śpisz jeszcze?

– Panowie, od lewej do prawej. – Mężczyzna nadzorujący rozładunek niedbałym ruchem wskazał skrzynie, którymi wypełniony był wagon. – Sporo tego. Czterech z was po załadowaniu ciężarówki pojedzie z kierowcą i wojskowymi na pace. Rozładujecie wszystko w miejscu docelowym.

– Jasne jak słońce. – Fredke wyszczerzył zęby. Założył rękawice i mrugnął do towarzysza. – No to jedziemy z tym, trzeba zarobić na dniówkę.

Hans złapał za uchwyt pierwszej skrzyni. Była spora więc przygotował się na duży ciężar.

– Cholerstwo waży chyba z tonę.

Skrzynia uniosła się, powędrowała w górę, a potem na pakę.

– Będziemy je ustawiać! Wy podawajcie kolejne.

Nikt nie zakwestionował takiego podziału pracy. Ekipa działała sprawnie, większość mężczyzn pracowała przy rozładunku na stałe. Jedynie Fredke i jego towarzysz byli tu nowi.

– Kilku robi, reszta patrzy, zawsze tak było, nie?

Na pace stał jeden z nadzorców. Dwóch innych, wraz z kierowcą, pracownikiem kolei i żołnierzami z twierdzy kręciło się przy ciężarówce. Asysta rzeczywiście była niezwykajna.

– Ma pan krzepę. Dźwigam od lat walizeczki na piętra Dworcowego, to wiem, co mówię. Nawet się pan nie zasapał – wyszeptał Fredke, gdy znaleźli się z dala od innych.

Klein się zaśmiał.

– Ledwie za tobą nadażalem. Nie chciałem, żeby ktoś zobaczył, że marny ze mnie tragarz.

– Dał pan radę. – Fredke otarł pot z czoła. – Jakby pan szukał roboty, to da się coś załatwić.

Chłopak zarechotał. Klein lubił to jego pogodne usposobienie. Nie było na pokaz w ramach starań o wysoki napiwek. Ot, Fredke po prostu taki był.

– Co udało ci się ustalić w sprawie transportów, Hans?

– Mój znajomek mówi, że pojawiają się od trzech miesięcy. Wszystko odbywa się pod szyldem firmy zarejestrowanej w Kłodzku. Rzeczywiście jej właścicielem był ten cały Heigl. – Hans oparł się o skrzynię i wyprostował plecy. Coś strzeliło mu w kręgosłupie.

– Znajomemu udało się prześledzić, skąd i gdzie jadą towary?

– Gdzie to akurat było prosto ustalić. Wrocław, Berlin, Monachium. Był problem z wywiedzeniem się, skąd przyjeżdżają.

– Ale się udało.

– Ale się udało – potwierdził z uśmiechem Hans. – Od naszych sąsiadów. Ten transport przyszedł z Czechosłowacji. Zaraz za granicą stał kilka godzin na bocznicy. Podczepili go do innego składu, zmienili oznaczenia. To tak jak z tą grą w trzy karty. Kombinowali, ale mój znajomek w karty zgrywał się kiedyś na targu w rynku, więc trudno go przerobić.

– Transportów tyle samo wjeżdża do Kłodzka i z niego wyjeżdża?

– Mniej więcej, ale...

– Ale?

– Różnią się ciężarem. Coś się tam w tej twierdzy dzieje, że skrzynie, jak wracają, to stają się nieco lżejsze.

– Nie guzdrać się tam!

Hans skinął na Kleina i wynieśli skrzynię z wagonu. Samochód w niecałe dwa kwadransy został zapakowany po dach. Tylną klapę zamknięto, plandekę opuszczono, po czym silnik zawarczał i ciężarówka ruszyła w stronę Kłodzka.

Kilkanaście minut później Klein wyjrzał na zewnątrz. Zbliżali się do budynku przy Frankensteinerstrasse. Na rampie rozładunkowej stało dwóch wojskowych.

Hans pierwszy wyskoczył z paki.

– Zejdźcie, panowie. Jak mamy przenosić, skoro stoicie na drodze?

Żołnierze z ociąganiem ustąpili. Wyciągnęli papierosy i przenieśli się na chodnik od strony ulicy.

Fredke zarzucił plandekę na dach i otworzył klapę. Klein poszedł po wózek do transportu i podjechał po pierwszą skrzynię.

Przetransportowanie ładunku na nowe stanowisko szło sprawnie. Skrzynie układali na platformie windy znajdującej się w szerokim na cztery metry tunelu. Klein z ciekawością przyglądał się poternie. Szyny prowadziły stromo w górę, a pomiędzy nimi do wagonika przyczepiona była gruba stalowa lina. Obok toru znajdowały się schody, którymi także dało się dostać do twierdzy. Zgodnie z tym, co mówił kapitan Metz, dzięki systemowi wyciągowemu pomiędzy dolną a górną

stacją można było przetransportować nawet siedmiotonowy ładunek. Według obliczeń Kleina skrzynie, które układali na windzie transportowej, mogły ważyć około czterech ton. I tak do ich wciągnięcia do kazamat Wielkich Kleszczy trzeba było około dwudziestu żołnierzy obsługujących ręczną wyciągarę.

Mężczyźni zabezpieczyli ładunek i zeszli z wagonika.

– No i po robocie. – Hans otrzepał ubranie. – Teraz resztą zajmą się krety z twierdzy.

Usłyszeli sygnał nadawany przez obsługę. Stalowa lina naprężyła się, wagonik drgnął, stęknął i ruszył w górę.

– Ślimaczy się jak żółw – zauważył Hans. – Chłopaki będą go wciągać kilkanaście minut.

Opuścili poternę. Druga ciężarówka podjechała właśnie pod rampę. Towar został już rozładowany.

Hans i Klein pożegnali się z tragarzami i wyszli na Frankensteinerstrasse. Deszcz wciąż siąpił, ale wiatr zaczynał przeganiać chmury. Na horyzoncie pojawiły się jasne prześwity. Na ulicach zrobiło się tłoczno, delikatny deszczyk nie przeszkadzał mieszkańcom. Przytłoczone ostatnimi upałami miasto odżyło. Szeroko otwarte okna kamienic stukwały o ściany, wiele osób stało w oknach, pozdrawiając znajomych zmierzających w stronę rynku. Niektórzy prowadzili nieskrępowane rozmowy.

– Odbiorę jutro zapłatę, zasłużył kapitan. Zresztą wygląda pan w tym kaszkieciku zawodowo. – Hans parsknął śmiechem.

Klein spojrział w witrynę. Także się uśmiechnął, widząc swoje odbicie. Ubranie robocze, które załatwił mu Fredke, wyglądało jak zdjęte z młodszego i w dodatku cięższego brata kapitana.

– Jestem ci winien przysługę – powiedział Klein. – A zapłatę zachowaj dla siebie.

– Sprzeciwić się nie będę – oznajmił Fredke. – Zmykam, kapitanie. Gdyby czegoś pan jeszcze potrzebował, wie pan, gdzie mnie szukać.

Klein dotknął daszku czapki i ruszył w dół rynku. Spojrział jeszcze na budynek magistratu, a potem skierował się do hotelu. Musiał się wymyć i przebrać. Miał jeszcze kilka spraw do załatwienia.

*

To ona zaprosiła go na poranny spacer. Szli obok siebie miejską promenadą. Gdy zaczęło padać, rozłożyła parasolkę, ujęła go pod ramię i oboje schowali się przed deszczem. Wydawało się to zupełnie niepotrzebne, nie zmokliby zbyt, ale

Lothar nie protestował. Czując palce Asty w zgięciu łokcia, miał wrażenie, że przenika go prąd. Ta chwila mogłaby trwać dla niego całą wieczność.

– Długo nie mogłam się odnaleźć po śmierci Paula.

Kolejny prąd. Już mniej przyjemny. Wspomnienie jej męża, a jego policyjnego kolegi wprawilo go w zakłopotanie. Nagle to spacerowanie pod ramię wydało mu się niestosowne. Skarcił się za to w myślach. Już kiedyś ustalił, że nic nie był winny Paulowi Seipeltowi. Przez pozbawione sensu obiekcje i wahanie stracił Astę. Thomas Zender nie miał takich skrupułów.

– Pogubiłam się, Lothar. Chciałam ci podziękować za to, że cały czas byłeś. Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć.

Nie rozumiał tego, co chciała mu przez to powiedzieć. Coś kryło się za jej słowami, a to instynktownie wzbudziło w nim niepokój.

– Zawsze możesz na mnie liczyć – powiedział.

Gdyby przeczytał takie zdanie w książce, pewnie wybuchłby śmiechem, w tej chwili jednak te słowa wydały mu się najwłaściwsze, bo niosły ze sobą wielki ładunek emocji. Zdaje się, że Asta też tak je odebrała, bo popatrzyła na niego w sposób, który zmiękczył mu kolana.

– Wiem, Lothar. Bardzo ci dziękuję.

Poczuł, jak jej palce zaciskają mu się na ramieniu. Szli w ciszy. Schulz rozpaczliwie szukał kolejnych słów. Powinien coś teraz powiedzieć, zrobić. Wiedział, że to właśnie ta chwila.

– Popełniłam wiele błędów, tak jakbym to nie była ja. Czasem nie mogę spojrzeć na siebie w lustrze...

Zatrzymał się. Wzburzenie odebrało mu dech.

– Nie znam silniejszej kobiety od ciebie – powiedział stanowczo. – To ja byłem słaby, to ja błądziłem. Wiem, co Paul ci robił, wiem, jak cię traktował, a nie stanąłem w twojej obronie. Gdybym... gdybym mógł tylko cofnąć czas...

Jej palce dotknęły jego ust. I tak nie potrafił powiedzieć już nic więcej. Słowa dławily go, paliły w przełyku. Fala emocji przyprawiała go o zawrót głowy.

– Muszę stąd wyjechać, Lotharze. Zrozumiałam, że tutaj nie zaznam spokoju. Muszę zostawić za sobą to życie, zacząć inne, gdzieś indziej.

– Gdzie? – Schulz błądził nieprzytomnym wzrokiem po jej twarzy, drżących kącikach ust.

– To nie ma znaczenia. Czuję, że jestem ci winna to wyjaśnienie, zanim... opuszczę Kłodzko.

Przed oczami Schulza zawirowały ciemne plamy, w uszach huczała mu krew. Nie słyszał deszczu opadającego na alejkę i materiał parasola. W słowach Asty było coś straszliwie ostatecznego.

Opuściła głowę. Dla Schulza równie dobrze wszystko mogło się skończyć tu i teraz. Nie chciał wracać do magistratu, do zatęchłej nory, w której mieszkał. Nie miał do czego wracać. Liczyła się tylko Asta.

Strumyk wody zsunął się z parasola i spadł mu za kołnierz. To go otrzeźwiło. Nagle wszystko stało się prostsze i jaśniejsze. Czasem należało zaufać instynktowi. Poddać mu się. I Schulz to właśnie zrobił. Przyciągnął Astę do siebie. Nie broniła się, choć wydawała się zaskoczona. Lothar wiedział, że w tej chwili jego... ich los potoczy się jedną z możliwych ścieżek.

Gdy rozchyliła usta i mocniej do niego przywarła, zrozumiał, że ścieżki, na której się znalazł, nie wolno mu nigdy porzucić.

*

Kurier wchodzący do magistratu natrudził się z pakunkiem, który miał dostarczyć do Wydziału Kryminalnego. Przesyłka nie ważyła wiele, ale była nieporęczna.

Na szczęście usłużny klient przytrzymał drzwi i chłopak mógł wejść do gmachu. Na półpiętrze przystanął, wytarł chusteczką czoło z potu i deszczu. Papier pakowy lekko zmókł, ale wilgoć nie uszkodziła zawartości. Zostało do pokonania jeszcze jedno piętro.

Kurier wdrapał się po schodach. Zaklął, gdy zahaczył rogiem o poręcz, papier lekko się naderwał. Wierzył, że nikt tego nie zauważy. Znalazł się w korytarzu, odszukał odpowiednie drzwi i wtaszczył pakunek do środka.

– Do nadwachmistrza Franza Koschelli! Przesyłka.

– Pomyliłeś, bracie, wydziały. – Gurber nawet nie spojrzał na doręczyciela. – I nie nadwachmistrza, a co najwyżej „pod”. Zmykaj!

– Wyraźnie napisali: „Nadwachmistrz Franz Koschella, Wydział Kryminalny”.

Policjant uniósł wzrok. Spojrzał najpierw na chłopaka, potem na pakunek. Otworzył usta. Przez chwilę siedział w milczeniu, gapiąc się jak zaczarowany na to, co kurier trzymał w rękach.

– To jak? – Chłopak się zniecierpliwił. Miał dziś jeszcze do objechania kilkanaście adresów.

– Co to jest?

– Wachmistrzu, może trzeba okulary sobie kupić. Przesyłka.

– Ale co w środku?

– A skąd mam wiedzieć?

Co za pech! – wściekał się kurier. Jak nic typowy tępy funkcjonariusz. Rozmowa rodem z jednego z kawałów, który opowiadali sobie na pocztce o stróżach prawa.

– Postaw to.

– A pan to nadwachmistrz Koschella?

– Mówiłem ci, że w Wydziale Kryminalnym nie pracuje wachmistrz Koschella.

– Więc dlaczego miałbym niby postawić tutaj przesyłkę? Mam ją oddać do rąk własnych.

– Na pakunku jest napisane „Wydział Kryminalny”? – Gurber wstał od biurka i ruszył w stronę chłopaka.

– Jest – potwierdził kurier. – Ale jest też napisane „Franz Koschella”.

Kurier mógł sobie darować tę przepychankę, ale obcesowość tego buca, na którego trafił, podziałała na niego jak płachta na byka.

– Co to za krzyki?

Drzwi pobliskiego gabinetu otworzyły się gwałtownie i chłopak zobaczył w nich kolejnego policjanta. Ten wyglądał na przełożonego tępego kolegi.

– Panie nadwachmistrzu. Przesyłka do Koschelli...

Kurier doznał uczucia déjà vu. Facet najpierw spojrział na niego, potem na pakunek. Tak samo opadła mu szczeka. Teraz chłopak poczuł się niepewnie. Popatrzył na przesyłkę trzymaną w dłoniach. Może ją uszkodził?

– Odłóż pan to – polecił drugi z gliniarzy. – Natychmiast.

Kurier stracił pewność siebie. Pokręcił jednak głową.

– Nadwachmistrz Koschella – wydukał. – Do rąk własnych.

– Wachmistrz – warknął nowy glina.

Chłopak pomyślał, że wszyscy muszą być tu bardzo przywiązani do tych stopni.

– Odłóż pan pakunek, bo będziesz miał kłopoty. Kto go nadał i kiedy?

– W papierach jest wszystko. – Kurier w końcu odstawił paczkę, ale tylko dlatego, że nagle stała się jakby cięższa. Oparł ją o ścianę.

– Odsuń się – polecił młodszy z policjantów.

– Wezwij techników, Gurber, i fotografa.

Kurier patrzył, jak gliniarz zwany Gurberem podchodzi do telefonu, łączy się z centralą i kogoś wzywa. Usiadł nieproszony na krześle, bo nagle przyszło mu coś do głowy. Popatrzył jeszcze raz na pakunek. Obraz. Przecież to jasne. Przyniósł obraz. Powinien to wiedzieć od razu. Przecież czytał gazety.

– Przejdiesz do pokoju obok, z dokumentacją, jeden z wachmistrzów zada ci kilka pytań.

Kurier wstał z ociąganiem. Chętnie zobaczyłby zawartość pakunku. Zamiast tego zaprowadzono go do jakiegoś obskurnego pokoiku i w nim zamknięto.

– Jasna cholera – zaklął. Nie dość, że nie rozwiezie paczek przed dwunastą, to jeszcze nie dali mu zobaczyć, jaką śmiercią umrze kolejna ofiara.

*

– Franz, wzywają cię do Kryminalnego. Afera jest. – Makowski zajrzał przez drzwi do klitki, w której urzędowała obyczajówka. – Chyba mamy kłopoty.

Siedzący obok Franza Werner wzruszył ramionami. Bosek i Weinert jedynie wymienili spojrzenia.

Koschella podniósł się z krzesła. Nie spieszył się, nie chciał pokazać zdenerwowania. A czy rzeczywiście je czuł? Chyba nie, miał całą noc na przemyślenia, te dotyczące prowadzonej sprawy, a także tego, jak rozegrać wszystko z Richterem.

Wachmistrz wyszedł na korytarz. Makowski najwyraźniej zamierzał towarzyszyć mu do drzwi Wydziału Kryminalnego.

– Gadałeś ze starym?

Franz skinął głową. Obrazy poranka powróciły w krótkim przeblysku. Gadał rano z komisarzem, tak jak sobie zaplanował. Richter, jak to miał w zwyczaju, pojawił się w urzędzie jako jeden z pierwszych. Zastał Koschellę przed drzwiami gabinetu. Wyminął go bez słowa, wszedł do swojej jaskini i zatrzasnął drzwi.

Franz po kilku minutach miał zamiar zapukać i nawet bez zaproszenia władować się przełożonemu do gabinetu, ale wtedy usłyszał głośne i ochryple: „Wejść!”.

Koschella szybko przeszedł do rzeczy. O dziwo, Richter słuchał go uważnie. Franz relacjonował sprawę sucho, bez ubarwień i niepotrzebnych wtrętów. Tak zresztą wyglądały jego raporty. Gdy w końcu położył na biurku podpisany własnoręcznie dokument, komisarz przez dłuższą chwilę się w niego wpatrywał. W końcu podniósł papier, otworzył szufladę i tam schował gryzmoły wachmistrza. Koschella uznał, że komisarz wyraża zgodę na jego działania i przyjmuje propozycję. W związku z tym jak najbardziej spodziewał się konfrontacji z Zenderem, nie sądził jednak, że dojdzie do niej tak szybko. Pomyślał, że może to i lepiej.

– Powodzenia! Nie daj się skurwielowi. – Makowski przywołał Franza do rzeczywistości.

Ernst został na korytarzu, a Koschella wkroczył do sali odpraw Wydziału Kryminalnego.

Już przekraczając próg, zorientował się, że chodzi o jakąś grubszą sprawę. Wszyscy patrzyli na niego w milczeniu. Atmosferę można było kroić nożem. Zebrał się cały skład Wydziału Kryminalnego. Oprócz Zendera i jego ludzi byli tu także komisarz Richter oraz kilku techników.

Rzut oka na dwa obrazy, które ustawiono na sztalugach pośrodku pomieszczenia, wystarczył, by Franz zrozumiał, że afery nie dotyczy jego działań

z poprzedniej nocy.

– Ten obraz po lewej przyszedł niedawno do burmistrza Ludwiga. Ten po prawej przed dwoma kwadransami został dostarczony przez kuriera do Wydziału Kryminalnego na nazwisko Franza Koschelli.

Wachmistrz przemierzył wolno odległość dzielącą go od malowideł. Stał naprzeciw nich, nie odzywając się nawet słowem.

Obraz po lewej przedstawiał zmasakrowane ciało mężczyzny przywiązanego do drewnianego pała. Ten po prawej – mężczyznę bez ucha.

– Dlaczego przysłali obraz na twoje nazwisko, wachmistrzu?

Koschella w pytaniu zadany przez Richtera nie dopatrywał się złośliwości. Był to raczej wyraz nurtujących komisarza wątpliwości.

– Wachmistrz Koschella pojawił się na miejscu obu zbrodni, mimo że nie prowadzi tych spraw. Ktoś musiał to zauważyć. Być może było to dla mordercy naturalne... – przypomniał Zender. Najwyraźniej z trudem znosił obecność Franza w Wydziale, podobnie jak fakt, że ten znów znalazł się w centrum uwagi.

– Co było na przesyłce?

Jeden z techników podszedł do Franza i podał mu zabezpieczony kawałek papieru pakowego.

– Tutaj jest napisane „Nadwachmistrz Franz Koschella, Wydział Kryminalny” – przeczytał notkę Franz.

– Dlaczego tak? – zapytał Richter.

– Nadawca wydaje się nieco nierozgarnięty – prychnął Zender.

Koschella nie zwrócił uwagi na zachowanie nadwachmistrza. Zamiast tego zwrócił się do technika:

– Udało wam się ustalić, jak długo obraz przebywał w pakunku?

– Wiem, do czego pan zmierza. – Technik Wencky skinął głową. – Nieaktualne dane adresowe mogłyby wskazywać na czas zapakowania obrazu lub przygotowania papieru pakowego i dotyczyć okresu, gdy był pan tutaj... szefem.

– Wencky się skrzywił, zdawszy sobie sprawę z niezręczności swoich słów. – Obstawiłbym jednak, że obraz zapakowano niedawno. Może nawet dziś w nocy. W zagięciach nie było kurzu, a atrament jest świeży.

– Mimo wszystko można przyjąć, że morderstwa zostały zaplanowane o wiele wcześniej – powiedział Franz.

– Skąd te przypuszczenia? – zdziwił się Richter. – Uważa pan, że morderca zaplanował swoje zbrodnie miesiąc temu, ale okazał się na tyle nierozgarnięty, że nie zauważył zmian na stanowisku szefa Wydziału Kryminalnego? A co, gdybyś już tu nie pracował, Franz? Też wysłałby obraz na twoje nazwisko?

– Nie wydaje mi się, komisarzu – odpowiedział Franz. – Mam inną teorię.

– Jaką? – zapytał mimowolnie Richter.

– Nadawca paczki, planując swoje działania, uwzględniał komunikowanie się ze mną. Widać nie bardzo akceptuje zmiany, nawet te, na które nie ma wpływu.

Zender poczerwieniał na twarzy.

– A ty je akceptujesz, Franz? – zapytał.

– Nie rozmawiamy o mnie – zauważył spokojnie Koschella. – Mamy przed sobą dwa nowe obrazy cyklu. Możemy przyjąć, że obraz z uchem odnosi się do Heigla, drugi być może wskazuje śmierć potencjalnej ofiary. Musimy założyć, że morderca... lub mordercy wiedzą już, kim będzie kolejny cel.

– Czy Wydział Kryminalny wytypował potencjalne ofiary? – Richter skierował pytanie do Zendera.

– Panie komisarzu – odezwał się nadwachmistrz – za chwilę przedstawię dalsze plany naszych działań w węższym gronie zainteresowanych sprawą.

Richter milczał, kiwając głową. Popatrzył na Franza.

– Może pan to zrobić teraz, nadwachmistrzu Zender. Podjąłem decyzję dotyczącą współpracy Wydziału Kryminalnego i obyczajówki. Ta sprawa wymaga działań nas wszystkich. Musimy wykorzystać doświadczenie naszych ludzi. Pamiętajcie, że jeden z tych obrazów przyszedł do burmistrza! To czytelne ostrzeżenie. Ludwigowi została przydzielona ochrona, ale działamy po omacku! Zakładając, że jest on jednym z zagrożonych, musimy wiedzieć, kogo dotyczy obraz z biczowaniem!

Koschella wyczuł na sobie spojrzenie Czoska, Schulza i pozostałych. Nawet nie mrugnął.

– Udzielam zezwolenia wachmistrzowi Koschelli na jego uczestnictwo w odprawach Wydziału Kryminalnego. Ponadto ma być na bieżąco informowany o postępach śledztwa. Także wachmistrz jest zobowiązany do składania codziennych raportów z działań swoich ludzi mnie i nadwachmistrzowi Zenderowi.

Thomas poczerwieniał, ale miał na tyle rozumu, że nie oponował.

– Powtarzam więc swoje pytanie, nadwachmistrzu. Co z kolejnymi ofiarami?

– Nie wydaje mi się, żeby mieli nimi być adresaci przesyłek zawierających te... bohomy – odezwał się nadwachmistrz. Zaraz jednak zastrzegł: – Oczywiście uznaję za zasadne zapewnienie ochrony burmistrzowi Ludwigowi. Postaci na malowidłach trudno zidentyfikować. Nawet jeśli ta na obrazie z ukrzyżowaniem jest podobna do Puschkego, to ta tutaj – Zender podszedł do sztalug – biczowana, stoi do nas tyłem. Różni się od tej przedstawionej na wcześniejszych obrazach. Jest chudsza i niższa. Trudno nawet stwierdzić, jakiego koloru są jej włosy, bo głowę ma nisko opuszczoną.

– Ma znamię na pośladku – zauważył Schulz.

Zender zmarszczył brwi, nachylił się w stronę płótna. Pokręcił głową.

– To może być ślad krwi, czegokolwiek – powiedział. – A nawet jeśli, Schulz, potrafisz rozpoznać po znamieniu w miejscu intymnym któregoś z mężczyzn? Jeśli tak, to słucham.

Gurber zagryzł wargi i opuścił głowę, jakby starał się za wszelką cenę nie parsknąć śmiechem.

– Nadwachmistrzu, do rzeczy! Jakie działania pan zaplanował? – Ton Richtera stał się formalny i oschły.

– W tej chwili naszym priorytetem jest znalezienie mordercy. Poszukujemy Germaina Ulma, obserwujemy jego mieszkanie. Sprawdzamy znajomości, które zawarł w Kłodzku. Wydaje się, że znali się z Theodorem Heiglem, prawdopodobnie jeszcze z Wrocławia. Zdecydowałem się wykorzystać kontakty z tamtejszą policją. Od wczoraj obserwują rodzinny dom Ulma. Jeśli się tam pojawi, to go zgarną.

– Ulm to nasz główny i jedyny podejrzany? – Trudno było odczytać, co kryje się w głosie Richtera.

Zender nieco się zmieszał.

– Na tę chwilę to nasz główny trop – powiedział ostrożnie. – Nie tylko on, ale i potencjalny zleceniodawca obrazów. Podejrzewam, że ktoś zlecił Ulmowi namalowanie tych płócien według wskazówek.

– Wątek zleceniodawcy jest prawdopodobny – przyznał Richter. – Potrzebuję jednak konkretów, a ich nie ma. Jak twoje działania, Koschella?

– Przyglądamy się berlińskim przyjeźdnym. W mieście dosyć szybko zdomował się jeden z ringvereinów ze stolicy, przejął od miejscowych większość nielegalnych interesów. Obserwujemy lokal w Hotelu Cesarskim. Zdaje się, że miał być ich flagowym klubem w mieście. – Franz nie rozwinął tematu, chociaż użycie czasu przeszłego zostało, jak zauważył, odnotowane przez obecnych. – Jeden z szefów Deutsche Eiche, niejaki Schwarz, zawitał na huczne otwarcie klubu. Przekonuje, że jego organizacja nie ma nic wspólnego z morderstwami, sugerował nawet, że ktoś próbuje na nich rzucić oskarżenia. Ponadto oferuje współpracę przy namierzeniu mordercy.

– Nie wchodzimy z nimi w układy.

Koschella skinął głową. To ustalili już z Richterem podczas porannej rozmowy.

– Ktoś ma coś do dodania? – zapytał komisarz.

Schulz odchrząknął. Postanowił wykorzystać ten moment, by coś wtrącić.

– Nie przyszło ci do głowy, Koschella, że po twojej wczorajszej rozmowie z tym całym Schwarzem ktoś mógł uznać, że to z tobą trzeba się liczyć w wydziale?

Wszyscy popatrzyli na Lothara, a potem na papier pakowy leżący na jednym z biurek.

– Rozwiń swoją myśl, Schulz – zachęcił Richter.

– No, dla mnie to jasne, że pojawienie się ringvereinów w mieście i te morderstwa są jakoś powiązane. Malarz Ulm, ksiądz i jego wizje, nasi „turyści” z Berlina... Wszystko skotłowało się strasznie w tym samym czasie. Jak działają ringvereiny, wiemy na przykładzie stolicy. Co ich tu przyгнаło? Możliwości jest kilka. Mamy kryzys, Deutsche Eiche zaczęło szukać szczęścia poza Berlinem. Inwestują gotówkę, bo za chwilę będą się mogli nią jedynie podetrzeć. Ale innym ringvereinom mogło się to nie spodobać. Poza stolicą układy i kodeksy nie obowiązują. Mogę sobie wyobrazić, że ktoś chce spalić Eiche w Kłodzku. Schwarz zdaje sobie z tego sprawę, stąd ta jego gotowość pomocy. Zwrócił się z nią do Koschelli, bo ten sam do niego przyszedł. To dla Schwarza jasny sygnał, z kim rozmawiać.

– Ale... – spróbował wtrącić Zender, zmitygował się jednak pod spojrzeniem Richtera i umilkł. Widać było, że jest wściekły.

– Organizacja Schwarza może nie mieć nic wspólnego z morderstwami – ciągnął Schulz. – Te skurczybyki będą chciały nas przekabacić. Zgaduję, Franz, że dostałeś już od nich propozycję pomocy w odszukaniu morderców. Tak działają. Przysługa za przysługę. Zależy im, żeby sprawa morderstw została szybko rozwiązana, żeby robić tutaj spokojnie interesy. Ale z drugiej strony... – Schulz zrobił pauzę. Tym razem Zender nie próbował wejść mu w słowo. – ...do takich samych wniosków mógł dojść ktoś inny. Ktoś, kto nie chce spokoju dla berlińskiego ringvereinu, uważnie się wszystkiemu przygląda i pociąga za sznurki. Wczorajsza akcja Koschelli w Cesarskim nie przeszła bez echa. Pewnie dlatego obraz wysłano na nazwisko Franza. To, że na papierze wpisano wcześniejszy stopień wachmistrza, miało jeszcze jeden cel. Doprowadzić do animozji między nami i naszymi wydziałami.

Richter przez dłuższy czas wpatrywał się w Schulza, potem przeniósł wzrok na Koschellę.

– Pozbądźcie się ich z miasta – powiedział. – Nie będzie tu Eiche, nie będzie wojenki między ringvereinami. Jedną niewiadomą wyrzucimy z równania. Jeśli morderstwa mają jakiś związek z wojną tych skurwieli, to się skończą, gdy ich stąd wykurzymy.

Koschella skinął głową.

– Theodor Heigl i ta kuzynka. – Richter przeniósł wzrok na Zendera. – To nie do pomyślenia, że ten wątek wszystkim umyka! Jeśli nawet przyjmiemy, że starosta nie był głównym celem, a znalazł się w złym czasie i roli, to już Heigl został przez mordercę wybrany! Tak jest czy się mylę?

– Badamy ten wątek – wychrypiał Zender.

– To badajcie szybciej, bo wam, kurwa, pacjent umrze! – Komisarz uderzył pięścią w blat. – I jeszcze jedno. – Wzrok Richtera na ułamek sekundy zatrzymał się na Schulzu. – Nie chcę widzieć wojny między wydziałami, wystarczy, że ją mamy na ulicach Kłodzka! Ty, Zender, dowodzisz Wydziałem Kryminalnym i prowadzisz sprawę morderstwa, nie zapominaj, że bierzesz pełną odpowiedzialność za śledztwo i jego wynik. Koschella. – Richter odwrócił pociemniałą twarz do Franza. – Masz pod sobą obyczajówkę. Uprzykrz życie przyjeźdnym, wymyśl coś! Wyduś też, co się da, z informatorów. Jeśli czegoś się dowiesz, przekażesz Zenderowi i mnie. Zrozumiano?

– Tak jest!

– Przynajmniej raz, kurwa, zgodni.

Wydawszy dyspozycje, Richter skierował się do drzwi. Gdy opuścił pomieszczenie, nikt się nie odezwał. Franz w końcu skinął głową stojącym jak słupy soli policjantom i także ruszył w stronę wyjścia.

Gdy tylko znalazł się na korytarzu, stanął naprzeciw swoich ludzi. Otoczyli go ciasnym półkolem przed salą odpraw. Zdaje się, że przed chwilą Richter musiał się pomiędzy nimi przeciskać.

Franz wyczuł na sobie ich pytający wzrok. Mimo że próbował, nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Grymas nie został najwyraźniej zinterpretowany zgodnie z intencją, bo Werner zapytał niepewnie:

– Mamy szukać innej roboty?

Koschella nie zdążył odpowiedzieć. Drzwi za jego plecami otworzyły się gwałtownie.

– Rozejdźcie się, panowie, mam coś do oznajmienia wachmistrzowi – wyrzucił z siebie Zender.

Jego słowa nie podziałały na nikogo. Ludzie Koschelli przyrosli do ziemi jak skały.

– Dobrze. – Nadwachmistrz pokiwał głową i popatrzył na Franza. – Pamiętaj, wachmistrzu, że te raporty, o których mówił komisarz Richter, mają być wyczerpujące. Codziennie chcę je widzieć na swoim biurku.

– Oczywiście, nadwachmistrzu. Obaj wiemy, co należy do naszych obowiązków.

Zender otworzył usta, ale zaraz je zamknął. Trzasnęły drzwi. Franz znów spojrzął na kolegów z obyczajówki.

– Mamy wolną rękę, panowie.

Nawet jego synowie, Opitz i Haim, nie cieszyli się tak bardzo z nowej zabawki, jak wachmistrzowie z tej krótkiej wiadomości.

*

Franz wyszedł z budynku sądu przy Gartenstrasse z kilkoma opieczętowanymi świstkami papieru, które jeszcze na chodniku rozdzielił między swoich ludzi. Natychmiast zniknęły w przepastnych kieszeniach ich marynarek. Policjanci wyraźnie czekali na coś jeszcze. Franz odchrząknął.

– Wiecie, co macie robić. Sędzia podpisał nakazy rewizji. Jeśli uznacie, że to konieczne, wytypujcie tych, których zabierzecie na przesłuchania. Nie wdawajcie się w dyskusje. Przeszukania zróbcie dokładnie. Jeśli coś znajdziecie, zabezpieczcie jako dowód w dochodzeniu.

– Co, jeśli ktoś będzie stawiał opór?

– Nie sądzę, żeby tak było. Czekają na naszą reakcję. Najprawdopodobniej rewizja niewiele da. Ale nasz cel jest inny. Muszą wiedzieć, że od dziś nie będą mieli tu życia. Wsiądziemy na nich i będziemy ich dręczyć, aż znudzi im się to miasto. A jeśli się mylę i któremuś puszcza nerwy, wiecie, co robić. Macie błogosławieństwo sędziego Klozego i komisarza Richtera.

– Jasne, szefie.

Koschella popatrzył na Makowskiego. Poczł się jak przywódca watahy wilków przed wyruszeniem na łowy.

– Jedziecie dwójkami, do pomocy bierzecie wachmistrzów z porządkowej. Mają zabezpieczać teren, wiedzą o tym. Dwie grupy czekają na Wilhelmsplatz. Dołączę do was później.

Krótkie skinienia głowami. Dotknięcia rond kapeluszy. Policjanci skierowali się w stronę Hotelu Cesarskiego – pierwszego adresu na liście. Druga grupa miała przydzielone adresy kwater wynajmowanych przez „turystów” z Berlina, wyduszone przez obyczajówkę od jej informatorów.

Franz patrzył przez chwilę za swoimi ludźmi. W końcu ruszył w stronę samochodu. Godzinę wcześniej sekretarz Richtera przekazał mu kluczyki do nowego pojazdu. Automobil miał pozostawać od teraz w dyspozycji obyczajówki. Koschella nie łudził się, że to zapowiedź gruntownej zmiany stosunków z komisarzem, musiał jednak przyznać, że jeśli ten podjął jakąś decyzję, to się jej trzymał. A w ważnych sprawach potrafił odłożyć na bok osobiste animozje.

Franz usiadł w nagrzanym wnętrzu. Otworzył okienko, wpuszczając do środka nieco powietrza, i położył dłonie na kierownicy.

Czy wszystko dobrze przemyślał? Kierował się instynktem. To, że wziął na celownik ciało obce, które próbowało zagnieździć się w Kłodzku, wydawało mu się słuszne. Czy z pozycji szefa Wydziału Kryminalnego prowadziłby śledztwo

inaczej? Raczej nie. Włożyłby kij w mrowisko choćby po to, by przekonać się, co z tego wyniknie.

Koschella pokręcił głową. Takie działanie na wycucie mogło się źle skończyć. Miał świadomość, że kieruje się też ambicją. Choćby nie wiem, jak zaklinał rzeczywistość, sprawa była jasna, chciał się odegrać na Zenderze. A przecież powtarzał sobie w duchu, że musi myśleć trzeźwo i bez uprzedzeń.

Czas się kurczył. Gdy morderca dokona zbrodni zapowiedzianych na dwóch kolejnych obrazach, stanie się nieuchwytny. Franz zastanowił się nad tą myślą. Niemal coś mu umknęło. Schulz powiedział mu, że zdaniem Taubego cykl tworzą cztery obrazy. Czy rzeczywiście po tak zaplanowanych zbrodniach morderca miał zamiar zakończyć swoje dzieło? To miał być koniec? Odczuwałby satysfakcję? Zdaniem Franza tak wyrefinowane morderstwa dostarczały skurwielowi emocji nieporównywalnych z niczym. Zaspokajał swoje chore potrzeby jak nałogowiec. A nałóg – to Franz wiedział z doświadczenia – nie jest tak prosto odstawić. Sam był tego przykładem – po wczorajszym papierosie wypalił kilka kolejnych i następny miał już w dłoni. Chyba że to, co kieruje mordercą, to wcale nie jest nałóg...

Franz się zawahał, a potem zaśmiał nerwowo. Uczepił się tej myśli, jakby w obawie, że mu umknie. Czym się kierował ten skurwiel? Nie o chorą satysfakcję tutaj chodziło, Koschella był tego pewny.

Odpalił silnik. Skrzynia biegów zazgrzytała. Wachmistrz zaklął pod nosem i w końcu mechaniczna bestia ruszyła w stronę Wilhelmsplatz. Przyszło mu do głowy, że jazda automobilem dostarcza mu mnóstwa emocji, ale podróżowanie tym środkiem lokomocji nigdy nie stałoby się jego nałogiem. Papierosa wyrzucił przez okno.

*

– Leon, Karl, do mnie!

Schulz popatrzył na kolegów, którzy wstali od biurka i ruszyli do gabinetu Zendera. Czosek, wymijając jego biurko, popatrzył przepraszająco. Wachmistrz mrugnął do niego porozumiewawczo i odprowadził wzrokiem do drzwi. Te po chwili trzasnęły, a w pokoju zapanowała cisza.

Schulz się nie łudził. Wiedział, że Zender zdecydował się go odstawić na boczny tor. Sam mu to zresztą ułatwił. Uśmiechnął się do siebie. Powrócił myślami do poprzedniego wieczoru. Spędził go z Astą. Zadzwoił do niej, mimo że był już środek nocy. Wydawało mu się, że mu odmówi, ale tak się nie stało. Pół godziny później czekał na nią pod bramą kamienicy. Nie wierzył w to, co się działo, dopóki przed nim się nie pojawiła. Uśmiechnął się, przez dłuższy czas

patrzył w jej oczy. Nie krępowało jej to, wręcz przeciwnie, także utkwiała w nim wzrok. Było w tej wymianie spojrzeń coś szczególnego, jakby za pośrednictwem jakichś niewidzialnych fal potrafili przekazać sobie wszystko. Być może po raz pierwszy spojrzeli na siebie w taki sposób, zupełnie się odsłaniając. Schulz nie wiedział, czy sprawiła to ta ciepła noc, czy coś, co dojrzewało w nim samym od długiego czasu. Asta podeszła do niego. Wystawił usłużnie ramię, by mogła go pod nie ująć, ale ona dotknęła jego dłoni, rozprostowała palce i wsunęła pomiędzy nie własne.

Szli w milczeniu. Najpierw opustoszałym rynkiem, potem kamiennym mostem w stronę Promenady. Dotarli nad wodospad. Tutaj przystanęli, odwrócili się do siebie.

To on zaczął mówić pierwszy. Słowa pojawiały się same, miał wrażenie jakiegoś rozdwojenia, jakby wreszcie do głosu doszło jego prawdziwe ja. Słuchała, nie przerywała mu nawet półsłowem. Ten monolog skierowany był do niej, ale był rozrachunkiem z samym sobą. Po raz pierwszy Lothar zdefiniował to wszystko, czego nie potrafił określić i zrozumieć. Pogodził się ze sobą, z tym, kim jest, ze swoimi pragnieniami, oczekiwaniami i całym mnóstwem poniesionych klęsk. Gdy skończył, stanęła na palcach i dotknęła ustami jego ust. Miał wrażenie, że jeszcze raz spijała z jego warg każde wypowiedziane słowo i każde uczucie, które podążyło za tym słowem. Oszołomiony przyciągnął ją do siebie i zamknął w uścisku, dając do zrozumienia, że wystarczą sobie nawzajem, że razem zdołają przetrwać wszystko.

Szum wody odciął ich od rzeczywistości. Być może miał wszystko zagłuszyć, ale ta woda pobudziła inny żywioł, a nawet dwa, które w tej chwili stanowiły jedność. Nie wiedział, dlaczego w uszach rozbrzmiały mu łacińskie słowa belfra: kropla drąży skałę nie siłą, ale częstym padaniem. Schulz wydrążył skałę, której więznielem pozostawał przez lata. Przebił się przez nią dzięki Aście. I nie liczył się nic innego.

Lothar wstał od biurka. Zdążył je uporządkować. Wyrzucił nieliczne osobiste rzeczy i sięgnął po kapelusz. Jeszcze zatrzymał się w progu. Rozejrzał. Nie wiedział w sumie po co. Czy chciał zapamiętać ten moment? A może przywołać jakieś wspomnienie? Przecież nie miał zamiaru patrzeć wstecz. Zostawiał za sobą dawne życie, podjęli z Astą decyzję. Przyszło mu to zadziwiająco łatwo. Już rano, w domu, spakował się do dwóch niewielkich walizek – niewiele jak na blisko pięć dekad życia. Nie gromadził przedmiotów, nie przywiązywał się do niczego i dzięki temu niczego nie żałował.

Zaplanowali wspólny wyjazd. Asta wybrała Jelenią Górę. Tam mieszkała jej siostra, chciała być blisko rodziny. Dla Schulza nie miały znaczenia kierunek ani

miejsce. Szczęśliwym trafem w tym mieście miał znajomych. Był pewny, że prędzej niż później znajdzie tam pracę.

Postawili wszystko na jedną kartę. Wielu uzna ich za niespełna rozumu. Wywracali swoje życie do góry nogami w wieku, w którym każdy liczył już na jakąś stabilność. Inni wykupywali parcele na cmentarzu, a on czuł się jak nowo narodzony.

Schulz zamknął za sobą drzwi. Echo trzaśnięcia poniosło się korytarzem. Głuchy efekt wystrzału. Ten niepozorny dźwięk zmącił mu nieoczekiwanie spokój ducha. Przeszedł go dreszcz. Odegnał od siebie to uczucie, które na chwilę zadziało na niego obezwładniająco. Ruszył w dół schodów na spotkanie z Astą. Mieli jeszcze wiele do omówienia.

*

– Musimy się wykazać – zwrócił się Gurber do Czoska, gdy opuścili gabinet nadwachmistrza Zendera. Usiedli za biurkami naprzeciw siebie. Karl bębnił palcami o pusty blat. – Jak tak dalej pójdzie, to Schulz zostanie naszym nowym szefem. Słyszałeś go dzisiaj? Nawet Richter nie mógł uwierzyć własnym uszom.

Czosek bezwiednie skinął głową. W przeciwieństwie do nowego kolegi poczuł dumę z Lothara. Odczuwał też niepokój. Dostrzegł przemianę Schulza i odniósł wrażenie, że ten zmienił podejście, jakby przestał się czymkolwiek przejmować. W jego przemowie było coś niezwykłego. Schulz wyraźnie przedstawił swoje priorytety, pozbył się obaw i kompleksów. Przemawiał jak człowiek, który doskonale wie, czego chce od życia. Dla Leona było jasne, że Lothar podjął jakąś decyzję odnośnie do swojej przyszłości. I tej przyszłości nie wiązał z Wydziałem Kryminalnym. Musiał mieć świadomość, że reakcją Zendera na jego przemowę będzie zatrzaśnięcie mu drzwi przed nosem. Tak się zresztą symbolicznie stało chwilę po odprawie. Teraz Schulz zniknął z pokoju Wydziału i nawet nie zostawił wiadomości, gdzie jest.

– Germain Ulm.

– Co Germain Ulm? – Czosek otrząsnął się z myśli. Nie dosłyszał wcześniejszych słów kolegi.

– On gdzieś tu jest. Mówię ci. Znajdziemy go!

– Jeśli się pojawi w pobliżu mieszkania, w co wątpię, będziemy przecież o tym wiedzieć.

Gurber pokręcił głową.

– Nie ma na to czasu. – Rozsadzała go energia, wyraźnie chciał działać. Nagle wstał od biurka, chwycił kapelusz i nałożył go na głowę. – Idziesz?

– Gdzie?

- Mam pomysł. Może my wejdziemy w układ z ringvereinami?
 - Żartujesz? – Czosek popatrzył w nieprzeniknioną twarz Gurbera. Coraz trudniej było mu odkryć, kiedy ten żartuje, a kiedy wręcz przeciwnie.
 - Idziesz czy nie?
 - Nie ustalaliśmy tego z nadwachmistrem.
 - A skąd wiesz, że Zender o tym nie wie?
- Czosek zamilkł. Fakt, Gurber często spotykał się z przełożonym sam na sam.
- To jak? Jedziesz ze mną czy siedzisz na dupie?

*

Klein obserwował przez dłuższą chwilę okna wychodzące na Sellgittplatz. Siedział w hotelowej restauracji, zerkając na gazetę i spożywając późny obiad. Nad Kłodzko nadciągnęły ciężkie granatowe chmury. W oddali błysnęło, grzmot rozbrzmiał kilka chwil później.

Obsługa zapaliła światła w pomieszczeniu. Brzęk sztućców i zastawy zabrzmiał wesoło, jakby na przekór ponurej aurze za oknem.

Ktoś włączył radio i w salach restauracji popłynęły dźwięki muzyki. Głosy rozmów gości stały się bardziej ożywione, do Wilhelma dochodził perlisty śmiech jednej z kobiet.

Kapitan zauważył, że pierwsze ciężkie krople deszczu uderzyły o bruk. Kilku przechodniów przyspieszyło kroku. Niektórzy, pochyleni, walczyli z narastającym wiatrem.

Wilhelm przeniósł wzrok na gazetę. Artykuł, który czytał, spowodował, że jego myśli zaczęły krążyć wokół kilku zagadnień. Szukał pomiędzy nimi spoiwa, czegoś, co zawsze potrafił dostrzec w świecie naczyń połączonych. Tutaj te zależności były albo zbyt oczywiste, albo wręcz przeciwnie, brakowało w nich czegoś bardzo istotnego.

Znów pisano o starości. Był to krótki artykuł, w którym dziennikarz zdobył się na bardziej śmiałą opinię dotyczącą Puschkego. Wśród wielu mało istotnych szczegółów kilka budziło jednak zainteresowanie. Puschke w opinii autora tekstu nie należał do urzędników aktywnych i niezależnych. Nie przejawiał żadnej inicjatywy ani nie podejmował prób ratowania podupadających przedsiębiorstw dotkniętych kryzysem. Można było wyczytać między wersami, że kłodzkanie żywili wobec urzędnika głęboką niechęć. Jedyнным jego pomysłem na przeczekanie trudnej sytuacji gospodarczej były zwolnienia i zamrażanie płac. Następnie dziennikarz skupił się na konieczności szybkiego wybrania nowego starosty. Pokusił się nawet o przedstawienie kilku kandydatur. Jednej z nich poświęcił najwięcej uwagi.

Bertram Scheidt wydawał się idealnym kandydatem na wakujący urząd. Cieszył się zaufaniem większości środowisk, ponadto przemawiały za nim działania, które podjął w ostatnim czasie.

Scheidt mógł się pochwalić szerokimi kontaktami w Republice Weimarskiej i poza nią. Sam tworzył system naczyń połączonych, mając zapewne ogromną wiedzę o mechanizmach rynku i aktualnej sytuacji gospodarczej. W przeciwieństwie do Puschkego nie uciekał od tematów społecznych. Przedstawiał rozwiązania, które miały zapobiegać zwolnieniom i niewątpliwie dawały szansę na przejście przez trudny okres w miarę bez szwanku tym, którzy utrzymali pracę. Inwestował także w Kłodzku własny kapitał. Rozpoczął budowę osiedla domów, do czego zatrudniał bezrobotnych mieszkańców.

Klein przewrócił stronę gazety i omiół wzrokiem artykuł związany z ostatnimi morderstwami oraz zdawkowe doniesienia z działalności miejscowej policji. Mówiono o obrazach, zastanawiano się, kto będzie kolejną ofiarą. Pisano też jednak o interwencji lokalnych stróżów prawa w jednym z nowo otwartych klubów w Hotelu Cesarskim. Klein się uśmiechnął. Jak nic Koschella maczał w tym palce. Franz kierował się instynktem, a ta nowa działalność otwarta w czasie kryzysu razila w oczy, była niczym latarnia na skalistym brzegu. W oczywisty sposób miała odciągać uwagę od innych spraw.

Klein wyczuł na sobie spojrzenie mężczyzny, który pojawił się w recepcji hotelu. Ściągał właśnie płaszcz, by odwiesić go na wieszak. Ruszył w stronę kapitana, a idąc, kołysał się na boki. Przytył znacznie w ostatnim czasie. Jego policzki były zaczerwienione, a kręcone siwe włosy zlepiał pot.

– Dzień dobry, profesorze. – Wilhelm wstał od stołu i uściśnął pulchną, ale mocną dłoń.

– Dzień dobry, drogi kapitanie. – August Kuhnast poprawił zsuwające się z nosa okulary. – Proszę o wybaczenie, że wolałem spotkać się z panem tutaj, a nie u mnie...

Klein wskazał krzesło patologowi i ten skwapliwie skorzystał z zaproszenia. Usiadł ciężko i powachlował połamami marynarki. Zapewne duchota panująca na zewnątrz nie ustąpiła mimo nadciągającego burzowego frontu. Zresztą nawałnica najwyraźniej jakimś cudem ominęła Kłodzko, bo przestało kropić.

Wilhelm, widząc tęskny wzrok, którym Kuhnast obdarzył butelkę wody mineralnej, przelał jej zawartość do czystej szklanki.

– Proszę wybaczyć, język mi wysechł na wiór, a mam to i owo do powiedzenia.

Kuhnast łapczywie przełykał płyn. Po chwili z odgłosem ulgi odstawił puste naczynie. Sięgnął po serwetkę i otarł nią usta i wąsy.

– Na czym to ja... a tak! Kapitanie, znam przyczynę śmierci i sposób jej zadania. W przypadku zarówno starosty, jak i Theodora Heigla.

– Zamieniam się w słuch, profesorze.

– Znalazłem u starosty wkłucie w miejscu nieoczywistym, gdybym nie zdecydował się na bardzo szczegółowe badanie, zapewne by mi to umknęło. Zaaplikowana dawka morfiny spowodowała zatrzymanie akcji serca...

– Czym wstrzyknięto morfinę staroście?

Kuhnast pokiwał głową, uznając zasadność pytania.

– To raczej nie była zwykła strzykawka. Średnica igły musiała być nieco większa, rozszerzała się znacznie ku górze. Myślałem o tym długo... Może to być zmyślna broszka, spinka do krawatu ze zbiorniczkiem, może tłoczkiem... Czytałem jakiś czas temu o szajkach przestępczych, które za pomocą takich niebudzących podejrzeń ozdób usypiały pasażerów w pociągach, a następnie dokonywały rabunków. Najczęściej ofiara jedynie zapadała w sen, ale zdarzały się także przypadki śmiertelne.

– Podejrzewa więc pan, profesorze, że morderca starosty posługuje się takim właśnie niepozornym, śmiercionośnym przedmiotem?

– Tak. Chciałem o tym panu powiedzieć, bo to może oznaczać, że zabójstwa mógł dokonać każdy, kto posiada spinkę czy broszkę z ukrytym zbiorniczkiem. Nie potrzeba do tego siły, można dokonać morderstwa w pojedynkę. Wystarczy znaleźć się blisko ofiary. Mężczyzna, kobieta... każdy.

– A co z Heiglem? – Klein popatrzył uważnie na Kuhnasta.

– Z nim sprawa ma się gorzej. Stopień zmasakrowania zwłok nie pozwolił na znalezienie ewentualnego miejsca wkłucia, a badanie krwi... Cóż, niewiele by dało, bo temu mężczyźnie krążyła w organizmie cała tablica Mendelejewa... Żył w każdym razie, gdy zaczęto się nad nim znęcać. A oprawców było przynajmniej dwóch.

– Co mi pan może o nich powiedzieć?

– Niewiele. Silni, bez skrupułów, nie robili tego po raz pierwszy. Działali metodycznie, wykonywali zadanie.

– A co może mi pan powiedzieć o mordercy starosty, profesorze? Jest praworęczny czy leworęczny? Wysoki czy niski?

– Wszystko wskazuje na to, że praworęczny, trudno mi ocenić jego wzrost. Wydaje się, że wbija igłę ruchem od dołu, delikatnie i... z wprawą. To ruch pewny i szybki. Nie znęcał się nad ofiarą.

– Dziękuję za podzielenie się ze mną pana ustaleniami i przemyśleniami.

– Panie kapitanie... – Kuhnast się zawahał. – Wszyscy mówią o dwóch ofiarach... o Heiglu i przede wszystkim o staroście. Zapominają o Grecie Heigl, córce moich przyjaciół. Jej kuzyn wywiózł ją z lecznicy kilka dni wcześniej. Nie

wiadomo, co się działo z nią przez ten czas. Została odnaleziona nieprzytomna przy rodzinnym domu. Przedawkowała opiaty, jej dni dobiegają końca. Nie da się jej pomóc. Poprosiłem wachmistrza Koschellę, by wyjaśnił, co się z nią stało.

– Wachmistrz na pewno pamięta o przyrzeczeniu.

Kuhnast skinął głową.

– Nie wątpię – powiedział. – Wciąż jednak nie mogę przestać tego roztrząsać. Dlaczego ją w to wmieszali...? Te obrazy ewidentnie odnoszą się do ofiar. Ale wygląda na to, że kto inny zabił starostę i kto inny Heigla. Czy Greta po prostu znalazła się w złym czasie i miejscu? Czy to, co ją spotkało, było dziełem przypadku, wynikiem ogromnego pecha?

– Miała pecha, owszem, ale nie wydaje mi się, żeby to był przypadek. Musiała odgrywać w sprawie jakąś rolę.

– Wie pan, o co chcę pana prosić...

– Wiem, profesorze.

– Mogę na pana liczyć?

– Wie pan, że tak.

Profesor pokiwał głową, uśmiechnął się smutno. Podał Kleinowi dłoń. Wydawało się, że chce dodać coś jeszcze, ale zrezygnował. Wstał z fotela i opuścił restaurację.

Kapitan znów spojrział przez okno. Widział, jak patolog kieruje się w kierunku końskiego mostu prowadzącego w stronę rynku. Znów zaczęło kropić, jednak i tym razem chmury wydawały się przechodzić bokiem, jakby nad Kłodzkiem uformował się front odpychający niepożądane zjawiska pogodowe.

*

– Współpraca między obyczajówką i Wydziałem Kryminalnym? Między Koschellą i Zenderem? Pomyśl o sobie, Czosek. Wydaje ci się, że Franz zagra z nami w otwarte karty? – Gurber zatrzymał samochód przy kamienicy na Gartenstrasse, naprzeciw poczty. Był stąd dobry widok na Hotel Cesarski, mogli prowadzić obserwację niezauważeni. – Myślisz, że jeśli tylko będzie miał szansę znaleźć Ulmą, to się wycofa? Powiadomi nas?

Leon milczał, więc wachmistrz ciągnął dalej, nieco zniecierpliwiony.

– Wycycka nas bez wahania i dobrze o tym wiesz! Współpraca, dwutorowe śledztwo... dobre sobie. Myślałem, że wybuchnę śmiechem, jak usłyszałem te brednie Richtera. Ale mniejsza o to. Nasza przyszłość się waży, Leonie. Przyszłość Wydziału Kryminalnego w takiej postaci, w jakiej teraz istnieje. O nasze dupy zawalczy tylko Zender, masz przykład tego, co się stało z Koschellą. Richter zrobił z nim, co chciał. Musisz sobie odpowiedzieć na

pytanie, z kim i w jaki sposób chcesz działać. Wiem, że Zender na ciebie postawił. Tak samo jak na mnie. Sprawa tych zabójstw to działka nasza i, kurwa, tylko nasza. Zgadzasz się ze mną czy nie?

Czosek pozazdrościł nagle Schulzowi. Zdał sobie sprawę, że ten na to pytanie już sobie odpowiedział. Czy on miał w sobie tyle siły? Już raz znalazł się w podobnej sytuacji. Pytania tego rodzaju zadawali mu koledzy, wachmistrzowie z kłodzkiego więzienia. Miał wybór: mógł albo do nich dołączyć, albo zrezygnować z pracy strażnika więziennego. Gdy podjął decyzję, Koschella wyciągnął do niego pomocną dłoń. Czego nauczyła go tamta sytuacja?

– To co robimy? – zapytał Gurbera.

Widział, jak twarz tamtego się rozchmurza, jak kąciki ust wędrują w górę.

– Zaraz nalot się skończy, wejdziemy na urobionego już skurwiela, który zarządza tym przybytkiem.

– W porządku. – Leon skinął głową.

Gurber poklepał go po ramieniu. Leon także się uśmiechnął, jednak z zupełnie innego powodu niż kolega.

Kilkanaście minut później policjanci obyczajówki wyszli z Hotelu Cesarskiego. Był wśród nich Franz. Wydał krótkie instrukcje swoim ludziom i wsiadł do samochodu. Przez chwilę miał problem z wycofaniem pojazdu; nie należał do najlepszych kierowców, o tym wiedzieli wszyscy w magistracie. Gurber zarechotał pod nosem, gdy auto wachmistrza zjechało z krawężnika i zgasło. W końcu jednak Koschella odjechał w stronę Wilhelmstrasse.

– Nasza kolej – rzucił Karl i wysiadł z samochodu.

Czosek do niego dołączył. Obaj trzasnęli drzwiami. W dłoni Karla znalazła się paczka papierosów, wyciągnął ją w stronę kolegi, ale Leon odmówił. Gurber wzruszył ramionami. Po chwili zaciągnął się dymem.

Ruszyli w stronę ronda, przecięli je i weszli do budynku. Miny ochroniarzy mówiły wszystko o tym, co właśnie się tu wydarzyło. Zdaje się, że chcieli sobie odbić na nowych przybyszach doznane upokorzenia, ale machnięcie blachami policyjnymi wystarczyło, by oklapli ponownie.

Czosek się rozejrzał. Hol wyraźnie podzielono na dwie części. Kontuar z recepcjonistą – przyglądającym się wydarzeniom z żywym zainteresowaniem – znajdował się po lewej. Ochroniarze okupowali szatnię i prawą część holu, gdzie znajdowało się zejście do niższych pięter budynku.

– Szef gdzie?

– Dopiero co z nim rozmawialiście.

– Przypominasz sobie, Leonie, żebyśmy z kimś... dopiero co rozmawiali? – Gurber uniósł brwi, spoglądając pytająco na Czoska.

– No, policja znaczy się. – Ochroniarz był wyraźnie zagubiony. – Dopiero co od was tu byli.

– Jeszcze raz powtórzę pytanie – rzekł Gurber z udawaną słodyczą. – Gdzie szef?

– Słucham?

Czosek odwrócił się w stronę schodów. Stał na nich mężczyzna, którego już widział. Ten sam, którego Koschella zatrzymał na przesłuchanie, a Zender kazał zwolnić. Junior. W przeciwieństwie do swoich ludzi nie wyglądał na poruszonego ani wcześniejszą wizytą kłodzkiej policji, ani tą obecną.

– Zapraszam.

Gurber popatrzył ironicznie na ochroniarzy. Wyglądali jak zbite psy. Obaj z Czosekiem ruszyli schodami na górę.

Zarządca szedł niespiesznie, nie oglądał się za siebie. Znaleźli się w korytarzu na piętrze. Tu skręcili w lewo, kierując się do pierwszych drzwi.

Gabinet szefa klubu nie wyglądał zbyt imponująco. Stały w nim tylko masywne biurko, kilka krzeseł i osamotniony stolik w narożniku. Jedyne okno wychodziło na Wilhelmsplatz. Puste regały ciągnęły się wzdłuż ścian, tu i ówdzie wisiały widoczki hrabstwa kłodzkiego.

Junior zasiadł w fotelu. Nie odezwał się, nie zachęcił do zajęcia miejsc. Gurber zaszurał krzesłem, usiadł na nim ciężko. Czosek, uznawszy, że to jego partner będzie prowadził rozmowę, z miejsca siedzącego nie skorzystał. Stanął przy ścianie i zapatrzył się w jedną z akwarel.

– Ten lokal jest już spalony, nikt do niego nie przyjdzie – odezwał się Karl.

– To prawda, mocno się o to postaraliście, panowie.

Gurber założył nogę na nogę, odchylił się na oparciu. Znów sięgnął po papierosy. Zaszleściło opakowanie, pstryknęła zapalka. Kłęb dymu uniósł się nad głowami siedzących.

– Nie wygląda pan na zmartwionego.

– A powinienem?

– Trudno uwierzyć, że nie przejmuje się pan interesami swojego szefa czy też... szefów?

– Trudne czasy nastały, żaden interes nie jest pewny. Mebel, żeby dobrze stał, musi mieć kilka nóg.

– A to ciekawe. – Gurber zaśmiał się ochryple, splunął tytoniem na podłogę. – Jedną nogę Franz Koschella wam utracił. To ile tych nóg macie, że nie boicie się upadku?

Junior nie odpowiedział. Sięgnął po pudełko z papierosami leżące na biurku i także zapalił.

– Co panów do mnie sprowadza? – zapytał, gdy już zaciągnął się dymem i wystarczająco przyjrzał się swoim gościom.

– Może właśnie te nogi, panie Heller. Przetrącenie jednej może wam nie zaszkodzi, ale już dwóch czy trzech może przysporzyć kłopotów.

– Słucham.

Czosek oderwał wzrok od obrazka, spojrzął na zarządcę klubu. Pewność siebie tego człowieka była zadziwiająca. Jakby rzeczywiście nic sobie nie robił z tego, co stało się z miejscem, w które zainwestowano zapewne mnóstwo gotówki. Jakby wszystko było wkalkulowane w ryzyko.

– Widzę, że jest pan koneserem sztuki. – Gurber wskazał papierosem kilka obrazów wiszących na ścianach.

Bruno Heller nie potwierdził ani nie zaprzeczył. Wypuścił kolejny kłęb dymu.

– To jakiś znany malarz? – dociekał Gurber.

– Nie sądzę.

– Ale kto wie, czy nie będzie znany? Słyszałem o takich, którzy za życia w ogóle byli niedoceniani, zmarli w biedzie, a po śmierci ich obrazy stały się warte fortunę.

– Zna się pan na sztuce?

– O tyle, o ile. Tak sobie myślę, że to wcale niegłupi pomysł zainwestować w jakieś dzieło tego czy tamtego artysty. Może się tak zdarzyć, że kupi się za bezcen jego bohomaz, a potem, gdy ten będzie sławny, zrobi się na tym fortunę.

– Ryzykowny interes. – Heller wydawał się poważnie rozważać słowa Gurbera. – Długoterminowa inwestycja bez gwarancji powodzenia. Taki artysta może przeżyć nawet inwestora.

– A jednak upierałbym się, że dobra znajomość rynku sztuki może pomóc w osiągnięciu sukcesu.

– Jest pan zainteresowany jakimś szczególnym twórcą? – zainteresował się Bruno.

– Mam jednego na oku. Wydaje się, że warto w niego zainwestować. Aktywnie pracuje na swoją rozpoznawalność, w dodatku nie wiadomo, czy długo pożyje.

– Ciekawe argumenty. Zwiększają szansę na dobrą inwestycję.

– Właśnie – zgodził się Gurber. – A przecież pan zna się na interesach, inaczej nie powierzono by panu opieki nad klubem i zapewne innymi licznymi... nogami, na których opiera się działalność pańskich szefów.

Czosek z uwagą i zdziwieniem przysłuchiwał się tej rozmowie. Nie był pewny, czy w ogóle coś z niej zrozumiał.

– Zainteresuję się tym twórcą – odpowiedział Junior. – Chętnie będę pośredniczył w kontakcie między panami i pomogę w nawiązaniu współpracy. Oczywiście nie działamy jako organizacja charytatywna.

– Oczywiście – zgodził się Gurber. – W końcu stół czy krzesło pewniej stoją na czterech nogach niż trzech czy, nie daj Boże, jednej.

Partner Czoska zgasił papierosa w popielniczce. Zarówno on, jak i Heller wstali od biurka. Uścisnęli sobie dłonie. Szef klubu wyciągnął także dłoń w stronę Leona. Asystent policyjny wahał się chwilę, czuł jednak na sobie przynaglający wzrok Gurbera. Uścisnął lepką, delikatną dłoń.

Wychodząc, popatrzył jeszcze raz na obrazki wiszące na ścianach.

Ten, kto je tutaj zawiesił, nie miał gustu. W twórcę tych bohomazów on sam nie zainwestowałby nawet feniga. Widać jednak nie trzeba było być wielkim marszandem, by robić na tym polu interesy. Gurber rozpoczął nowe rozdanie. Zrobił to sam czy z polecenia Zendera? Czošek wiedział, że na to i inne pytania będzie musiał szybko znaleźć odpowiedź.

*

Kościelny Lischke znów nie mógł spać i wiercił się na poskrzypującym łóżku. Przeszkadzało mu światło latarni, irytowała poświata bijąca od murów kościoła. Przez jakiś czas wpatrywał się w ścianę i sufit. Regularny wzór firany na tynku mocno go zaniepokoił. Przypominał sieć na ryby. Ogarnęło go nieprzyjemne wrażenie, że taką sieć zarzucono na niego i ktoś za nią teraz ciągnie, pozbawiając go oddechu. Ucisk w klatce piersiowej towarzyszył mu od dłuższego czasu, powodował narastanie lęku.

Czego się Lischke bał? Przecież nie śmierci. Ona musiała nadejść i był na nią gotowy. Gdy patrzył wstecz na swoje życie, widział, że przeżył je uczciwie. Bóg obdarzył go licznymi łaskami, dał długie, pełne szacunku małżeństwo, spokój ducha, zdrowie. Choć żonę stracił po ciężkiej chorobie, a syna zabrała mu Wielka Wojna, nie narzekał, nie skarżył się już i nie przeklinał Stwórcy. Chwile zwątpienia, jeśli takie przychodziły, znikwały pod wpływem modlitwy. Błuznierstwa, które czasem penetrowały myśli, milkły, gdy za nie w duchu przeproszał.

Wiele dały mu rozmowy z księdzem Reiserem. Gdy był niczym zwierzę, uderzał pięściami o ścianę, rwał włosy z głowy i przeklinał Boga za to, że nie uchronił jego żony i syna, zjawił się on. Stał w progu tego mieszkania, popatrzył na leżącego bezsilnie Lischkego, prześwidrował go wzorkiem, przeniknął przez jego umysł. I wtedy po raz pierwszy Lischke pomyślał, że pod wpływem tego spojrzenia unosi się, że wystarczy chwila, by jego dusza oderwała się od ciała i poszybowała gdzieś wysoko, w sobie tylko znaną przestrzeń. Odniósł wrażenie, że rozpada się, że każda z cząstek jego ciała gubi się, tak jak on sam, gdy zatracił swoją drogę. Ten rozpad się pogłębiał, był doznaniem, które

powinno budzić przerażenie, tak jednak nie było. Lischke przyzwał na to, co się z nim działo. Patrzył w oczy młodemu księdzu i miał wrażenie, że wszystko dzieje się zgodnie z planem. Ze zdumieniem dostrzegał i rozpoznawał części, które składały się na jego istotę. Był tam ból i smutek, była też radość. Był dzień, w którym po raz pierwszy ujrzał Gretę, i dzień narodzin ich jedyne, wymodlonego syna. Był kolejny, w którym spojrzął żonie w oczy po raz ostatni, i ten, w którym znalazł w „Kreisblatt” imię i nazwisko ich pierworodnego na liście poległych.

Nie wiedział, jak długo trwała tamta chwila – może minutę, godzinę, może całą wieczność. Gdy w końcu rozpad został zahamowany, proces ten się odwrócił. Jak w samochodzie, gdy ktoś wrzuci bieg wsteczny i po śladach opon powróci w to samo miejsce. Lischke ze zdziwieniem przyjmował fakt, że myślał wtedy tak jasno. Obserwował wszystko z boku niczym widz niezwykłego przedstawienia. Choć został poskładany na nowo, to nie był tym samym człowiekiem. Rozumiał, że składające się nań części dotąd połączone były chaotycznie, że sklejjące je spoiwo stanowiły jedynie emocje, których nie rozumiał. Po tym wszystkim wypełniły go spokój i zrozumienie. Leżał wciąż na podłodze, zaszklily mu się oczy, a postać księdza się rozmazała. Duchowny wycofał się z pokoju, a jego kroki na klatce schodowej rozbrzmiewały jeszcze długo. Jakby odmierzały upływający czas, ten, który Lischke miał jeszcze przed sobą.

Kościelny przesunął spojrzenie na próg, jakby się spodziewał znów ujrzeć na nim Reiserera. Wydało mu się, że klamka drgnęła pod wpływem nacisku, ale zaraz powróciła na swoje miejsce, jakby ktoś po drugiej stronie się rozmyślił.

Lischke opuścił gołe stopy na podłogę, usiadł na łóżku. Znów to rozedrganie. Powracało coraz częściej. Nie panował nad nim, tak jak nad myślami, które stawały się chaotyczne i niezrozumiałe. Sięgnął w stronę stolika, podniósł z niego niewielki krucyfiks. Jediną pamiątkę po księdzu, rzecz, która Reiserowi była tak bliska...

Pomodlił się krótko i odłożył przedmiot na miejsce.

Podniósł się ciężko. W kolanach odezwał się suchy trzask. Kościelny nie próbował się nawet wyprostować, nie chciał walczyć z bólem pleców. Ruszył do kredensu, sięgnął po dzbanek z wodą. Napił się z dzióbka, głośno przełykając ciepłą wodę.

W końcu otarł usta wierzchem dłoni. Na oświetlonej ścianie pojawił się cień, jakby coś przesunęło się za oknem.

Lischke odłożył dzbanek na serwetę, odwrócił się. Wolno podszedł do parapetu, spojrzął na kościół rozświetlony blaskiem księżyca. Smuga srebrzystego światła przenikała mglistą zawiesiną, którą oblepione były kościelne

wieże. Lischke wyteżył wzrok. Chciał odrzucić od siebie to, co podszeptowała mu wyobraźnia, chciał się uwolnić od wizji, których doświadczał w chwilach słabości.

Cień w migotliwej otoczce, potężny i złowrogi, oderwał się od dachu i sunął teraz wolno wzdłuż mostku. Zmierzał od jednej wieży do drugiej z szeroko rozstawionymi ramionami. Lischke wstrzymał oddech, nie mógł uwierzyć w to, co ukazało się jego oczom.

Sięgnął przez firankę w stronę kłamki. Zamarł jednak, gdy dotknął chłodnego uchwytu. Bał się, że przepłószy tę wizję.

Postać zatrzymała się na krawędzi dachu. Gdy się zachwiała, Lischke wydał z siebie chrapliwe westchnienie. Zupełnie jakby miała się powtórzyć tamta scena, gdy ksiądz Reiser runął na brukowany plac u stóp kościoła. Tym razem jednak nie doszło do tragedii. Osobnik stał nieruchomo, wpatrując się w nocne niebo. Potem spojrział w okno Lischkego. Trwało to jedynie chwilę, ale kościelny znów poczuł to, co za pierwszym razem, gdy Reiser stanął w progu jego pokoju.

Naraz plac Kościelny spowiła mgła. Kontury świątyni i stojącej na jej dachu postaci rozmyły się i znikły w gęstej zawieszynie.

*

Kleina obudził narastający, przenikliwy dźwięk. Usiadł na łóżku, próbując odszukać źródło hałasu. W końcu opuścił nogi na dywan, wstał i podszedł do biurka. Sięgnął po słuchawkę i przyłożył ją do ucha.

Świszczący oddech po drugiej stronie przerwał nerwowe kasznięcie.

– Pan kapitan? Kapitan Wilhelm Klein?

– Słucham.

Klein rozpoznał głos Lischkego. Wyczuł w nim nerwowość, rozedrganie.

– Panie kapitanie... on... on wrócił!

Wilhelma ogarnęło poczucie nierzeczywistości tej chwili. Firanka przy powiewach dochodzących od uchylonego okna poruszała się niespokojnie, blade światło wpadające do pokoju dotykało palców jego stóp.

– Kto wrócił? – zapytał.

– Kto? – Świszczący oddech ucichł. Jakby jego właściciel nagle zapomniał, co chciał powiedzieć.

– Kto wrócił, panie Lischke?

– Ksiądz Reiser. On wrócił do Kłodzka...

*

Klein przejął klucz od kościelnego. Ten spoglądał w górę, jakby spodziewał się dostrzec kogoś wychylającego się przez gzyms wieży. Klucz był ciepły, parzył skórę. Przez cały czas oczekiwania na przybycie Wilhelma Lischke musiał go ścisnąć w dłoniach.

– Sam pójde – oznajmił kapitan.

– Oczywiście, tak, tak... – Stary się wycofał, jego twarz zniknęła w cieniu. Jedynie oczy świeciły się chorobliwie. – Kapitanie, czego on tu szuka... To nie może być Reiser, prawda?

Klein nie odpowiedział. Ruszył do drzwi. Otworzył je i wkroczył do wnętrza świątyni. Włączył latarkę wręczoną mu przez Lischkego.

Spoglądał teraz nań pustym wzrokiem jeden ze świętych. Gdzieś na granicy cienia pojawiały się kolumny, obrazy i malowidła. Kapitana nie opuszczało uczucie nieustannego ruchu tych martwych przedmiotów. Rozbrzmiało echo kroków, w tej ogromnej przestrzeni, ich dźwięk odbijał się od wysokich sufitów i odległych ścian. Wilhelm znalazł się na klatce schodowej prowadzącej do wieży. Ruszył nią w górę, nasłuchując.

Wspinał się bez pośpiechu, odrapany tynk znaczyły brudne smugi. Woń stęchlizny uderzała w nozdrza, wilgoć, kurz mieszały się ze sobą. Ta część świątyni miała zapach niemytego ludzkiego ciała.

Klein z ulgą wydostał się na świeże powietrze. Zza okiennic wyższej z wież widział ostre linie dachów. Nieliczne plamy światła rozlewały się na ścianach budynków i nitkach ulic. Ledwie dostrzegał twierdzę. Gdzieś wysoko, jakby w próżni, rozbłysnął ognik światła, zaraz jednak znikł. Być może wartownicy przemieścili się na murach od południowej strony fortyfikacji.

Kolejne dwa ogniki Klein dostrzegł zupełnie blisko. Były żywe, ludzkie. Cień oddzielił się od dachu, przesunął wolno w stronę gzymsu. Cofał się teraz, krok za krokiem, jakby niepewny, czy nie zawodzą go oczy. Dostrzegł Kleina stojącego nieruchomo, choć równie dobrze mógł go wziąć za przywidzenie.

– Jesteś prawdziwy?

Wilhelm znalazł się na mostku łączącym obie wieże. Zatrzymał się. Bardziej wyczuwał, niż widział stan nieznajomego.

– Jestem – odpowiedział.

Mężczyzna zatrzymał się na skraju dachu, przykucnął. Wyglądał niczym nieco większy posąg gargulca. Znieruchomiał.

– Przyszedłeś po mnie?

Klein oparł się o murek, milczał. Dach i kamienne mury wciąż oddawały ciepło dnia. Czuł pot tego człowieka i jego strach. Tamten drżał, być może trawiony gorączką. Do kapitana docierała także woń wina, zapewne znalezionej w zakrystii.

– To dobrze, to wreszcie się skończy.

– Co się skończy, Germain?

Ulm drgnął, jakby brzmienie własnego imienia było dla niego czymś nowym.

– To wszystko. To, co rzeczywiste, i to, co dzieje się tu. – Dłoń Germaina uniosła się na wysokość głowy, wskazujący palec wbił się kilka razy w czoło i skroń. – Nie rozróżniam, nie potrafię. Już nie wiem nic...

– Powiedz mi o obrazach.

Karzeł potrząsnął głową, zaśmiał się.

– One są prawdziwe, tylko...

– Kto ci je zlecił?

– Ktoś, nie wiem, nie pamiętam... Może ksiądz Reiser... Lecz nie wiem, czy świadomie. On wiedział, jak będą wyglądać. Widział je, zanim powstały. Potrafił je opisać, dokładnie, ze wszystkimi szczegółami. Może kierowałem się jego wskazówkami? Wystarczyło, że przemówił, wystarczyło go słuchać.

Ulm złożył brodę na kolanach. Zaczął się kołysać w przód i w tył. Wzrok utkwiał w punkcie gdzieś daleko przed sobą.

– Z kim o nich rozmawiałeś?

– Rozmawiałem.

– Z kim, Ulm? Komu mówiłeś o obrazach?

– Ona o nich wiedziała. Była moją Marią Magdaleną... Przychodziła wiele razy, potrafiła tak pięknie o nich mówić. Tymi samymi słowami co Reiser. Ona też wiedziała...

– Co wiedziała?

– Jak to się wszystko skończy. Musiała wiedzieć.

– Oddałeś jej obrazy? To ona je wzięła?

– Nie wiem. Może nie ona.

Wilhelm zauważył, że Ulm przestał się kołysać. Jakaś nowa myśl spowodowała, że coś się w nim zmieniło.

– Przychodziła sama?

– Sama.

– Za każdym razem?

Ulm przestał się kołysać.

– Był ktoś jeszcze. Ktoś, kogo znała?

Kapitan zobaczył, jak ogniki oczu koncentrują się na nim.

– Kim jest ten mężczyzna, Ulm?

– Nie wiem. Nigdy nie widziałem jego twarzy, nawet jeśli patrzyłem wprost na niego, jakbym patrzył przez mgłę. Jak we śnie. Choćbym nie wiem jak się koncentrował, ta zasłona – Germain przesunął własną dłoń przed oczami – okazywała się nieprzenikniona. Zmieniała się, była płynna, niedokończona...

Klein oparł się o barierkę, spojrzął na miasto pogrążone we śnie. Ulm także śnił, ale na jawie.

- Opisz go. To, co nie było płynne.
- Długie palce, wypielęgnowane paznokcie.
- To wszystko?
- Nie pamiętam nawet jego głosu. Chociaż...
- Czy to mógł być Heigl? Theodor Heigl?
- Może... może on? Dlaczego on?

Wilhelm znów spojrzął na Germaina. Także doznał dziwnego uczucia, czegoś na granicy snu i jawy. Daleki horyzont pojaśniał, wstawał dzień. Świt obudził cienie tam, gdzie nie powinno ich być. Przez chwilę Kleinowi zdawało się, że za plecami Ulma pojawiła się gęsta, falująca materia, jakby mężczyzna okryty był grubym pledem.

– A ona? Opiszesz jej wygląd?
– Niższa od ciebie o głowę, kruczoczarne włosy. Oczy jak burzowe niebo. Gdy ją zobaczysz, będziesz wiedział, że to ona, nawet gdyby obok siebie stało kilka kobiet o tych samych cechach.

- Wiesz, gdzie ją znajdę?
- Nie znajdziesz. Ona znajdzie ciebie, jeśli będzie chciała.
- Skąd przypuszczenie, że będzie mnie szukać?

Ulm zastanowił się nad słowami Kleina.

– Nie mam na to odpowiedzi. Mnie znalazła.
– Gdzie zobaczyłeś ją po raz pierwszy?
– Naprzeciw mojego domu... – Germain się zawahał, znów skulił się w sobie.
– Pośród wielu innych twarzy była ta jedna, która od razu przyciągnęła mój wzrok. Potem widywałem ją często...

Wilhelm odsunął się od barierki. Miasto budziło się do życia. Od kościelnego placu niosło się terkotanie wózka, gdzieś strzeliła okiennica. Ktoś zagwizdał wesoło, od głównych ulic dotarł warkot silnika.

- Jest tylko jeden sposób, żeby to zakończyć, prawda?

Klein zdał sobie sprawę, że Ulm stoi tuż obok niego. Karzeł wspiął się na palce i spojrzął w dół, poza linię dachu.

- Czy wtedy sen się skończy? Czy wtedy się obudzę?
- Nie znam odpowiedzi na to pytanie.
- Ten sen nie był wcale zły. Często są gorsze, prawda?

Czy Klein znał odpowiedź na to pytanie?

- Bywają gorsze – odpowiedział.

Ulm skinął głową, uśmiechnął się, jakby słowa Wilhelma go uspokoiły, jakby właśnie ich się spodziewał.

– Nie przyszedłeś po mnie, prawda?

– Nie, nie przyszedłem po ciebie.

– Nie wiem, czy to dobrze, czy źle. – Ulm przeniósł wzrok na linię dachów. – Mam przeczucie, że to jest moje miejsce, że tutaj wszystko się kończy i zaczyna. Może tak samo pomyślał ksiądz Reiser w ostatnich sekundach życia? Na pewno się wahał. Ja nie będę się wahał...

Kapitan puścił barierkę i odsunął się od niej. Przez chwilę patrzył na Ulma, ten jednak, jak się wydawało, zapomniał o obecności Kleina.

Wilhelm wykorzystał tę chwilę i ruszył w stronę drzwi.

– Gdy Reiser zobaczył mnie po raz pierwszy, powiedział, że mój los i jego los będą związane. On wiedział, prawda?

Klein przystanął. Nie odwrócił się.

– Mówił też o tobie. O tym, że mój los związany będzie z tobą.

– Mylił się – odparł Klein. – Ja ze swojego snu już się obudziłem.

– Nie. – Ulm potrząsnął głową. – Śnimy ten sam sen.

Kapitan chwycił za klamkę i ruszył w dół schodów. Miał wciąż przed oczami postać Germaina Ulma. Cień, który w ślad za nim przesuwiał się po połaciach dachu, do złudzenia przypominał poruszające się skrzydła.

*

Przeraźliwy krzyk spłoszył stado gołębi, które przysiadły na cokole miejskiej studni i głowie lwa. Jeszcze przed chwilą były jedynymi widzami niezwyklej sceny. Tuż obok fontanny stała ostatnia z lamp gazowych. Stała się punktem orientacyjnym i dawała chwilę wytchnienia mieszkańcom, którzy po upojnej nocy spędzonej w którejś z karczm podejmowali się uciążliwej wędrówki w dół lub górę rynku, gdy po ciężkim dniu wracali do domów. Postój trwał zwykle nieco dłużej, gdy delikwent próbował łapać pion i oddech. Przypominało to niezwykle taniec bezwładnego osobnika ze sztywną niczym stalowy pręt partnerką. Czasem taniec ten kończył się wywrotką i przekleństwami, czasem przytulaniem i szeptaniem czułych słówek, a nawet próbami udobruchania małżonki.

Teraz jeden z takich delikwentów zdawał się obejmować słup lampy. Wydawało się, że przysnął w pozycji klęcznej, z barkiem wspartym o stabilną podstawę i zwieszoną głową. Jednak bladość jego ciała, liczne nacięcia na skórze i ozdoba okalająca czaszkę kazały sądzić, że człowiek ten spędził noc cięższą niż ci, którzy po prostu raczyli się trunkami.

Ten widok dobrze zinterpretowała przekupka, która zmierzała w stronę rynku, by zająć dobre miejsce na targu. Krzyk, który wydobył się z jej gardła, poniósł

się echem po uliczkach odchodzących od rynku.

Zaraz w oknach pojawili się rozbudzeni gapie, drzwi od sklepu Albinusa Schmidta otwarły się na oścież, wybiegł z nich młody ekspedient. Zatrzymał się przy kobiecie, a gdy spojrzał na to, co wywołało u niej tę gwałtowną reakcję, zgiął się wpół i zwrócił poranne śniadanie.

Zaroilo się od ludzi. Ktoś pobiegł do magistratu. Policja porządkowa miała zaledwie kilka kroków do miejsca, w którym odnaleziono zmasakrowane ciało. Postawiono na nogi wszystkie służby, trudno było bowiem zapanować nad tłumem, który ciasnym pierścieniem otoczył fontannę i latarnię. Kilka kobiet klęczało, inni zegnali się znakiem krzyża, jeszcze inni po prostu patrzyli z szeroko rozdziawionymi ustami. Widok, który mieli przed oczami, wydawał się bowiem nierzeczywisty.

W końcu z magazynów magistratu wyciągnięto bariery, odsunięto tłum na sporą odległość, a ciało otoczono drewnianą konstrukcją z przybitym do niej brezentem. Patrząc na to, wielu przypominało sobie, co działo się parę lat temu na kamiennym moście, zaledwie kilkaset metrów od lwiej studni.

Tłum milczał, nieliczne szmery zaraz cichły. Policjanci kazali rozstąpić się ciżbie, by umożliwić przejście fotografowi. Nadwachmistrz Zender pojawił się towarzysztwie swoich ludzi i zniknął za parawanem. Zaraz też na miejsce dotarli komisarz Heinrich Richter i doktor August Kuhnast. Jednak to przybycie Franza Koschelli wzbudziło największe zainteresowanie. Zaraz też wszyscy zaczęli mówić o kapitanie Kleinie. Wielu dowodziło, że ten zdążył już przedrzeć się niezauważony na miejsce zbrodni.

– Komisarzu, doktorze...

Richter ledwie zauważalnie skinął Koschelli. August Kuhnast za to wyciągnął do wachmistrza dłoń i mocno ją uściśnął.

– Gapiów pościagać z kamienic. Okna mają być zamknięte. Jeśli ktoś się nie stosuje, to karać! – oznajmił ochrypłym głosem szef kłodzkiej policji.

Porządkowi od razu przystąpili do wykonania polecenia. Komisarz jeszcze raz obrzucił spojrzeniem okoliczne budynki i krzywiąc się, ruszył w stronę latarni. Dwóch policjantów rozsunało przed trójką mężczyzn parawan. Wyminęli się w tym przejściu z fotografem, który najwyraźniej wykonał już swoją robotę.

Trup wciąż przywiązany był do latarni. Jeden z policyjnych techników zabezpieczał ślady z jego otoczenia. Na fragmencie brezentu ułożył kilka śmieci.

Miejsca było niewiele, Koschella pozostał więc nieco z tyłu. I tak miał wystarczająco dobry przegład pola.

Richter przez dłuższą chwilę wpatrywał się w denata.

– A więc kolejny? – rzucił w przestrzeń, zapewne nie oczekując odpowiedzi.

Do tej wrywał się Zender.

– Kolejny – potwierdził. – Tak jak na obrazie, który dotarł do Franza Ludwiga. Przynajmniej wiemy już, że nie chodziło o burmistrza...

– Profesorze Kuhnast? – Richter zwrócił się do patologa, który zdążył poddać ciało pierwszym oględzinom. – Co może nam pan powiedzieć?

– Żył, gdy się nad nim znęcano. Obecnie trudno mi ustalić przyczynę śmierci, żadna z tych ran bowiem śmiertelna nie była. Zastosowano narzędzie, które, jak widzimy, bardzo mocno okaleczyło denata. Był to zapewne bicz, szczególne narzędzie tortur zdolne wyrwać kawałki żywego ciała. Przypuszczam, że doszło do zatrzymania akcji serca. Mogło to nastąpić na skutek szoku i bólu, być może jednak doprowadzono do śmierci farmakologicznie.

– Wstrzyknęli mu morfinę? Tak jak staroście? – zapytał Zender.

– To zdołam ustalić dopiero po przeprowadzonej sekcji i badaniach – odparł Kuhnast.

– Mamy więc kolejną ofiarę. – Nadwachmistrz uznał, że czas przejąć inicjatywę. – Sposób zadania śmierci różni się w każdym przypadku, jednak widać tu konsekwentne wypełnianie scenariusza.

– Ja widzę brak konsekwencji – odezwał się Koschella.

Był świadom efektu, jaki przyniosą jego słowa. Jedyne Kuhnast pokiwał głową, jakby zgadzał się z jego oceną. Franz nie miał zamiaru czekać na przyzwolenie czy zachętę do rozwinięcia myśli.

– Greta Heigl nie znalazła się na żadnym obrazie, a jasne jest, że liczono, iż dawka morfiny ją zabije. To pierwsze odstępstwo. Morderca wstrzyknął staroście Puschkemu morfinę, potem przeciął mu tętnice. Oszczędził mu cierpień. Heigla dla odmiany zamęczono. Zastanawiająca zmiana. Czy Heigl zasłużył sobie w mniemaniu mordercy na cierpienie bardziej niż Puschke? I dzisiejsza ofiara. Sądzę, że pastwiono się nad nią godzinami...

– Bardzo prawdopodobne – przyznał Kuhnast.

– Sugeruje pan, wachmistrzu, że starostę zabił ktoś inny niż Heigla i tego tutaj?

– Uważam, że musimy wziąć to pod uwagę.

Richter spojrział na Kuhnasta. Ten delikatnie skinął głową, a komisarz zazgrzytał zębami.

– Ktoś rozpoznaje ofiarę? – zapytał. – Może to nam rzuci trochę światła na tę sprawę.

– Ja wiem, kim jest ten tutaj – oznajmił Franz. – Mimo cierniowej korony na łysej czaszce.

Wszyscy wpatrzyli się w wachmistrza.

– To Łysy. Do niedawna mienił się królem kłodzkiego półświatka. W ostatnim czasie jego interesy podupadły, a on sam zaszył się na Niedergasse. Widać na nic mu się to nie zdało. Dla mnie to znak, że musimy się szykować na wojnę.

– Jaką wojnę, Koschella? – zapytał lodowato Zender.

– Ludzie Łysego nie zostawią tej sprawy. Szykuje nam się mały armagedon. Żadna ze stron nie odpuści, na naszym podwórku dojdzie do konfrontacji. To, co mówił mi Schwarz w Hotelu Cesarskim, zaczyna nabierać sensu. Jeśli nasi turyści z Berlina chcieli się tutaj zdomowić i spokojnie prowadzić interesy, to nie zdołają tego zrobić.

– Nie będzie wojny na ulicach naszego miasta, czy to jasne? – wychrypiął Richter.

– Musielibyśmy ich wszystkich aresztować, a to niewykonalne. W każdej chwili z Berlina mogą nadjechać posiłki.

– Aresztujmy więc ludzi Łysego – zaproponował Zender. – Nie jest ich chyba tak wielu.

– Jak długo będziemy ich trzymać? Kilka dni? Tydzień, miesiąc?

– Masz inną propozycję, Koschella? – rzucił komisarz.

Franz się zastanowił. Coś mu świtało w głowie.

– Jest pewne wyjście – powiedział. – Niech się wytluką, ale... na naszych warunkach.

– Panowie, ja już tutaj skończyłem. – Kuhnast wyraźnie się zniecierpliwił. – Możecie denata odciąć i przetransportować na Jurandów. Nic tu po mnie.

– Dziękuję, profesorze. – Richter nawet nie spojrzał na patologa. Rozwazał słowa Koschelli.

Mężczyźni patrzyli, jak Łysy zostaje odwiązany od latarni i ułożony na noszach. Karawan podjechał pod studnię. Otworzono wąskie przejście i włożono denata do środka. Po chwili samochód odjechał.

– Chcę znać twój plan, Franz, ze szczegółami. – Richter spojrzał na Zendera. Ten być może chciał coś powiedzieć, ale nie pozwoliły mu na to zaciśnięte szczęki. – Czekam też na sugestie dotyczące tego, kto wywołał ten chaos i kto pociąga za sznurki. Bo to jasne, że wszystko zostało zaplanowane i nie chodzi o żadne wizje księdza Reisera!

*

Klein zatrzymał się przed atelier fotograficznym na rogu Schwedeldorferstrasse i Grünestrasse. Wpatrywał się w zdjęcia widoczne za szklaną witryną. Wśród kilku pozowanych portretów rodzinnych dostrzegł jedno, które przyciągało wzrok. Germain Ulm miał rację, tej dziewczyny nie dało się przeoczyć. Było coś w jej spojrzeniu, w wyrazie twarzy, co przyciągało niczym magnes. Wydawało się, że jej spojrzenie przenika człowieka na wskroś, że coś się w nim kryje. Zwykło się mówić, że tak patrzy ktoś, kto ma starą duszę.

Kleina wyrwały z zamyślenia ożywione rozmowy. Ludzie szli od rynku, przystawali w grupkach, wymieniali informacje. Wiedział, że wydarzyło się coś znaczącego. Wyczuwał nastrój grozy i fascynacji. Czyżby kolejna zbrodnia? Kolejna ofiara, tym razem tuż pod nosem magistratu i policji?

Za szybą atelier pojawił się mężczyzna. Przez kilkanaście sekund wpatrywał się w Kleina, w końcu chwycił za klamkę. Słychać było odgłos przekręcanego klucza. Przejście stanęło otworem, co oznajmił radosny dźwięk trąconego dzwoneczka.

– Otwieram dopiero za godzinę, proszę pana.

– Rozumiem, poczekam.

Właściciel atelier znów utkwiał wzrok w Kleinie. Kapitan z kolei powrócił do studiowania fotografii dziewczyny.

– Nie jest pan pierwszym, który zwraca na nią uwagę – powiedział mężczyzna. Wyszedł ze sklepu i stanął u boku Wilhelma. Także popatrzył na witrynę. – Bo patrzy pan zapewne na Idę.

– Zna ją pan?

– Oczywiście, to moja córka. – Mężczyzna się uśmiechnął, pokiwał głową. W jego głosie można było wyczuć dumę, ale coś jeszcze. Coś, co Klein potrafił zinterpretować bardzo dokładnie. Wiele razy słyszał ten ton w głosie rodziców.

– Miała w sobie coś szczególnego. Wiem, że każdy rodzic mówi tak o swoim dziecku. Obruszała się, gdy ktoś prawił jej komplementy. Nie mogła jednak lekceważyć tych chwil, gdy ktoś, obojętnie, kobieta czy mężczyzna, patrzył na nią i nagle milkł. Rodzą się czasem ludzie tak wyjątkowi, otacza ich coś, jakaś aura, której człowiek nie potrafi pojąć. To była tylko chwila, Ida świeciła jasnym i czystym płomieniem...

– Przykro mi.

– Być może nie pasowała do tego świata. Jednak nawet żyjąc tak krótko, dała ludziom wiele radości.

Mężczyzna uśmiechnął się do Kleina i zniknął w atelier. Nie patrzył już więcej na kapitana. Ten odwrócił się od witryny i spojrzał w górę, w okna piętra zajmowanego przez Germaina Ulma. W końcu ruszył na rynek. Wyminął zbiegowisko, które wciąż okupowało plac przy fontannie. Nie zatrzymywał się tutaj. Skręcił w stronę dolnego miasta. Postanowił udać się do pokoju hotelowego, umyć się i zjeść porządne śniadanie. Spodziewał się, że w najbliższych godzinach nie będzie miał już na to szansy. Musiał poprosić kogoś o pomoc. Tylko ona mogła przywrócić Idę do żywych.

Znalazłszy się na Niedergasse, Franz Koschella miał wrażenie, że wkroczył w inny świat. Na tej pustej zazwyczaj uliczce stało blisko czterdziestu mężczyzn. Utworzyli półkole wokół wejścia do kamienicy Łysego. Niektórzy zadzierali głowy, patrząc w okna na piętrze, inni donośnie debatowali. Wachmistrz ruszył w ich stronę, wolnym i pewnym krokiem.

Zobaczyli go dosyć szybko. Zaraz podniesione głosy umilkły, a Koschella poczuł na sobie wzrok każdego z tych obdartusów.

Nie zwolnił, krok za krokiem zbliżał się do ludzi Łysego. Wiedział, że nie może się zawahać, wzburzenie tych tutaj było wyczuwalne równie mocno jak woń alkoholu i niemytych ciał.

Zacząli mu schodzić z drogi, rozstępowali się jeden po drugim, choć z wahaniem. Do Franza nie docierały zaczepki i złorzeczenia. Zebrali się tu, bo wiedzieli już o swoim szefie. Nawet jeśli notowania Łysego w ostatnich tygodniach spadły, to jego śmierć musiała nimi wstrząsnąć.

Ci kieszonkowcy, złodziejaszki, pospolici przestępcy mieli swój kodeks, swój honor. Dbali o niego, konserwowali go alkoholem i opowieściami, które zyskiwały miano miejscowych legend. Nawet drobny włam, udana kradzież grubszego portfela czy wątpliwej renomy dzieła sztuki konsolidowały braterskie poczucie przynależności.

Ktoś szturchnął Franza w bok. Gdyby się na to zawczasu nie przygotował, pewnie już szorowałby bruk, a na dupie i plecach poczułby kopniaki. Zachwiał się nieznacznie.

Przestrzeń wokół wachmistrza zaczęła się zacieśniać. Smród z rozwartych gęb powodował łzawienie w oczach, mdliło człowieka na sam widok ciemnych pieńków w miejscu zębów, czarnych jak smoła łap i tłustych włosów. Franzowi udało się uniknąć spotkania z podstawioną nogą, naraz jednak stanął przed dwoma olbrzymami, którzy wyrosli tuż przed nim.

– Spierdalaj stąd, śmieciu.

Jedna z tych zwalistych gór mięsa krzywiła się strasznie na widok Franza. Przekrwione oczy znieruchomiały, zwężyły się. Ślina wystąpiła na grube, popękane wargi. Franz może powinien poczuć strach, nie tylko przed tymi dwoma, ale i przed całym tłumem, który pod wpływem iskry zapalnej mógł go rozszarpać na strzępy, był jednak pewny swego. I ta pewność siebie budziła respekt, bo Franz widział, że wielu zrezygnowało z zaczepki. Czekali, co się wydarzy.

– Zejdz z drogi, złamasie – powiedział spokojnym głosem Koschella. – Nie z tobą przyszedłem gadać. Gdzieś był, jak Łysego dorwali? Gdzieście byli wy wszyscy, co? – Odwrócił się do tłumu. – Widziałem, co z nim zrobili, jak go

zamęczyli. A wy? Pierdzieliście wtedy w kołdry, ruchaliście swoje baby czy sraliście w wychodkach?

Franz poczuł, jak olbrzym łapie go za kark. Wówczas się schylił i wywinął, jednocześnie sięgnął pod marynarkę. Lufę pistoletu wbił w krocze olbrzyma i popatrzył mu z uśmiechem w oczy.

– I tak ich ci nie będzie szkoda – warknął. – Gdybyś miał jaja, Łysego by nie dorwali.

Olbrzym poczerwieniał, żyły zapulsowały mu na czole i skroniach.

– Przepuścić go! – Z góry, od okna, dobiegł ochrypły głos. – Odsuń się, Gereon!

Gereon z ociąganiem przestawił dwie kolumny, w jakie zamieniły się jego nogi. Koschella zlustrował całe towarzystwo. Popatrzył w oczy tym, których znał. Nie trwało to długo, ale odniosło skutek, bo zaczęli uciekać wzrokiem. Wtedy wszedł w ciemną, duszną klatkę i ruszył rozchwianymi schodami na piętro.

Drzwi do mieszkania Łysego były otwarte. Korytarzyk prowadził prosto do kuchni, gdzie przy stole siedziało trzech mężczyzn. Pośrodku, na miejscu zajmowanym dotąd przez Łysego, przycupnął młodzik. Franz rozpoznał w nim chłopaka, który niedawno stał na dole w klatce schodowej.

Choć okno było otwarte, w pomieszczeniu panowała niemiłosierna duchota. Podkoszulek chłopaka kleił mu się do skóry. Mięśnie miał napięte, dłonie położył na blacie. Towarzyszący mu mężczyźni siedzieli po jego lewicy i prawicy. Wachmistrz ich kojarzył – rezydenci z Bystrzycy i Dusznik. Musieli się stawić na wezwanie. Pomniejsi wataszkowie, mieli pod sobą kilkudziesięciu ludzi, w przeważającej części złodziei. Zwłoki Łysego odnaleziono kilka godzin temu. Tożsamości ofiary nie potwierdzono, jednak Franz był pewny, że ci tutaj wiedzieli, co się stało z ich nieformalnym szefem.

– Kiedy oddacie mi ojca?

Wachmistrz odsunął jedno z krzeseł. Usiadł. Syn Łysego, no tak, mógł się domyślić. Chłopak jednak nie był podobny do starego, nie przypominał neandertalczyka jak rodziciel.

– Oddamy, jak tylko będzie to możliwe. Prowadzimy dochodzenie w sprawie.

– Zamęczyli go.

Koschella skinął głową.

– Kto? Te skurwysyny z Berlina?

Wachmistrz nie odpowiedział.

– Wiecie czy nie?

– Żeby kogoś oskarżyć, trzeba mieć dowody. Gdybym aresztował każdego, kto mi wygląda na złodzieja, oszusta lub mordercę, to zamknąłbym to zgromadzenie

na dole, a pewnie i was trzech tutaj bez mrugnięcia okiem.

– Nie gadaj z nim, Zygfryd. – Bystrzycki watażka splunął pod nogi. – Z kurwami się nie układaj.

Franz nawet nie zaszczyił grubasa spojrzeniem.

– Lepiej powiedz mi, Zygfryd, jak to się stało, że Łysy opuścił tę waszą twierdzę?

Młodziak poczerwieniał na twarzy. Jego dwaj towarzysze na słowa wachmistrza już nie zareagowali.

– Przecież chyba miał się stąd nie ruszać?

– Ojcu nikt nie miał prawa mówić, co może, a czego nie. – Mięśnie chłopaka się naprężyły, tatuaże załśniły zroszone potem. – Zaczęliśmy odbierać, co nasze. A ojciec miał zamiar rozmawiać z tamtymi.

Franz domyślił się, jak potoczyły się sprawy. Łysy został w swej wieży sam, widział, że ludzie się od niego odwracają. Tracił kontrolę. W świecie przestępczym słabości się nie toleruje ani nie wybacza. Każdy dzień chowania się na Niedergasse sprawiał, że Łysy coraz bardziej tracił kontrolę nad swoimi obdartusami. Opcji miał niewiele. Wiedział, że jeśli chce znów stanąć u steru, musi pociągnąć za sobą ferajnę, pokazać, że nie zmiękł na starość. Zapewne przyszło mu do głowy, że pójdzie rozmawiać z przyjezdnymi, że będzie pertraktować, dzielić Kłodzko na strefy wpływów. Dureń nie wiedział, że Kłodzko jest za małe na dzielenie, a on sam ma za mało argumentów, by cokolwiek zaproponować.

Koschellę uderzyła nagle pewna myśl. Zdał sobie sprawę, że Łysy nie stanowił dla ringvereinu żadnego zagrożenia. Nikt się nim nie interesował, nikt nie traktował jego i jego ludzi poważnie.

– Łysy nie dotarł na spotkanie – stwierdził Koschella. – Zniknął.

– Zniknął – potwierdził Zygfryd. – I rzeczywiście, na spotkanie nie dotarł.

– Sam szedł?

– Z dwójką naszych.

– Nie wrócili? – upewnił się Franz.

– Nie wrócili.

Koschella pokiwał głową.

– To jasne, że to tamci. Ci z Berlina. – Siedzący po prawej szpakowaty mężczyzna włączył się do rozmowy. Franz go znał; miał jakieś trzy dychy na karku, ale odsiedział już sporo wyroków. Kilka pobić na koncie, napady, w tym jeden na jubilera. Cieszył się w półświatku dużym poważaniem. – Załatwili Łysego i będą chcieli załatwić nas wszystkich. Wyłowią nas po kolei...

Wcześniej Koschella przypuszczał, że nie zdoła pojąć, w którym kierunku rozwinie się sytuacja, teraz jednak coś zaczynało mu świtać. Ktoś wprowadził to

wszystko w ruch i choć początkowo Fran miał ochotę, żeby w te tryby wrzucić trochę piachu, teraz się rozmyślił.

– Opowiem ci pewną historię, Zygfryd. – Wachmistrz założył nogę na nogę. Popatrzył w otwarte okno. Na Niedergasse panowała cisza, jak makiem zasiał. Franz był pewny, że stojący na dole mężczyźni nasłuchują, o czym rozmawiają. – Wyobraź sobie taką sytuację. Jest właściciel kamienicy, który ma kilku lokatorów. Lepszych i gorszych, takich, co płacą czynsz regularnie, i takich, co spóźniają się z zapłatą, a i o wygląd mieszkania się nie troszczą należycie. I pewnego dnia pojawia się u niego nowy najemca z propozycją. Mówi, że przejmie te wszystkie mieszkania, z którymi gospodarz ma kłopoty. Zapewnia, że będzie wpłacał regularnie czynsz, nie to, co ci zawszeni lokatorzy. Jest jednak pewien warunek. Gospodarz ma się nie wtrącać w jego sprawy, a w tych mieszkaniach ten przyjezdny będzie robił, co mu się podoba. Najpierw wywali starych najemców na bruk, potem przemebluje wszystko podług siebie. Nadążasz, Zygfryd?

– Na miejscu gospodarza nie oddałbym tych mieszkań.

– O widzisz! – Franz z uznaniem pokiwał głową. Nie pomylił się co do chłopaka. – Ale co, jeśli ten nowy się uparł i już zaczął wyrzucać na bruk biednych lokatorów?

– O to ten gospodarz nie powinien się martwić. – Syn Łysego założył dłonie na brzuchu, po raz pierwszy się uśmiechnął. – Lokatorzy pogonią intruza, jeśli tylko gospodarz nie będzie się wtrącał.

– Gospodarz wtrącać się nie będzie, ważne tylko, żeby mu nie zdemolowano domu, bo wtedy pogoni i jednych, i drugich.

– Uczciwe – przytaknął Zygfryd. Jego towarzysze pokiwali głowami. Może zrozumieli tę gadkę, może nie. Trudno było zgadnąć, co tam im świta pod kopułami.

– Łysego wydamy wam jutro. Zdążycie z pochówkiem i sprzątnięciem?

– Jutro? – Zygfryd popatrzył po kolegach. Szybko znaleźli nić porozumienia. – Jutro się wszystko załatwi.

Koschella wstał z krzesła. Obrzucił jeszcze spojrzeniem obu towarzyszy chłopaka. Przysiedli się do niego jak dwie pijawki i sączyli mu w uszy truciznę. Teraz byli wyraźnie zadowoleni. Franz też, bo miał przecucie, że ten chłopak jest odporny na truciznę i ma łeb na karku.

Wyszedł z mieszkania, uważając, by nie dotknąć pokrytych grzybem ścian. Gdyby był gospodarzem tej kamienicy, nie wahałby się ani sekundy i wyrzuciłby lokatorów na zbity pysk. Znów puścił w ruch kolejny trybik. Teraz musiał jeszcze przekonać Richtera do szybszego wydania ciała Łysego. W swój plan zamierzał

wprowadzić go tylko częściowo. Był pewny, że Richter historii o gospodarzu i najemcach w życiu by nie kupił.

*

Klein wysiadł z samochodu na polną drogę. Kazał kierowcy poczekać, na co ten chętnie się zgodził. Pojechali do wschodniej części miasta, skąd kapitan miał widok na Kłodzko. Ruszył w stronę placu budowy, przy którym tłoczyli się robotnicy. Prace nad wznoszeniem nowego osiedla szły pełną parą. W kilku miejscach zdarto wierzchnią warstwę ziemi. Pojawiły się wykopy pod fundamenty. Część z nich została już nawet wylana. W czasie kryzysu to był niezwykle widok.

Scheidt dotrzymywał obietnicy, mieszkańcy Kłodzka mogli znaleźć tu pracę. Mimo perturbacji dotyczących Republiki Weimarską inwestował w budowę nowego osiedla. Szybująca inflacja nie obejmowała materiałów budowlanych w tak dużym stopniu jak artykuły pierwszej potrzeby, a Scheidt wspierał lokalne fabryki i zatrudniał tych, którzy stracili pracę. Kryzys prędzej niż później dobiegnie końca. W lepszych czasach osiedle domów mogło się okazać trafioną inwestycją.

Wilhelm stanął na skraju wykopu. Wtedy dopiero został zauważony przez jednego z szefów budowy.

– Tutaj niebezpiecznie, proszę się odsunąć.

Klein skinął głową. Objął wzrokiem spory plac. Kilku majstrów całkiem nieźle radziło sobie z pracownikami. Większość z nich nie miała doświadczenia w pracy na budowie, ale widać było, że każdy, kto dostał tutaj szansę na podreperowanie budżetu, przykładął się do roboty.

– Sprawnie pracujecie – zauważył kapitan, gdy mężczyzna stanął u jego boku.
– Jadąc tutaj, byłem przekonany, że dopiero zaczynacie.

– Bo dopiero zaczęliśmy. – Majster podkręcił wąsa. Patrzył na Kleina z zainteresowaniem. Chyba go rozpoznał. – Ale praca idzie szybko, to fakt. W nocy też była ekipa, wylali część fundamentów. To akurat nawet mnie zaskoczyło.

– Pospieszyli się?

Majster się rozejrzał.

– Może trochę. – Mężczyzna wyszczerzył zęby. – Ale fuszerki nie ma. To najważniejsze.

– Oczywiście – zgodził się Klein. – Kiedy weszliście z robotą?

– Z pięć dni temu.

Klein zagwizdał z podziwem.

– Praca wre. Ja się cieszę, ludzie też zadowoleni, bo robotę mają. Mieliśmy tu robić już zeszłego lata, ale się przeciągało.

– Co się przeciągało?

– Problem był z własnością terenu. Wodzili pana Scheidta za nos. To mówili, że mu sprzedadzą, to, że nie. Kwoty się zmieniały jak w kalejdoskopie. Myślę, że ktoś chciał na tym zarobić na boku.

– Kto?

Majster się spłoszył. Widać należał do tych gadatliwych, ale miał rozum.

– A ja tam nie wiem. Tak zawsze jest, że się sprawy plączą. Roboty dużo dziś mamy, a idzie na burzę. Tym razem czuję w kościach, że nie przejdzie bokiem. Musimy zabezpieczyć teren, żeby nam wszystko nie spłynęło. Dla swojego bezpieczeństwa...

– Oczywiście, już idę. – Klein uspokajająco poklepał majstra po plecach. Pozwolił mu na ten odwrót na z góry upatrzoną pozycję. – Ważne, że udało się panu Scheidтови wykupić teren.

– Dla nas bardzo... Wielu ludziom dał nadzieję, a dziś chyba głosowanie będzie w Kłodzku, pewnie wybiorą go nowym starostą. I ja się z tego, szanowny panie, bardzo cieszę. Jak zejdziemy z tej roboty, to pewnie będzie kolejna.

– Scheidt planuje więcej osiedli?

– I to ile! Wykupił teren na północ od twierdzy. Dzięki niemu miasto się będzie rozwijać, pan zobaczy!

Wilhelm znów pokiwał głową, jakby już oczami wyobraźni widział to prosperujące miasto przyszłości. Popatrzył jeszcze na wylane fundamenty. Kilku robotników odsypywało ziemię, która spadała na beton. Działano tu w pośpiechu. Klein pomyślał, że ten pośpiech powinien się udzielić i jemu.

Zszedł z nasypu i znalazł się przy taksówce.

– Wracamy do miasta – zakomunikował.

W czasie tej krótkiej drogi powrotnej myślał intensywnie nad sprawą. Jako śledczy był w trudnej sytuacji. Wciąż brakowało mu wielu elementów tej układanki, nie miał istotnych informacji dotyczących morderstw, wyników śledztwa, raportów z miejsca zbrodni czy przesłuchań świadków. Hans Fredke zdążył mu rano zrelacjonować wydarzenia z rynku. Kilku mieszkańców rozpoznało w ofierze Hermanna Brosta, nazywanego „Łysym”, znanego w Kłodzku lichwiarza i nieformalnego przywódcę lokalnych przestępców.

Wiadomości przekazane przez patologa Kuhnasta, rozmowa z Germainem Ulmem i rekonesans w Kłodzku dały mu pokaźną liczbę informacji, które powinien należycie zinterpretować. Zapewne powinny one mu dawać przewagę w śledztwie, czuł jednak, że wciąż brakuje jednego spajającego wszystko elementu. A może nie potrafił go rozpoznać? Klein zastanawiał się, czy nie

porozmawiać z Koschellą. Wiedział, że ten prowadzi swoje działania, które najpewniej pozwoliły mu zbadać obszary, siłą rzeczy, dla Wilhelma nieosiągalne. Połączenie sił dałoby im przewagę. Klein jednak zwlekał. Obserwował działania Koschelli, na ile mógł, i domyślał się, w którym kierunku zmierza wachmistrz. Nie chciał mu w tym przeszkadzać.

– Jesteśmy na miejscu.

Klein zdał sobie sprawę, że zaparkowali na Sellgittplatz. Zapłacił kierowcy i wysiadł z samochodu. Po chwili wszedł do Hotelu Dworcowego.

W progu zamienił kilka słów z boyem hotelowym. Fredke przekazał mu informacje dotyczące kolejnego transportu z Czechosłowacji.

Wizyta kapitana w Dworcowym trwała zaledwie chwilę. Gdy znów znalazł się na ulicy, ruszył w stronę mostu. Zaraz za nim skręcił w stronę hotelu Pod Białą Różą.

*

Koschella znalazł się w gabinecie Richtera w godzinach popołudniowych. Przedstawił komisarzowi relacje ze swojej rozmowy z synem Łysego, wyłuszczył też swój plan. Przełożony słuchał Koschelli uważnie, potem w milczeniu rozważał jego słowa. W końcu, o dziwo, przystał na propozycję, co Franzowi jeszcze dwa kwadransy wcześniej wydawało się wątpliwe.

Richter musiał zdawać sobie sprawę, że wydanie zwłok i pogrzeb Łysego zamienią się w spektakl. Wiedział jednak też, że siedzą na beczce prochu, która może wybuchnąć w każdej chwili. Konfrontacja ludzi Zygryda z nową organizacją przestępczą była nieunikniona. Pogrzeb Łysego dawał szansę na przewidzenie jej czasu i miejsca. Richter zaplanował na ów dzień postawienie na nogi całej kłodzkiej policji i ściągnięcie posiłków z hrabstwa. Wziął też na siebie rozmowę z profesorem Kuhnastem i przyspieszenie oddania zwłok rodzinie.

Wydarzenia w mieście wyraźnie leżały Richterowi na wątrobie. Wystarczyło spojrzeć w jego przekrwione oczy. Wkroczenie ringvereinów na własne podwórko odebrał jak policzek. To była sprawa osobista, chciał jak najszybciej zdusić w zarodku zapędy berlińskiej organizacji. Miał ku temu sporo powodów, jeden z nich wyłuszczył Franzowi, nie przebiegając w słowach.

Koschella po powrocie za biurko wydał dyspozycje swoim ludziom. Rozesłał ich po mieście. Nakazał im wzmożoną czujność i obserwowanie obu stron nadchodzącego konfliktu, a jednocześnie uczulił, by mówili jak najwięcej o jutrzejszym pogrzebie. Tę beczkę prochu należało czym prędzej wysadzić w powietrze. Co więcej, był pewny, że morderstwa stały się przedmiotem czyjejś rozgrywki. I kolejnym elementem układanki, który miał wstrząsnąć miastem.

Franz chciał zobaczyć wynik nadchodzącego starcia i poznać tych, którzy zyskają na nim najwięcej.

Wiedział, że tej nocy nie zaśnie. Podejmował duże ryzyko. Zdawał sobie sprawę, że mógł nie dostrzec czegoś ważnego, że sam stał się elementem tej gry. Było już jednak za późno, by się wycofać. Miał nadzieję, że komuś, kto pociągał za sznurki, umknął fakt, że Franz Koschella jest nieprzewidywalny.

Na biurku wachmistrza zadzwonił telefon. Wachmistrz sięgnął po słuchawkę. Centralka poinformowała go o połączeniu międzymiastowym. Po chwili usłyszał Barbarę.

– Co się dzieje? Wszystko u was w porządku?

– Wszystko dobrze – zapewniła Koschellowa. – Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że wypoczywamy. Mamy dobrą pogodę, wyjazd udany.

Franz się uspokoił. Świadomość, że jego rodzina jest daleko od miasta i tego, co się tutaj działo, była mu potrzebna. Zwłaszcza teraz, gdy stawiał wszystko na jedną kartę. Barbara dobrze o tym wiedziała. Znała męża i sytuację, która teraz pochłaniała go bez reszty. Ten wyjazd wypadł w dobrym czasie.

– Opitza nie ma, poszedł nad rzekę z kolegami.

– A Haim?

– Znasz go, siedzi w ogrodzie i czyta.

– Nie spędzają czasu razem? – zapytał, choć znał odpowiedź.

Chłopcy różnili się jak ogień i woda. Co gorsza, mimo wysiłków Franza i Barbary oddalali się od siebie. Wachmistrz nie potrafił dociec przyczyny. Haim nie był ich rodzonym dzieckiem, przygarnęli go. Opitz był o niego zazdrosny. Dochodziło do drobnych nieporozumień, które w mniemaniu chłopaków urastały do niebywałych rozmiarów. W końcu wydawało się, że wszystko sobie wyjaśnili, a sytuacja się poprawiła, ale nie tak bardzo, jak życzyłyby sobie tego Franz. Powiedziałyby, że to rozejm z wizją rychłego wypowiedzenia go przez jedną ze stron. Wiedział przy tym, że nie może na tych dwóch naciskać. Nic by to nie dało, a może nawet by zaszkodziło. Obserwował więc i czekał. Widział jedynie rosnącą obojętność Opitza i coraz bardziej wyraźne zamykanie się w sobie Haima. Wspólny wyjazd miał dać im szansę na nawiązanie bliższej relacji. Ale na to się widać nie zanosilo.

– Gadają chociaż ze sobą?

– Gadają. Haim o książkach, które przeczytał, Opitz o nowej procy, którą zrobił, a którą mu zabrałam.

Koschella się zaśmiał, choć nie było mu do śmiechu. Liczył na to, że Barbara sobie z nimi poradzi. Gdy on sam tracił cierpliwość, niezmierzone pokłady empatii widział w swojej żonie. Była wyrozumiała, choć gdy było trzeba, także zdecydowana i nieustępliwa. Przede wszystkim jednak konsekwentna. Franz zbyt

często gubił się w meandrach rodzicielstwa. Denerwowało go, gdy nie widział efektów długich rozmów i napomnień. Coraz częściej brakowało mu argumentów, a to frustrowało go niepomiaralnie. Chciał dobrze dla tych chłopaków, a oni jakby robili mu na przekór.

– Nie przejmuj się. – Barbara jak zwykle wiedziała, co siedzi w jego głowie. – Haim wreszcie nabrał rumieńców i nie wygląda jak wychudzony wampir. Opitz poczuł trochę wolności, włóczy się po lesie i polach, ale wydaje się spokojniejszy. Ten wyjazd służy im obu.

– A tobie?

– Mnie też tu dobrze, chociaż chciałabym, żebyś był z nami.

Franz zamilkł. Jakoś przez telefon nie potrafił gadać z żoną, jak trzeba. Miał wrażenie, że na centralce telefonicznej słycać każde jego słowo, a nie wiadomo, kto mógł przysłuchiwać się ich rozmowie. Wolałby zobaczyć Barbarę, chociaż wtedy zapewne też niewiele by mówił – bardziej skory był bowiem wyrażać uczucia w czynach. Bo jak tu żonie do słuchawki powiedzieć, że ma się na nią ochotę i w spodniach, w kroku, zrobiło się nagle przyciasno?

– Śniłeś mi się, Franz.

Koschella się zaczerwienił i zaraz rozejrzał po sali, by się upewnić, że nie ma tam nikogo poza nim.

– A dobrze się śniłem czy źle?

– Dobrze, nawet nie wiesz, jak bardzo...

Barbara zachichotała, a Franz musiał zmienić pozycję w fotelu, bo erekcja stała się bolesna.

– To co ci się śniło, co?

– Byliśmy we dwoje i, co dziwne, tutaj na łące przy strumyku. Kapaliśmy się. Ja, nie wiedzieć czemu, wyobraź sobie, całkiem naga.

Co do swojej wyobraźni Koschella zastrzeżeń nie miał. Zobaczył właśnie Barbarę w całej okazałości. Pełne piersi o małych, twardych sutkach, brzuch i ciemny trójkąt, na wspomnienie którego poczuł mrowienie w całym ciele.

– I wtedy...

Koschelli niemal wypadła słuchawka z ręki, gdy do pokoju wszedł Makowski. Stał przy biurku Franza, widać z ważną wiadomością, czekał, aż ten przerwie rozmowę.

– Zadzwoń później. – Franz odchrząknął, starając się zagłuszyć opowieść Barbary, nagle wzbogaconą o kilka pikantnych szczegółów. Na wszelki wypadek wachmistrz wsunął się z krzesłem pod biurko. – Właśnie przyszedł Ernst.

Koschella był pewny, że jest czerwony jak burak. Głos też miał jakiś nieswój. Poczucił się jak przed laty, gdy przyłapano go w komórce ze zdjęciem gołej panienki z wypiętą pupą. Opiekun po chwili zaskoczenia jedynie przylał mu

otwartą dłonią w pośladki. Nie musiał nawet ściągać mu spodni, bo to, co młody Koschella robił chwilę wcześniej, wymagało, żeby te były opuszczone przynajmniej do kolan.

– Trzymajcie się, na razie więc...

Słuchawka powróciła na widełki. Franz spojrzął na Makowskiego. Ten przyglądał się wachmistrzowi jakoś dziwnie.

– Co jest?

– Kuhnast wydał już ciało Łysego rodzinie. Pogrzeb jutro w samo południe.

– W samo południe – powtórzył bezwiednie Franz. Zabrzmiało mu to jak tytuł jakiegoś filmu gangsterskiego albo westernu z Tomem Mixem.

– Myślisz, że wybuchnie ta beczka prochu? Ludzie Łysego wysłali podobno do berlińczyków wiadomość. Pobili jednego do nieprzytomności.

– Więc chyba sam sobie na to odpowiedziałeś, Ernst. Jutro będziemy mieli pełne ręce roboty.

– Nie jest nas za mało? Do jutra ringverein ściągnie tu swoich ludzi.

Franz pokiwał głową.

– Przyjadą pewnie pociągami. Rozmawiałem z Wrocławiem, Strzelinem i całą bracją kolejową na trasach do Kłodzka. Składy z podejrzanymi zostaną zatrzymane w podróży. Richter zgodził się też, żeby nasi ludzie zrobili blokady na drogach dojazdowych.

– Dobrze, znaczy się skurwieli czeka niespodzianka. – Makowski wyglądał na zadowolonego. – A Richter się nie boi, że i tak sporo ich tutaj przyjedzie? Na ulicach może dojść do regularnej bitwy.

– Tak jak mówiłem na odprawie: komisarz wie, że to starcie jest nieuniknione. Lepiej, żeby doszło do niego na naszych warunkach i znanym nam terenie. Będziemy przygotowani. Posiłki z hrabstwa pojawią się rano. Porozmawiam z Czoskiem i Schulzem, też powinni nam pomóc.

– Zender na to się zgodzi?

– Mamy współpracować przy tej sprawie.

– A nie słyszałeś, że Schulz złożył wypowiedzenie z roboty?

Franz zamilkł. Poczł się, jakby dostał obuchem w głowę.

– Robota czeka – powiedział znów nieswoim głosem. – Miejcie oczy otwarte. Odprawa jutro o siódmej rano. Poznacie wtedy wszystkie szczegóły. Spodziewamy się najazdu berlińczyków w godzinach porannych.

Ernst pokiwał głową.

– Tego jeszcze nie było, Franz.

– Czasy się zmieniają. Jeśli ktoś myślał, że Kłodzko pozostanie na uboczu działalności dużych grup przestępczych, to właśnie pozbył się złudzeń. Od tego,

co się jutro wydarzy, zależy, czy będziemy mieli na jakiś czas spokój, czy to nam przyjdzie się dostosować do nowej rzeczywistości.

– Franz, co oni się tak uparli na nasze miasto? Nie potrafię tego zrozumieć.

– Być może wciąż czegoś nie dostrzegamy. – Koschella się zastanowił. – Wydaje się jednak, że wszystko mamy podane jak na talerzu. Byłem niedawno u starego. Richter przekazał mi, że Bertram Scheidt dostał wczoraj propozycję nie do odrzucenia od naszych nowych znajomych.

– Jaką?

– Ochronę interesów... w zamian za stałą, comiesięczną kwotę.

– O kurwa, rzeczywiście się nie certolą! – Makowski zagwizdał pod nosem. – Scheidt im coś odpowiedział?

– Pogonił ich.

– Ma jaja. Na jego miejscu bałbym się, że będę następny na celowniku, po staroście i Łysym.

– Chyba też mu to przyszło do głowy. Richter mówi, że Scheidt odwiedził go w towarzystwie dwóch ludzi z ochrony. Nie odstępują go na krok.

– I jak stary na to zareagował?

– A jak myślisz? – zaśmiał się gorzko Franz. – Wścieklizną. Scheidt to teraz oczko w głowie nie tylko starego, ale wszystkich w mieście. Nie może mu spaść włos z głowy. Chyba dlatego stary tak szybko przystał na wydanie zwłok Łysego i konfrontację.

– Myślisz, że jesteśmy na tę konfrontację przygotowani, Franz? – zapytał Makowski.

– Tak, to najlepszy moment, póki nie okrzepli – odparł zdecydowanie wachmistrz. – Poza tym mamy chyba jeszcze jednego sojusznika.

– Mówisz o Kleinie?

Franz nie odpowiedział, po Makowskim widać było jednak, że swoje wie.

Koschella rzeczywiście na głos wypowiedział myśl, którą powinien był trzymać dla siebie. Wiedział, że Klein prowadzi śledztwo na własną rękę. Rozważał kilkakrotnie, w którym kierunku mogło się rozwijać. Przyszło mu nawet do głowy, że Klein, choć tego nie uzgadniali, działa tak, jakby wciąż współpracowali.

– Może trzeba się z nim skontaktować, Franz.

– Klein nie rozwiąże wszystkich naszych problemów. Bierz się do roboty. Tak jak mówiłem rano: pomóż w znalezieniu zakwaterowania policjantom, którzy przyjadą do nas z innych miast. A areszt i więzienie mają być przygotowane, może się okazać, że będą pękać w szwach.

Makowski zatarł dłonie. Ta wizja wcale go nie przerażała.

*

– Wilhelmie, nie sądziłam, że mnie tu odwiedzisz.

Klein stanął w progu scenicznego zaplecza. Kilka skąpo ubranych dziewczyn przyglądało mu się z zaciekawieniem. W powietrzu latały fragmenty piór. W niewielkim, pełnym luster pomieszczeniu było duszno od zapachu perfum.

– Chciałem z tobą porozmawiać.

– Tylko porozmawiać? – zaśmiała się. Nic nie robiła sobie z obecności koleżanek. Popatrzyła na niego zaczepnie, położyła stopę na krześle i poprawiła zapięcie pończochy.

Klein się uśmiechnął. Zerknął na jędrne nagie piersi o stwardniałych sutkach.

– Chcę cię zapytać o pewną dziewczynę.

Przechyliła głowę.

– To bezczelne z twojej strony, nie sądzisz? – Znów się zaśmiała. – Chcesz wzbudzić moją zazdrość?

– Ta, o którą chcę zapytać, nie stanowi dla ciebie żadnego zagrożenia.

Katherin sięgnęła po szminkę, nachyliła się do lustra i poprawiła obrys ust. Cmoknęła i mrugnęła do Kleina, widząc, że wciąż się jej przypatruje.

– Dobrze wiedzieć, że nie mam... konkurencji.

– Dziewczyna nie żyje.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem, zaśmiała się chłodno.

– No tak, trudno przegrać z martwą rywalką. Co to za dziewczyna i co chciałbyś o niej wiedzieć?

Jedna z tancerek okręciła się przy Kleinie i otarła o niego, wychodząc z pokoiku. Jej powłóczyście spojrzenie wiele obiecywało. Wilhelma to nie spłoszyło.

Katherin zbliżyła się do Kleina i położyła mu dłonie na ramionach. Zmusiła go, by na nią spojrział.

– Mam nadzieję, że z żywych dziewczyn tylko ja cię interesuję. Kim jest ta nieszczęsna, o której mówiłeś?

– Córka właściciela atelier z rogu Schwedeldorferstrasse i Grünestrasse.

– Ida.

– Znałaś ją?

– Nie byliśmy przyjaciółkami, ale trudno jej było nie zauważyć. Ida żyła w swoim świecie, nie wiem zresztą, czy miała jakichś przyjaciół.

– Kiedy zmarła?

– Kilka miesięcy temu.

– W jaki sposób?

Katherin odsunęła się od Kleina, oparła pupę o stolik. Znów spojrzała w lustro. Tym razem poprawiła kilka niesfornych loków.

– Samobójstwo, podobno nieszczęśliwa miłość. Szczegółów nie znam... Dlaczego o nią pytasz? Ma to jakiś związek z tym, co dzieje się w mieście?

– Jest ktoś, kto się upiera, że ostatnio ją widział i z nią rozmawiał.

Katherin się zaśmiała.

– Z jej duchem? Brałam ostatnio udział w podobnym seansie. Wirujący stolik na początku strasznie mnie przestraszył, potem rozbawił. Sama zaczęłam stukać obcasami w podłogę, udając zjawę.

– Ten ktoś był chyba przekonany, że ma do czynienia z realną osobą.

Dziewczyna sięgnęła po wiszącą na wieszaku część kostiumu. Kolorowe pióra zawirowały w powietrzu.

– Pomóż mi.

Katherin odwróciła się tyłem do Wilhelma. Przyłgnęła do niego ciałem, ale poradził sobie z zapięciem.

– Nie chodzi więc o Idę – powiedziała.

– Nie?

Dziewczyna znów stała przodem do kapitana. Bardzo blisko. Ujęła jego dłoń.

– Może chodzić o kogoś bardzo podobnego albo... ten, o którym mówisz, postradał zmysły.

Kapitan chłonął zapach dziewczyny. Patrzył w jej rozchylone usta, z trudem skupiając się na słowach.

– Ty też jesteś do niej podobna.

Zaśmiała się.

– Myślisz, że się pod nią podszywam? – Popatrzyła na niego. Uśmiech zniknął z jej twarzy. – Wilhelmie, czego tak naprawdę ode mnie chcesz?

– Jesteś bardzo dobrą aktorką.

– Znudziłam ci się już, chcesz, żebym odgrywała dla ciebie inne role?

– Ty mi wystarczasz.

Stanęła na palcach, dotknęła dłonią jego policzka, a po chwili ustami jego ust. Odwzajemnił pocałunek. Wiedział, że dziewczyny szykujące się do próby patrzą na nich bez skrępowania.

– Zrobię dla ciebie wszystko, Klein. Przecież dobrze o tym wiesz...

W garderobie rozdzwonił się brzęczyk. Katherin okręciła się na pięcie, pióra znów zawirowały. Dziewczyny, chichocząc, wyminęły kapitana i ruszyły w stronę sceny.

Klein stał jeszcze przez chwilę w pustym pomieszczeniu. Popatrzył w lustro. Nie podobało mu się to, co w nim zobaczył.

*

Lothar leżał obok Asty. Wtuliła się w niego, przylgnęła całym ciałem. Jeszcze przed chwilą wsłuchiwał się w jej przyspieszony oddech, w odgłosy, których nawet nie próbowała zagłuszać. Doznanie, które ich połączyło, wybuchło dojmującym uczuciem rozkoszy, a teraz jedności.

Bał się tego momentu, w którym może przyjść otrzeźwienie, jednak teraz był pewny, że podjęli decyzję świadomie, dojrzałe, że tego właśnie chcieli.

– Jesteś mój, Lothar.

Te słowa sprawiły, że zakręciło mu się w głowie. Wypełniły go uczucia, z których istnienia nie zdawał sobie sprawy. Chciał Astę chronić i być przy niej. Nie miał zamiaru stracić już choćby chwili na jałowe życie pozbawione jej obecności.

Spojrzał jej w oczy. Była szczęśliwa, rozluźniona, syta. Niczego więcej nie chciał, jedynie, by ta chwila trwała nieprzerwanie.

– Nie wiedziałem, że tak bardzo można kogoś kochać...

Widział, jak zaszklily jej się oczy, jak zadrżały usta. Zaczął całować jej wargi, powieki i skronie. Zamknął ją w ramionach. Przylgnęła jeszcze mocniej. A wtedy Schulz poczuł, jak Asta rozchyła uda, by znów przyjąć go w siebie.

Trudno było mu się z nią rozstać. Miała do spakowania jeszcze kilka rzeczy, Schulz wiedział, że powinna zrobić to sama. Ostatnią noc spędzić miał u siebie. Potraktował to jak pożegnanie z dawnym życiem. Życiem, do którego nie będzie tęsknił. Nie miał zamiaru oglądać się za siebie i był pewny, że Asta także patrzyła już tylko w przyszłość.

Pożegnali się namiętym pocałunkiem. Dłonie z trudem się rozłączyły. Wybiegł z kamienicy.

Już na Schwedeldorferstrasse obejrzał się za siebie. Stała w oknie. Czuł się jak sztubak, jakby miał kilkanaście lat i wracał od swojej pierwszej dziewczyny. Lat miał już ponad czterdzieści, a relacja z Astą w sumie była jego pierwszym poważnym związkiem w całym jego dotychczasowym życiu. Miał prawo się czuć wyjątkowo.

– Jesteś!

Schulz odwrócił się na znajomy głos.

Koschella dogonił go pod domem na Frankensteinerstrasse. Być może szedł za nim dłuższą chwilę.

– Jestem – odpowiedział krótko Schulz. – Szukałeś mnie?

Miał nadzieję, że wachmistrz nie widzi jego zmieszania i pobudzenia. Ten wydawał się jednak czymś zafrasowany i nie dostrzegął stanu kolegi.

– Wypowiedzenie, Lothar? Złożyłeś wypowiedzenie?

Schulz pokiwał głową, jakby ta sprawa w ogóle już go nie zajmowała. I rzeczywiście tak było.

– Co się stało? Jeśli chodzi o przeniesienie do obyczajówki...

– Nie, to nie o to chodzi, Franz. – Schulz widział, jak Koschella na niego patrzy, jakby doszukiwał się w nim jakiejś skazy. – Wyjeżdżam. Opuszczam Kłodzko.

Franza zamurowało. Widząc tę reakcję, Schulz musiał się uśmiechnąć. W pierwszej chwili chciał się podzielić z wachmistrzem swoim szczęściem, ale zrezygnował. Koschella znał Astę, pamiętał doskonale jej męża Paula Seipelta. Paul był jednym z nich, przynajmniej tak się wydawało, dopóki nie odkryli jego powiązań i mrocznej natury. Franz mógł tego wszystkiego nie zrozumieć.

– Potrzebuję twojej pomocy, Lothar. Jutro rozstrzygnie się kilka spraw w Kłodzku. Może być ciężko.

– Nie rób mi tego, Franz. – Schulz potrząsnął głową. – Nie teraz.

– Nie mam wyboru. Potrzebuję kogoś, na kogo będę mógł liczyć, a wiem, że na ciebie mogę.

– Franz, ja już postanowiłem. Jutro wyjeżdżam. Nie ma odwrotu od tej decyzji.

Koschella milczał przez chwilę. Widać było, że przez jego głowę przemykają tysiące myśli.

– Umierasz, kurwa? Jesteś śmiertelnie chory? Co się dzieje?

Schulz się zaśmiał. Pomyślał, że Franz w sumie nie bardzo się pomylił. Był śmiertelnie chory. Ale to nie była choroba, od której łatwo się umiera i z której człowiek chciałby się leczyć.

– Muszę wreszcie pomyśleć o sobie, Franz. Ten jeden raz. Przyszedł na to czas...

Koschella nie dowierzał własnym uszom. Jakby działanie Lothara było kompletnie pozbawione sensu. Jakby nie miał prawa do innych zachowań niż te już rozpoznane i określone. Franz odebrał to jako aberrację, złośliwość, która nie mieściła mu się w głowie.

– Lothar, już ci to mówiłem. Jesteś policjantem. To twoje powołanie i przeznaczenie. Ty i ja nadajemy się tylko do tego.

– Być może masz rację. Ale kiedyś trzeba powiedzieć „dość”. Ten moment właśnie nadszedł, przynajmniej jeśli chodzi o mnie.

– I co będziesz robił, co?

– Dziękuję, że przejmujesz się moim losem, Franz – Schulz odpowiedział zgrzytliwie, zaczepnie. Rodził się w nim jakiś bunt wobec Koschelli, tego jak protekcjonalnie go traktował. – Potrafię o siebie zadbać.

Przypomniał mu się Paul Seipelt. Uważał go za przyjaciela, bardzo długo nie reagował na jego przytyki. Oszukiwał się, że taka już jest szorstka, męska

przyjaźń. Jednak to nie była przyjaźń. A teraz Koschella zachowywał się jak Seipelt, jakby Schulz był zwykłym popychadłem.

– W porządku. – Franz skinął głową. – W porządku.

Sposób, w jaki powtórzył te ostatnie słowa, był znaczący. Był w tym żal, ale i akceptacja. Może Koschella zawarł w tym jeszcze większą paletę odczuć, ale Lothar nie potrafił ich rozpoznać.

Schulz zobaczył wyciągniętą w swoją stronę sękatą dłoń. Uścisnął ją z wahaniem. Był to mocny uścisk, trwał chwilę dłużej, niż powinien.

– Powodzenia, Lothar. Jestem pewny, że obrałeś dobrą drogę.

– Poproś o pomoc Kleina, Franz... Ja...

– Co ty?

– Skontaktowałem się z nim bez twojej wiedzy. Powiedziałem mu o Reiserze, wskazałem tego kościelnego, Lischkego.

– Po co?

– Bo wiedziałem, że tak trzeba, a ty się na to nie zdobędziesz. Klein węszy, jak zawsze. Gdy Zender powiedział, w którą stronę chce poprowadzić śledztwo, a z których wątków zrezygnować, to...

– ...to pomyślałeś, że te pewne wątki sprzedasz Kleinowi, żeby powiedział „sprawdzam”?

– Tak jakby – przyznał Schulz. – Ale, cholera... Po prostu pogadaj z kapitanem.

– Może tak zrobię – powiedział sucho Franz.

Schulz otworzył usta i zaraz je zamknął. Chciał coś dodać, ale myśl mu uciekła.

Patrzył, jak Koschella odwraca się i dołącza do przechodniów zmierzających w stronę rynku. Sam ruszył do swojej kamienicy. Wszedł w cień wilgotnej klatki schodowej. Mieszkał tu ponad czterdzieści lat. Jutro miał wyjść z niej po raz ostatni. Obrał dobrą drogę, tak, tego był pewny. Była po prostu inna i to wystarczyło.

*

Germain usłyszał hałas od strony wieży. Dotarł do niego także przyspieszony, świszczący oddech. Podciągnął kolana pod brodę. Patrzył w stronę przejścia. Nie był w stanie się ruszyć, nie miał siły się ukryć, a co dopiero podjąć ucieczkę. Trawiła go gorączka, jego skóra była lepka i wilgotna, ale on sam czuł się wysuszony na wiór. Chciał jedynie zamknąć oczy i zapaść w sen.

Stuknęła okiennica, zaskrzypiały drzwi. Ulm patrzył w stronę wieży, mrużąc oczy. Pod powiekami wyczuwał piasek, w polu widzenia przesuwały się ciemne

plamy.

Drzwi uchyliły się nieznacznie. Wysunęła się przez nie chuda, pomarszczona dłoń. Germain patrzył na to jak na scenę rozgrywającą się w innym wymiarze. Jakby rzeczywistość, w której tkwił, nie była prawdziwa.

Garnek stuknął o kamienny murek. Obok pojawiło się zawiniątko w białej ściereczce.

Ulm wyciągnął szyję w tamtym kierunku, przesunął szorstkim językiem po spierzchniętych wargach. Niemal wyczuwał zapach czystej wody.

Opadł na kolana i podpierając się rękami, ruszył w tamtym kierunku. Chciał być szybszy od gołębi, które nagle pojawiły się na dachu.

Gdy dopadł do garnka, zaczął chleptać jak pies, zanurzał w wodzie język i ręce. Miał zbyt słabe ręce, by unieść naczynie wypełnione płynem, był pewny, że większość wylałby na siebie.

Zakrztusił się. Z trudem złapał w płuca powietrze. Otarł usta i wilgotną dłonią przetarł oczy. Znów zaczął pić, tym razem spokojniej. W końcu usiadł obok garnka i sięgnął po zawiniątko. Wyciągnął z niego kawałek chleba. Zatopił w nim zęby. Urwał kawałek i zaczął wolno przeżuwać.

Drzwi wciąż były uchylone. Ulm zamarł i zapatrzył się w ciemną przestrzeń. Był pewny, że ktoś go obserwuje. Znów słyszał ten świszczący oddech.

– Dziękuję – powiedział, przełykając to, co miał w ustach. – Dziękuję, panie Lischke.

– Będą cię tu szukać, synu. Nie możesz zostać.

– Wiem, ale nie mam dokąd pójść.

Cisza. Ulm znów odgryzł kawałek chrupiącej skórki.

– Podążasz drogą księdza Reisera, synu? Mówił o tobie w swoich wizjach. Ty miałeś je przelać na płótno. Widziałem je, widziałem twoje obrazy...

Germain z trudem przełknął kolejną porcję chleba. Nie wiedział, co odpowiedzieć.

Doszedł go odgłos kroków, oddech znów zaświszczał. Stary ruszył w dół wieży. Ulm na powrót został sam. Uniósł garnek do ust i wziął kilka solidnych łyków. Gdy go odstawił, popatrzył w niebo. Chmury znów nadciągnęły nad miasto. Słońce zaszło za budynkami. Wytchnienie od spiekoty, nareszcie. Na wschodzie ciężki obłok szorował brzuchem o wierzchołki wzgórz. Wiatr przywiał ze sobą kilka kropel deszczu.

„Podążasz drogą księdza Reisera, synu?” – Ulm zadrżał, bo wydało mu się, że to pytanie ktoś powtórzył tuż przy jego uchu.

Czas mijał, ale Germain znajdował się gdzieś poza nim. Wydało mu się, że przymknął oczy ledwie na chwilę. Gdy znów je otworzył, zobaczył Idę. Potrząsnął głową, próbując odegnąć tę wizję.

– Wstań, Germain, podejdź do mnie.

Ulm podniósł się wolno, opierając się o ścianę.

Ida go przyzywała. Tęsknił za nią, nie obchodziło go nic innego. Nic innego nie było ważne. Ufał jej.

– Musisz mi o wszystkim jeszcze raz opowiedzieć, Germain. Rozumiesz?

Rozumiał. Zdał sobie sprawę, że sam szukał tych odpowiedzi i te same pytania zadawał także sobie.

– Dlaczego je namalowałeś, pamiętasz?

Pamiętał, oczywiście, że tak. Poprosił go o to ksiądz Reiser, nie kto inny, tylko on. Opowiedział dokładnie każdą z czterech wizji.

– Dlaczego Jezus miał twarz starosty?

Bo tak. W jego wizji starosta miał cierpieć na krzyżu. Właśnie on, nikt inny.

– Za to, co zrobił.

– Za co, Germain?

– Za to, co zrobił innym, za to, co zrobił... tobie, Ido... Nie pamiętasz?

Germain próbował dotknąć jej brzucha. Wzdrygnęła się, Ulm wycofał się i opuścił głowę.

– Przypomnij mi...

Znów na nią spojrzał.

– Był złym człowiekiem. Dla ciebie i dziecka, które w sobie nosiłaś... Jego dziecka.

Ida zadrżała, jakby dopiero teraz to do niej dotarło.

– Ty go zabiłeś? Za to, co mi zrobił?

Na to pytanie nie potrafił odpowiedzieć. Na pewno chciał zabić Puschkego, po to pojechał do Gorzanowa... Czy się na to odważył?

– Kto zabrał twoje obrazy?

Widział w przeblaskach sceny, które trudno było mu pojąć. Była w nich Ida i człowiek o upierścienionych palcach.

– Ty je zabrałaś, Ido, ty i twój przyjaciel...

*

Lunęło, deszcz uderzył w dachy, wypełnił błyskawicznie rynny i zamienił ulice w wezbrane potoki. Niebo rozdarło się na pół. Klein stał w bramie jednej z kamienic przy Frankensteinerstrasse w towarzystwie Hansa Fredkego. Obserwował budynek magazynów wojskowych. Dochodziła północ.

Wciąż myślał o spowiedzi Germaina Ulma i próbował wszystko ułożyć sobie w głowie. Katherin spisała się lepiej, niż mógł przypuszczać. Po wyjściu z kościoła oboje pojechali na Jurandów. Kuhnast zgodził się, żeby odwiedzili

Grete Heigl. Tak jak się spodziewał, do złudzenia przypominała Idę. Klein po opuszczeniu szpitala sklecił kilka słów do Franza Koschelli. Przekazał je posłańcowi. Miał nadzieję, że wiadomość dotrze do wachmistrza.

– Kuzyn dał mi cynk, że dziś szykuje się duży transport z twierdzy na dworzec główny – powiedział Hans. – Ta firma, Goliat, zamówiła kilka wagonów towarowych. Ewakuują się?

– Niby dlaczego? – zapytał sam siebie Klein.

– To się może źle skończyć, kapitanie. Nie, żeby mnie obleciał cykor, ale to już grubsza sprawa. Jak mnie w twierdzy nakryją, to mogę za to zawisnąć.

– Nie pójdziesz tam ze mną, Hans. – Wilhelm uspokoił chłopaka. – Zostaniesz tu i na mnie poczekaasz. Gdybym nie pojawił się w ciągu godziny, znajdziesz wachmistrza Koschellę i powiesz mu o wszystkim.

– Mam mu powiedzieć o... wszystkim?

Klein przeniósł wzrok na Fredkego.

– Swój udział możesz pominąć.

– Jasne jak słońce. – Hans mimo wszystko wciąż był podenerwowany. – Godzina to dużo czasu. Co, jak pana złapią?

– Godzina, Hans – powtórzył Klein.

Wyszedł z bramy i szybkim krokiem przeciął ulicę. Deszcz nasilił się jeszcze bardziej i Fredkemu zdało się, że świat znika powoli za drżącą kurtyną ulewy. Zniknął też kapitan. Rozpłynął się w powietrzu jak miraż.

Hans oparł się o ścianę. Był przygotowany na każdy scenariusz. Podwórce za plecami znał bardzo dobrze. Zaplanował sobie drogę ucieczki, gdyby coś poszło nie tak. Czekał. W myślach odmierzał kolejne sekundy. Bał się, lecz miał nadzieję, że wszystko pójdzie zgodnie z planem i Klein dowie się, co przewożono w skrzyniach do twierdzy.

Wilhelm tymczasem znalazł się przy bramie prowadzącej do poterny. Strażnicy schowali się przed deszczem w stróżówce. By zbliżyć się do budynku, wystarczyło wykorzystać jako osłonę jedną z zaparkowanych tu ciężarówek. Informacje przekazane od Hansa Fredkego sprawdziły się – boczne wejście do jednego z magazynów było otwarte. Klein wślizgnął się do wnętrza, a po chwili znalazł się przy platformie.

Czekał, aż oczy przyzwyczają mu się do ciemności. Zapamiętał wnętrze poterny, gdy brał udział w rozładunku. Oceniał wtedy wszystkie odległości, nawet wysokość stopni znajdujących się przy wyciągu. Przez chwilę jeszcze nasłuchiwał odgłosów, a potem ruszył po stromych schodach na górę.

Wilhelm przesuwał dłonią po ścianie. W szybie było duszno, a wspinanie się wymagało dobrej kondycji. Kapitan pokonywał stopnie, nie spiesząc się

i ostrożnie stawiając stopy. Nie używał światła. Musiał mieć pewność, że nikt go nie zobaczy.

Schody wreszcie się skończyły, a Klein znalazł się u celu, na platformie przeładunkowej.

Teraz musiał użyć wyobraźni i zaufać opisowi, który przekazał mu kapitan Metz. Przeszedł wzdłuż ściany na lewo, gdzie wymacał drzwi. Przez chwilę nasłuchiwał odgłosów po drugiej stronie. Gdy był pewny, że jest bezpiecznie, pociągnął uchwyt ku sobie. Ten nawet nie drgnął. Wyglądało na to, że Metz napotkał nieprzewidziane trudności. Miał zapewnić Kleinowi otwartą drogę do magazynów.

Wilhelm znów zaczął nasłuchiwać. Włamanie do twierdzy nie uszłoby na sucho nawet jemu. Co gorsza, gdyby odkryto jego obecność, musiał się liczyć z nieprzewidzianą reakcją strażników.

Kapitan spróbował ponownie otworzyć drzwi. Użył tym razem więcej siły. Skrzydło było cięższe, niż przypuszczał, ale ustąpiło. Uchylił je wystarczająco, żeby się precyzyjnie przesuwać na drugą stronę. Starał się przy tym nie zawadzić o nie łomem przymocowanym do boku.

Czekała go teraz podróż w zupełnych ciemnościach. Metz przekazał mu plan rozmieszczenia magazynów. Wilhelm zapamiętał go. Wiedział, że przed nim rozciągał się korytarz, od którego odchodzi kilka odnóg. Powinien bez trudu dotrzeć do tej właściwej.

Ruszył w ciemność, prawą dłonią wciąż dotykając muru. Liczył kroki, po piętnastu skręcił w prawo. Kolejne piętnaście kroków. Naraz wyczuł dużą przestrzeń wokół siebie. Odgadł, że znalazł się w głównym magazynie.

Dostrzegł w pewnej odległości przed sobą jaśniejszą poświatę. Odczekał chwilę, a gdy nabrał pewności, że w jego stronę zbiegają wartownicy, zdecydował się poszukać schronienia.

Wstrzymał oddech. Rutynowy obchód, leniwy i nieuważny. Zaszurały ciężkie bucior, jeden z żołnierzy zaśmiał się na czerstwy żart drugiego. Kapitan wykorzystał moment, gdy latarnia przesunęła się po ścianach, a potem po skrzyniach ustawionych jedna na drugiej. Udało mu się zapamiętać rozkład magazynu, zanim znów ogarnęła go ciemność.

Szczęknęły metalowe drzwi i zasuw. Klein odczekał chwilę i wysunął się z kryjówki. Trzymając się blisko ściany, ruszył po omacku w miejsce, w którym zauważył wolno stojącą skrzynię. Wyciągnął dłoń. Palce natrafiły na drewnianą obudowę.

Kapitan namacał szparę przy pokrywie. Wsunął w nią łom i napał na niego z całej siły, wykorzystując ciężar ciała. Drewno stęknęło, nity puściły. Zabrzmiało to jak głuchy wystrzał.

Wilhelm się zawahał. Zastygł w bezruchu. Szpara była zbyt mała, musiał przesunąć łom i powtórzyć operację.

Suchy trzask rozbrzmiał znowu. Kapitanowi udało się unieść pokrywę na tyle, by swobodnie włożyć rękę do środka.

Wyczuł brezent, niecierpliwie go pociągnął, szukając wolnej przestrzeni. Udało mu się. Palce dotknęły znajomych kształtów. Powtarzany po tysiącokrotnie automatycznie ruch, ułożenie dłoni na zapamiętanych, wyprofilowanych powierzchniach.

Klein wyciągnął rękę ze skrzyni i sięgnął do kieszeni po latarkę. Nie tyle, by się upewnić co do zawartości pakunku, ile żeby sprawdzić oznaczenia na wieku.

Jasny snop przesunął się po drewnianych listwach. Klein przez kilka sekund lustrował oznaczenia. W końcu uznał, że to wystarczy, i zgasił światło.

Zastygł.

Wnętrze magazynu w okamgnieniu ożyło, pojawili się żołnierze. Rozbrzmiało kilka głośnych poleceń i wagonik w poternie wydał z siebie przejmujący zgrzyt.

– Brać się za skrzynie! Ładować na platformę! Macie natychmiast opróżnić magazyn!

Klein wycofał się ostrożnie w kierunku bocznych magazynów. Przystanął w wąskim przejściu. Zastanawiał się, co dalej. Wydało mu się, że usłyszał dźwięk, którego nie powinien był usłyszeć. Odwrócił się. Dezorientowała go świetlna plama przed oczami, powidok własnej latarki. Ował przesunął się, choć nie powinien. Przypominał ludzką twarz.

Klein uniósł łom, ale zrobił to ułamek sekundy za późno. Powidok zniknął, gdy Wilhelm poczuł uderzenie w głowę.

*

Kościelny Lischke obudził się w środku nocy. Nie mógł już zasnąć, chociaż próbował. We śnie przyszedł do niego ksiądz Reiser. Wydawał się jak żywy, był tym młodym księdzem, którego zapamiętał sprzed wojny. Jeszcze nienaznaczonym cierpieniem.

Rozmawiali i w trakcie tej rozmowy Lischke uświadomił sobie, że Reiser jest przecież martwy, że przyszedł do niego z zaświatów, bo ma mu coś ważnego do przekazania i Lischke powinien był go o to właśnie zapytać. Mimo to nie potrafił sformułować żadnego pytania. Może się bał, może nie chciał poznać odpowiedzi.

Gdy się obudził, pożałował wcześniejszych obaw. Miał wrażenie, że szansa, która mu się przytrafiła, już nie powróci, że Reiser przyszedł we śnie po raz ostatni, by się pożegnać.

Lischke usiadł w ciemnościach przy stole w kuchni i oparł dłonie na obrusie. Przyszło mu do głowy, że tak naprawdę nie musiał zadawać księdzu żadnego pytania, by poznać odpowiedź. Reiser się zęgnął, bo jego dzieło lada chwila zostanie ukończone.

Starszy mężczyzna odwrócił się od stołu i spojrzął na wieże kościoła. Przeżegnał się, a potem, już spokojny, powrócił do łóżka.

*

– Wiedziałam, że zadzwonisz, Franz.

– Nie spałaś. – Koschella przycisnęła słuchawkę do ucha, jakby to pozwoliło mu być bliżej żony.

– Dziś pogrzeb tego, którego nazywałeś Łysym?

– Dziś.

– To dlatego dzwonisz.

Skinął głową, choć Barbara nie mogła tego zobaczyć. Może powinien coś teraz powiedzieć, ale nie wiedział co. Dławiło go w gardle, miał cholernie ciężki kamień na żołądku. Dawno się tak nie czuł. Paraliżowały go bliżej nieokreślone myśli i przeczucia. Zdał sobie sprawę, że również Barbara czuwała przez całą noc. Ona też trwała w nerwowym wyczekiwaniu.

– Zjedz coś przed wyjściem.

– Zjem – skłamał Franz.

Milczeli.

– Wróć – powiedziała, przerywając ciszę.

– Nie może być inaczej.

Ta krótka wymiana zdań podziałała na niego uspokajająco. Nabrał pewności, że wszystko będzie dobrze, że musi być dobrze. Ignorował to, co gnieździło mu się z tyłu głowy, co rozrastało się niczym rakowy twór, wnikając lodowatymi mackami w pień mózgu.

Koschella się rozłączył. Spojrzął jeszcze w stronę sypialni i łóżka. W ciemności niewiele mógł dostrzec. Na stole zostawił wiadomość, którą dostarczył mu posłaniec. Klein skreślił zdania w pośpiechu. Franz odczytał je kilka razy. Wciąż próbował sobie wszystko ułożyć.

Stan, który odczuwał, był inny niż zawsze. Jakby czas stanął w miejscu, a on sam utknął pomiędzy dochodzącymi od ulicy uderzeniami dzwonów wybijającymi pełną godzinę. Wszystko było inne, wyostrzone, cienie kładły się tam, gdzie nie powinny, dźwięki wygłuszył szum w uszach, którego źródła nie potrafił dociec. Poruszył się, sięgnął po marynarkę, żeby otrząsnąć się z tego stanu. Opór materii pokonywał z trudem, jakby rozdierał powłokę pomiędzy

tym, co było, a tym, co miało się dopiero wydarzyć. Wszystko znów ruszyło. Uruchomił nowy tryb w mechanizmie i miał świadomość, że nie mógł już niczego powstrzymać ani zmienić.

Poranek był duszny, Franz spociał się po kilkunastu krokach. Zdjął marynarkę i przewiesił ją przez ramię. Koszula lepiła mu się do pleców, otarł czoło rękawem. Miasto budziło się do życia. Pierwsze szczyty kamienic zazłociły się w słońcu, ptaki poderwały się do lotu z bruku i dachów, gdy stuknęły drzwi otwieranych sklepów, a na chodnikach zaterkotały wózki biedoty.

Jak za dotknięciem przełącznika w arterie kłodzkich uliczek wtłoczyło się życie. W naturalny sposób, tak jak każdego dnia. Prawie każdego.

Od Frankensteinerstrasse dobiegły Koschellę okrzyki. Kilku obdartusów skoczyło w stronę rynku, a potem rozpierzchli się po mieście. Dwóch z nich ruszyło w stronę mostu, a wachmistrz był pewny, że poszli dalej, w kierunku dworca.

Nadciągali też inni. Ze wsi i okolicznych miasteczek. Żałobnicy na ostatnie pożegnanie Łysego. Białe koszule, odświętne wyświecone spodnie i marynarki, które mieli tylko na niedziele i takie okazje jak dzisiejsza. Kilka grup zebrało się w głębi uliczek. Szybko się rozrastały, gdy od rogatek miasta nadciągali kolejni. Syn Łysego działał. Udało mu się zebrać tu wszystkich.

Koschella znalazł się już przed wejściem ratusza. Kilku policjantów z porządkowej stało przy fontannie. Rozglądali się to w lewo, to w prawo, próbując nadażyć za tym, co działo się wokół nich. Pocili się jeszcze bardziej niż Franz.

– Niedobrze to wygląda, wachmistrzu.

– A właśnie, że dobrze. Dostaliście wczoraj wytyczne?

– Dostaliśmy.

– I co w nich było?

– Żeby trzymać porządek, jak będzie kondukt szedł, i na cmentarzu. Żeby tłumić w zarodku prowokacje.

– To czego nie zrozumieliście, Hermann? – Wachmistrz przypomniał sobie nazwisko młodego policjanta z szupo.

– No... – Tamten się zawahał, spojrzął po kolegach, ale ci jakoś bardziej zainteresowani byli popatrywaniem na rynkową pierzeję. – No, nie było w instrukcjach, co po pogrzebie. A przecież wtedy dopiero może się dziać...

– Po pogrzebie rozstawicie się po mieście i czekacie na rozkazy. Teraz już rozumiecie?

– Tak jest, wachmistrzu. – Młody się wyprężył, zasalutował.

Koschella wyminął go i wszedł do ratusza. Przeliczył się, sądząc, że będzie tu chłodniej i znajdzie trochę wytchnienia. W magistracie buchało jak w piecu, czuć

było potem i zaduchem powstałym z porannych ludzkich wyziewów. Na korytarzach tłoczyło się kilkunastu policjantów z porządkowej, także tych ściągniętych z posterunków z okolicznych miast. Na widok wachmistrza zamilkli. Ten wyminął ich i skierował się na piętro.

Makowski skończył właśnie rozmowę telefoniczną. Odłożył słuchawkę i popatrzył na Franza, machnął jakimiś papierami. Zaczerwienione policzki zdradzały emocje.

– Maszynista zatrzymał skład za Strzelinem. Dał sygnał pasażerom, że dalej nie jadą. Nasz człowiek naliczył w przedziałach kilkunastu. Próbują organizować sobie transport, ale to nie będzie łatwe. Jeśli dotrą, to grubo po południu.

– Dobrze, co z drogami?

– Blokady na rogatkach z każdej strony. Pożyczyliśmy ciężarówki z browarów. Stoją na ważniejszych dojazdówkach.

– Przejadą bocznymi, ale nie wszyscy naraz. Dobrze. Ludzie Łysego stopniowo ich wyłapią.

– Myślisz, że to się uda? Będziemy tak po prostu patrzeć na to z boku? Nie przeliczymy się?

Wachmistrz skinął z namysłem głową. Nie wiadomo jednak, czy w reakcji na to pytanie, czy w odpowiedzi na jakieś własne przemyślenia.

– Franz! Mam nadzieję, że wiesz, co robisz?

– Zbierz naszych w salce obok. Za chwilę omówimy plan działań.

– Czyli jest jakiś plan... – Makowski parsknął jak szkapa. – Mam wrażenie, że wciąż nie mówisz nam wszystkiego. Będą kłopoty. Jak się zaczną wszyscy tłuc w mieście, to nad tym nie zapanujemy.

– Zbierz chłopaków – powtórzył cierpliwie Franz.

Ernst wyszedł, a Koschella sięgnął do aparatu. Wykręcił numer centrali i poprosił o połączenie.

– Hotel Dworcowy, słucham?

– Wachmistrz Franz Koschella, chcę rozmawiać z kapitanem Wilhelmem Kleinem.

– Panie wachmistrzu, kapitan wyszedł wczoraj wieczorem... i nie wrócił.

Franz odłożył słuchawkę i podszedł do okna. Przyszło mu do głowy, że posłuchał Schulza nieco za późno.

*

Kilka powtarzających się obrazów, nachodzących na siebie, odtwarzanych w przypadkowej kolejności. Była w nich Agnes. Stała nieruchomo, patrzyła na Kleina w jakimś oczekiwaniu. Jakby to on miał wykonać pierwszy ruch. Nie był

w stanie. Może nie chciał, może nie potrafił. Wpatrywał się w rysy jej twarzy. Dziwił się, że w tym sennym majaku tak dokładnie je pamięta. Przecież na jawie jej obraz stawał się dla niego coraz mniej uchwytny.

– Klein!

Kolejny obraz. Katherin. Unosiła się nad nim i opadała. To nie ona przywoływała go z daleka.

Drgnął, odzyskując świadomość, wydostał się z bezdennej czeluści. Mdląca ból rozpląnął się po ciele.

Uniósł ciężkie niczym ołów powieki, niewiele to jednak zmieniło. Wciąż otaczała go ciemność. Leżał w magazynie? Uderzenie w głowę pozbawiło go przytomności, a może oślepl?

Zachłyśnął się. Smród, który wdarł mu się do nosa, podrażnił gardło i żołądek. Ból eksplodował w czaszce. Kapitanowi zakręciło się w głowie. Mógł doznać wstrząsu mózgu. Ciśnienie rozsadzało mu potylicę. Zwymiotował. Z trudem obrócił się na bok, żeby nie zadławić się treścią żołądkową. Próbował przeczekać chwilę słabości. Spazmy w końcu minęły, a zmysły wychwyciły nowe wrażenia: chłód, wilgoć, porowate podłoże, głuchą ciszę dzwoniącą w uszach. Nie... słyszał coś jeszcze, buczenie, dziwną częstotliwość powtarzających się, nachodzących na siebie dźwięków.

Przysłonił nos mankietem koszuli. Znał tę mdlącą woń rozkładającego się ciała. Kiedyś się na nią uodpornił, towarzyszyła mu na co dzień. Łzawiły od niej oczy, wnikała w pory skóry, we włosy, przesiąkała ubranie. Powietrze stawało się gęste od gnilnych wyziewów.

Kapitan usiadł ostrożnie. Przed oczami pojawiły się świetlne refleksy. Przypominały ślady zostawiane przez meteoroidy w ziemskiej atmosferze. Zadrżał. Napały na niego obrazy z przeszłości. Flara rozjaśniająca całun czarnego nieba. Wydało mu się, że widzi linię okopów, ludzi kulących się w błocie, białe niczym pergamin twarze z otwartymi szeroko ustami i bielmami martwych oczu. Gdyby teraz wyciągnął przed siebie dłoń, natrafiłby na rozdęte gazami ciała, otwarte, ropiejące rany, odłamki kości i rozpadającej się materii.

Znów był krok od szaleństwa. Nigdy nie uwolnił się od tamtych demonów. One też przedostały się porami skóry do jego wnętrza, stały się spoiwem mięśni i ścięgien, treścią wszystkich arterii.

– Klein!

To słowo, niczym wystrzał z karabinu, padło na innym poziomie percepcji. Słyszał swój własny rozpaczliwy głos przywołujący go do świata żywych ze świata, który dawno już umarł wraz z częścią jego duszy.

Wilhelm drżącymi dłońmi obszukał kieszenie. Natrafił na latarkę. Wyciągnął ją. Odszukał kciukiem włącznik i go przesunął.

Snop światła wwiercił się w mózg. Niczym na deskach teatru oznaczył owalem leżącą kilka metrów dalej postać. Oparty o mur mężczyzna wydawał się bezdźwięcznie poruszać ustami. Klein na kolanach, z wielkim wysiłkiem, targnął się w jego stronę. Tłusta mucha niemrawo poderwała się do lotu z leżącego ciała. Ruch ust, skurcze skóry miały inną przyczynę. Robactwo żerowało na zwłokach.

Kapitan zgasił latarkę. Oddychał ciężko. Próbował zebrać myśli i nie poddawać się panice.

Czy znał tego człowieka?

Latarka ponownie oświetliła martwą twarz. Klein był pewny, że to zaginiony, urlopowany żołnierz kłódzkiej twierdzy. Rachmistrz umarł w zamknięciu, nie mógł się wydostać. Kapitan zepchnął na dno świadomości myśl, że czeka go ten sam los.

Zbliżył się do ciała, omiótł światłem najbliższe otoczenie. Jego uwagę przykuła ściana przy głowie zmarłego. Tamten zostawił wiadomość, wyrył ją na kamieniu. Ostatnie zapisane liczby.

Klein zgasił latarkę. Chciał oszczędzać baterie, nie wiedział, na jak długo mu starczą.

Przymknął oczy, zwizualizował prostokątną celę. Brak okien. Solidne drzwi pozbawione klamki i otworu na klucz. Rachmistrz zapewne próbował je wielokrotnie wywarzyć, Klein uznał, że ma małe szanse, by je sforsować.

W rogu ściany leżał kamień. Steinowi udało się go wyciągnąć, do wydłubania zaprawy użył guzików. Jeden leżał przy ciele, drugi w zaciśniętych, pokaleczonych palcach.

– Cholera.

Klein zaśmiał się upiornie. Podciągnął nogi pod brodę. Próbował wszystko chłodno przeanalizować. Gdzie go zamknęli? Zapewne gdzieś głęboko w podziemiach twierdzy. Miał zostać strawiony w trzewiach tego olbrzyma. Rachmistrz zapewne wołał o pomoc, krzyczał, uderzał w ściany. Bezskutecznie. Klein mógł więc sobie darować te próby i zachować siły. Na co? Jakie miał szanse? Gdyby ci, którzy go tu zamknęli, nie byli pewni, że istnieje cień szansy na ucieczkę więźnia, zatłukliby Kleina na miejscu. Przetestowali już metodę wtrącenia do lochu na rachmistrzu. Była skuteczna.

Czy wszystko przewidzieli? Nie. Na pewno nie.

Hans. Boy hotelowy powiadomi Koschellę o zniknięciu Kleina. Ten zwróci się do Metza. Przeszukają twierdzę... Jak długo to potrwa? Kilka godzin? A jak długo Klein był nieprzytomny? Kapitan miał wrażenie, że znalazł się gdzieś poza czasem, zagrzebany głęboko w ziemi. Siedział już tak godzinę? Dwie? A może zaledwie kilka minut?

Przymknął oczy. Koncentrował się na kilku myślach jednocześnie. Goliat. Magazyny twierdzy. Cyfry wyryte obok zwłok Michaela Steina. Czy to było możliwe?

Uniósł powieki. Fredke. Chłopak był odważny, potrafił zaryzykować. Być może uda mu się napisać inny scenariusz tej historii.

– Tu jestem! – zawołał Klein.

Krzyk, który dobył się z jego ust, był zadziwiająco słaby. Jakby struny głosowe odmówiły posłuszeństwa. Kapitanowi zakręciło się głowie, znów niemal zwymiotował.

– Tu jestem! – powtórzył.

Ściany wchłonęły jego głos. Przetrwały go, unicestwiły najdrobniejsze drżenie powietrza.

Odległy stukot. Klein wstrzymał oddech. Wydało mu się tylko czy usłyszał dźwięk z daleka, spoza celi?

– TU JESTEM!

Kapitan na kolanach przemieścił się w stronę miejsca, które zapamiętał. Uchwycił w drżące dłonie kamień. Podniósł go i ruszył do drzwi. Uderzył w nie z całej siły. Powtarzał tę czynność regularnie, raz za razem.

Mijały długie minuty. Ręka zaczęła omdlewać, kapitan jednak nie rezygnował. Mimo to metaliczny dźwięk gasł, jakby nakryła go dźwiękoszczelna kopuła.

– Klein!

Kapitan powstrzymał się przed kolejnym uderzeniem. Usłyszał coś? Czy znów odezwał się jego wewnętrzny głos?

– Kapitanie Klein!

– Tu jestem!

Wilhelm drgnął na uderzenia łomów i zgrzyt wyważanego żelastwa. W ciemności rozbłysły światła latarek.

– Mamy go!

Klein poczuł palce zaciskające mu się na ramieniu. Hans szarpnął nim niezbyt delikatnie, jakby chciał się upewnić, że kapitan nie jest przywidzeniem.

– Poszedłeś za mną, co?

– Jasne, że poszedłem za kapitanem. – Fredke nie ukrywał radości. – Przeczucie miałem, trafne jak cholera. Widziałem, jak pana przydybał jeden ze strażników. Zaciągnęli kapitana w podziemia. A ja za nimi, jak daleko się dało. Potem wróciłem się i poszukałem kapitana Metza. Trochę to trwało...

– Ocaliłeś mi życie, Hans.

– Jeśli kapitan tak mówi. – Fredke podrapał się pod kaszkietówką.

Klein zobaczył w przejściu kilku żołnierzy i kapitana Metza. Tamten popatrzył na Wilhelma, a potem jego wzrok przeniósł się na oświetlonego przez żołnierzy

trupa.

– To Stein, prawda? – zapytał.

Metz zasłonił nos chusteczką i zbliżył się do zmarłego. Klein widział, jak kapitan rozgląda się po celi, dłuższą chwilę patrzył na cyfry wyryte w kamieniu przy głowie rachmistrza.

– Przynieście nosze... trzeba go stąd zabrać – polecił Metz swoim ludziom.

– Będzie na to czas – powiedział Klein. – Teraz musimy się zająć inną sprawą. Czy mówi panu coś ta liczba?

Odsunęli się nieco, żeby nie stać w smrodzie. Metz milczał chwilę. W końcu się odezwał.

– Pół wieku temu zdemilitaryzowano twierdze, między innymi naszą i tę w Srebrnej Górze. W magazynach Twierdzy Kłodzko złożono osiemnaście tysięcy dwieście czterdzieści pięć sztuk broni. To dokładna wartość, która pojawiła się w dokumentacji. Rachmistrzowi chodziło więc o nie. Chciał zwrócić na nie uwagę tego, kto odnajdzie... jego zwłoki.

– Wiemy więc, do czego odnosi się ostatnia wiadomość Steina – powiedział Klein.

– Tak, nie rozumiem jednak, dlaczego przez tę sprawę zginął. Bo chyba tak możemy założyć? To mauser M1871, jednostrzałowe, właściwie bezużyteczne. Nie sądzę, żeby ktoś chciał się na nie pokusić.

– Do dziś powinny być składowane w twierdzy?

– Zgadza się, kapitanie. Według dokumentacji wciąż znajdują się w zaplombowanym magazynie, do którego nie ma dostępu.

– Ma pan możliwość sprawdzenia tych skrzyń?

– Ani ja, ani ludzie, którym ufam, nie mamy dostępu do magazynów. Uważa pan, że te karabiny są tak ważne? Mogło się z nimi coś stać?

– Magazyny wynajmowane przez Goliata opustoszały dziś w nocy – powiedział Hans. – Widziałem, jak wynoszą skrzynie...

– To prawda – potwierdził Klein. – Nocą wywieziono z twierdzy skrzynie, jednak nie te należące do Goliata. Stało się coś, czego nie przewidzieliśmy. Dziś dokonano kradzieży z magazynu twierdzy. Zabrano z niej ponad osiemnaście tysięcy sztuk broni, którą tam składowano. Nie były to jednak stare, bezużyteczne M1871, a nowoczesne mauser M98.

– To niemożliwe. Proszę wytłumaczyć, kapitanie – przynaglił Metz.

– Jestem pewny, że doszło do dwukrotnej podmiany zawartości skrzyń w magazynach twierdzy. Pierwszej dokonano kilka lat temu, tuż po Wielkiej Wojnie. To był najlepszy sposób, by ukryć tak dużą ilość nowoczesnych karabinów. Figurowały pod nazwą przestarzałego uzbrojenia, które zapewne zniszczono. Bezpiecznie ukryto broń frontową na lata. Dziś doszło do kolejnej

podmiany. Przedsiębiorstwo Goliat w ostatnich tygodniach ściągnęło z Czechosłowacji kilkanaście tysięcy sztuk starych, jednostrzałowych karabinów. Po to, by zamienić je na te, które były ukryte w magazynie. W ten sposób mauserzy Gew98 opuściły twierdzę.

Metz kręcił głową z niedowierzaniem, jakby to, co mówił Klein, do niego nie docierało.

– Skąd pan wie, że po Wielkiej Wojnie doszło do pierwszej podmiany?

– Może pan to nazwać intuicją...

– Kapitanie, jeśli podążę za pana intuicją, będzie to miało ogromne konsekwencje dla moich ludzi i dla mnie.

– Tak, to prawda. Jednak to pan prosił mnie o pomoc. Przekazałem właśnie panu, do czego, jak jestem przekonany, doszło w ostatnich tygodniach w twierdzy. Finał rozegrał się dziś w nocy.

Metz popatrzył na milczących podwładnych.

– Jeśli nie odnajdziemy skrzyń, które zostały wywiezione z twierdzy, i nie sprawdzimy ich zawartości, nie zdołamy niczego udowodnić. Zgodnie z pańskimi słowami w magazynach znajdziemy dokładnie to, co figuruje w spisie. Ponad osiemnaście tysięcy karabinów starego typu. Nikt mi nie uwierzy, gdy powiem, że jeszcze przed kilkoma godzinami w skrzyniach spoczywały dziewięćdziesiątki ósemki!

– To kradzież doskonała, kapitanie Metz, albo... prawie doskonała.

– Wszystko się zgadza nie tylko w papierach, ale i w stanie faktycznym. Nikt oficjalnie nie odważy się szukać zaginionego ładunku...

– Od pana zależy, kapitanie Metz, co pan zrobi z tą informacją.

Metz popatrzył w stronę zwłok leżących pod ścianą.

– Chcę odnaleźć te skrzynie. Jesteśmy w stanie to zrobić?

– Wiem, że ufa pan swoim ludziom. – Klein spojrzął na przysłuchujących się rozmowie podwładnych kapitana. – Będą panu potrzebni. Jest szansa, że odnajdzie pan zgubę.

– Jak?

Klein spojrzął na Hansa. Ten wyszczerzył zęby.

– Dziś z Kłodzka nic tak łatwo nie wyjedzie – powiedział. – Za sprawą wachmistrza Koschelli stanął cały ruch towarowy i pasażerski. Mój kuzyn spróbuje zlokalizować ładunek, który wyjechał w nocy z twierdzy. Proszę dać mi trochę czasu.

Metz przeniósł wzrok na Kleina.

– Będziemy czekać – powiedział. – Pojedzie pan z nami?

Klein potrząsnął głową.

– Także mam sprawy do załatwienia. Dziś ktoś jeszcze może potrzebować pomocy. Załatwi mi pan jakąś broń, kapitanie Metz?

*

W stronę Wasserstrasse jechał paradny karawan z wystrojonym woźnicą. Wóz ciągnęły kłaczki z wyczesanymi grzywami, pewnie najlepsze w mieście. Cała kłódzka ferajna złożyła się na pogrzeb Łysego. Do piekła staruch miał wjechać z pompą, żeby sam szatan wiedział, z kim ma do czynienia.

Jedna z kłaczy zarżała, uniosła łeb. Wóz potoczył się dalej, ludzie wyglądali z okien, wychodzili na ulicę, wybałuszali oczy.

Plan, Koschella miał plan, ale znał życie na tyle, by wiedzieć, że nawet ten najlepszy najczęściej bierze w łeb. Tu było zbyt wiele niewiadomych, zbyt wiele elementów niepasujących do siebie nawzajem, chaotycznych. Z jednej strony Łysy i jego ludzie, z drugiej ringverein ściągający do Kłódzka, między nimi policja. Do tego demiurg szarpiący za sznurki podczepione do całego tego gówna. Zbyt wiele punktów zapalnych. Koschella widział w tej sprawie system naczyń połączonych. Chwilami dostrzegał najodleglejsze implikacje z pozoru niepowiązanych wydarzeń. Wciąż jednak nie potrafił zlokalizować centrum tego układu, mózgu, który wszystkim sterował. Bo Franz nie miał złudzeń. To, co się działo, nie było dziełem przypadku. Ten chaos był nie tylko sterowany, ale i kontrolowany. Wachmistrz miał zamiar zamienić się dziś w uważnego obserwatora, przypatrywać się każdej nici z osobna. Musiał wierzyć, że to wystarczy, by ułożyć sprawy i śledztwo.

– Jesteśmy gotowi, Franz.

Koschella odepchnął się dłońmi od parapetu, ruszył do salki. Stanął przed swoją grupą, założył dłonie za plecami. Potoczył wzrokiem po siedzących przy stołach mężczyznach. Byli gotowi do działania. Stali przed wielką niewiadomą, ale ta myśl zapalała ich umysły. Dotąd gnuśnieli w swoich kanciapach, teraz wreszcie mogli strząsnąć pajęczynę z przykurzonych mundurów.

– Obsadzenie wyznaczone punkty miasta. Makowski, zostaniesz przy synu Łysego, nie odstępujesz go na krok. Wiecie, w jakich punktach mamy rozstawionych ludzi. Na trasie prowadzącej na cmentarz i na samym cmentarzu mają się pojawić zespoły naszych. Nikt nie chodzi w pojedynkę. Wszyscy pozostają w kontakcie wzrokowym.

– Nie mamy aż tylu ludzi, Franz – zauważył cierpko Werner.

– Muszą wystarczyć.

– Czego możemy się spodziewać? Co, jeśli dojdzie do regularnej bitwy między przyjezdnymi i tymi od Łysego? – zapytał Bosek.

– Dopóki nie użyją broni palnej, nie ma powodu interweniować.

– A jak zacznie się strzelanina? Większość naszych nie była w takiej sytuacji. Na pewno spanikują, nie ma bata. Niewielu pozostało w służbie tych, co strzelali do człowieka i do których strzelano.

– Anton, zadbaj, żeby zespoły mogły się szybko przemieszczać. Interwencję podejmujemy w ostateczności w przypadku zagrożenia życia osób postronnych.

– Ty naprawdę chcesz pozwolić, żeby to załatwili między sobą? Ludzie Łysego pójdą za jego synem?

– Dzisiaj pójdą. – Koschella oparł dłonie na blacie. – Żaden z watazków nie chce tu ringvereinów. Trzęsą przed nimi portkami. To ich jednoczy. Co będzie później, to inna sprawa. Pretendentów do schedy po Łysym jest wielu.

– Franz, mam przecucie, że coś jeszcze za tym siedzi – odezwał się Makowski. – Nie sądzisz, że ten skurwiel od obrazów wykorzysta to zamieszanie?

Koschella wykrzywił się w uśmiechu.

– Pewnie tak, Ernst. Każdy dzisiaj coś ugra na tym zamieszaniu.

*

– Czekaj, Leon, posłuchamy starego. – Gurber zatrzymał Czoska w pół kroku i odciągnął na bok.

Przystanęli na półpiętrze, ale mieli stąd wystarczająco dobry widok na hol i korytarz. Wszyscy policjanci, którzy jeszcze nie wyszli w miasto, stali w grupkach pod ścianami. Stłoczeni i milczący, wyczekując rozkazów. Zaduch w magistracie zrobił się nie do wytrzymania. Ktoś otworzył okno, ale podmuch był niemrawy, jakby zaskoczył go tłok na korytarzach urzędu.

Wachmistrzowie i asystenci policyjni patrzyli do góry, na szefa Wydziału Kryminalnego Thomasa Zendera. Ten zatrzymał się u szczytu schodów, wyprostowany jak struna. Potoczył wzrokiem z lewej do prawej, może chciał objąć spojrzeniem każdego z zebranych, może rozważał jakąś ważną myśl. W końcu zagrzmiał:

– Wszyscy jesteśmy stąd! Z Kłodzka, z miast i okolicznych wsi! – Wykorzystał pauzę na kolejne przeciągłe spojrzenie.

Czosek poczuł szturchnięcie w bok, popatrzył na Gurbera. Ten z trudem utrzymywał powagę. Wyszeptał:

– Stary zapomniał, że się urodził we Wrocławiu, a jeszcze niedawno Kłodzko nazywał gównianą dziurą.

Leon zdusił śmiech. Słowa Zendera znów odbiły się echem od ścian:

– Każdy z was dokonał tego samego wyboru! Czy zdajecie sobie sprawę, że ten wybór właśnie połączył zupełnie obcych sobie ludzi? Idźcie ramię w ramię trudną zawodową drogą nie bez powodu! Dzisiejszy dzień będzie dla was testem charakteru, da wam odpowiedź na to, czy życiowa ścieżka, którą obraliście, prowadzi was do celu! Wiecie, co nim jest, co jest waszym życiowym celem?

Czosek patrzył po twarzach policjantów. Słuchali uważnie. Zniknął gdzieś wcześniejszy tępy wyraz twarzy, malujący się na obliczach wielu z nich. Słowa Zendera przykuły ich uwagę. Teraz i oni prostowali się i prężyli, łowiąc każde słowo.

Leon musiał przyznać, że Zender miał dar przemawiania. Osiągnął coś znaczącego, i to zaledwie kilkoma zdaniem. Czosek próbował wyobrazić sobie w tej roli Koschellę. Nie było to łatwe.

– Prawo i porządek! Co nim jest, panowie?

– Prawo i porządek!

Czosek poczuł ciarki na plecach. Popatrzył na Gurbera. Ten cmoknął. Uniósł nawet brwi w zdziwieniu, jakby nie znał swojego przełożonego od tej strony.

– To nasze miasto, panowie. – Zender, widząc reakcję policjantów, dał się ponieść własnym słowom. Uniósł pięść. – Miasto, za które jesteśmy odpowiedzialni. Tak jak i za jego mieszkańców. Nie ma w nim miejsca dla łamiących prawo, nie ma miejsca dla tych, którzy nie mają szacunku dla władzy sprawującej pieczę nad Kłodzkiem. Odpowiadać będziemy z pełną stanowczością i zdecydowaniem. Mamy za sobą kolegów i to, co nas predestynuje do tego zawodu! Poczucie obowiązku!

Gurber zaczął klaskać. Czosek poszedł nieśmiało w jego ślady, ale dźwięk wydawany przez jego dłonie stłumiła salwa oklasków.

Zender pozwolił jej wybrzmieć. Nie napawał się oratorskim sukcesem. Kolejne słowa były krótkimi, suchymi poleceniami:

– Zostaliście przydzieleni do ważnych zadań. Każdy z was wie, co ma robić. Jestem pewny, że dzięki wam dziś to miasto będzie bezpieczne! Do dzieła!

Policjanci ruszyli ławą do wyjścia, przez co zablokowali na dłuższą chwilę drzwi magistratu. W końcu jednak korytarze opustoszały. Zender zniknął w swoim gabinecie. Leon poczuł ucisk na łokciu, gdy Gurber odciągnął go na bok.

– My też mamy swoje zadania. – Karl ruszył w dół schodów. – Idziesz?

– Zender nie wydał nam jeszcze instrukcji.

– Wydał. Rozmawiałem z nim już przed tym teatrzykiem. – Gurber przepaszająco uniósł ramiona. – My też zajmujemy się tym, do czego czujemy powołanie, Leon. Poczucie obowiązku każe nam znaleźć mordercę, nie sądzisz?

*

Koschella stał w milczącym tłumie oblegającym rynek. Początkowo chciał się przedrzeć w stronę Niedergasse, ale utknął zaledwie kilkanaście metrów od wyjścia z ratusza. Jego ludzie rozproszyli się, sprawnie przy tym operując łokciami i zestawem niewybrednych przekleństw. Franz postanowił poczekać.

Nie trwało to długo. Gwar powoli cichł, bo gawiedź wsłuchała się w dźwięki, które echem meandrowały pośród uliczek. Teraz i Koschella dosłyszał skoczną melodię akordeonu i skrzypiec. Pochód ludzi Łysego wyłonił się zza rogu. Konie zarzuciły łbami na widok ciżby, nie zatrzymały się jednak, bo woźnica im nie pozwolił. Ta ludzka blokada nagle się jednak otworzyła i w nią, niczym klin, wbił się żałobny kondukt z księdzem na czele i jego ministrantami. Na wozie jadącym za duchownym siedzieli muzycy. Łysy w ostatnią drogę jechał jak król przy skocznej, wesołej melodii. W trumnie tonącej w kwiatach do piekła odprowadzali go najlepsi muzykanci w hrabstwie.

Za wozem szła rodzina Łysego. Syn, najbliżsi przybocznicy, dalej, złodzieje, dziwki i inny znany kłodzkiej policji element. Franz dostrzegł wśród ubranych odświętnie żałobników tych z Dusznik, Bystrzycy, a nawet Ząbkowic. Młodemu udało się to, co zapowiedział. Miał za sobą, przynajmniej dzisiaj, wszystkich z hrabstwa i spoza niego. Przyjechali pochować Łysego, oddać mu szacunek, ale i po to, by zadbać o swoje interesy. Jutro wszystko się miało odmienić. Dziś zaś wszystko miało się rozstrzygnąć.

Franz pomyślał, że takiego tłumy nie było nawet na świętach państwowych. A takiego pożegnania nie doczeka się żaden policjant. Nie było mu nawet szkoda. Robaki nie pogardzą żadnym truchłem, choćby mu wcześniej przygrywał w ostatniej drodze sam szatan.

Kondukt przejechał, dzieciarnia rzuciła się za żałobnikami. Na końcu szło kilku młodszych ludzi Łysego, rzucając cukierki.

Franz spojrzął po oknach i dachach kamienic. Mieszkańcy miasta wystawiali głowy, wielu obsiadło gzymsy, chcąc mieć lepszy widok. Majtali nogami i żywo komentowali spektakl rozgrywający się na ich oczach. Było coś w tym obrazie, co w Koschelli budziło niepokój. Jakby patrzył na płótno, na którym malarz ukrył kilka niepokojących symboli.

Policjanci przemierzali się z tłumem. Łysy miał wystarczającą, czujną obstawę. Jechali do kościoła, później na cmentarz. Przynajmniej do tego momentu wachmistrz był pewny, że wszystko będzie pod kontrolą. Coś jednak zagnieździło mu się z tyłu głowy i nie dawało spokoju. Coś było nie tak.

Plac rynkowy pustoszał, mieszkańcy ciągnęli za żałobnikami w stronę Schwedeldorferstrasse, a później Kirchgasse. Wkrótce przy rynkowej studni

pozostał tylko Franz. Wsłuchując się w szcęk zamykanych okiennic.

Dotarł do niego powiew od kamiennego mostu. Powietrze było upalne, pałace słońce wysysało wilgoć z murów. Skórę wachmistrza pokrył lepki pot. Koschella popatrzył na mężczyznę stojącego przy policyjnym samochodzie. Ich spojrzenia się spotkały, tamten wolno ruszył w stronę wachmistrza. Ubrany był w garnitur, drogie buty i modny kapelusz. Choć szczelnie zapięty po szyję, nie wyglądał na spoczonego.

Franz czekał. Spłoszony gołąb wzbił się z furkotem w niebo. Śmiech jakiegoś dziecka wydobył się z niedalekiej bramy, zaraz jednak ucichł jak ucięty nożem. Stukot laseczki na kocich łbach niósł się miarowym echem niczym spowolnione tykanie zegara. Mężczyzna zatrzymał się przed Koschellą, wsparł na posrebrzanej główce laski i uśmiechnął się, przekrzywiając głowę. Wpatrywał się w wachmistrza. To spojrzenie było i ciekawskie, i kpiarskie, zapewne wyliczone na jakąś reakcję. Wobec jej braku nie okazał jednakże rozczarowania. Nieznajomy, osobnik o pociągłej twarzy i nieruchomych, zimnych oczach miał w spojrzeniu i fizjonomii coś, co Koschella potrafił bezbłędnie rozpoznać. Stał przed Franzem człowiek, który rozsmakował się w okrucieństwie, w bólu i strachu. Przesiąkł nimi i wydalał porami skóry zamiast potu.

– Wachmistrzu Koschella, obaj od początku przeczuwaliśmy, że niedługo znów się spotkamy.

Głos, który wydobył się z mężczyzny, pochodził z głębi trzewi, wypychany z powietrzem świszczącym w płucach. Uszkodzone struny głosowe nadawały słowom złowieszczonego warkotu przypominającego ten dobiegający z fabrycznych warsztatów.

Osobnik uniósł głowę, jakby chciał wycelować podbródek we Franza. Nie miał apaszki. Wachmistrz dostrzegł dzięki temu głęboki ślad na szyi i krtani. Wreszcie wyjaśniło się źródło problemów z głosem.

– Mam wiadomość dla pana.

Franz patrzył obojętnie, milczał.

Laska uderzyła dwa razy w bruk, jakby jej właściciel chciał wymusić na Koschelli jakąś reakcję.

– Słyszysz mnie pan czy ogłuchł?

– Mam w dupie, co dla mnie masz. – Franz także przechylił głowę. – Zrób w tył zwrot i wracaj do nory, z której wylazłeś.

Cmoknięcie było pełne dobrodusznej dezaprobaty. Jakby przybysz poczuł się zawiedziony brakiem taktu Franza i naruszeniem jakichś niepisanych plemiennych zasad.

– Wachmistrzu, zapewniam, że moja nora wygląda lepiej od tej pańskiej przy Böhemischestrasse. Mógł pan jednak tego nie wiedzieć. Nic pan o mnie nie wie,

za to ja wiele wiem o panu i nie tylko o panu.

Franz nie dał się sprowokować. Spodziewał się, że prędzej czy później pojawi się ktoś, kto mniej lub bardziej okrągłymi zdaniem będzie groził jemu i jego rodzinie.

– Wciąż nie jest pan zainteresowany wysłuchaniem tego, co mam mu do przekazania? A może zmienił pan zdanie?

Mężczyzna zinterpretował dłuższe milczenie wachmistrza jako zgodę.

– Dobrze więc. – Kolejne uderzenie laską o bruk. – Możemy jeszcze naprawić to, co tak nieroztropnie pan zepsuł. Wiele zależy jednak od pana, od tego, jak się pan dziś zachowa. Jakie działania pan podejmie lub... jakich zaniecha. Mój przełożony postanowił dać panu szansę. Ostatnią. Do tych ostatecznych rozmów ma odpowiednich ludzi...

– Takich jak pan?

Znów uśmiech. Osobnik sięgnął do kapelusza, uniósł go w geście mówiącym „do usług”. Pewność siebie, charyzmę i przekonanie o własnej sile nabył nie w teatrze, ale w ciemnych uliczkach Berlina.

– Proszę się nie obawiać. To nie jest jeszcze ta chwila, to nie jest nasza ostatnia rozmowa. Do niej zresztą wcale nie musi dojść.

– Szkoda. – Franz pokręcił głową, udając zawód. – Bo ja nie zwykłem dawać nikomu pierwszych i drugich szans. Nie bawię się też w wysyłanie posłańców, sprawy załatwiam osobiście.

– Oho-ho! – Mężczyzna uniósł laskę, wycelował jej koniec w klatkę piersiową Koschelli. – Twardy z pana zawodnik! To dobrze, bo wydawało mi się, że będę się w Kłodzku nudził. Czuję, że dostarczy mi pan sporo rozrywki.

– Cieszę się, że jest pan zadowolony z pobytu w naszym mieście. Myślę jednak, że czas już je opuścić.

– To ta słynna gościnność w zakątku Pana Boga?

– Można to tak nazwać.

Posłaniec parsknął śmiechem, pokręcił głową.

– Szkoda... – Laseczka znów uderzyła o bruk. – Przekażę swojemu zwierzchnikowi pana słowa.

– Nie mam wątpliwości, panie Paluch.

Mężczyzna, który unosił właśnie kapelusz w geście pożegnania, zawahał się. Patrzył Koschelli w oczy dłużej, niż powinien. Jakby sprawdzał, z kim ma do czynienia – z szaleńcem czy desperatem. Coś musiał wyczytać w spojrzeniu Franza, bo przez jego twarz przeszedł trudny do określenia grymas. Do tej pory mogło mu się wydawać, że buta przysłania rozum miejscowemu wachmistrzowi, który nie wie, z kim ma do czynienia i nie zdaje sobie sprawy z konsekwencji swoich czynów. Wiedział już, że tak nie jest.

Posłaniec przeniósł spojrzenie z policjanta na magistrat, zlustrował okna, jakby nagle poczuł, że jest obserwowany. Jego wzrok przesunął się w stronę Frankensteinerstrasse. Gdy zobaczył stojących w pobliżu ludzi Koschelli, uśmiechnął się drapieżnie. Kiwnął w końcu głową i obrócił się na pięcie, po czym ruszył w swoją drogę. Nie był już jednak tak rozluźniony jak wcześniej. Jego pewność siebie została nadkruszona. Najwyraźniej zdał sobie sprawę, że w przeciwieństwie do przeciwnika nie rozeznał gruntu wystarczająco dobrze i czeka go w Kłodzku kilka niespodzianek.

– A nie mówiłem, że to on? – odezwał się Werner, gdy wraz z Boskiem, Weinertem i Makowskim stanęli u boku Koschelli. – Cyngiel do zadań specjalnych. To, że Schwarz go zabrał do Kłodzka, nie było przypadkiem. Musiał wiedzieć, że mu się skurwiel przyda.

Franz poznał życiorys Tony’ego Palucha dosyć dobrze. Znajomi Wenera z Berlina przesłali mu jego bogate dossier. Kilkanaście morderstw na zlecenie, każda z ofiar pozbawiona kciuka. To była jego wizytówka. Zniknął na kilka lat, podobno dostał parę zleceń za oceanem. Wrócił, i to akurat tu, do Kłodzka. Facet do zadań specjalnych.

– Cholera wie, ilu takich jak on przedostało się do miasta – wtrącił Bosek. W jego głosie pobrzmiwał niepokój. – Nie lepiej było go teraz przymknąć? Dalibyśmy mu radę.

– Patrz tam. – Koschella poruszył głową, wskazując południową pierzeję rynku. – Ma w pobliżu ekipę. Gdybyśmy ich teraz ruszyli, wszystko by się posypało. Richter jasno dał do zrozumienia, że mamy czekać.

Patrzyli za Tonym i jego ludźmi, którzy wyroili się z okolicznych zaułków jak karaluchy. Szybko znikli im z oczu.

– Jesteś pewny, że nie uderzą pod kościołem albo w drodze na cmentarz? – Werner zmarszczył brwi. Mocno go to gryzło od dłuższego czasu. – Sytuacja wciąż się zmienia. Wszystkie ustalenia idą w łeb. To chyba nie czas na improwizację? Franz, za długo czekamy z decyzjami!

– Zrobią to po pogrzebie – powiedział Koschella ze stanowczością. Nie dawał sobie przestrzeni na okazanie wahania. Nie mógł pozwolić, by któregokolwiek z jego ludzi ogarnęła niepewność.

– Czyli czekamy na nich przy cmentarzu? Na tych, co się przedostaną do miasta?

– Nie. – Franz objął spojrzeniem całą grupę. – Będą chcieli to zrobić tutaj, w centrum Kłodzka.

– Rozróżba przy ratuszu nie przejdzie bez echa. Są aż tak głupi?

– W Berlinie tłuką się, gdzie popadnie, Anton. – Odpowiedź wziął na siebie Makowski. – Nikt się tym tam nie przejmuje.

– Może i racja – zgodził się Werner. – Ale ty, Franz, chyba chcesz rozstrzygnąć to gdzieś indziej, co?

– Jasne, że tak. – Wachmistrz się uśmiechnął.

Ten jego grymas podwładni wzięli za dobrą monetę. Jakby uwierzyli, że Koschella rozpracował wszelkie możliwe scenariusze i miał wszystko pod kontrolą. To jego tajemniczość wzięli za dobrą monetę. Franza uderzyła myśl, że on sam czasem podobnie postrzegał Wilhelma Kleina. Gdy razem pracowali nad jakąś sprawą, wystarczyło spojrzeć na kapitana, by się upewnić, że trybiki w jego mózgu pracują niestrudzenie i nieprzerwanie, że ta maszyna w głowie pozwala mu przewidzieć wydarzenia na kilka ruchów do przodu. Uśmiech na twarzy Franza powoli jednak gasł, gdy wachmistrz skonstatował, że w przypadku Kleina takie domysły były jak najbardziej uzasadnione, w jego zaś – niekoniecznie. Na szczęście w odpowiednim momencie padło kolejne pytanie ze strony policjantów.

– Zastanawiam się, ilu tych skurwieli dotrze na czas – odezwał się Bosek. – Mamy kilka słabych punktów, nie uda się zablokować wszystkich dróg dojazdowych.

– To prawda – zgodził się Koschella. – Ale rozproszymy ich i opóźnimy na tyle, że nie wszyscy dotrą w tym samym momencie. Mimo to sądzę, że mogli przewidzieć trudności. Na ich miejscu jedną z większych grup wysłałbym jednym transportem i zrobił wszystko, żeby dotarli do Kłodzka.

– Ale z kolejarzami jesteśmy przecież dogadani – zauważył Makowski.

– Z tymi od nas tak. – Koschella się zawahał. Nagle zdał sobie sprawę, gdzie popełnił błąd. – Kudowa, do jasnej cholery!

– Kurwa. – Ernst także skojarzył fakty. Otarł czoło. – Jak mogliśmy to przegapić?! Co robimy?

– Makowski, weź Boska i Weinerta, pakujcie się w samochód i jedźcie na dworzec. Zróbcie wszystko, żeby ich opóźnić. Werner, zbierz w mieście, kogo się da. Masz kwadrans, żeby wyruszyć z grupą. Ja pogadam z Richterem. Potrzebujemy większego wsparcia.

Ludzie skinęli głowami i rozbiegli się, każdy w swoją stronę. Koschella obrócił się i skierował w stronę ratusza. Zaklął w duchu. Daleko mu było do kapitana. Ten na pewno przewidziałby taki obrót spaw dużo wcześniej. Swoją drogą, gdzie, do ciężkiej cholery, był Klein?

*

Leon Czosek stał u boku Gurbera w tłumie na placu kościelnym. Przez chwilę z roztargnieniem wpatrywał się w Czarną Bramę, stanowiącą zamknięcie Kirchgasse. Ludzie zajmowali teren dawnego cmentarza. Nastrój daleki był od

nabożnego. Dzieciarnia biegała między dorosłymi, ludzie szemrali między sobą, coraz śmielej i coraz głośniej.

Dopiero dźwięk dzwonów kościelnych zagłuszył rosnący gwar. Część mężczyzn ściągnęła czapki z głów. Spłoszone ptaki poderwały się do lotu, okrążyły plac i zniknęły za dachami domów.

Leon dostrzegł kościelnego w oknie kamienicy. Zdziwił się, że ten nie jest przy ołtarzu. Asystentowi policyjnemu przyszło do głowy, że stary być może zaniemógł. Miał już w końcu swoje lata.

Śpiew dochodzący przez szeroko otwarte drzwi świątyni poniósł się wśród tłumu, ludzie dołączyli do chóralnej pieśni i swobodny nastrój w okamgnieniu uległ zmianie.

– Mówiłeś, że mamy znaleźć mordercę, Gurber. Co więc tutaj robimy?

– Cierpliwości. Wszystko w swoim czasie. – Karl wyszczerzył zęby i dołączył do śpiewających.

Czoscowi wydało się, że zrobił to dla żartu, bo bas dobywający się z gardła wachmistrza brzmiał wręcz karykaturalnie.

Leon znów spojrzał w górę, w stronę okien pobliskiej kamienicy. Kościelny właśnie wycofał się do swojego mieszkania i zaciągnął zasłonę. Czosek przeniósł spojrzenie na kościelne wieże. Był pewny, że jeszcze przed chwilą staruch się w nie wpatrywał. Nie interesowała go msza ani ludzie zgromadzeni przed kościołem, ale dachy świątyni. Jakby próbował coś na nich wypatrzyć.

*

Stał przy oknie, obserwował zza zasłony plac kościelny. Dostrzegł w tłumie tamtych dwóch policjantów. Już u niego byli, wypytywali o księdza Reiser. Budzili w nim niepokój. Zwłaszcza jeden, ten wyższy i pewniejszy siebie. Lischke potrafił rozpoznać takich jak on. Ten mężczyzna w sercu miał czarną smolistą bryłę. Podążał za nim wyraźny cień. Kościelny widział tę aurę bardzo dokładnie, najsilniejsza była wokół głowy i kładła się ciemnym osadem na wszystko, czego dotknął. O takim mroku duszy opowiadał ksiądz Reiser, gdy mówił o tych, którzy samą swoją obecnością potrafią przytłumić światło.

Ten drugi był inny. Kilka chwil temu popatrzył w górę, w okna Lischkego, jakby coś wyczuł. Różnił się od tamtego diabła, był bezwolny i słaby. Dawał się łatwo omotać. Oni wszyscy byli słabi, to za nich prosił o wstawiennictwo Paul. Gdyby tylko wiedział, że jego modlitwy były nadaremne. Kto inny musiał wysłuchać księdza...

Dźwięk dzwonów znów wypełnił przestrzeń, przeniósł się z drzeniem gdzieś wysoko. I one straciły swą siłę, coś je zagłuszało, tłumilo ich oczyszczającą moc.

Jakby ktoś zarzucił całun na miasto.

Żałobnicy opuszczali plac, trumna powędrowała z powrotem na wóz. Konie ruszyły po bruku. Za trumną ciągnęła się ciemna smuga. Tylko Lischke ją widział. Ksiądz Reiser nauczył go ją dostrzegać. Kościelny traktował to jako przekleństwo i dar. One często szły ze sobą w parze.

Odszukał wzrokiem policjantów. Nie ruszali się z miejsca, czekali. Wiedział, że nie pojawili się dziś przypadkowo i był pewny, że szybko nie odejdą. Mieli tu jeszcze coś do załatwienia. Tak jak Lischke.

Kościelny podszedł do stołu, usiadł na krześle, oparł dłonie na blacie. Wyczuł pod palcami okruszki chleba. Przymknął oczy. Powrócił do niego obraz sprzed kilku lat, gdy naprzeciw niego siedział przy tym stole ksiądz Reiser. Kościelny wzdrygnął się, gdy usłyszał wyraźny głos duchownego. Zacisnął powieki, bał się spojrzeć Reiserowi w oczy. Bał się tego, co w nich ujrzy.

– Już czas, bracie.

– Już czas – powtórzył głucho Lischke.

Przesunął drżącą dłoń po chropowatej powierzchni. Poruszył palcami. Bał się, że zaciśnie je na lodowatym nadgarstku Reiser'a, natrafił jednak na coś innego. Uniósł niewielki krucyfiks i schował go do kieszeni marynarki.

– Już czas...

Ten głos mógł być głosem księdza albo jego własnym. Nie miało to znaczenia. Wszystko dziś zlało się w jedno.

*

Franz wbiegł do opustoszałego ratusza, tupiąc buciorami po posadzce. O tej godzinie budynek był zwykle pełny przeciskających się korytarzami urzędników i petentów, lecz dziś magistrat wymarł niemal zupełnie.

Wachmistrz znalazł się na piętrze, w kilku krokach dopadł drzwi i wkroczył do sekretariatu Richtera.

– Ważne, ja do komisarza.

Nie czekał, aż sekretarz mu odpowie. Zaraz znalazł się przy kolejnych drzwiach i szarpnął za klamkę. Wszedł do gabinetu bez pukania.

– Komisarzu!

Franz stracił rozpęd. Wszedł niemal wprost w obraz stojący pośrodku gabinetu. Obrzucił spojrzeniem malowidło. Rozpoznał kościół, a na jednej z wież dostrzegł wisielca. Twarz postaci kogoś wachmistrzowi przypominała, wydawała się jednak przemalowana, jakby ktoś ingerował w oryginalne dzieło. Franz przeanalizował to wszystko w kilka sekund. Widział już takie niewprawne pociągnięcia pędzlem, ten styl. Heigl... To Heigl przerobił ten obraz. Już miał

wypowiedzieć to na głos, ale coś go powstrzymało. Jakaś ważna myśl, a może przecucie.

Richter, który stał przy oknie, odwrócił się wolno w stronę Koschelli.

– Obraz dotarł dziś rano – powiedział.

– Na malowidle jest ten, o kim myślę?

– Bertram Scheidt – potwierdził Richter. – Podejdz.

Franz stanął u boku przełożonego. Wyjrzał przez okno. Kilku policjantów eskortowało mężczyznę do magistratu. Wbiegli do środka.

– Przynajmniej jego uda nam się uratować. Z czym przyszedłeś? – zapytał ostro komisarz.

– Ludzie Schwarza przyjadą na dworzec główny od strony Kudowy. Ominą blokadę.

Richter milczał, rozważał słowa podwładnego.

– Jak mogliście to przeoczyć?

Franz zacisnął szczęki. Wiedział, że popełnił błąd. Nie przyszło mu do głowy, że ringvereiny wybiorą tak karkołomną trasę. Mogły to potraktować jako plan awaryjny, wyglądało jednak na to, że skuteczny. Nie docenił ich determinacji.

– Co zamierzasz? – Richter o dziwo darował sobie wyrzuty. Przeszedł do rzeczy, co Koschella przyjął z ulgą.

– Wysłałem ludzi na stację, ściągam posiłki z miasta. Makowski spróbuje zablokować tory.

– To czego ode mnie chcesz?

– Możemy potrzebować pomocy, komisarzu. Czas poprosić o nią twierdzą. Wojsko może uspokoić sytuację.

– Wojska nie będziemy w to mieszać.

– Komisarzu...

– Słyszałeś, Franz? Wojska na ulicach Kłodzka nie będzie!

Koschella pokręcił głową. Uznał, że niepotrzebnie stracił czas.

– Idź do swoich ludzi – polecił komisarz.

Franz, wychodząc z gabinetu, raz jeszcze popatrzył na obraz. Ulm i Heigl. Już wiedział, do czego potrzebny był ten drugi. Trzasnął drzwiami tak mocno, że niemal wyleciały z framugi. Wyminął oniemiałego sekretarza i znalazł się na klatce schodowej. Zbiegając po stopniach, wyminął się z Zenderem eskortującym Scheidta. Popatrzył na starszego mężczyznę. Ten nie odwzajemnił spojrzenia, wyglądał na mocno wystraszonego.

W końcu wachmistrz wydostał się z budynku. Paliło go w żołądku, ciśnienie rozsadało mu czaszkę. Potoczył dookoła nieprzytomnym wzrokiem, ale mgłą zasłoniła mu pole widzenia. Uspokoił oddech dopiero po chwili.

– Zawał, Franz? Tak mocno przeżywasz nasze rozstanie?

– Schulz, na cholere żeś przylazł?! – Koschella otarł pot z czoła. Ostrość widzenia powróciła.

– Też tęskniłem – zaśmiał się cicho Lothar.

– Nie miałeś wyjechać?

– Wyjedziemy z Astą wieczorem.

– Dlaczego?

– Przyszła do mnie wczoraj. Wiedziała, że nie mogę cię z tym zostawić samego. Nie teraz. Zna mnie lepiej niż ja siebie, Franz. Wiedziała, że oprócz zwykłego bagażu zabrałbym jeszcze jeden, który w nowym życiu nie będzie mi potrzebny. Muszę zakończyć tu sprawy we właściwy sposób.

– Asta to mądra kobieta. Ale ty masz coś z głową, Schulz. W końcu to zauważy.

– Być może. – Schulz się zaśmiał. – Ale jak to mówią?... Przyganiał kocioł garnkowi? Barbara się nie połapała co do ciebie?

Koschella także parsknął śmiechem. Ucisk w klatce piersiowej i pieczenie w żołądku ustało. Franz spojrział na Lothara. Trudno było mu przyznać, że będzie mu brakować Schulza. Przez te lata powstała między nimi jakaś więź. Może przyjaźń? Jeśli tak, to nigdy niezdefiniowana i głośno nienazwana.

– Dziękuję, Lothar. To dla mnie ważne...

– Nie rozczulaj się. Nie mogłem sobie odmówić. Wiesz, że lubię westerny, chciałem kiedyś w jakimś zagrać i patrz...

– No tak. Jak w jakimś pieprzonym westernie – zaśmiał się Franz.

– Gdzie teraz?

– Stacja kolejowa. Przyjadą z Kudowy.

– Kurwa.

– No właśnie.

– Idziemy?

– Szybciej będzie samochodem. Ten jest do mojej dyspozycji. – Koschella wskazał stojące obok fontanny policyjne auto. – Potem też może się przydać.

– Ja prowadzę!

Schulz sięgnął do kieszeni, jakby czegoś w nich szukał.

– Kluczyki w stacyjce – powiedział Franz.

– Nie, szukałem czegoś innego, musiałem zostawić w domu...

– Panie wachmistrzu?

Franz odwrócił się w stronę zdyszanego sekretarza Richtera.

– Słucham?

– Dzwonili z Kudowy.

Schulz wymienił z Koschellą porozumiewawcze spojrzenia. Nie zamierzali tracić czasu, więc Lothar ruszył w stronę pojazdu.

- Co mówili? – zapytał Franz, choć wiedział, jaka będzie odpowiedź.
- Skład, który miał dzisiaj wyjechać do Kłodzka, nie pojawił się na stacji.

Wydaje się, że został przejęty na bocznicę.

- Jak dawno temu?

– Co najmniej pół godziny. Wcześniej widziano ludzi, którzy szli w tamtą stronę.

- Ilu?

– Około trzydziestu.

– Musimy jechać, Franz!

Koschella popatrzył na Schulza, który otworzył okno i wystawił głowę na zewnątrz. Usłyszał odgłos uruchamianego silnika.

- Komisarz Richter...

Wybuch był potężny. Gorący podmuch cisnął Franzem na schody. Wachmistrz stracił oddech, skulił się pod wpływem bólu zgniatającego żebra. Dotknął dłonią policzka, coś ostrego rozorało mu skórę.

Pisk rozdzierał uszy i czaszkę. Koschella popatrzył w bok, dostrzegł sekretarza. Ten leżał na schodach z szeroko otwartymi oczami, niemo wpatrując się w stronę fontanny.

Teraz i Franz odwrócił się w tamtą stronę. Samochód stał w płomieniach. Jęzory ognia wydostawały się z wybitych okien, dym ulatywał w niebo. Dookoła wraku leżały dopalające się szczątki. Koschella nie wiedział do końca, co robi. Wstał i próbował zbiec ze schodów, ale ugięły się pod nim nogi. Stracił równowagę, uderzył kolanami o bruk. Podniósł się, skoczył w stronę płonącego samochodu, szarpnął za klamkę, nie zważając na ból. Skóra przykleiła się do metalu, szarpnął w swoją stronę, ale drzwi nawet nie drgnęły.

- Pomocy! – krzyknął Franz.

Zakrzuszył się dymem. Niewiele widział, a temperatura bijąca od płonącego auta obejmowała mu twarz gorącym całunem. Przez otwór po szybie wachmistrz sięgnął do wnętrza samochodu, próbował złapać Schulza. Poczul płomienie pożerające rękawy marynarki, sięgające policzków.

Ktoś chwycił go w pasie i pociągnął do tyłu. Franz próbował stawiać opór, ale kolejna para rąk oplotła go w klatce piersiowej. Stracił równowagę i poleciał na plecy.

- ...anz! Nic... ...staw.

Pisk w uszach zmienił ton. Do Franza przebiły się okrzyki ludzi. Zbiegowisko stawało się coraz większe, ktoś odciągał go od płonącego auta, od umierającego Schulza. Sam patrzył niemo na pożogę, nie potrafił wydusić z siebie choć słowa.

Odrącił czyjeś ręce. Próbował wstać, ale opadł na kolana.

Powróciły obrazy. Jeden z nich wyraźny, teraz dopiero pojął jego znaczenie. Tony Paluch. Nadszedł od samochodu, stał przy nim chwilę wcześniej. Nie wzbudziło to podejrzeń Franza, przyzwyczajonego, że mieszkańcy Kłodzka często zatrzymywali się obok policyjnego wozu. Przyglądali mu się, zaglądali do wnętrza. Na prowincji automobile wciąż budziły sensację. Ale ten skurwiel nie pochodził z prowincji. Musiał jeździć lepszymi...

– Boże... – Z piersi Franz wydobył się głuchy jęk.

Odepchnął ludzi, którzy znów próbowali go podnieść. Oparł się poparzonymi dłońmi o bruk, ale nie czuł bólu.

– To moja wina, Klein... – wydusił Franz, patrząc na mężczyznę, który stanął u jego boku.

– Obaj mamy wiele na sumieniu i od dziś będziemy mieli jeszcze więcej. Wstawaj, Franz.

Koschella drgnął na ten szorstki głos. Posłuchał. Podniósł się wciąż, patrząc na dopalający się wrak. W końcu, gdy był pewny, że ten obraz wyrzył mu się w pamięci z najdrobniejszymi szczegółami, ruszył u boku kapitana w stronę Schwedeldorferstrasse, a potem dalej w kierunku Hotelu Cesarskiego.

*

Plac świecił pustkami. Z kościoła wypłynęli wszyscy żałobnicy. Dopiero wtedy Gurber poklepał Czoska po plecach i ruszył w stronę szeroko otwartej bramy świątyni.

Leon wszedł do chłodnego wnętrza z wahaniem. Do końca sam nie wiedział, dlaczego podąża ślepo za Karlem, i chyba chciał znaleźć odpowiedź. Czuł wewnętrzny przymus, by sprawdzić, co jest na końcu tej drogi.

Gurber zatrzymał się po kilku krokach, objął spojrzeniem kościelne ławki i ołtarz. Wydawało się, że chce przyklęknąć i się przeżegnać, ale zamiast tego wykonał jakiś teatralny obrót. Popatrzył na Czoska z szerokim uśmiechem.

– Czujesz to?

– Co?

– Strach uciekającego zwierzęcia, a co innego? To jego kryjówka, Czosek. Nie mów, że tego nie czujesz?

Leon poczuł coś innego – lodową bryłę w żołądku, gdy Gurber głośno pociągnął nosem. Wachmistrz rozłożył ręce na boki, przez co przez chwilę wyglądał jak ukrzyżowany Chrystus. Znów obrócił się wokół własnej osi, był nienaturalnie pobudzony.

Ich spojrzenia się spotkały.

– Też chcesz?

Karl sięgnął do kieszeni, wyciągnął w stronę Leona starannie złożoną kartkę. Czosek wiedział, co się w niej znajduje. Pod nosem Gurbera widać było puder. Nie mylił się więc, jego pobudzenie miało swoją przyczynę.

– Nie chcę. Dlaczego tutaj przyszliśmy?

Wachmistrz wyglądał na zawiedzionego, wzruszył ramionami.

– Pokażę ci. Prowadź, Leonie, na górę, bo są tu jakieś schody prowadzące na górę, prawda? Powiadam ci, że prawdę poznamy tylko na wysokościach!

Gurber uniósł dłoń, z palcem wycelowanym w sufit. Sam także spojrzął na sklepienie świątyni. Zaśmiał się, jakby dojrzał tam coś niezmiernie zabawnego, a może z opóźnieniem rozbawiły go jego własne słowa.

– Ruszaj, Czosek, na litość boską!

Leon wiedział którądy iść. Ruszył pierwszy, Karl w ślad za nim, dotykając palcem każdego rzędu ław. Jakby chciał je oznaczyć. Weszli na schody. Ich kroki odbiły się echem od ścian.

– Szybciej!

Pięli się coraz wyżej. Leon poczuł powiew wiatru od okna. Znaleźli się w niższej wieży. Rozciągał się stąd widok na dachy domów i twierdzę.

– Przygotuj się... – Gurber sięgnął pod marynarkę. Wyciągnął broń, sprawdził ją. Wskazał drzwi prowadzące na mostek do drugiej wieży.

Huk, który wstrząsnął budynkami, wprawiając szyby w drżenie, był ogłuszający. Leon przez chwilę nie wiedział, co się stało. Spojrzął w górę, jakby się spodziewał, że ktoś uderzył w kościelny dzwon. Fala dźwiękowa dotarła jednak z centrum miasta, tego był pewny.

Wychylił się przez okno. Zawirowało mu w głowie. Ptaki poderwały się do lotu nad kłodzkim rynkiem.

– Coś się stało, to wybuch, Karl!

Czosek ruszył w dół schodów bez zastanowienia.

– Stój!

Leon niepewnie postawił kolejny krok, zachwiał się, podtrzymał ściany. Głos Gurbera zabrzmiał jak suchy wystrzał z pistoletu.

– Popatrz na mnie, Leonie.

Czosek się odwrócił. Widział górującego nad sobą wachmistrza. Ten pokręcił głową.

– Musisz dokonać wyboru. – Wykonał szeroki gest dłonią, w której trzymał broń. – Morderca czy dawni koledzy? Chwała czy... polerowanie dupą krawężników?

Lufa zatoczyła koło, wskazała drzwi prowadzące na mostek.

– Dobrze, Leonie. – Gurber się uśmiechnął. Mówił spokojnie, jakby nie chciał spłoszyć kolegi. – Krok za krokiem w górę. Jesteśmy już blisko.

*

Spędził tu całe życie. Nigdy nie opuścił Kłodzka, to, co poza rogatkami miasta, zupełnie go nie interesowało, zarówno ludzie, jak i miejsca. Wrósł w kamienice, zespolił się z nimi, przesiąkł wilgotną stęchlizną piwnic, obrósł pajęczyną zaułków i zakamarków. Plac, przy którym mieszkał, był dla niego centrum świata. Tutaj był początek i koniec.

Długo się łudził, że pójdzie w ślady ojca. Ten był organistą kościelnym, znali go i podziwiali wszyscy. Jemu nie udało mu jednak odnaleźć w sobie talentu do muzyki. Sztywność palców zawdzięczał chorobie, którą przeszedł w dzieciństwie. Wszystko, co wymagało sprawności czy wysiłku fizycznego, przychodziło mu trudniej niż rówieśnikom. Nie załamywał się jednak. Siłę mięśni zastąpił siłą ducha. Potrafił sobie wytłumaczyć każde niepowodzenie, przetrwać każdy wstyd. Bóg na pewno miał wobec niego inne plany, choć długo nie objawiał jakie. Pozostało mu czekać.

Szukał pociechy w słowach księży przemawiających z ambony. Pamiętał tych surowych duchownych, którzy grzmieli na wiernych niczym trąby jerychońskie, i tych, którzy czytając Pismo Święte, zdawali się w ogóle nie rozumieć słowa Bożego. Zmieniali się, przychodzili i odchodzili, a on trwał w tym samym miejscu przed ołtarzem.

Dzięki ojcu dostał posadę kościelnego. Wykonywał swe obowiązki najlepiej, jak potrafił. Wciąż czekał.

Lischke często patrzył na tego młodego mężczyznę z fascynacją i jakimś nabożnym lękiem. Przypomniawszy sobie o oddychaniu dopiero, gdy ksiądz kładł się przed ołtarzem i nieruchomiał z rękami rozrzuconymi na boki. Lischke obserwował to jak sparaliżowany. Opierał się o nagrobek Arnosza z Pardubic i czekał, aż młody mężczyzna podniesie się z zimnej posadzki. Mijały godziny, słychać było jedynie wypowiedane cicho słowa modlitwy. Lischke nie rozumiał, jak ten dźwięk na granicy słyszalności może się wydawać jednocześnie cichy i głośny. Szept rozchodził się drganiem, sięgał ławek, ołtarza i murów. Potem unosił się wyżej, docierał do sklepienia, wypełniał całą przestrzeń kolegiaty.

Lischke popatrzył w stronę ołtarza. Reiser nie było już dawno, wciąż jednak potrafił usłyszeć jego modlitwę. Jakby jej słowa, raz wypowiedziane, nigdy nie straciły mocy:

„Ukarz, Panie, grzeszników, których nie można zawrócić z drogi w piekielne czeluście, by nie czynili zła pośród sprawiedliwych. Jeśli nie Ty... ja to uczynię. Posłuż się, Panie, moim dłońmi, moim umysłem i sercem...”

Gdy modlitwa się kończyła, ciało Reiser wyginało się w łuk, oczy zachodziły bielmem, a on sam tracił przytomność. Krucyfik wysuwał się z jego dłoni,

upadał na posadzkę. Lischke czuwał wtedy, dopóki Reiser znów nie uniesie powiek i nie będzie w stanie wrócić do swojej celi o własnych siłach.

Kościelny ruszył schodami w górę, w ślad za policjantami. W ślad za jednym z nich. Zrozumiał od razu, kim jest, dostrzegł w nim wszystkie te symptomy, których nauczył się rozpoznawać dzięki Reiserowi. Młody ksiądz obudził w kościelnym dar i pokazał, jak go używać. Od tamtej pory Lischke potrafił w tłumie dostrzec tych, dla których na zawrócenie ze złej drogi było za późno.

– Patrz uważnie. Popatrz w jego oczy, a potem obejmij spojrzeniem głowę – wyszeptał kościelny, powtarzając słowa świętego mędrca, ukrywającego się niegdyś w znoszonej sutannie.

Lischke oparł się dłonią o ścianę. Musiał przystanąć, ciało było już słabe, odmawiało posłuszeństwa.

– Posłuż się moimi dłońmi, moim umysłem i sercem... Daj mi siłę...

*

Leon pchnął drzwi. Pierwszy wszedł na mostek łączący kościelne wieże. Obejrzał się na Gurbera. Ten skinął głową, popatrzył w górę. Może dostrzegł coś, czego Czosek wciąż nie widział.

– Tam...

Lufa wskazała miskę z wodą i talerz z resztkami jedzenia. Na ziemniakach zerowały tłuste muchy. Jedna z nich pacnęła Czoska w policzek.

– Jak myślisz, kto mu pomaga? – Karl splunął na ziemię. – Porachuję kości staremu skurwielowi.

Leon wiedział, o kim mówi Gurber. Lischke cały czas wpatrywał się w wieże kościoła. Nic nie mogło się schować przed jego czujnym spojrzeniem.

– Kogo ukrywa? – zapytał Czosek.

– Jeszcze się nie domyśliłeś? – Karl otarł rękawem pot z czoła. Na dachu smażyli się jak na patelni. – Germain, zasnany malarz Ulm. Od razu ci powiem, że te wszystkie teorie Koschelli były wyssane z palca. Ulm nie miał żadnych zleceńodawców, sam malował obrazy na podstawie swoich wizji. Natchnęło go jak cholera, ale nie na malowanie, tylko na zabijanie.

Czosek milczał. Śmiech Gurbera był nerwowy, urywany. Wachmistrz znów uniósł broń, wskazał lufą kolejne drzwi.

– Ubezpieczam cię. Idź pierwszy. Jak się na ciebie rzuci, strzelę mu w łeb.

– Nie lepiej wziąć go żywcem? Wezwijmy posiłki. Stąd nie ucieknie.

– Kogo chcesz wzywać? – Karl pokręcił głową. – Wszyscy są w mieście, nikt nie będzie miał do tego głowy. Otwierasz czy sam mam to zrobić?

Czosek spojrział na drugą wieżę. Odniósł wrażenie, że jego umysł oddzieliła się od ciała. Skąd Gurber wiedział, gdzie szukać Ulma? Układ z ringvereinem już zadziałał? Leon wykonał pierwszy krok, potem drugi. Schody prowadziły jeszcze wyżej. Jeśli Ulm rzeczywiście się ukrywał gdzieś w pobliżu, to właśnie tam.

– Czujesz? Śmierdzi strachem, wie, że po niego przyszlismy.

Czosek też poczuł tę woń, ale miał wrażenie, że wydziela ją jego własne ciało. Znał ten stan wewnętrznej niemocy. Znów nie potrafił podjąć decyzji. To, przed czym wydawało mu się, że uciekł, to, przed czym się bronił całe życie, ponownie go dopadło. Gurber przejął kontrolę nad wszystkim, nie tylko nad sprawą, ale i Leonem Czoskiem.

*

– Zostaw tu cholerną maszynę, zablokuj koła!

Makowski pospieszał maszynistę. Dwóch kolejarzy wyskoczyło na nasyp. Mieli odzepić drezynę od lokomotywy i przygotować się do powrotu do Kłodzka.

– Jesteś pewny, że jej nie uruchomią? – spytał maszynista.

– Jeśli spróbują, stracą dużo czasu, jak na moje rozeznanie, zadecydują, że lepiej iść na piechotę – odparł Makowski. – Opóźnimy ich o jakiś kwadrans.

– Dobra robota. Gotowy?

– Gotowy.

– To idziemy.

Maszynista pierwszy wyskoczył z parowozu. Ernst poszedł w jego ślady. Gdy weszli na dreżynę, dotarł do nich z daleka przeciągły gwizd.

– Kurwa mać! Znikamy, uruchomcie to diabelstwo, musimy się pospieszyć!

Ruszyli, kłodzki dworzec zbliżał się coraz szybciej.

Wachmistrz zeskoczył z drezyny na peron, zanim ta zdążyła się zatrzymać. Kilku policjantów rozstąpiło się, robiąc mu miejsce.

– Będą mieli trochę problemów. Zablokowałem... – Ernst stracił rozpęd, uśmiech na jego twarzy zniknął. Wystarczyło mu popatrzeć na kolegów, by odgadnąć, że stało się coś poważnego.

– Wyszadzili w powietrze samochód. Lothar nie żyje... – powiedział Weinert.

Makowski poczuł, jak krew ucieka mu z twarzy. Do świadomości Ernsta ta wieść docierała przez długie sekundy. Poczuł, jak cierpnie mu skóra. Wydało mu się, że w tym samym momencie coś się zmieniło, jakiś tryb, może przekładnia zostały przestawione, a wraz z nimi nastąpiła nowa rzeczywistość. Rzeczywistość pisana podle nowych reguł. Jeśli wcześniej Makowski liczył, że wszystko rozejdzie się po kościach, a dzień zakończy się zwykłym prężeniem mięśni, to

teraz był pewny, że wkroczyli na wojenną ścieżkę, z której nie ma odwrotu. Starcie z ringvereinami było nieuniknione. Śmierć Schulza oznaczała, że berlińczycy postawili wszystko na jedną kartę, a życie kłodzkich policjantów nie było dla nich warte złamanego feniga.

– Jeśli ktoś z was ma wątpliwości albo żonę i dzieci czekające w domu, niech tu zostanie albo idzie do ratusza. – Ernst z trudem rozpoznał swój zgrzytliwy głos.

Widział, jak ludzie popatrują na siebie. Kilku zaraz opuściło głowy i utkwili spojrzenie w czubkach butów. Nie czekał na odpowiedź ani na reakcję policjantów. Zeskoczył z peronu, ugięły się pod nim kolana. Wiedział, że nie ma to związku z ciężarem ciała i wyhodowanym w ostatnich latach piwnym brzuchem. Po prostu się bał, bał się jak diabli, a ten strach zalewał jego ciało ołowiem. Ruszył torami z powrotem, w stronę, z której nadjeżdżał ringverein. Wybrał tę, a nie inną drogę. Gdyby ktoś go zapytał dlaczego, nie potrafiłby odpowiedzieć. Może był głupi, a może czuł, że tak po prostu należy.

Nie odwrócił się, gdy usłyszał odgłos buciorów opadających na podkłady kolejowe. Kilku innych skoczyło za nim. Szli w milczeniu, szurając butami i próbując nadążyć za Ernstem.

*

Leon dostrzegł Germaina w kącie przy schodach. Mężczyzna siedział w kucki oparty o ścianę. Obejmował rękoma kolana, kołysząc się w przód i w tył. W ogóle nie zareagował na otwarcie drzwi.

– Trochę szkoda – zaśmiał się Gurber. – Miałem nadzieję, że będzie stawiał opór. Zasłużył na kulkę za to, co zrobił, skurwiel...

Czosek schował broń, podszedł ostrożnie do Germaina i przy nim przykucnął.

– Uważaj! – ostrzegł Karl, przesuając się w bok tak, by cały czas mieć Ulma na muszce. – Udaje! Może ma nadzieję, że wykpi się z tego wszystkiego szajbą.

Czosek popatrzył na siedzącego przed nim mężczyznę. Widział ludzi w podobnym stanie, gdy pracował w kłodzkim więzieniu. Zdarzało się, że udawali. Próbowali uniknąć kary albo mieli nadzieję na kilka dni w skrzydle szpitalnym. Leon był jednak pewny, że Ulm nie udaje.

– Wiem, że to ty, skurwielu, sam sobie zleciłeś te bohomazy, a potem zabiłeś tych ludzi – zagrział Gurber. – Patrz na mnie, jak do ciebie mówię!

Germain nie zareagował. Wpatrywał się w jakiś punkt na ścianie przed sobą. Czosek podążył za jego wzrokiem. Wydało mu się, że w plamie na tynku dostrzega zarys fantastycznego stworzenia. Ulm, obdarzony większą wyobraźnią, na pewno widział tam coś więcej.

– Odsuń się od niego, Leon. Widzę, że coś kombinuje. Nie chcę cię trafić, jak się na ciebie rzuci.

– Nie rzuci – powiedział z przekonaniem Czosek.

– To się, kurwa, zdziwisz.

Leon zignorował Gurbera.

– Słyszysz mnie, Ulm? – zapytał. Podniósł się i nachylił w stronę mężczyzny.

– Mówiłem zejź mi z linii strzału, Czosek! – Karl robił się coraz bardziej nerwowo. – Po co z nim gadasz? To zwierzę, Leon. Odgryzie ci, kurwa, rękę!

Skrzypnęły drzwi. Leon i Gurber odwrócili się w tym samym momencie. Czosek dostrzegł zgarbioną postać kościelnego. Ten, wydawało się zaskoczony obecnością mężczyzny, zachwiał się w drzwiach, potknął i runął na Karla.

– Co ty, kurwa...

Starzec zawisł na Gurberze. Pociągnął go za rękę.

Wachmistrz syknął z bólu, odepchnął kościelnego. Starszy mężczyzna uderzył plecami o ścianę i osunął się po niej na ziemię.

– Zabijesz starego, ostrożnie!

– On... on mi, kurwa...

Gurber był blady jak ściana, rozmasował ramię. Popatrzył na starca. Kościelny wykrzywił usta w dziwnym grymasie, rozkaszał się.

– Co mi, do cholery...

Pod Karlem ugięły się kolana, oparł się o ścianę. Popatrzył na Czoska, otworzył i zamknął bezgłośnie usta. Wykonał w stronę asystenta policyjnego krok, potem drugi. Wyciągnął rękę w jego kierunku, jakby oczekiwał pomocy, a potem oczy uciekły mu w głąb czaszki i runął na ziemię.

Czosek przez dłuższą chwilę nie był zdolny wykonać najmniejszego ruchu. W końcu wyszarpnął broń z marynarki. Trzęsły mu się dłonie, ale wymierzył w starca i zaczął ostrożnie zbliżać się do leżącego wachmistrza.

– Gurber!

Pochylił się i dotknął jego szyi.

– Nie żyje, na pewno nie żyje – powiedział Lischke.

Czosek popatrzył na to, co kościelny ściskał w dłoni. Palce starca rozluźniły się, a spomiędzy nich wysunął się lśniący przedmiot. Krucyfiks. Z dolnej części krzyża wystawała igła.

– Co mu wstrzyknąłeś?

Leon zdał sobie sprawę, że zna już odpowiedź na to pytanie – i ta świadomość zmroziła mu krew. Mocniej zacisnął dłoń na kolbie. Odsunął się od trupa i stanął tak, by widzieć jednocześnie Ulma i Lischkego.

– Co mu wstrzyknąłeś?! – powtórzył.

– Lekarstwo...

– Tak jak... tak jak wcześniej staroście?

Lischke przesunął dłonią po wilgotnym czole, jakby próbował sobie coś przypomnieć. Słyszał spowiedź wielu ludzi, ich słowa niosły się na terenie kościoła w miejsce, które szczególnie sobie upodobał. Słyszał spowiedź Idy, dziewczyny, która odebrała sobie życie przez starostę Puschkego. Słyszał spowiedź starosty, który u Reiser'a szukał rozgrzeszenia. Sam odczuwał brzemień, które niósł na swoich barkach młody ksiądz. Duchowny nie mógł wiele zrobić, ktoś inny musiał wziąć na siebie tę odpowiedzialność.

– Ksiądz Reiser to wiedział, dokładnie wszystko przepowiedział. W swoich wizjach dostrzegł to, czego inni nie zdołali pojąć. Oprócz mnie...

– Co ty mówisz? Coś ty zrobił?!

– Ksiądz znalazł we mnie powiernika. Nauczył, jak dostrzegać zło, jego przyczyny i skutki. A one zawsze tkwią w ludziach... Ja to zło widzę. W nim także...

Staruch wskazał kościstym palcem na leżącego Gurbera. Czosek popatrzył mimowolnie w tamtą stronę. Otrząsnął się z jakiejś wizji. Wydało mu się, że wokół głowy wachmistrza pojawiła się ciemna otoczka. Ten obraz jednak zniknął.

– To byłeś ty... – wyszeptał. – To ty w Gorzanowie...

– Od starosty się zaczęło – ciągnął staruch. – Wszystko musiało się oczyścić, wszystko, byśmy mogli zacząć od początku. Na grzeszników czeka piekło...

– Należysz do nich, Lischke. Tym, co zrobiłeś, zasłużyłeś na piekło.

– Poświęciłem swoją duszę. – Kościelny potrząsnął głową. – Ja to zacząłem i ja to skończę.

Czosek poczuł ciarki na plecach, gdy usłyszał zgrzytliwy dźwięk. Paznokcie Germaina wbijały się w tynk. Kruszyły go, rysując linie i zawijasy. Scenę z ostatniego obrazu Ulma.

Czosek wyszedł z kościoła. Zatrzymał się pośrodku placu, odwrócił w kierunku świątyni i spojrzał w górę.

„Ja to zacząłem i ja to skończę”.

Słowa Lischkego wciąż rozbrzmiewały w jego uszach. Myśli zagłuszyło bicie dzwonu. Ptaki poderwały się do lotu. Spłoszył je być może czysty dźwięk mosiądzu, a może widok mężczyzny zwisającego z wieży. Kościelny kołysał się na sznurze oplecionym wokół szyi.

Być może to on wszystko zaczął, być może nawet zakończył. Wiele wydarzyło się jednak pomiędzy tymi dwoma aktami kłódzkiej tragedii. Staruch pchnął pierwszą z kości domina, ale te miały wiele odgałęzień i nie wszystkie zdążyły się przewrócić.

*

– Nie widzę ich, Ernst. Może poszli bokiem, okrążą miasto od zachodu i nawet się nie zorientujemy.

– Czekamy jeszcze chwilę, Bosek zaraz wróci ze zwiadu.

– Długo go nie ma. – Weinert wychylił się zza drzew. Omiótł wzrokiem tory i zakręt. – Może go złapali?

Makowski się nie ruszał. Przyczaili się w lasku przy nasypie kolejowym. Pięciu kłódzkich wachmistrzów.

– Jest, biegnie!

Bosek dawał jakieś znaki.

– Co on, do cholery, tam pokazuje?

– Trzydziestu, idą w naszą stronę – domyślił się Ernst.

– Kurwa.

– Patrzcie. – Weinert wskazał w drugą stronę torów. – To ludzie Łysego?

– Kawaleria przybywa w samą porę.

Rzeczywiście, ludzi Łysego były przynajmniej cztery dziesiątki. Szybko zbliżali się do miejsca, w którym przyczaili się kłódzcy policjanci. Ernst wyszedł im naprzeciw, reszta po chwili wahania do niego dołączyła.

Makowski pomyślał, że oto realizuje się plan Franza.

– Daleko są? – Zygfryd zbliżył się do Ernsta pierwszy. Nawet nie miał zadyszki. Jego ludzie ustawili się w półkolu, rozgrzani biegiem, a zapewne i myślą o czekającej ich bitce z berlińczykami.

– Zaraz się pojawiają – poinformował Bosek. – Kilka minut.

Syn Łysego gwizdnął. Jego ludzie rozplnęli się w krzakach.

– Szanowna władza zostawi to nam. Lepiej, żeby panów tu nie było.

Chłopak poprawił kastet na dłoni. Zdjął marynarkę i odrzucił ją za nasyp. Przy boku dyndała mu drewniana pałka. Nieco wyszczerbiona, więc musiała widzieć niejedno.

– Powodzenia – powiedział Makowski. Popatrzył na swoich ludzi i dał znak, żeby poszli za nim.

Narzucił spore tempo. Uszli może kilkaset metrów, gdy usłyszeli ogłuszający ryk z dziesiątków gardeł. Odpowiedział im podobny okrzyk, choć nieco słabszy. Berlińczycy najwyraźniej dali się zaskoczyć. Kilku wachmistrzów przystanęło, obejrżeli się za siebie. Niewiele jednak dało się dostrzec. W ruch poszły kastety, pałki i pięści. Wystrzałów nie było słyhać. Oprychy załatwiały wszystko według swojego kodeksu.

– Ernst, co teraz? – spytał Weinert.

– A co ma być? Czekamy.

*

– Jesteś pewny, że tu jest?

– Tak.

Ta krótka odpowiedź wystarczyła Kleinowi. Zatrzymali się z Koschellą przy drzwiach wyjściowych z Hotelu Cesarskiego, sprawdzili broń.

– Przydałaby nam się pomoc. – Klein wskazał policjanta pilnującego swojego rewiru przy Wilhelmsplatz.

Franz gwizdnął, przyciągając wzrok mężczyzny. Tamten szybko do nich dołączył.

– Skąd jesteś?

– Horst Bauch z Bystrzycy.

Mężczyzna mówił basem, był wielki jak tur. Co chwilę ocierał pot z czoła ogromnym łapskiem.

– Pomożesz nam, może być niebezpiecznie.

Policjantowi zabłyśły oczy, wyszczerzył się.

– Wreszcie!

– Nie bądź taki wyrywny – ostrzegł Koschella. – Masz słuchać poleceń, jasne?

– Tak jest, wachmistrzu!

Franz skinął głową.

– Gabinet Hellera na piętrze. Tam szukamy Palucha. Ty otwierasz drzwi.

Bystrzycki olbrzym wziął głęboki oddech i ruszył na ciężkie odrzwia. Szarpnął za klamkę, naparł barkiem, ale odbił się od nich jak od ściany.

– Kurwa. Mam wywarzyć?

– Nie – zaprzeczył Klein. – Spróbujemy przez okno.

Franz skinął głową.

Olbrzym działał szybko, ustawił się pod ścianą i podsadził Kleina. Ten wywindował się do góry, a potem uderzył precyzyjnie łokciem w szybę. Brzęk szkła był ledwie słyszalny. Okno stanęło otworem w kilka sekund.

Franz zobaczył podeszwy butów kapitana, gdy ten zniknął w pomieszczeniu. Nie namyślając się długo, ruszył w ślad za nim. Skorzystał z pomocy Horsta. Przez chwilę poczuł się lekki jak piórko. Olbrzym użył zbyt dużo siły, Koschella przeleciał nad parapetem, zamachał rękami i przywalił kolanami w deski parkietu.

Klein wychylił się do okna i pomógł się wdrapać na piętro policjantowi z Bystrzycy.

Znaleźli się w niewielkim pokoju służącym za składzik. Na półkach leżały stosy obrusów i serwet, kilka zastaw stołowych, świeczniki i skrzynki piwa rozłożono na stołach. Służyły za zestaw podręczny w razie nagłej potrzeby. Franz

zorientował się, że drzwi prowadzą stąd do głównego holu. Miał nadzieję, że nie są zamknięte, wywarzając je, narobiliby niepotrzebnego hałasu.

– Sprawdź je – polecił Horstowi, wskazując drzwi ręką.

Ten się zbliżył, delikatnie nacisnął klamkę. Odwrócił się do Franza, pokręcił głową.

Koschella miał coś powiedzieć, ale zobaczył, jak Bauch wyciąga z kieszeni zestaw wytrychów. Szczęknął zamek. Tym razem naciśnięcie klamki przyniosło efekt.

– Idę pierwszy – oznajmił Klein.

Franz się nie sprzeciwił. Wszystko działało jak w dobrze naoliwionej maszynie. Horst chyba też to zauważył i postanowił uczcić udaną współpracę. Odkorkował butelkę piwa i wyżyłopał ją w kilku łykach.

– Wysuszyło mnie na wiór – powiedział na usprawiedliwienie, tłumiąc beknienie.

– Czysto!

Franz wyjrzał zza drzwi. Rzeczywiście hol wyglądał na pusty. Wachmistrzowi przyszło do głowy, że się pomylił. Zaufał przeczuciu, był pewny, że tutaj znajdą Palucha. Gdyby tak było, budynek roiłby się od obstawy.

Koschella z Kleinem ruszyli w stronę schodów prowadzących na piętro. Słońce przedostawało się z okien półpiętra, oświetlając posadzkę. Wilhelm w ostatniej chwili dostrzegł nieznaczne poruszenie jednego z cieni. Złapał Franza za kołnierz i odciągnął do tyłu. Huk wystrzału był potężny. Pocisk zrykoszetował od podłogi, wbił się w ścianę.

Franz wystawił dłoń zza muru i dwukrotnie pociągnął za spust.

– Kurwa, co za gówno!

Z trudem złapał oddech. Wymienili z Wilhelmem porozumiewawcze spojrzenia.

Franz znów oddał strzał w górę klatki schodowej, a Klein przeskoczył na drugą stronę. Udało mu się wykonać ten manewr bez szwanku, kanonada z góry nadeszła z opóźnieniem.

Kapitan pokazał dwa palce.

– Rzućcie broń! Jesteście otoczeni – krzyknął Franz. – Gnaty mają wylądować tutaj, na dole. Liczę do trzech! Raz...

Wachmistrz odwrócił głowę, gdy tynk z odłupanego rogu ściany uderzył go w policzek.

– Teraz – wyszeptał niemal bezdźwięcznie Klein.

Do Franza dołączył Horst. Pojedyncze wystrzały zastąpiła kanonada z kilku luf. Koschella skoczył do góry po schodach, gdy się upewnił, że ludzie Juniora

się wycofują. Przyłgął plecami do poręczy i mierząc w przestrzeń półpiętra, przywołał pozostałych.

– Tego chyba ty załatwiłeś, Franz...

Koschella dopiero teraz zobaczył mężczyznę, który osunął się po ścianie, zostawiając na niej czerwoną pręgę. Drab miał szeroko otwarte oczy i dłoń wciąż przyciśniętą do szyi. Umarł szybko, kula rozerwała mu tętnicę.

Trup. Franz nie czuł żadnych emocji. Miał wrażenie, że wyszedł z siebie i obserwuje wszystko z boku. Wolny od strachu, koncentrował się na zadaniu. Jak koń pociągowy z klapkami na oczach, pozwalającymi dostrzec tylko to, co przed nim. Już dziś raz tak zrobił. Zakończyło się to śmiercią Lothara Schulza.

– Do tyłu!

Franz odepchnął Horsta. W drzwiach, które mieli przed sobą, pojawiły się ogromne wyrwy, dębowe skrzydło eksplodowało gejzerami odłamków drewna i pyłu. Koschella poczuł uderzenie w ramię. Obróciło nim. Rąbnął o ścianę. Zdziwił się, że w miejscu, które dotknęły jego plecy, znalazła się podobna smuga czerwieni jak przy tamtym trupie. Szedł o zakład, że wcześniej jej tam nie było.

Klein i Horst wypalili jednocześnie w prześwity w drzwiach. Odpowiedział im huk kolejnych wystrzałów. Wyglądało to tak, jakby ktoś wymierzył w ich stronę małą armatę. Franz pochylił głowę, próbował znaleźć miejsce do ukrycia się, ale w tym momencie ktoś kopnął w drzwi od wewnątrz. Wachmistrz zobaczył mężczyznę z gnatem wystawionym przed siebie i kolbą przyciśniętą do boku. Spojrzenia Franza i gangstera się spotkały. Tamten się uśmiechnął, a spiłowana lufa obróciła się w kierunku policjanta.

Koschella w pięściach zaciskał tylko powietrze.

Obcy wyszczerzył zęby. Z jego lewej strony pojawił się kolejny zwały cienia. Uśmiech znikł z twarzy gangstera, a jego głowa przechyliła się pod niemożliwym kątem i uderzyła o framugę. Wycelowana w sufit lufa plunęła ogniem. Tynk i odłamki żyrandola runęły na klatkę schodową.

Franz zdał sobie sprawę, że nie oddycha, patrząc na bystrzyckiego olbrzyma.

– Mało brakowało, nie? – zagrzemiał Horst.

Koschella odbił się plecami od ściany. Schylił się i sięgnął po swoją broń. Ta wyslizgiwała mu się ze sztywnych palców. W końcu ruszył na miękkich nogach w stronę zawalidrogi. Bystrzycki wachmistrz przepuścił go w drzwiach, starając się wciągnąć brzuch. Klein był już daleko z przodu.

*

Franz przesunął się wzdłuż ściany. Przed chwilą słyszał jeszcze odgłos butów na posadzce. Ktoś zniknął w drzwiach gabinetu Juniora. Do wachmistrza dotarło

szuranie mebli i odgłos nerwowej rozmowy.

– Chyba stamtąd nie uciekną – powiedział bystrzycki policjant. – Jeśli nie są wariatami, to się poddadzą.

– Nie liczyłem na to – odparł Franz, uzupełniając magazynek. – Z Juniorem jest ten cyngiel. Nie sprzeda tanio skóry.

– Spróbujmy.

– W porządku, próbuj, Horst.

Bauch skinął głową, wyprostował się i odwrócił w stronę drzwi.

– Jesteście otoczeni. Wychodzić z łapami w górze.

– Podejdź bliżej i powtórz. Słabo cię słychać!

Gruchnął strzał. Od ściany naprzeciw drzwi odłupał się kawał tynku.

– Masz im jeszcze coś do powiedzenia? – spytał Franz.

Horst wzruszył ramionami.

– Żeby się pieprzyli...

– To powiedz to im, a nie mnie.

– Matka prosiła, żebym nie przeklinał na głos w towarzystwie.

Klein, stojący u boku Koschelli, zaśmiał się cicho. Uzupełnił magazynek i dał sygnał, że jest gotowy.

– Który podejdzie pierwszy? Śmiało, kurwa! – dobiegło od gabinetu.

– Tego tam matka kultury na pewno nie uczyła. – Wilhelm się rozejrzał. Wskazał palcem drzwi obok. – Zobacz, Franz, czy uda ci się przedostać do gabinetu oknem z innego pomieszczenia. Może będziesz miał czysty strzał.

– Pójdę z wachmistrzem – zaoferował się bystrzycki olbrzym. – Jakby co, przytrzymam go, żeby nie wypadł na ulicę.

– W porządku – zgodził się kapitan. – Odwrócę ich uwagę.

– Czekać, coś się tam dzieje. – Horst wskazał przed siebie.

Rzeczywiście, w gabinecie wyraźnie słychać było jakieś poruszenie i ostrą wymianę zdań.

– Ja wychodzę! Nie strzelajcie!

Koschella rozpoznał głos Juniora.

– Tylko powoli! – krzyknął Franz, wymieniając porozumiewawcze spojrzenia z Kleinem. – Ręce za głową i bez nerwowych ruchów. Jak coś odwalisz, strzelam. Rozumiesz?

– Tak! Wychodzę...

– Uważajcie – ostrzegł wachmistrz.

Mężczyźni wycofali się w głąb korytarza, skryli za ciężkimi meblami.

Junior wolno wysunął się zza drzwi. Ręce miał za głową, tak jak mu polecono.

– Krok po kroku... mówiłem powoli! – warknął Franz. Dostrzegł, że zza pleców Juniora wysuwa się lufa parabellum.

– Kurwa!

Kule uderzyły w posadzkę i ścianę. Klein i Horst wypalili w stronę drzwi, kawałki drewnianej ościeżnicy rozprysnęły się w powietrzu.

– Nie! – Junior skoczył przed siebie i odbił się barkiem od ściany.

Huk kolejnych wystrzałów zagłuszył przekleństwa.

Franz spojrział na leżącego na podłodze mężczyznę. Jego mózg rozprysł się malowniczo po całym korytarzu. Ostatnią kulkę musiał sprzedać mu Tony.

– Trzymamy się planu. – Klein klepnął Horsta w bark i wskazał mu boczne drzwi.

Franz napał na klamkę i wbiegł do pokoju, w kilku susach dopadł do okna. Otworzył je i wyjrzał na zewnątrz. Instynktownie wyprostował się, unosząc głowę. Kula świsnęła mu pod brodą.

– Kurwa! – zaklął. – Paluch chce zwiać.

Franz schował się za framugą, wystawił rękę przez okno. Pociągnął za spust, mierząc na ślepo.

Kolejny wystrzał. Wachmistrz poczuł mocne uderzenie w dłoń, które wytrąciło mu broń z ręki. Kawał żelastwa uderzył głucho o bruk.

– Skurwiel!

Koschella przycisnął dłoń do piersi. Kula Tony’ego trafiła w pistolet, wyłamując Franzowi palce.

Od strony korytarza dobiegły nowe wystrzały. Klein zdecydował się na szturm na gabinet Juniora.

– Niech się szef odsunie. – Bystrzycki policjant wycofał się pod przeciwległą ścianę i pochylił. – Ojciec murarz, dziadek murarz, ja też miałem być murarzem...

– Co?

Franz w ostatniej chwili zorientował się, co się święci. Olbrzym zaszarżował wprost na ścianę, o którą wachmistrz się opierał, i przywalił w nią barkiem. Zatrzęsła się nie tylko ona, ale i podłoga. Horst poprawił uderzenie. Cegły runęły i policjant wpadł wraz z nimi do gabinetu obok.

Koschella niewiele widział w chmurze tynku. Spadła kolejna cegła, a wraz za nią ścienny obraz. Franz dostrzegł nogi olbrzyma. Złapał za nie odruchowo, próbując wciągnąć policjanta z powrotem w bezpieczne miejsce. Ten nie był jednak w stanie się podnieść.

– Nogę dał.

– Próbuje! – wrzasnął Franz.

– No-gę dał!

– Co, kurwa?

Ogromna stopa wierzgnęła przed oczami Franza.

– Uciek! Przez okno!

Franz wykonał długi krok nad olbrzymem i przedarł się przez gruzowisko. Przy oknie stał już Klein.

– On jest mój – powiedział Koschella.

Wilhelm skinął głową na znak zgody.

Franz wychylił się na zewnątrz. Dostrzegł drabinę, a u jej szczytu mignęła mu chuda dupa Tony’ego.

– Daj mi swoją broń Horst! – wychrypiał Franz.

Gdy poczuł w dłoni kolbę pistoletu, wskoczył na parapet i sięgnął drabinki.

– Odetnijcie mu drogę ucieczki! – krzyknął i zaczął się wspinać, sycząc z bólu przy każdym chwytanym szczeblu.

*

Franz stanął na palcach i na ułamek sekundy wystawił głowę nad gzyms. Kawał odłupanej dachówki spadł na niego. Szybki przegląd pola pozwolił mu się upewnić, że strzał był desperacki, a Tony rzucił się do ucieczki.

Cyngiel wiedział, że nie ma zbyt dużo czasu i jeśli chce wyjść cało z tej kabały, musi zwiewać. Do Hotelu Cesarskiego przylegały z dwóch stron budynki. Cały zespół kamienic ułożony był w podkowę. Istniało kilka dróg ucieczki po lewej i prawej. Franz zastanawiał się, którą stronę wybierze Tony.

Wachmistrz z trudem wdrapał się na dach. Ból w ramieniu zaczynał mu coraz bardziej dokuczać, poszarpane kulą mięśnie wydawały się sparaliżowane. Franz ruszył w stronę bocznej wieżyczki wystającej ponad linię dachówek. Niepewnie stawiał stopy na pochyłej powierzchni, zachwiał nim podmuch wiatru. Świadomość otwartej przestrzeni Wilhelmsplatz, w którą mógł runąć w każdej chwili, przyprawiała go o zawrót głowy.

Dotarł do niego pomruk dochodzący od ulicy. Franz nieopatrznie spojrział w dół. Plac i chodniki wypełnili gapie. Urząd Pocztowy opustoszał, w oknach okolicznych budynków pojawili się mieszkańcy. Wszyscy wpatrywali się w Franza, wskazywali go sobie palcami. Koschella poczuł się jak cyrkowiec dokonujący ekwilibrystycznej sztuczki. Cyrkowcy jednak zazwyczaj nie byli ranni i nie mieli pełnych portek ze strachu.

Franz oderwał wzrok od zbiegowiska. Musiał się ruszyć, Tony sporo go wyprzedził.

Wachmistrz przyłgnął do ściany wieżyczki i wspinał się ku szczytowi dachu. Podeszwy wciąż miały małą przyczepność, ale Koschella nie zwalniał. Nigdzie nie było widać cholernego cyngla.

Zaklął w duchu, bo wiedział, że zmitrężył kawał czasu. Dachówki trzeszczały pod jego butami, parł jednak do przodu.

Stary jesteś, Franz, po co to robisz, kurwa! Dobrze, że Barbara wyjechała. Co by było, gdyby cię teraz zobaczyła?

Koschella poczuł, że traci grunt pod nogami. But zjechał mu razem z dachówką. Dotarł do niego głośny okrzyk grozy. Pewnie ludzie oczami wyobraźni widzieli, jak interweniujący policjant ześlizguje się z dachu i ląduje na ulicy.

– Kurwa mać...

Właśnie Franz zdał sobie sprawę, że ktoś doniesie Barbarze o jego wyczynie. Żona się wścieknie – i będzie miała rację. Naraził się bezmyślnie, zapominał, że jest odpowiedzialny za nią i dwóch chłopaków.

– Wachmistrzu, on tam jest, za kominem!

Koschella zobaczył kobietę wychylającą się w oknie i wskazującą kierunek. Wachmistrz w kilku susach odskoczył w bok, byle zejść z linii strzału. Zrobił to w ostatniej chwili, bo przy uchu usłyszał osobliwy świst.

Franz ukrył się za kominem wentylacyjnym. Przymierzył i strzelił. Miał sporo szczęścia, bo Tony złapał się za ramię i zachwiał. Broń wyleciała mu z dłoni, ześlizgnęła się po dachówkach i zniknęła za linią dachu.

„Jeden do jednego” – pomyślał Koschella. Lecz miał jeszcze inne rachunki do wyrównania. Cyngiel zaklął i zniknął wachmistrzowi z pola widzenia.

Franz ruszył w pogoń. Zeskoczył z budynku Hotelu Cesarskiego na dach drugiej kamienicy. Nad linią zabudowań dostrzegł twierdzę, po prawej wieże kościoła Najświętszej Marii Panny. Wiedział, że za chwilę uciekinier zatrzyma się na krawędzi dachu ostatniej kamienicy. Jeśli tam nie znajdzie schronienia, będzie odślonięty jak kaczka na strzelnicy.

– Podдай się, Tony! – krzyknął Franz.

Cyngiel wolno odwrócił się w stronę Koschelli. Ręka bezwładnie zwisała mu wzdłuż ciała. Uśmiechał się paskudnie, bynajmniej nie przypominał zaszczutego zwierzęcia. Jego pewność siebie była dla Koschelli zagadką. Być może miał drugą parabelkę w kieszeni. Wachmistrz znalazł osłonę za kolejnym kominem i wymierzył w gangstera. Tony stał zaledwie kilka metrów od krawędzi dachu.

Franz szybko ocenił sytuację. Paluch nie miał dużego pola manewru, dach znajdował się ładnych kilka metrów do budynku synagogi. Skok był ryzykowny, ale niepozbawiony szans powodzenia.

– Nie rób tego. Nie umiesz latać – ostrzegł Franz.

– Strzelisz mi w plecy? – odparł Tony.

– Z przyjemnością.

– Dlaczego jeszcze nie pociągnąłeś za spust?

– Sam się nad tym zastanawiam.

– Za dużo gapiów, co? Stróż prawa strzelający do uciekiniera, rannego uciekiniera... Narobiłbyś sobie kłopotów.

– Mało o mnie wiesz...

Koschella wyszedł zza zasłony. Broń mierzył w klatkę piersiową Tony'ego.

Cyngiel zawahał się, uśmiech zniknął z jego twarzy. Uniósł zdrową rękę do góry.

– Poddaję się...

Franz pokiwał głową i pociągnął za spust.

– Kurwa!

Głuchy dźwięk zlał się w jedno z przekleństwem gangstera.

Franz także zaklął, ale w myślach. Pusty magazynek. Nie liczył strzałów Horsta. Ten mógł go uprzedzić, że wystrzelał niemal wszystkie naboje.

Cyngiel okręcił się na pięcie. Kilka metrów rozpędu i skok. Zniknął Franzowi z oczu.

Koschella, nie zastanawiając się nad tym, co robi, także zaczął biec. Lekka pochyłość dachu pozwoliła mu nabrać prędkości. W ciągu kilku sekund przed oczami zatańczył mu obraz sprzed kilku lat. Pościg kapitana Kleina. Wilhelm także pokonywał tę odległość, chociaż w drugą stronę.

– Choleraaa!

Franz czuł, że uginają się pod nim kolana, jego skok mógł się okazać za krótki. Wybił się z całej siły tuż przy linii dachu. Obrął taki sam kierunek co Paluch, mając nadzieję, że wyląduje na dachu synagogi, zamiast spaść pomiędzy budynki.

Kolejne sekundy. Świst powietrza, krew uciekająca z twarzy. Franz zamachał rękami, jakby to miało mu pomóc. Nie pomogło. Wybił się za słabo i spadał jak kamień. Wystawił ręce jak najdalej przed siebie, przez co udało mu się chwycić za balustradę. Stracił oddech, gdy jego żebra trzasnęły o mur, a nogi zakołysały się w powietrzu.

– Jasna...

Franz nie mógł zaczerpnąć oddechu. Ramię rwało jak diabli, poparzone wnętrza dłoni paliły żywym ogniem, chwyt stawał się coraz mniej pewny.

Słyszając docierające z dołu krzyki, Koschella spojrzał przez ramię. Gromadzili się ludzie. Ryk syreny straży pożarnej dobiegał od Grünestrasse. Za daleko. Nie zdążą złapać spadającego wachmistrza.

Koschella próbował się podciągnąć, znów majtnął nogami. Czubek buta wpasował się w spoiwo między cegłami i Franz znalazł punkt podparcia.

– Zdychaj!

Koschella zobaczył nad sobą twarz Tony'ego. Ten uderzył pięścią w dłoń wachmistrza, próbując go zmusić, żeby puścił chwyt. Franz wiedział, że ma tylko chwilę na wspięcie się na balustradę. I rozpaczliwie trzymał się muru.

– Dołącz do kolegi w piekle, Koschella!

Cyngiel wziął kolejny zamach. Franz niemal stracił przytomność, gdy pięść Palucha zmiażdżyła mu szczękę. Wachmistrz wykorzystał wreszcie podparcie i podciągnął się w górę. Chwycił Tony'ego za nadgarstek, gdy ten próbował powtórzyć cios. Gangster, próbując się odruchowo odchylić, podciągnął w górę Franza. Wachmistrz wykorzystał to i otoczył balustradę ramieniem.

– Jeśli do piekła, to z tobą...

Franz szarpnął cyngla w swoją stronę. Gdy poczuł, że ten traci równowagę i przelatuje przez balustradę, puścił jego rękę. Tony, próbując się ratować przed upadkiem, oplótł zapaśniczym chwytem szyję wachmistrza. Zawisł na plecach Koschelli jak kukła.

Franz poczuł zwierzęcy strach. Wiedział, że nie utrzyma podwójnego ciężaru. Cyngiel też to wiedział. Zaczął się wspinać po Koschelli, wykorzystując go jak drabinę.

Palce Franza traciły chwyt, od upadku dzieliły go sekundy. I ten moment przyszedł. Wachmistrz poczuł, jakby jego ciało straciło ciężar. Cyngiel z wrzaskiem odpadł od pleców Koschelli i wachmistrz usłyszał uderzenie ciała o bruk oraz krzyki gapiów. Nie mógł zrozumieć, dlaczego sam nie spadł. Brali go żywcem do nieba? Uniósł głowę. Nie tak powinno wyglądać niebo, z góry bowiem patrzył na niego sam diabeł. Mocne dłonie przeciągnęły go przez balustradę.

– C-co tak długo? – wydyszał Franz.

– To ty się guzdrałeś. – Klein przytrzymał Koschellę, dopóki nie zyskał pewności, że ten nie upadnie.

Wachmistrz oparł się o barierkę, spojrzął w dół. Morderca Schulza leżał martwy na dole. Wokół jego głowy utworzyła się kałuża krwi.

– Mam się o ciebie martwić? Przeżyjesz, Franz?

Koschella popatrzył na swoje dłonie. Były zmasakrowane, ochłapy czerwonego mięsa upačkane dziwną mazią. Ból paraliżował zmysły.

– Przeżyję.

– To dobrze, bo to jeszcze nie koniec.

– To nigdy nie jest koniec – wychrypiął wachmistrz. – Zawsze jest ktoś jeszcze.

Klein się zawahał. Przesunął spojrzeniem po budynkach, zaledwie prześliznął się po bryle twierdzy. W końcu skinął głową.

– Odezwę się, gdy będę gotowy.

*

Koschella dotarł na stację, gdy było już po wszystkim. Ludzie Łysego uporali się z przyjezdnymi, chociaż starcie okupili kilkoma poważnymi obrażeniami. Przenosili teraz rannych na prowizorycznych noszach i ładowali na wozy.

– Wachmistrzu.

Franz spojrział na Zygfryda. Czekał na to, co ten ma mu do powiedzenia.

– Podkulili ogony, szybko nie wrócą.

– I dobrze.

– Nasza współpraca przyniosła efekty...

– Ja nie współpracuję z przestępcami. Coś musiałeś pomieszać.

– Racja. Znaczy się, wykorzystał pan element przestępczy w swoim planie – zaśmiał się syn Łysego. – Nasłał pan jednych bandziorów na drugich. Chciałbym powiedzieć, że nie pobrudził pan sobie przy tym rąk, ale patrząc na pana, nie byłbym tego pewny...

Franz nie podążył za wzrokiem Zygfryda. Wiedział doskonale, że jego dłonie zamieniły się w pulsującą krwawą miazgę. Przypatrzył się za to synowi Łysego. To nie był zwykły troglodyta, którego życia nauczyła jedynie ulica. Chłopak miał sporo inteligencji, raczej nieodziedziczonej po ojcu. Jeśli wcześniej Franzowi wydawało się, że ten młody nie ma szans zastąpić Łysego i podporządkować sobie innych watażków, to musiał zrewidować swoją ocenę. Kruchy sojusz bandytów z hrabstwa kłodzkiego mógł przetrwać dłużej. Zygfryd też miał plan i na swój sposób wykorzystał w nim Koschellę.

– Nieźle, młody. Naprawdę nieźle...

– O czym pan mówi, wachmistrzu? – Syn Łysego udał zdziwienie.

– Udawanie głupka wyszło ci całkiem przyzwoicie. Drugi raz się na to nie nabiorę.

Młody mężczyzna uśmiechnął się i skłonił głowę jak aktor na koniec przedstawienia. Obrócił się na pięcie i ruszył w stronę swoich ludzi.

Koschella zaklął w duchu. Zdał sobie sprawę, że przyczynił się do narodzin lokalnej legendy. Pomógł wykreować nowego watażkę. Chłopak pomścił śmierć ojca i odprawił z kwitkiem sławnych berlińskich gangsterów. Franzowi pozostało jedynie pocieszenie, że koniec końców lepszy swój wróg niż obcy.

– Co teraz, Franz?

Koschella przez chwilę milczał. Objął spojrzeniem peron, a potem przeniósł je na miasto.

– Wysłałeś ludzi, żeby zajęli się Schulzem, Ernst?

– Franz, niewiele...

– Nie o to pytam.

– Zrobiłem tak, jak prosisz. Z tego, co wiem, zabrali jego szczątki. Samochód też przetransportowali do policyjnego garażu. Wezwaliśmy saperów, żeby powiedzieli więcej o... o ładunku.

– Dobrze.

– Coś się wydarzyło w kościele Wniebowzięcia. Kościelny zwisa z wieży. Ale o tym chyba więcej powie ci Czosek.

Franz skinął głową. Zobaczył Leona, który zmierzał w ich stronę.

– Zajmij się wszystkim, co dotyczy Schulza, Ernst.

– Jasne. – Makowski poklepał Franza po plecach. Ruszył do zejścia z peronu.

Wyminął się z Czoskiem bez słowa.

– Wachmistrzu.

Leon stanął przed Koschellą. Cienie wokół oczu mocno go postarzały.

– Słyszałem... słyszałem o Lotharze.

Koschella skinął głową.

– Jak to się stało?

– Wsiadł do samochodu, do którego ja miałem wsiąść.

– Ja... – Czosek opuścił wzrok. – Przykro mi, Franz. Lothar sobie na to nie zasłużył.

– Czego ode mnie chciałeś?

– Gurber nie żyje. Zabił go Lischke. Wychodzi na to, że to kościelny wszystko rozpoczął. Wstrzyknął morfinę staroście.

Franz skinął głową.

– Wiedziałeś? Domyśliłeś się? – Leon nie krył zaskoczenia.

– Jak trafiliście na ten trop? – zapytał, zamiast odpowiedzieć, Koschella.

– Gurber nas tam poprowadził, ale nie szliśmy po kościelnego, tylko po Ulma, tego malarza.

– Bardzo Gurberowi na tym zależało, co, Leonie? Na tym, żeby szybko załatwić sprawę.

W głowie Czoska już wcześniej pojawiła się myśl, z którą trudno było mu się pogodzić. Trudno było wyczuć, czy Gurber działał na własną rękę i przemawiała przez niego ambicja, chęć odniesienia spektakularnego sukcesu, czy też działał na czyjeś polecenie. Z rozkazu kogoś, komu zależało na zakończeniu chaosu w mieście i powrocie do spokojnej działalności. Gdyby ktoś zapytał Leona, czy Gurber sprzedałby się ringvereinom, nie potrafiłby wziąć go w obronę.

– Bardzo mu zależało – przyznał. – Chciał Ulmowi przypisać wszystkie morderstwa. Ulm raczej nie zszedłby żywy z dachu kościoła...

– Wiesz już, że to nie Ulm. Wiesz też, że Lischke nie mógł popełnić wszystkich zbrodni. Oprócz zamordowania starosty.

– Wiem.

– Gratuluję – powiedział Koschella. – Rozwiązałeś swoją pierwszą sprawę. Przynajmniej jej część...

– Kto zabił pozostałych, wachmistrzu? Kto zamęczył Heigla i Łysego?

– Tylko jeden skurwiel mógł tego dokonać. Nie jestem jednak pewny, kto za nim stał.

– Oświeci mnie pan?

– Tony Paluch, cyngiel Schwarza.

– Ale nie działał w ten sposób na niekorzyść swojego pracodawcy? Niemal uwierzyłem, że ringvereinom te morderstwa były nie na rękę. – Leon zmarszczył brwi. Nic mu w tym nie pasowało.

– Cyngle pracują dla tych, którzy dają więcej. Schwarzowi rzeczywiście mogło zależeć na spokoju, budowaniu sieci powiązań i układów. Nie przyłożył ręki do morderstwa starosty, Heigla i Łysego, przynajmniej świadomie. Był tak pewny siebie, że nie przyszło mu do głowy, że ktoś podkupił im cyngla i załatwił to jego rękami. Ten chaos został wywołany świadomie.

– Kto stoi za Tonym Paluchem?

– To już bardziej skomplikowane.

– Nie podzieli się pan ze mną przemyśleniami?

Franz westchnął, przymknął oczy.

Czosek skinął głową, godząc się z tą decyzją. Wyczuwał na sobie nieufne spojrzenia stojących nieopodal wachmistrzów. Nieznajomy olbrzym patrzył na niego tak, jakby miał ochotę zgnieść go w łapskach.

– Franz, ja...

– Wiem, Leon – przerwał mu Koschella. – Nic nie mów. Widzimy się na pogrzebie Schulza.

Czosek skinął głową. Nie spytał, czy Franz będzie obecny na pogrzebie Gurbera. Wiedział, jaką dostałby odpowiedź. Gdy Koschella się od niego odwrócił, Leon ruszył w stronę miasta. Włożył dłoń do kieszeni, odnalazł chłodny klucz do mieszkania Gurbera i zacisnął go w dłoni.

*

Metz patrzył, jak samochody parkują przy torach. Jego podkomendni sprawnie opuścili pojazdy. Uformowali szyk i ruszyli w stronę widocznego w oddali pociągu. Hans Fredke przekazał mu informację o kilku uzbrojonych ludziach, kapitan postanowił więc zachować ostrożność.

Żołnierze zajęli pozycje. Metz widział zza linii drzew, jak paru mężczyzn próbuje naprawić uszkodzoną zwrotnicę. Byli zajęci pracą i nie rozstawili czujek.

Podwładni Metza przemieścili się błyskawicznie. Wystarczył strzał ostrzegawczy, by zajęci robotą gangsterzy przywarli brzuchami do podkładów kolejowych.

– Teren zabezpieczony. Zatrzymaliśmy siedmiu ludzi.

– Bardzo dobrze.

Metz zszedł z nasypu. Stał przy jednym z wagonów. Na tabliczce transportowej widniała nazwa docelowego miasta. Kapitan dał znak podkomendnym, by wzięli się do roboty, jeden z szeregowych pojawił się zaraz z ogromnymi nożycami. Plomby i zabezpieczenia spadły na tory. Drzwi zostały rozsunięte mocnym szarpnięciem i dwóch żołnierzy weszło do środka. Za nimi wspiął się Metz.

– Otwórzcie skrzynię.

Łomy podważyły wieko najbliższego pakunku. Trzasnęło drewno, pokrywa spadła na podłogę. Metz sięgnął do wnętrza. Dotknął wypolerowanego drewna. Chwycił za kolbę i unióś ją w górę.

Kilku ludzi wypuściło głośno powietrze z płuc, nie odezwali się.

Metz pobladł. Objął wzrokiem skrzynie w tym wagonie, spodziewał się, że zawartość dwóch kolejnych wygląda podobnie. Kilkanaście tysięcy sztuk broni. Nowoczesne karabiny powtarzalne Mauser Gew98. Nie powinno ich tutaj być, nie powinno być ich wcześniej w twierdzy.

– Kapitanie, szły do Monachium. Ale po co?

– A wy nie wiecie, szeregowy, że w wojsku się nie pyta, tylko wykonuje rozkazy?

– Tak jest, kapitanie!

Metz zaklął w duchu, odłożył broń do skrzyni. Klein miał rację.

– Zamkną na amen – zakomenderował. – Nic nie widzieliście.

– Tak jest.

Metz wyskoczył z wagonu.

– Skrzynie na wozy – polecił swoim ludziom. – W ciągu godziny wszystko ma wrócić do twierdzy!

*

Czosek przekręcił klucz i nacisnął klamkę. Gdy zamykał za sobą drzwi, czuł na plecach dreszcz niepokoju. Jakby bronił się przed tym, co miało nastąpić.

Stąpał wolno korytarzem, minął niewielki gabinet i kuchnię. Wszedł do salonu. Tu przystanął i się rozejrzał.

Karl nie był miłośnikiem porządku. Części garderoby walały się na krzesłach i fotelu, w otwartej szafie wisiało niewiele ubrań. Łóżko ze skołtunioną pierzyną

stało przy oknie, oddzielał od niego Czoska stół niedbale otoczony krzesłami. Z boku stał kredens, na nim deseczka z czerstwym chlebem i kawałkiem szynki. Okruszki walały się po podłodze.

Leon się poruszył. Zaczął przeszukiwanie od obrazków na ścianach. Potem sprawdził meble, obejrzał uważnie podłogę i parapety. Gdy się upewnił, że w pokoju nic nie znajdzie, przeszedł do kuchni. Pierwszy strzał okazał się trafiony. W podwójnym dniu kosza na śmieci odnalazł skrytkę, a w niej kopertę wypchaną zagraniczną walutą i instrukcje. Czosek zastanawiał się, dlaczego Gurber nie zniszczył dowodów swojej współpracy z ringvereinami. Do Wrocławia przyjechał nie bez powodu. Bardzo musiał chcieć tego przeniesienia i miał ku temu powód.

– Podnieś ręce, Czosek.

Leon wyprostował się, uniośł dłonie, wolno odwrócił się do mężczyzny, który zaskoczył go w mieszkaniu.

– Co tu robisz?

– A co pan tu robi, nadwachmistrzu?

Zender mierzył do Czoska z broni. Leon wiedział, że nie będzie miał szansy użyć własnej.

– Wyłumacz się, wachmistrzu. Nie graj na czas.

– To pan sprowadził Gurbera do Kłodzka?

– Nie ja. – Zender pokręcił głową. – Nie odmówiłem jednak, gdy poprosił o przeniesienie. Uznałem, że przyda mi się ktoś, na kim mogę polegać.

– Na pewno mógł pan na nim polegać?

Zender opuścił broń, schował ją do kabury pod marynarką.

– Nie wiem, ty mi powiedz.

– Gurber pracował dla Deutsche Eiche. Dlatego pojawił się w Kłodzku. Na pewno nie z sentymentu do pana osoby.

– Popełniłem więc błąd.

– Tak – przyznał Czosek. – Nie tylko pan.

Zender podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz.

– Znalazł pan dowód na jego współpracę?

– Tak.

– Co zamierza pan z nim zrobić?

– Ujawnić.

Nadwachmistrz skinął głową, jakby się tego spodziewał. Czosek ostrożnie sięgnął pod marynarkę.

– Złożę dziś rezygnację – poinformował Zender, odwracając się do Leona. Popatrzył na dłoń Czoska, która zacisnęła się na kolbie. Nie skomentował tego. –

Proszę dać mi godzinę na złożenie raportu komisarzowi Richterowi. Przedstawię w nim oczywiście pana udział w zdemaskowaniu Gurbera.

– Dobrze – zgodził się chłodno Czosek.

Zender wyszedł. Leon schował kopertę i wiadomości dla Gurbera do kieszeni. Opuścił mieszkanie i ruszył do magistratu. Skrytka z dowodem własnej winy. Karl nie popełniłby takiego błędu. Czosek nic nie mógł udowodnić Zenderowi, ale nie miał zamiaru dawać mu ani minuty dłużej, niż obiecał.

KŁODZKO, TRZY DNI PÓŹNIEJ

Komisarz wezwał Franza do siebie na kilka godzin przed pogrzebem. Koschella, gdy wszedł do gabinetu przełożonego, zobaczył, że nie jest tam jedynym gościem. Gustaw Taube, mocno zaaferowany, siedział na jednym z krzeseł i wykonywał nerwowe gesty, co chwilę zerkając w stronę obrazu ustawionego pośrodku pomieszczenia.

– Profesorze, zna pan wachmistrza.

– Tak, tak... znam.

Taube wymienił z Koschellą pospieszny uścisk dłoni. Pociły mu się ręce.

– Wachmistrzu. – Richter popatrzył na podwładnego. Zawahał się. – Profesor ma nam do przekazania kilka informacji, które rzucą nowe światło na prowadzoną przez nas sprawę. Sprawdził to, o co pan prosił. Chciałem, żeby pan wysłuchał, co ma do powiedzenia.

Taube szybko podniósł się z krzesła, jak koń wyścigowy zbyt długo czekający w blokach startowych. Potrząsnął dłonią, wskazując malowidło ustawione na stelażu. Przykryte było białą tkaniną, jakby stanowiło element magicznej sztuczki.

– Miałem dwa zadania. Po pierwsze, zbadać ostatnie płótno z wiadomego cyklu... Jak panowie zapewne sami zauważyli, dokonano w nim ważnej, choć nieudolnej zmiany. Przemalowano twarz ofiary...

Taube pociągnął za róg okrycia. Materiał zahaczył o róg obrazu, niemal pociągając go za sobą na ziemię. Profesor na szczęście zdążył złapać ramę i utrzymać ją na sztaludze. Uśmiechnął się przepaszająco, otarł pot z czoła. W końcu okrycie opadło na podłogę.

Franz przyjrzał się malowidłu. Popatrzył na twarz wisielca.

– Wisielcem jest Lischke, kościelny – powiedział.

– Tak, też jestem pewny tej obserwacji – potwierdził profesor. – Twarz kościelnego jednak zakryto inną twarzą. Twarzą Bertrama Scheidta. – Zapatrzył się na obraz, jakby kontemplował go na nowo. Wreszcie potrząsnął głową i podjął wypowiedź: – Zadanie drugie: miałem się dowiedzieć, kto dokonał tej zmiany. Muszę przyznać, że wskazówka, którą od panów otrzymałem, bardzo mi pomogła. Wizyta w pracowni Theodora Heigla nie pozostawia cienia wątpliwości. To on. Świadczy o tym choćby paleta ostatnio użytych farb. Dokonałem jednak dla pewności analizy jego... nazwijmy to, techniki. Nie mam wątpliwości, że właśnie Theodor zniszczył dzieło Germaina Ulma.

Franz wymienił spojrzenia z Richterm. Żaden z nich nie zdecydował się na komentarz.

– Panowie. – Taube zdawał się nie zauważać stanu obu policjantów. – Z tego, co mi przekazał pan komisarz, Ulm zaczął tworzyć te obrazy pod wpływem wizji księdza Reisera już kilka miesięcy temu. Wtedy właśnie powstał obraz z ukrzyżowanym Jezusem o twarzy starosty i obraz wisielca z twarzą kościelnego. Doprawdy niesamowita okoliczność, zważywszy, że starosta, zdaje się, dopiero na kilka tygodni przed gorzanowską pasją wystarał się o tę rolę. Twarzy biczowanego nie widać, twarzy mężczyzny z obciętym uchem także, skrywał ją wszak w dłoniach. – Taube wziął głęboki oddech. – Jestem ogromnie przejęty tym, co się tu wydarzyło. Zastanawia mnie, czy ksiądz Reiser dokładnie opisał Germainowi oblicze Jezusa i wisielca, czy też to Ulm użył wyobraźni, decydując się na użycie wizerunków obu mężczyzn. Bardzo chciałbym wiedzieć, ile w tym niewyjaśnionej zagadki, ile przypadku, czy...

– Dziękujemy, profesorze Taube, spisał się pan doskonale – przerwał belfrowi Richter.

Dłonie Taubego, którymi przed chwilą operował tak, jakby sam malował w powietrzu niewidzialny obraz, opadły wzdłuż ciała. Profesor oklapł, spojrzał z nadzieją na Franza, może się spodziewał, że ten powie coś więcej. W końcu dał za wygraną.

– Dziękujemy za pańską dyskrecję w tej sprawie – dodał Richter, gdy Taube po raz ostatni obrzucił spojrzeniem obraz i ruszył w stronę drzwi.

W progu profesor jednak się zatrzymał.

– Ogromny talent... mówię o Ulmie. – Taube sięgnął do klamki i odwrócił się do policjantów. – Słyszałem, że poddano go leczeniu... ale jego stan... To ogromna strata. Mam nadzieję, że wróci jeszcze do malowania. Chociaż...

Franz zastanawiał się nad powodem niepewności profesora. Gdy ten wyszedł z gabinetu, pomyślał, że zna jej przyczynę. Trudno powiedzieć, kto był tak naprawdę autorem tej malarskiej wizji, Reiser czy Ulm. Jeśli ten drugi, może lepiej, żeby jego talent pozostał w uśpieniu.

– Co pan o tym myśli, wachmistrzu?

Franz popatrzył na Richtera. Nie przypominał sobie, kiedy ostatnio ten pytał go o zdanie.

– Uważam, że nie ma co się tu doszukiwać zjawisk z pogranicza mistycyzmu. Wykorzystano Ulma i jego obrazy. Najpierw zrobił to Lischke, który musiał je widzieć i wielokrotnie studiować. Z Ulmem często się widywali. Kościelnego coś popchnęło do ich urzeczywistnienia, może za bardzo uwierzył w bzdury głoszone przez Reiserera? A może przejął się losem Idy, córki kłodzkiego fotografa. Popełniła samobójstwo, będąc w ciąży. Zawód miłosny miał związek ze starostą...

– Tego nie udowodniliśmy – zastrzegł Richter.

Koschella skinął głową. Samobójstwo Idy wciąż budziło jego wątpliwości.

– Co dalej?

– Lischke zabił starostę, a potem siebie. Sprawa pozostałych dwóch morderstw też jest jasna. Tony Paluch zabił Heigla i Łysego...

Franz zawahał się, przypomniał sobie, że bicowany mężczyzna na obrazie miał znamię na pośladku. Gdy Łysego zamęczono, był w bieliźnie, a wtedy nie przyszło mu do głowy, żeby to sprawdzić. Obiecał sobie, że nie będzie rozkopywać grobu, żeby naprawić to przeoczenie.

– Na czyje zlecenie?

– Słucham? – Franz otrząsnął się z zamyślenia.

– Kto zlecił zabójstwo tych dwóch?

– Deutsche Eiche – powiedział wachmistrz bez zajęcia.

– Skąd wiedzieli o obrazach?

– Od Heigla. Był znajomym Germaina. Poznali się we Wrocławiu. Odwiedzał jego pracownię także w Kłodzku. To on podsunął Schwarzowi pomysł na całą akcję. Wiedział o rozchwianiu emocjonalnym Germaina, o tym, że podkochiwał się w Idze, a jej śmierć nim wstrząsnęła. Wykorzystał swoją kuzynkę Grete, by ta doszczętnie namieszała mu w głowie. Ukradli obrazy, podejrzenia miały być kierowane na Ulma. Chaos w Kłodzku, wbrew temu, co mówił Schwarz, był mu na rękę. Jego ludzie rozpełzli się po hrabstwie, potrzebowali chwili, by okrzepnąć bez ingerencji policji zajętej zbrodniami.

– Ale nie uwzględnili w swoich obliczeniach pana osoby?

Franz wzruszył ramionami.

– Co z tym przemalowanym obrazem i wskazaniem nowego starosty? Zrobił to Heigl. Po co?

– Wybór najlepszy z możliwych, komisarzu. To człowiek, na którego w ostatnich tygodniach patrzyło całe Kłodzko. A że potem wybrano go też

starostą... wpasowało się to w plan wyśmienicie. Pierwsza i ostatnia ofiara na tym samym stołku, taka symbolika, zapewne.

– Symbolika – powtórzył Richter z wahaniem.

– W końcu Heigla się pozbyli – ciągnął Franz, nie dając szefowi czasu na zadanie bardziej szczegółowych pytań. – Za dużo wiedział i był słabym ogniwnem. Na celowniku znalazł się Łysy. Postanowili się rozprawić z kłodzkim półświatkiem. Kolejny etap do położenia łapy na całym hrabstwie...

Franz widział, jak zmarszczki Richtera łagodnieją. Mówił mu to, co ten chciał usłyszeć. Przy tej sprawie Wrocław wreszcie zwrócił uwagę na starego. W urzędzie rozeszła się plotka, że Richter dostał posadę dyrektora kryminalnego w prezydium wrocławskiej policji. Walizki zapewne czekały już spakowane, rozmowa z wachmistrzem była domknięciem spraw, miała przynieść spokój sumieniu. I ten spokój Franz zamierzał przełożonemu zapewnić.

– I wszystko się w tym panu, Koschella, zgadza?

– No nie wszystko. Jasne jest dla mnie, że ringvereiny miały u nas kreta...

Franz celowo odpalił to działo, wolał przenieść indagowanie na grunt grząski dla samego komisarza.

– Franz. – Richter wbił spojrzenie w wachmistrza. – Ty myślisz, że ja jestem tak naiwny?

Milczenie wachmistrza trwało krótko.

– Nie – odparł. – Sprawę może pan jednak uznać za zamkniętą.

Komisarz milczał chwilę, widać było, że przemyślał w tym czasie kilka scenariuszy przeszłych i przyszłych wypadków. W końcu skinął głową.

– W porządku, wachmistrzu. Możemy uznać, że sprawa jest zamknięta. To wszystko – powiedział.

– Do widzenia, komisarzu.

Franz odwrócił się i ruszył do drzwi.

– Rekomendowałem pana na swoje miejsce, na razie w przywróconej randze nadwachmistrza. Nie ma w Kłodzku nikogo, kto nadawałby się od pana bardziej. Chcę panu oddać to, co zostawił pan u mnie wcześniej. Wypowiedzenie, które było gwarantem naszej umowy... Weźmie je pan?

Franz się zawahał, chwytając za kłamkę. Trwało to tylko chwilę. Nie odpowiedział, nie odwrócił się nawet do Richtera. Otworzył drzwi i wyszedł z gabinetu.

*

Nikt nie płakał na pogrzebie Lothara Schulza. Może dlatego że ceremonia była zbyt długa. Przemawiali burmistrz, komisarz Richter i nowy kłodzki starosta

Bertram Scheidt. A może na tę powszechną znieczulicę miała wpływ liczba tragicznych wydarzeń w Kłodzku? Niewątpliwie przekroczyła już granicę, za którą śmierć powszedniała.

Franz też niewiele czuł, gdy trumnę ze szczątkami Schulza opuszczano do ziemi. Przyszło mu do głowy, że Lothara w tym jesionowym opakowaniu nie ma. Uleciał z dymem, gdy dopaliły się jego szczątki i dusza – jeśli w ogóle ją miał.

Koschella spojrzał na Barbarę, na swoich synów Opitza i Haima. Dziwny to był pogrzeb. Pogrzeb, w którym brakowało właściwych słów. Może to Franz powinien je jakoś wyrazić. Odmówił jednak, gdy poproszono go o przemowę. Nie zapamiętał nic z tego, co w podniosłym tonie o Schulzu mówili inni, ci którzy, w ogóle go nie znali. Czy znał go na tyle, by powiedzieć o nim coś więcej?

Nie. Nic o Schulzu nie wiedział. Lothar w ogóle go nie interesował, nie zajmowało go ani jego życie, ani jego zdanie. Był jak część stałego wyposażenia, nieodłączny element zawodowej codzienności. Jednak czy niezbędny?

Franz dziwił się swojej bezduszności. Obracał tę myśl w głowie. Towarzyszył jej smród stęchlizny, opar płonącego ciała. Próbował coś w sobie rozstrzygnąć, zdecydować, rozpoznać uczucie, które nim targało, lub jego brak. W końcu doszedł do wniosku, że i pustka może targać człowiekiem.

Skąd więc ta złość. Co się zmieniło?

– Franz, przyjmij kondolencje.

Koschella poczuł się, jakby dostał obuchem w żołądek. Podchodzili do niego wszyscy, jeden po drugim, ściskali jego nadgarstek, niektórzy ujmowali opuchniętą, zabandażowaną dłoń. Ustawili się w kolejce, mówili coś, czego Franz nie potrafił zrozumieć. Wszystko zagłuszał pisk rozsadzający uszy, ten syk wydobywający się z wnętrza rozszczelnionej czaszki.

Schulz nie miał nikogo. Miał tylko Franza.

Koschella popatrzył ponad ramionami tych, którzy wciąż przed nim stawali. Widział, jak nad trumną Lothara grabarze usypują pagórek. Za chwilę wszyscy o Schulzu zapomną. Czy Franz zostanie teraz jedynym, który będzie miał obowiązek, by pamiętać?

– Chodźmy. Wracajmy do domu.

Wachmistrz zdał sobie sprawę, że kolejka się skończyła, a on stoi z uniesioną dłonią, jakby oczekiwał, że ktoś jeszcze ją uściśnie. Mocno, zadając zasłużony ból.

– Dobrze – powiedział. – Chodźmy.

Znów spojrzał na grób Lothara, a gdy podniósł wzrok, dostrzegł stojącą w oddali kobietę. Asta. Schulz miał z nią wyjechać, napisać nową historię swojego życia. Za kilkanaście lat, gdy umarłby ze starości, żegnałaby Lothara

rodzina, Asta i liczni przyjaciele. Wtedy nie Koschelli, lecz im składano by kondolencje. Tak właśnie by było.

Franz opuścił wzrok. Po raz pierwszy w życiu nie potrafił wytrzymać spojrzenia, które na sobie poczuł.

*

Mężczyźni przelali cement do wykopu. Było go sporo i okazał się rzadszy niż zazwyczaj, ale nie zgłaszali obiekcji. Dostali za pracę więcej niż zwykle. Może dlatego, że musieli ją wykonać tak wcześnie? W końcu spakowali manatki i odjechali do miasta. Świtało, a zgodnie z instrukcją o świecie nie powinno już ich tu być.

W drodze wyminęli mężczyznę. Szedł wolno pod górę, nie spieszył się. Majster Kipke był pewny, że go zna, ale gdy dzień zmaga się z nocą, każdy podobny jest do każdego.

Mężczyzna kilka minut później stanął na wzgórku ponad świeżym wykopem. Nie rozglądał się, po prostu czekał.

Czarny adler nadjechał kwadrans później. Auto zaparkowało kilkanaście metrów od przyszłego osiedla. Kurz długo unosił się nad polną drogą, bo wiatr był zbyt słaby, żeby rozwiać brunatną zawiesinę. Z pojazdu wysiadł kolejny mężczyzna. Chwilę stał, być może mrużył oczy, bo oślepiło go słońce wyłaniające się nad linią horyzontu. Uniósł dłoń w pozdrowieniu. Człowiek ze wzgórza nie poruszył się na ten gest.

Przybysz ruszył pod górę energicznym krokiem. Mężczyźni stanęli naprzeciw siebie.

– Nie wiem, skąd ta konspiracja, wachmistrzu. Chciał się pan ze mną widzieć, więc jestem. Dlaczego właśnie tutaj?

– Bo to symboliczne miejsce. Można powiedzieć, że od niego się wszystko zaczęło, panie starosto.

– Ma pan rację. Tu położyłem fundament pod przyszłość Kłodzka.

– To samo powiedział pan Kleinowi.

– Naprawdę? – Starosta zaniósł się śmiechem. – Jesteście, widać, z kapitanem w dobrej komitywie. Cóż, być może jest tak, jak pan mówi. Nie chcę jednak, żeby pan pomyślał, że to pusty frazes.

– Jestem pewny, że nie.

Scheidt powoli skinął głową, jakby chciał wyczuć prawdziwą intencję w głosie wachmistrza Koschelli.

– Nie miałem okazji panu podziękować za to, co zrobił pan w ostatnich dniach. Kłodzko w pana osobie ma niezłomnego stróża prawa. Wszyscy jesteśmy dumni

z pana i pańskich ludzi.

– To nie moi ludzie tego dokonali. A ja jestem prostym wachmistrzem.

– Cóż... – Mężczyzna uśmiechnął się tajemniczo. Dłonie zaplótł na brzuchu. – Myślę, że to się zmieni. Dowiedziałem się o pańskiej niezasłużonej degradacji. Jestem po rozmowie z burmistrzem...

– W mojej sprawie?

– Oczywiście, że tak. Zależy mi, by w Kłodzku panowało prawo i porządek.

– I sprawiedliwość zapewne – dodał Koschella.

– Ma się rozumieć – potwierdził poważnie starosta. – Komisarz Richter opuszcza Kłodzko, obejmie posadę w swoim ukochanym Wrocławiu. Jego miejsce powinien zająć ktoś, kogo darzymy zaufaniem...

– Ma pan na myśli miejsce komisarza?

– Tak, choć oczywiście na razie nie w tej samej randze. Burmistrz i wiceburmistrz zgadzają się ze mną, że przywrócenie pana do stopnia nadwachmistrza i rola pełniącego obowiązki szefa kłodzkiej policji jak najbardziej się panu należy. Jest pan jedyną osobą godną tej nominacji.

– Mówi pan to tak, jakby sprawa była przesądzona.

– Panie wachmistrzu. – Scheidt się uśmiechnął, opuścił ręce sztywno wzdłuż ciała. – Dziś możemy rozstrzygnąć los tej nominacji. Nawet tutaj... Położymy fundament pod naszą współpracę i pańską przyszłość.

Koschella popatrzył w dół skarpy, na spory prostokąt cementu, z którego wydobywały się bańki powietrza.

– Fundamenty budowane na trupach są nietrwałe. Powietrze ulatujące z ciała poddanego procesowi gnilnemu jest szkodliwe. A to źle, jak coś psuje się od fundamentów. Nie sądzi pan?

– Nie rozumiem... – Starosta zmarszczył czoło. Znów zaplótł ręce na brzuchu.

– Zrobił pan w Kłodzku zawrotną karierę. Przejął pan rolę pośrednika wszystkich firm w mieście, a zapewne i w hrabstwie. Handluje pan, inwestuje, pośredniczy z każdym.

– To chyba nie zarzut, ale komplement. Wykażę teraz mnóstwo dobrej woli i tak go zinterpretuję. Mam ogromne doświadczenie w handlu i produkcji. Niezrównaną sieć kontaktów w Republice Weimarskiej i poza nią. Dzięki moim zabiegom setki osób odzyskało pracę, a tysiące może liczyć na stałe wypłaty.

– To prawda – zgodził się Koschella. – Pańska firma, z tego co zdążyłem się zorientować, pośredniczy w handlu transoceanicznym. Ma pan dobre kontakty w Chicago...

Widać było wahanie Scheidta. Spojrzał na samochód. Poruszył się, jakby niezdecydowany, czy chce kontynuować rozmowę.

– Przejdźmy może do rzeczy. O czym chciał pan ze mną rozmawiać?

– O tych fundamentach właśnie, o których już przed chwilą zaczęliśmy...

– Rozumiem. – Starosta pokiwał głową, uśmiechnął się. – Wydaje mi się, że rozumiem...

– Tak?

– Zdziwiłem się wcześniej, dlaczego chciał się pan spotkać tutaj. Jak jednak widzę, nie tylko ja mam doświadczenie w handlu i negocjacjach.

– Negocjujemy, panie Scheidt?

– A nie? Panie Koschella... przejdźmy do konkretów, zanim padnie o kilka słów za dużo. Wybrał pan miejsce spotkania. Dlatego że ujrzał pan tu przyszłość tego miasta i swoją! – Scheidt potoczył wzrokiem po terenie budowy. – To osiedle marzeń, prawda? Miejsce przyszłości, przykład nowoczesności, śmiały projekt i wizja, musi pan to przyznać. Gdy zamieszka tutaj przyszedł komisarz kłodzkiej policji wraz z rodziną... którą tak bardzo kocha – starosta pokiwał głową, jakby dotarła do niego waga ostatnich słów – prestiż tego miejsca na pewno jeszcze wzrośnie. Tak, to naprawdę wyśmienity pomysł. I zdaje się, pana własny. Proponuję jeden z domów blisko szczytu wzgórza. Będzie się stąd rozciągał niesamowity widok, który spodoba się pańskiej małżonce. Czy chce się pan podzielić jeszcze jakimiś pomysłami, wachmistrzu?

– Nie... – Franz się zawahał. – Chociaż...

– Tak? Śmiało! – powiedział zniecierpliwionym tonem starosta, w jego głosie można było wyczuć nutę pogardy.

– Coś pan pomylił – zaśmiał się Koschella. – Nie jestem na sprzedaż. Może pan sobie wsadzić w dupę i tę posadę, i swoje osiedle marzeń. Nie będę kolejnym cynglem na czyjeś usługi. Nie po to zabiłem Palucha, żeby zająć jego miejsce.

– Ile pan wie, wachmistrzu?

– Sporo. Jednak wciąż jest dla mnie niewiarygodne, w jak krótkim czasie zapuścił pan tu swoje macki, starosto. Wszystko lub prawie wszystko można załatwić pieniędzmi, prawda? Kapitał, którym pan obraca, pozwolił kupić, kogo trzeba, i przejąć wszystko, co było na sprzedaż, za bezcen. Ludzie się wyprzedają, żeby utrzymać się na powierzchni. Mandy pana pokroju wykorzystują to bez skrupułów. Tak wywalczył pan sobie prowizję od handlu każdego producenta z hrabstwa. Zastanawiałem się, do czego w tej całej układance potrzebne są ringvereiny. Pierwsza myśl, jaka mnie naszała, to wcześniejsze zobowiązania i powiązania, może zdobycie przyczółku pod ekspansję na całą kotlinę. Wydawało mi się, że ringvereiny mają pana na liście płac. To było błędne założenie. To pan je wykorzystał... Deutsche Eiche to jedynie środek do celu. Oto pojawił się w Kłodzku człowiek, który zna remedium na biedę, pomaga, daje pracę i nadzieję. W odpowiednim momencie znajduje się na celowniku szaleńca, obłąkanego mordercy, którego motywacji nikt nie potrafi

z głębić. Pokazuje swój niezłomny charakter, występując przeciw ringvereinom, które próbują go zastraszyć. Jasno opowiada się po stronie prawa i sprawiedliwości. Po burmistrzu Kłodzka Franzu Ludwigu to kolejny mąż stanu, człowiek bez skazy, za którym podąży każdy. Naturalny kandydat na starostę, a w nieodległej przyszłości burmistrz! To próżność, prawda?

– Próżność? – Scheidt, który przez cały czas słuchał cierpliwie przemowy Koschelli, uśmiechnął się. – Jestem wizjonerem, wachmistrzu. Przykro mi, że pan tego nie dostrzega.

– Ależ dostrzegam. Heigla też pan kupił. Firma Goliat była powiązana z ringvereinem, ale nawet Schwarz nie wiedział, jakie jest jej zadanie. Swoją drogą, nazwa trafna.

– Goliat? Podoba się panu? Mnie nie przypadła do gustu.

– Jestem w stanie to zrozumieć. Każdy goliat może się obawiać zwykłego obdartusa z procą i kamieniem.

– Ma pan gdzieś procę i kamienie? – zaśmiał się Scheidt.

– Depozyt z bronią miał trafić do Monachium. Kilkanaście tysięcy sztuk nowoczesnych karabinów – kontynuował Koschella. – Zdaje się, że wiem, w czyje łapska. To pana kolejna inwestycja, prawda?

– To wszystko domysły. Nie ma pan żadnych dowodów i ich nie zdobędzie. Podziwiam pańską przenikliwość, lecz ganię za brak rozsądku. Jeśli pan ze mną nie negocjuje, po co chciał się pan spotkać? Tracę czas, a pana czas najwyraźniej się kończy.

– Snajper? – zapytał Koschella. – Zgadłem? Wystarczy, że podniesie pan rękę, prawda? O tak?

Franz uniósł dłoń. Wystrzał huknął jak grom. Starosta skulił się, krew odpłynęła mu z twarzy.

– I po snajperze – powiedział spokojnie Koschella. – Zapewniam, nie został trafiony kamieniem z procy.

Kolejny wystrzał. Scheidt się zachwiał, zaczął drżeć, popatrzył na swoją koszulę, jakby spodziewał się znaleźć na niej otwór po kuli. Coś go tknęło. Obrócił się. Człowiek z jego obstawy osuwał się na masce samochodu.

– Miałeś rację. Jestem w dobrej komitywie z kapitanem Kleinem.

– Nie rób tego. – Pod Scheidtem ugięły się kolana. Zaczął się cofać, ale Koschella złapał go za kołnierz. – Mam mnóstwo pieniędzy – wysapał starosta. – Dostaniecie, ile będziecie chcieli. Dam wam wszystko, co chcecie.

– Naprawdę? – Koschella zawiesił głos.

– Tak! – Scheidt wyczuł swoją szansę. Być może uznał, że od początku chodziło o pieniądze. – Zrobię wszystko!

– Chcę, żebyś przywrócił życie Schulzowi.

– Ale...

– Tak myślałem. – Franz zepchnął starostę ze skarpy. Ten zamachał rękami, ale jedyne, co udało mu się zrobić, to obrócić się w powietrzu. Zanurkował głową prosto w wypełnionej cementem dziurze.

Ponad powierzchnię szarej brei wysunęła się ręka. Zaraz jednak zniknęła. W jej miejscu pojawiły się bańki powietrza.

– Osiedle marzeń. – Koschella splunął pod nogi. – Masz swoje osiedle marzeń skurwielu, w dodatku z basenem.

Spojrzał w stronę niedalekiego wzniesienia. Skinął głową, a potem podszedł do trupa przy aucie. Pociągnął go za nogi aż do wykopu. Tam spotkali się z Kleinem, który zdążył przyciągnąć nad wykop snajpera. Ciała plusnęły w cementowy staw.

– Jeśli Scheidt był wizjonerem i miał zdolność przewidywania, to mamy sobie sporo do zarzucenia, kapitanie.

– Co masz na myśli?

– Monachium, starosta postawił na konkretnego konia. Z nim wiązał swoją przyszłość.

Klein zaśmiał się cicho.

– Tego nie przewidział. – Kapitan wskazał bulgoczącą powierzchnię wykopu. – Może więc nie był z niego żaden wizjoner.

Franz pokiwał głową, ale w głosie Wilhelma nie wyczuł zbytniego przekonania. Sam także go nie miał.

*

Klein przysiadł na łóżku w Hotelu Dworcowym. Popatrzył na niewielką walizkę stojącą przy drzwiach. Do odjazdu pociągu pozostało niewiele czasu. Odczuwał rosnący niepokój. Nie wiedział, co jest jego źródłem. Nie chciał wyjeżdżać? Znów to samo uczucie co w Gorzanowie. Miał wrażenie, że o czymś zapomniał, że coś ważnego umknęło jego uwadze. A może coś tutaj bezpowrotnie zostawia? Coś, czego nie będzie mógł zabrać w podróż. To uczucie rozchodziło się po całym ciele, zagnieździło się gdzieś w kręgosłupie, z tyłu czaszki. Uwierało.

Kapitan wstał, podszedł do okna i wyjrzał na Sellgittplatz. Dwóch młodych mężczyzn urządziło sobie wyścigi na rowerach. Jeden wysforował się do przodu, skręcił w stronę końskiego mostu. Drugi zatrzymał się i otarł pot z czoła. Musiał być w gorszej kondycji od towarzysza. Zaklął pod nosem, co można było wyczytać z ruchu warg. Zacisnął zęby i stanął na pedałach. Rozchwiany rower złapał pion, chłopak rozpędził się i jego także Klein stracił z pola widzenia.

Od dawna nie myślał o przyszłości, o tym, jak jego życie będzie wyglądać za rok, dwa, lat dwadzieścia. Odniósł wrażenie, że znalazł się w punkcie węzłowym, na stacji przesiadkowej, właśnie tutaj, w tym czasie i tych okolicznościach. Od tego, jaką podejmie decyzję, zależeć będzie już nieodwracalnie linia przyszłego życia.

Czekał na znak? Nie, to raczej nie to. Towarzyszący mu stan zawieszenia był niezwykły. Dawał mu poczucie jakiejś kontroli nad decyzjami, które mógł podjąć autonomicznie. Nie wiedział, jak miałyby wyglądać jego przyszłość ani jak chciał, żeby wyglądała. Pomyślał, że ten kwadrans, który miał jeszcze dla siebie, mógłby trwać w nieskończoność. Teraz mógł jeszcze wszystko.

Wszystko i nic.

Wilhelm odwrócił się od okna. Podszedł do walizki, podniósł ją i otworzył drzwi. W progu odwrócił się, spojrział na łóżko, biurko, obraz Śnieżnika na ścianie. Popatrzył w bok, na drugi pokój, który kilka lat temu dzielił z kimś innym.

Wycofał się w głąb korytarza i zatrzasnął za sobą drzwi. Ten dźwięk był głuchy, ostateczny.

W recepcji zatrzymał się przy starym Krupskim. Mężczyzna na widok Kleina uśmiechnął się smutno.

Wilhelm położył klucz na blacie.

– Czeka na pana kobieta. Poprosiłem, by usiadła w restauracji.

– Dziękuję, panie Krupski.

Wilhelm popatrzył w bok. Napotkał spojrzenie Katherin. Uśmiechnęła się, wstała z krzesła. Klein także się uśmiechnął. Patrzyli na siebie, jakby potrzebowali chwili na nasycenie oczu swoim widokiem.

Rozdzwonił się telefon, recepcjonista odebrał, jego głos zagrzmiał zgrzytliwie. Niepokój, który odczuwał Klein, powrócił.

– Do pana, kapitanie. To... myślę, że to ważne.

Klein z trudem odwrócił wzrok od dziewczyny. Ta nie poruszyła się, czekała, aż do niej podejdzie. Może to rzeczywiście Klein powinien wykonać pierwszy krok. To on miał podjąć decyzję.

– Kapitanie?

Postawił walizkę na podłodze. Zawahał się. Miał wrażenie, że znalazł się w stanie zawieszenia, opuścił ciało, czyjaś ręka przejęła słuchawkę, przystawiła ją do jego ucha. Z jego strun głosowych wydobył się nieprzyjemny świst:

– Halo? Tu Wilhelm Klein...

Usłyszał oddech po drugiej stronie.

Musiał ścisnąć słuchawkę mocniej, bo wysuwała mu się z dłoni. Rozpoznał ją, zanim się odezwała. Sens pytania, które zadała, docierał do niego z opóźnieniem.

Milczał, nie potrafił wydusić z siebie słowa.

– Jesteś? Wilhelmie...

– Tak... – wychrypiał. – Jestem.

Myślał, jak bolesne było nie słyszeć jej tak długo. W rzeczywistości to, że znów ją usłyszał, bolało jeszcze bardziej.

Przeniósł wzrok na Katherin. Wciąż stała nieruchomo, widział przemianę, jaką przechodziła w tej chwili. Uśmiech zniknął z jej twarzy, pojawił się przebłysk zrozumienia. Co teraz podpowiadała jej intuicja? Dziewczyna opuściła wzrok, a potem ruszyła do wyjścia. Może powinien ją zatrzymać? Musiałby odłożyć słuchawkę, przerwać połączenie, wybrać inną drogę...

– Czekam na ciebie.

Przecież dokonał wyboru już dawno temu.

*

Patrzył na miasto przez szybę, nie dostrzegając żadnych szczegółów. Ktoś zastukał w okno. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że widok przysłoniło mu kilka osób stojących na peronie. Objął je spojrzeniem. Podniósł się z siedzenia, szarpnął za uchwyt, opuszczając okno.

– Pani Barbaro, Franz... panowie...

Opitz i Haim uśmiechnęli się na to dorosłe określenie.

– Przyszliśmy się pożegnać. Zwłaszcza chłopcy się uparli, kapitanie – powiedziała Barbara.

– Miło mi, dziękuję. To ja powinienem był to zrobić, odwiedzić was przed odjazdem...

Franz pokiwał głową. Barbara sięgnęła do koszyka, wyciągnęła z niego zawiniątko.

– Ciasto na drogę.

Klein przejął prezent, odłożył na stolik.

– Dziękuję, pachnie apetycznie...

Odwrócili się na okrzyk konduktora wskakującego do pociągu.

– Wsiadać, drzwi zamykać! Odjazd za minutę!

– Pan już nie wróci do Kłodzka, do ojca...

– Opitz! – warknął strofująco Koschella. – Już daj spokój!

– Jesteś gotów się założyć? – zażartował Klein, by załagodzić sytuację.

Przestał się uśmiechać, gdy zobaczył, jak Opitzowi zaszklily się oczy.

– Może tato pana odwiedzi w Strzelinie. – To dała o sobie znać empatia Haima.

– Pewnie, mój przyjazd przynajmniej nie jest zwiastunem kłopotów – powiedział Koschella.

Zaśmiali się.

Klein wyciągnął dłoń, wymienił uścisk z Barbarą i Franzem, potem z chłopakami. Konduktor dmuchnął w gwizdek. Szarpnęło wagonami. Pociąg ruszył. Klein odmachnął Barbarze i chłopcom na pożegnanie. Jeszcze przez jakiś czas patrzył na ich malejące sylwetki, a potem zajął miejsce na kanapie.

Zastanowił się nad słowami Opitza. Miał przeczucie, że gdyby postawił na swoim, przegrałby zakład.

Popatrzył na panoramę twierdzy i rozciągającego się pod nią miasta. Obraz był rozedrgany, kładły się na nim wieczorne cienie. Szybko i nieodwołalnie zniknął z pola widzenia.

MONACHIUM, LISTOPAD 1923 ROKU

Pielęgniarka przysypiała. Praca w tym miejscu wyciągała z niej wszystkie siły. Miała dziś trudny dzień ze względu na problem z kilkoma nowymi pacjentami. Pielęgniarze byli dobrze przeszkoleni, ale jeden z tych obłąkańców dostał szału i musieli przypiąć go pasami do łóżka. Środki uspokajające zadziałały, ale atak pobudził innych. Jakby łączyli się za pomocą niewidzialnych fal i udzielały im się tylko najgorsze stany. Upiorne krzyki dochodziły z pokojów i sali głównej. Wszystko stawało na głowie.

– Nie mogę się doczekać wolnego, ty też, co? – Ruth jakby czytała jej w myślach. Wróciła z obchodu z jednym z lekarzy. Długo jej nie było. Martha podejrzewała ją o romans z tym łysiejącym grubaskiem. Ona sama doktora Kurta Saubera nie tknęłaby nawet patykiem. – Miałaś sprawdzić, co z tym karłem, pamiętasz?

– Racja! – Martha poderwała się na nogi. – Tyle czasu cię nie było, nie mogłam się stąd ruszyć.

– Nie bój się, przecież nie uciekł.

Martha pokręciła głową i ruszyła słabo oświetlonym korytarzem. Mijała kolejne drzwi. Pacjenci po wieczornej dawce leków zasypiali, nie słychać już było wcześniejszych hałasów.

Mężczyzna miał osobny pokój, rodzice uiszczali wszelkie opłaty, dyrektor szybko dał im się uprosić. Nie było z nim ostatnio najlepiej. Martha miała wrażenie, że Ulm gaśnie, powoli, ale nieodwołalnie. Jakby stracił wolę życia.

Weszła do pokoju. W półmroku zobaczyła znajomy kształt pod pierzyną. Przeniosła wzrok na bok, na obrazy ustawione pod ścianami, potem na sztalugę. Dziś Germain musiał ukończyć kolejną pracę. Zapewne niedawno, gdy czekał, aż Ruth wróci z obchodu.

Martha utkwiała wzrok w malowidle. Źle wpływały na nią obrazy tego kała, były jak żywe. Miały w sobie coś... sama nie wiedziała... prawdziwego?

Mężczyzna na malowidłach miał przystojną twarz, choć naznaczoną cierpieniem. Germain uwidoczniał blizny na policzkach i magnetyzm w dużych ciemnych oczach.

Wiele razy podpytywała o niego Ulma, ale ten uparcie milczał.

Dzisiejszy obraz był nieco inny, w spojrzeniu człowieka z obrazu widać było coś, co przyprawiało o ciarki. Otchłań, pomyślała Martha, patrzyła w oczy prowadzące w głąb studni, w głąb martwej duszy.

– Czy on... Co mu się stało? – zapytała wbrew sobie. – Wygląda, jakby...

Była pewna, że mężczyzna leży w wąskim dole, a grudki ziemi przysypują mu twarz. Dokładnie widziała ten moment, w którym ciężka pierzyna błota w końcu przykryje go i zadusi.

Kobieta zadrżała. Wyczuła śmierć. Ta jakimś sposobem przeniknęła z obrazu do świata żywych.

– Ulm! – Martha podeszła do łóżka, nachyliła się nad leżącym. – Ulm!

Zaraz wezwała lekarza. Wiedziała jednak, że ten Germainowi już nie pomoże, tak jak nikt nie pomoże człowiekowi z obrazu.

Glatz. Goliat

Copyright © by Tomasz Duszyński 2022

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2022

Redakcja – Joanna Mika

Korekta – Aneta Wieczorek, Paweł Wielopolski

Skład i łamanie – Natalia Patorska

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Za udostępnienie mapy Glatzu dziękujemy Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Wałbrzychu.

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,

niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików.

Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści.

Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.

Dziękujemy!

Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2022

ISBN mobi: 9788382104509

ISBN epub: 9788382104516



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

Produkcja: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Dagmara Kolasa, Grzegorz

Krzymianowski, Natalia Patorska

Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka

Promocja: Piotr Stokłosa, Łukasz Szreniawa, Aleksandra Parzyszek, Karolina Prewysz-Kwinto,

Paulina Gawęda, Beata Nowak, Piotr Jankowski

Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga, Mateusz Wesołowski

E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Marta Tabiś, Paweł Kasprowicz, Marcin

Mendelski

Administracja: Klaudia Sater, Monika Kuzko, Małgorzata Pokrywka

Finanse: Karolina Żak, Honorata Nicpoń

Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędziak

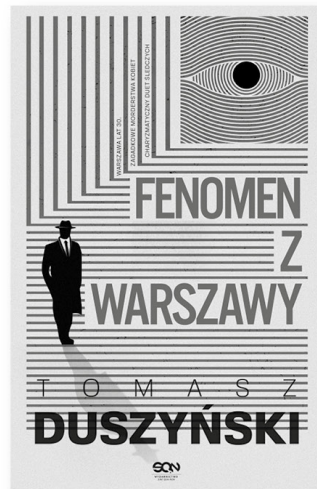
www.wsqn.pl

www.sqnstore.pl

www.labotiga.pl

**WARSZAWA LAT 30.
ZAGADKOWE MORDERSTWA KOBIET
CHARYZMATYCZNY DUET ŚLED CZYCH**

Od pół roku w Warszawie znajdowane są zwłoki młodych, bestialsko zamordowanych kobiet. Zdesperowana policja, uginając się pod naporem opinii publicznej, sięga po niecodzienne środki... Do pomocy komisarzowi Antoniemu Wróblowi zostaje oddelegowany inżynier Stefan Ossowiecki – znane warszawskie medium, u którego na „seansach z duchami” bywał nawet sam marszałek Piłsudski. Współpraca między jasnowiedzem a niechętnym mu racjonalistą nie układa się jednak najlepiej.



**TO NIEZWYKLE REALISTYCZNY I BARWNY FRESK Z EPOKI,
W KTÓRYM PRZEDWOJENNE ŻYCIE ELIT MIESZA SIĘ
Z HISTORIAMI PROSTO Z GANGSTERSKIEGO PÓŁŚWIATKA**

Szukaj w dobrych księgarniach



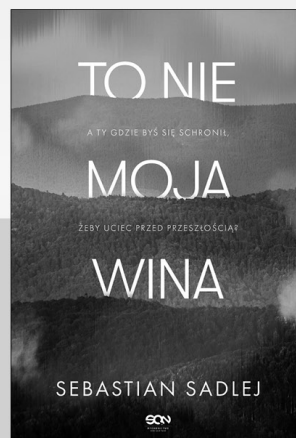
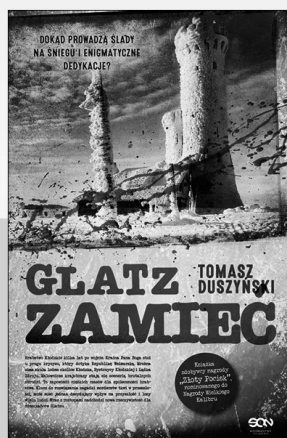
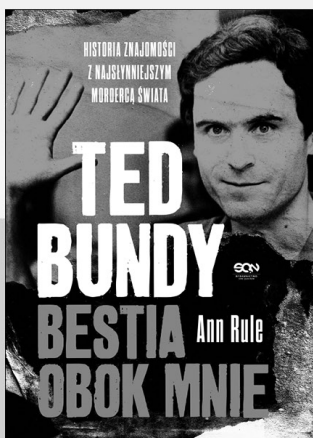
WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

**www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl**

Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy za zakup naszej książki.
Jesteście czytelnikami *sine qua non*,
warunkiem koniecznym istnienia
dobrych książek, a Wydawnictwo
SQN istnieje dzięki ludziom takim
jak Wy. Mamy nadzieję, że wkrótce
spotkamy się ponownie!

Ekipa Wydawnictwa SQN



SQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

SQNSTORE.PL

labotiga.pl